

JULIUSZ VERNE

DWA LATA WAKACJI

Deux ans des vacances

Przekład: Izabela Rogozińska



TIMON

Data wydania polskiego: 1991

Rozdział I

Sztorm – Uszkodzony szkuner – Cztery chłopcy na pokładzie „Sloughiiu” – Fok w strzepach – Wnętrze jachtu – Jak chłopiec okrętowy o mało się nie udusił – Grzywacz na rufie – Łąd wśród porannych mgieł – Ruffy

Nocą 9 marca 1860 roku niski pułap chmur stykających się z falą ograniczał pole widzenia do kilku sążni.

Po wzburzonych falach, których bryzgi rzucały wokół sinawe blaski, mknął lekki statek pozbawiony niemal zupełnie żagli.

Był to jacht o wyporności stu ton, szkuner – takie bowiem miano nadaje się goeletom w Anglii i w

Ameryce.

Szkuner ów zwał się „Sloughi”, ale daremnie próbowałbyś odczytać tę nazwę na tablicy umieszczonej pod kasztem rufowym, którą zderzenie, a może gwałtowniejsza od innych fala oderwała częściowo od kadłuba statku.

Była jedenasta wieczór. Na tej szerokości geograficznej noce marcowe są krótkie. Ale czy niebezpieczeństwo zagrażające jachtowi zmniejszy się, gdy słońce oświetli bezmiar wód? Czy bezlitosne fale przestaną się pastwić nad wątłym stateczkiem? Z pewnością tylko uciszenie się wichury i uspokojenie rozległych odmetów mogłoby go ocalić od katastrofy – jednej z najstraszniejszych – od zatonięcia na pełnym morzu, daleko od lądu, na którym rozbitkowie zdołaliby może znaleźć ocalenie!

Na rufie „Sloughi” trzech chłopcy – jeden czternastoletni, dwaj inni trzynastoletni – i dwunastoletni Murzynek, chłopiec okrętowy, stali przy kole sterowym. Starali się wspólnymi siłami zapobiec nagłym zwrotom, które mogłyby rzucić statek w poprzek fali. Niełatwo było temu sprostać, koło sterowe bowiem, obracając się niezależnie od woli chłopców, groziło im zepchnięciem za fałszburkę. A raz nawet przed północą tak olbrzymia góra wodna runęła z boku na jacht, iż cudem tylko ster nie uległ strzaskaniu.

Chłopcy powaleni tym wstrząsem zerwali się jednak od razu.

– Briant, czy ster działa? – zapytał Gordon.

– Tak – odpowiedział Briant, który nie tracąc zimnej krwi stanął na powrót przy kole sterowym.

Po czym, zwracając się do trzeciego kolegi, rzekł:

– Doniphan, trzymaj się mocno i nie traćmy odwagi!... Musimy uratować nie tylko siebie, ale i tamtych.

Wymienili tych kilka słów po angielsku, jakkolwiek akcent Brianta zdradzał jego francuskie pochodzenie. Po chwili zapytał Murzynka:

– Nie jesteś ranny, Moko?

– Nie, panie Briant – odpowiedział chłopiec. – Starajmy się utrzymać statek prosto, inaczej pójdziemy na dno.

W tym momencie uchyliły się nagle drzwiczki wjazdu do salonu. Dwie główki dziecięce wyjrzały jednocześnie na pokład, a za nimi wychyliła się poczciwa psia mordą i rozległo się szczekanie.

– Briant! Briant! – zawołał dziewięcioletni chłopiec. – Co się tu dzieje?

– Nic wielkiego, Iverson! – odkrzyknął Briant. – Złaż w tej chwili i zabierz ze sobą Dole’a... No, prędeż!

– Ale my się okropnie boimy – dorzucił drugi, jeszcze mniejszy chłopaczek.

– A tamci? – spytał Doniphan.

– Wszyscy się boimy – odparł Dole.

– Zejdźcie wszyscy! Rozumiesz?! – rozkazał Briant. – Zatrzaśnijcie drzwiczki, otulcie się dobrze kocami, zamknijcie oczy, to przestaniecie się bać. Zresztą nie ma żadnego niebezpieczeństwa!

– Uwaga! Nowa fala! – krzyknął Moko.

Gwałtowne uderzenie wstrząsnęło rufą jachtu. Na szczęście tym razem woda nie zalała pokładu; gdyby wdarła się do wnętrza przez luk, żaglowiec, silnie obciążony, nie zdołałby się już dźwignąć.

– Już was tu nie ma! – zawołał Gordon. – Złaźcie w tej chwili... Inaczej ja się z wami porachuję!

– Idźcie już, idźcie, malcy! – dodał Briant pojednawczo.

Obie główki znikły, lecz w tej samej chwili ukazał się w luku jeszcze jeden chłopiec.

– Czy nie będziemy ci potrzebni, Briant? – zapytał.

– Nie, Baxter – odparł Briant. – Cross, Webb, Service, Wilcox i ty zostańcie z małymi. Damy sobie tutaj radę we czterech.

Baxter zamknął drzwiczki od wewnątrz.

„Wszyscy się boimy” – powiedział Dole.

Czyż na tym szkunerze mknącym wśród huraganu były tylko dzieci? Tak, tylko dzieci! Ileż ich było na pokładzie? Piętnaścioro razem z Gordonem, Briantem, Doniphanem i chłopcem okrętowym. W jakich okolicznościach znaleźli się na statku? Niebawem się tego dowiemy.

A więc nie było nikogo dorosłego na pokładzie? Kapitana, który kierowałby statkiem? Marynarza, który pomógłby przy manewrowaniu? Sternika, który prowadziłby żaglowiec wśród nawałnicy? Nie! Nie było nikogo!...

Toteż nikt na „Sloughi” nie potrafiłby określić położenia statku. Po jakich wodach żeglowano? Po najrozleglejszym z oceanów! Po Pacyfiku szerokim na dwa tysiące mil, rozpościerającym się od Australii i Nowej Zelandii aż po Amerykę Południową.

Cóż się tedy stało? Czy załoga szkunera zginęła w katastrofie? Czy porwali ją malajscy piraci pozostawiając własnemu losowi małych pasażerów, z których najstarszy miał zaledwie czternaście lat? Załoga stutonowego jachtu musi składać się przynajmniej z kapitana, bosmana i pięciu lub sześciu marynarzy – taka ekipa jest niezbędna do manewrowania tego rodzaju statkiem; a tymczasem był tam jedynie chłopiec okrętowy. Wreszcie skąd płynął ów szkuner? Czy z okolic południowej Azji, czy z któregoś archipelagu Oceanii, od jak dawna był w drodze i dokąd zmierzał? Gdyby

„Sloughi” natknął się na tych dalekich wodach na jakikolwiek statek, dzieci mogłyby odpowiedzieć jego kapitanowi na takie właśnie pytania, które zadałby na pewno; ale na horyzoncie nie pojawił się żaden z tych transatlantyków, których rejsy krzyżują się na morzach Oceanii, ani żaden z parowców czy żaglowców handlowych, które Europa i Ameryka ślą setkami do portów Pacyfiku. A nawet gdyby któryś z tych statków, tak potężnych dzięki swoim maszynom lub ożaglowaniu, zabłąkał się w te strony, musiałby sam toczyć walkę z nawałnicą i nie zdołałby udzielić pomocy jachtowi, którym morze rzucało jak łupiną?

Tymczasem Briant i jego towarzysze czuwali, by jacht nie położył się na burcie.

– Co robić?... – ozwał się Doniphan.

– Wszystko, co z pomocą bożą może przynieść nam ocalenie – odparł Briant.

Słowa te wyrzekł młody chłopiec, a przecież najodważniejszy mężczyzna niewielką żywiłby w takim położeniu nadzieję!

Rzeczywiście, burza srożyła się coraz gwałtowniej. Dął, jak powiadają marynarze, „piorun nie wicher”, a określenie to wydawało się tutaj tym trafniejsze, że nawałnica mogła strzaskać jacht z piorunującą szybkością. Zresztą „Sloughi” był już na poły wrakiem: od czterdziestu ośmiu godzin żeglował ze złamanym na wysokości czterech stóp od pokładu grotmasztem, skutkiem czego niepodobna było rozpiąć żagla sztormowego, który ułatwiłby sterowanie. Fokmaszt, jakkolwiek pozbawiony już bramstengi, spełniał jeszcze swoje zadanie, ale należało się obawiać, że wicher zerwie wanty i maszt runie na pokład. Na dziobie podarty kliwer łopotał wydając dźwięki, które można by porównać do huku broni palnej. Z całego ożaglowania pozostał tylko fok, który lada chwila mógł się podrzeć w strzępy, bo chłopcy nie mieli dość siły, aby go zrefować. Jeśli to nastąpiło, nie utrzymałoby szkunera w linii wiatru; grzywacze runęłyby na pokład od strony burty, jacht przewróciłby się na bok i poszedł na dno, a wraz z nim młodzi pasażerowie zniknęliby w wodnej przepaści.

Aż do tej chwili żadna wyspa nie zarysowała się na horyzoncie, żaden ląd nie pojawił się na wschodzie. Rzucenie statku na brzeg byłoby straszliwą ostatecznością, a jednak chłopcy mniej by się tego lękali niż wściekłości bezkresnych odmętów. Jakiegokolwiek wybrzeże, choćby opasane pierścieniem raf, ławic i pieniających się fal, strzeżone przez wściekłą kipieli – byłoby dla nich ocaleniem, stałym lądem, miast oceanu gotowego w każdej chwili rozerwać się pod ich stopami.

Wypatrywali tedy jakiegokolwiek światła, na które mogliby wziąć kurs...

Ale żaden blask nie rozświetlał głębokich ciemności nocnych.

Nagle, około pierwszej nad ranem, straszliwy łoskot przedarł się przez wycie wichru.

– Strzaskało fokmaszt! – wykrzyknął Doniphan.

– Nie – odpowiedział Moko. – To żagiel wyrwał się z lików.

– Trzeba się go pozbyć – rzekł Briant. – Gordon, zostań – z Doniphanem przy sterze, a ty, Moko,

chodź ze mną!

Nie tylko Moko miał, jako chłopiec okrętowy, jakie takie pojęcie o nawigacji, ale i Briant był z nią trochę obznajmiony. Podczas długiej podróży z Europy na wyspy Oceanii przez Atlantyk i Pacyfik zapoznał się pobieżnie ze sztuką żeglarską. Tym należy tłumaczyć fakt, że chłopcy, nie znający się zupełnie na tych sprawach, musieli zdać się na niego i Moko, gdy szło o kierowanie szkunerem.

W jednej chwili Briant i Moko skoczyli na dziób statku. Aby wicher nie rzucił szkunera w poprzek fal, należało za wszelką cenę pozbyć się foka, w którego dolnej części utworzyła się kieszeń – wskutek tego jacht tak silnie się pochylił, iż zachodziła obawa, że położy się na burtę. Gdyby tak się stało, nie zdołałby się już dźwignąć, chyba że zrabano by fokmaszt u samego dołu, zerwawszy przedtem metalowe wanty; jakże jednak chłopcy mogliby się z tym uporać?

Briant i Moko dali w tej trudnej sytuacji przykład niezwyklej zręczności. Dążąc do tego, by „Sloughi” szedł pełnym wiatrem, póki wicher nie ucichnie, postanowili zachować jak najwięcej żagla; zdołali poluzować gafelfał i opuścić gafel na wysokości kilku stóp nad pokładem. Strzęp foka odciętego nożem przywiązali brasami za dolne rogi do kołków, choć fale ze dwadzieścia razy zmywały pokład, grożąc zagładą nieustraszonym chłopcom. Płynąc pod niezmiernie skąpym ożaglowaniem szkuner mógł jednak trzymać się dawnego kursu. Sam kadłub jachtu stanowił dostateczną płaszczyznę natarcia dla wichru, który nadawał statkowi szybkość torpedowca. Ale najważniejszą sprawą było osiągnięcie szybkości większej od szybkości fal – należało przed nimi uciekać, by spienione grzywacze nie zwały się na rufę.

Dokonawszy swego, Briant i Moko wrócili do przyjaciół, by zastąpić ich przy sterze.

W tej chwili znów otworzyły się drzwiczki wjazdu. Ukazała się głowa chłopca. Był to Jakub, brat Brianta, o trzy lata młodszy od niego.

– Czego chcesz, Kubusiu? – spytał Briant.

– Chodź! Chodź prędko! – zawołał Jakub. – Woda sięga aż do salonu!

– To niemożliwe! – krzyknął Briant.

I podskoczywszy do schodni, zbiegł szybko na dół.

Salon oświetlony był słabo, lampa huśtała się gwałtownie razem ze statkiem. W jej migotliwym blasku dostrzec było można z dziesięcioro dzieci leżących na kanapach i kojach. Najmłodszy, ośmioletni – i dziesięcioletni, golili się jeden do drugiego w największym przerażeniu.

– Nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo – powiedział Briant chcąc uspokoić malców. – Jesteśmy z wami!... Nie bójcie się!

Oświetliwszy latarnią każdy kąt salonu stwierdził, że od jednej burty jachtu ku drugiej sączyła się strużka wody.

Skąd brała się ta woda? Czy przeciekała przez poszycie? To właśnie należało zbadać.

Za salonem, od strony dzioba, znajdowała się główna kajuta, jadalnia i kubryk.

Briant obejrzał wszystkie te pomieszczenia i zauważył, że woda nie przecieka przez kadłub ani powyżej, ani poniżej linii wodnej. Fale zalewały przedni pokład, skąd woda sączyła się do wnętrza przez nieszczelne drzwiczki schodni prowadzącej do kubryku i na skutek kołysania spływała ku rufie. Nie groziło więc tutaj żadne niebezpieczeństwo.

Wróciwszy do salonu Briant wlał nieco otuchy w serca kolegów i, sam trochę spokojniejszy, zajął z powrotem miejsce przy sterze. Szkuner, zbudowany nadzwyczaj solidnie i niedawno obity na nowo miedzianą blachą, nie przeciekał i mógł stawić czoło groźnym grzywaczom.

Była pierwsza nad ranem. Wśród nieprzeniknionych ciemności, tym bardziej gęstych, iż gruba opończa chmur spowijała niebo, nawałnica szalała z wściekłością. Jacht płynął jakby zatopiony w odmętach. Ostre krzyki petreli przecinały przestworza. Czyżby pojawienie się tych ptaków zwiastowało bliskość lądu? Nie, gdyż spotyka się je w odległości setek mil od wybrzeży. Zresztą petrele – towarzysze burz – niezdolne walczyć z gwałtownymi porywami wichury, mknęły jej szlakiem tak samo jak szkuner, którego szybkości nie zdołałaby zmniejszyć żadna ludzka siła.

W godzinę później dał się słyszeć na pokładzie ponowny trzask. Pozostały strzęp foka rozdarł się na kawałki, białe płaty, niby ogromne mewy, poszybowały w powietrzu.

– Nie mamy już żagla! – wykrzyknął Doniphan. – A wciągnąć nowego nie zdołamy!

– Nic nie szkodzi! – odrzekł Briant. – I tak nie będziemy płynąć wolniej.

– Też mi odpowiedź! – oburzył się Doniphan. – Jeśli w ten sposób zamierzasz prowadzić statek...

– Uwaga! Grzywacze nas gonią! – krzyknął Moko. – Musimy się mocno trzymać, bo nas zmyją...

Chłopiec nie dokończył zdania; kilka ton wody runęło na nich z góry przez kasztel rufowy. Briant, Doniphan i Gordon, odepchnięci od steru, zdołali się jednak uchwycić luku. Ale Moko zniknął razem z masą wody, która przetoczywszy się przez pokład, od rufy aż do dzioba, porwała za sobą część omasztowania, dwie „szalupy i jolkę, mimo że te ostatnie były umocowane na podstawach, oraz kilka zapasowych sztuk drewna masztowego i naktuz. Ale że pod tym gwałtownym uderzeniem strzaskane zostały nadburcia, woda spłynęła i to ocaliło od zatonięcia przywalony ogromnym ciężarem jacht.

– Moko!... Moko! – zawołał Briant, gdy wreszcie mógł dobrać głosu.

– Czy on aby nie wpadł do morza? – zapytał Doniphan.

– Nie... nie widać go... i nie słysząc! – odparł Gordon wychyliwszy się nad wodę.

– Musimy go ratować!... Trzeba mu rzucić linę... koło ratunkowe... – gorączkował się Briant..

I głosem, który zabrzmiał donośnie w momencie ciszy, zawołał znów:

– Moko! Moko!

– Do mnie! Do mnie!... – odchrząknął chłopiec okrętowy.

– Nie wpadł do morza! – ucieszył się Gordon. – Jest chyba na dziobie... stamtąd słysząc wołanie!

– Muszę go ratować! – zawołał Briant.

I jął się czołgać omijając z dala bloki, które huśtały się na luźno zwisających linach, sunął przed siebie wytrwale, choć oślizgły, rozkołysany pokład umykał mu spod nóg.

Jeszcze raz posłyszał głos Moka, po czym wołanie umilkło.

Briant dotarł z największym trudem do luku znajdującego się nad kubrykiem.

Zawołał.

Żadnej odpowiedzi.

Czyżby nowa fala uniosła za burtę chłopca po jego ostatnim okrzyku? W takim razie nieszczęsny jest teraz daleko, po nawietrznej, bo fale nie mogłyby go nieść z tą szybkością, z jaką płynął szkuner; a więc Moko jest zgubiony...

Nie! Słaby jęk dobiegł uszu Brianta; chłopiec skoczył w kierunku kabestanu znajdującego się u nasady bukszprytu. Tutaj dłonie jego napotkały jakieś szamocące się ciało.

Był to Moko wepchnięty w kąt, jaki tworzyły nadburcia stykające się ze sobą na dziobie. Lina owinięta dookoła szyi chłopca zaciskała się coraz mocniej, gdy się szamotał. Czyżby lina, która przytrzymała Moka, gdy ogromna fala przetaczała się przez pokład, miała go teraz udusić?...

Briant dobył noża i z niemałym trudem przeciął linę krępującą Moka.

Po czym zaciągnął go na rufę; kiedy chłopak odzyskał mowę, powiedział tylko:

– Dziękuję panu, panie Briant, dziękuję!

I wrócił zaraz na swoje miejsce przy sterze; wszyscy czterej owiązali się liną, by skuteczniej opierać się olbrzymim grzywaczom, które spiętrzyły się od strony rufy.

Wbrew przypuszczeniom Brianta szybkość jachtu zmniejszyła się nieco od chwili, gdy statek został pozbawiony fok; okoliczność ta zwiększyła znacznie niebezpieczeństwo. Fale, mknące teraz szybciej od szkunera, mogły atakować statek od strony rufy i napęlić go w końcu wodą.

Ale jak temu zapobiec? Niepodobna było rozpiąć choćby najmniejszego skrawka żagla.

Marzec na półkuli południowej ściśle odpowiada wrześniowi na półkuli północnej, noc o tej porze są tu więc niezbyt długie. Była już mniej więcej czwarta rano, zatem świt powinien był niebawem rozjaśnić niebo na wschodzie i słońce miało wynurzyć się z wód oceanu w tej stronie, ku której sztorm gnał jacht. A może o wschodzie słońca przycichną wściekłe podmuchy wichru? Może

jakiś ląd pojawi się na widnokręgu i los tej dziecięcej załogi rozstrzygnie się w ciągu kilku minut? Mieli dowiedzieć się o tym, gdy świt ubarwi przestworza.

Około wpół do piątej promienie rozpięzchły się aż po zenit. Nieszczęściem spojrzenia chłopców, nie mogąc przedrzeć się przez zwały mgieł, nie sięgały dalej niż na ćwierć mili. Czuło się, że chmury gnają z zawrotną szybkością. Huragan nie stracił ani trochę na sile i w dali morze znikało pod spienioną, rozkołysaną falą. Szkuner na przemian unoszony na grzbiety bałwanów i miotany w wodne przepaście ległby niejedną raz na burcie, gdyby grzywacz rzucił go w poprzek fali.

Czterej chłopcy przyglądali się temu kłębowisku skłóconych odmętów. Wiedzieli dobrze, iż położenie ich stanie się rozpaczliwe, jeśli burza nie ucichnie. „Sloughi” nie zdoła opierać się fali jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny – pokład rozpadnie się pod naporem wody.

Nagle Moko zawołał:

– Ziemia! Ziemia!...

Zasłona mgły rozdarła się i przez tę szparę Moko dojrzał na wschodzie jak gdyby kontury wybrzeża. Ale czy się nie mylił? Nie ma nic trudniejszego jak rozpoznanie owych nieokreślonych zarysów lądu, które tak łatwo pomylić z kłębami chmur.

– Ziemia? – zdumiał się Briant.

– Tak... ziemia... – powtórzył Moko. – Na wschodzie! I wskazał jakiś punkt na horyzoncie zasnutym mgłą.

– Czy jesteś tego pewien? – „spytał Doniphan.

– O tak... tak... na pewno! – odpowiedział chłopiec okrętowy. – Gdy mgła się znów rozstąpi, patrzcie uważnie, o tam, trochę w prawo od fokmasztu... O, spójrzcie, spójrzcie!

Wał mgieł rozsunął się i jął odrywać od powierzchni oceanu wzbijając się w górę. Po dłuższej chwili rozpostarło się przed jachtem morze, wolne na przestrzeni kilkunastu mil.

– Tak!... To ziemia!... To naprawdę jakiś ląd! – wykrzyknął Briant.

– I to bardzo płaski! – dorzucił Gordon przyjrawszy się uważnie zasygnalizowanemu przez chłopca okrętowego brzegowi.

Tym razem niepodobna było wątpić. Ziemia, ląd stały lub wyspa, pojawiła się w odległości kilku mil, ścieląc się półkolistą smugą na widnokręgu. Nie dalej jak za godzinę fale miały cisnąć statek na ów ląd, którego nie mógł wyminąć, wichura bowiem gnała go w tym właśnie kierunku. Zachodziła obawa, że bezbronny szkuner roztrzaska się o skały podwodne, nim fale rzucą go na brzeg. Ale chłopcy nie myśleli nawet o tym. Od ziemi, która pojawiła im się nagle przed oczyma, spodziewali się jedynie ratunku.

W tym momencie wiatr zaczął dać jeszcze zacieklej. „Sloughi”, lekki jak piórko w szponach

wichru, pędził ku brzegom odcinającym się od białawego nieba kreską tak czarną i ostrą, jakby narysowaną tuszem. Na dalszym planie wznosiły się nadbrzeżne skały, których wysokość nie przekraczała dwustu stóp. Bliżej rozpościerała się żółtawa plaża ujęta z prawej strony w ramę zielonych kopułów, stanowiących zapewne skraj lasu porastającego ów ląd.

Ach, gdyby „Sloughi” mógł dotrzeć do owej piaszczystej plaży nie napotkawszy po drodze raf, gdyby ujście jakiejś rzeki otwarło się przed nim – może młodzi pasażerowie wyszliby cało i zdrowo z opresji!

Gordon, Doniphan i Moko zostali przy sterze, a Briant powędrował na dziób, aby przyjrzeć się lądowi, który zbliżał się z błyskawiczną szybkością, jacht bowiem mknął jak strzała. Daremnie jednak chłopiec wypatrywał miejsca, gdzie „Sloughi” mógłby bezpiecznie przybić do brzegu. Nie dostrzegał ani ujścia rzeki czy strumienia, ani ławicy piasku, gdzie mogliby osiąść. Plażę otaczał łańcuch podwodnych skał, których czarne wierzchołki, zwieńczone straszną kipiela, wynurzały się tu i ówdzie z rozkołysanych odmętów. Pierwsze zderzenie z nimi musiało przynieść statkowi zagładę.

Briant pomyślał, że lepiej będzie, jeśli w chwili katastrofy wszyscy znajdą się na pokładzie; otworzył więc drzwiczki włazu i krzyknął:

– Wszyscy na pokład!

Pies wypadł pierwszy, a za nim dziesięciu chłopców wyczołgało się na rufę. Na widok grzywaczy, które tu, na płyciźnie, stały się jeszcze groźniejsze, najmłodszy zaczął krzyczeć ze strachu.

Dochodziła szosta, gdy „Sloughi” dopłynął do pierwszego pierścienia raf.

– Trzymajcie się mocno!... Trzymajcie się z całych sił! – wołał Briant. I zrzuciwszy wierzchnie ubranie gotował się do niesienia pomocy tym, którzy wpadną w morze; roztrzaskanie bowiem jachtu o rafy zdawało się sprawą przesądzoną.

Nagle dał się odczuć pierwszy wstrząs. „Sloughi” zawadził rufą o skałę; ale woda nie wdarła się do wnętrza, choć cały kadłub zadygotał.

Następna fala uniosła go i szkuner popłynął naprzód o jakieś pięćdziesiąt stóp, nie musnąwszy nawet skał, których łby wynurzały się wokoło. Po czym, pochyliwszy się na bakbort, znieruchomiał wśród wrzącej kipieli.

Nie znajdował się już wprawdzie na pełnym morzu, ale też ćwierć mili dzieliło go jeszcze od plaży.

Rozdział II

Pośród kipieli – Briant i Doniphan – Badanie brzegów – Jak się przygotowywano do lądowania – Kłótnia w czólnie – Z wysokości fokmasztu – Odważne przedsięwzięcie Brianta – Powrotna fala i jej skutki

Zasłona mgieł uniosła się ukazując wolną przestrzeń – wzrok mógł błędnie swobodnie po bezmiarze oceanu w promieniu wielu mil. Chmury gnały z taką samą jak przedtem szybkością; nawałnica nie straciła nic z poprzedniej fali. Ale kto wie, może to już ostatnie jej ciosy nękały ów zagubiony na Oceanie Spokojnym ląd?

W tym tylko chłopcy mogli pokładać nadzieję: ich obecna sytuacja kryła bowiem tyle samo niebezpieczeństw, co i ubiegła noc, kiedy „Sloughi” szamotał się w walce z szalejącym odmętym. Zbite w ciasną gromadę dzieci uważały się za zagubione; grzywacze przewalały się ponad nadburciem, wznosząc tumany wodnego pyłu. Wstrząsy były tym gwałtowniejsze, że szkuner, unieruchomiony, nie poddawał się uderzeniom fal. Niemniej, choć dygotał cały, wydawało się, że kadłub nie odniósł żadnych uszkodzeń, ani wtedy gdy zawadził spodem o pierścień raf, ani gdy uwiązał między dwoma wierzchołkami skał podwodnych. Briant i Gordon, zszedłszy do kajut, stwierdzili, że woda nie przecieka na dno szkunera.

Uspokoił więc jak mogli kolegów, zwłaszcza najmłodszych.

– Nie bójcie się – powtarzał ustawicznie Briant. – Szkuner jest solidnie zbudowany... a brzeg niedaleko! Poczekajmy jeszcze trochę, a na pewno znajdziemy jakiś sposób, by dostać się na ląd.

– A dlaczego mamy czekać? – spytał Doniphan.

– Tak, tak, po co czekać? – poparł go dwunastoletni chłopak, nazwiskiem Wilcox. – Doniphan ma rację... Po co czekać?

– Bo morze jest jeszcze zanadto wzburzone i rzuci nas na skały – odparł Briant.

– A jeśli szkuner się roztrzaska?! – zawołał Webb, rówieśnik Wilcoxa.

– Nie sędzę, aby nam to groziło – odrzekł Briant – a przynajmniej nie w czasie odpływu. Gdy poziom wód opadnie najniżej, jak tylko na to wiatr pozwoli, spróbujemy przedostać się na ląd.

Briant nie mylił się. Wprawdzie podczas odpływu spadek wód na Oceanie Spokojnym jest stosunkowo nieznaczny, jednak różnica poziomów mogła okazać się dość duża. Lepiej więc było poczekać parę godzin, zwłaszcza gdyby wiatr zaczął przycichać. A może odpływ odsłoni całkowicie część raf? Zmniejszyłoby się wówczas niebezpieczeństwo, gdyby chłopcy zechcieli opuścić jacht; łatwiej też przebyliby owe ćwierć mili dzielące szkuner od plaży.

Jakkolwiek rada Brianta była zupełnie rozsądna, Doniphan i jego towarzysze ani myśleli zastosować się do niej. Odszedłszy na bok, coś do siebie szeptali. Już teraz widać było wyraźnie, że Doniphan, Wilcox i Webb, a także chłopiec nazwiskiem Cross nie będą skłonni żyć w zgodzie z Briantem. Podczas długiego rejsu podporządkowali się jego kierownictwu, stało się to jednak tylko dlatego, że Briant, jak wiemy, znał się trochę na żeglarstwie. Ale od dawna zamierzali wywalczyć sobie zupełną swobodę – oczywiście gdy tylko przybiją szczęśliwie do jakiegokolwiek lądu; zamiary takie żywił zwłaszcza Doniphan, który mniemał, iż zarówno inteligencją, jak i wykształceniem góruje

nad Briantem i resztą towarzyszy. Zresztą zawiść, z jaką Doniphan odnosił się do Brianta, istniała nie od dziś, a pochodziła stąd, że Briant był Francuzem i młodzi Anglicy nie byli skłonni do uznawania jego wyższości.

Należało się obawiać, że te nastroje pogorszą sytuację i tak już groźną.

Tymczasem Doniphan, Wilcox, Cross i Webb, spoglądali na kłębowisko pian i wirów, rozgarnianych tu i ówdzie ramieniem gwałtownego, niebezpiecznego prądu. Najzręczniejszy pływak ustąpiłby pod naporem cofających się na skutek odpływu wód, które wichler gnał z powrotem ku lądowi. Słuszna więc była rada, by poczekać jeszcze parę godzin. Doniphan i jego towarzysze musieli liczyć się z rzeczywistością, toteż – radzi nieradzi – powędrowali na rufę, gdzie zgromadzili się młodszy koledzy. Briant mówił właśnie do Gordona i kilku innych chłopców.

– Nie rozłączajmy się ani na chwilę. Trzymajmy się razem za wszelką cenę; inaczej będziemy zgubieni...

– Nie zamierzasz chyba narzucać nam swojej woli! – wykrzyknął Doniphan posłyszawszy słowa Brianta.

– Nie zamierzam wam nic narzucać. Wydaje mi się tylko, że powinniśmy w imię wspólnego ocalenia działać zgodnie!

– Briant ma słuszość! – wtrącił Gordon, chłopiec opanowany i poważny. Nie odzywał się nigdy bez głębszego zastanowienia.

– Tak, tak! – wykrzyknęło kilku malców, którzy instynktownie darzyli Brianta zaufaniem.

Doniphan nie odezwał się więcej; ale trzymał się z kolegami na uboczu, czekając na moment, kiedy rozpoczną się próby lądowania.

Czymże był ów ląd? Czy jedną z wysp Oceanu Spokojnego, czy kontynentem? Wątpliwości tej nie sposób było rozstrzygnąć, „Sloughi” bowiem osiadł zbyt blisko owej ziemi, by można ją było objąć okiem w odpowiednim zasięgu. Wklęśła linia brzegów tworzyła zatokę zamkniętą dwoma cyplami: jeden wysoki i poszarpany opadał stromą ścianą ku północy, drugi wrzynał się ostro w morze od południa.

Ale co kryje się za tymi cyplami? Czy morze oblewa okrągławy kontur wyspy? Briant, uzbrojony w lunetę, daremnie usiłował znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Jeśli ten ląd jest rzeczywiście wyspą, w jaki sposób chłopcy zdołają się z niej wydostać, skoro jachtu, który przybierająca fala rzuci z pewnością na skały i zdruzgotce, nie da się spuścić ponownie na wodę? A jeśli wyspa okaże się bezludną – a trafiają się takie na Pacyfiku – w jaki sposób dzieci zdane na własne siły zaspokoją najkonieczniejsze potrzeby życiowe, nie mając nic ponad to, co zdołają uratować ze statku?

Gdyby to był kontynent, szansę ocalenia wzrosłyby znacznie, gdyż musiałyby nim być Ameryka Południowa. Wędrując po terytorium Chile albo Boliwii, chłopcy znajdą pomoc, jeśli nie od razu, to

za kilka dni. To prawda, że na wybrzeżach sąsiadujących z pampasami groziło chłopcom niejedno przykre spotkanie, ale w tej chwili najważniejszą sprawą było dostać się na ląd.

W dość przejrzystym powietrzu rozróżniali z łatwością szczegóły krajobrazu. Widzieli na pierwszym planie piaszczyste wybrzeże, za nim pasmo skał i kępy drzew u ich podnóża. Briant wypatrzył nawet ujście rzeki wpadającej do zatoki na prawo od „Sloughi”.

Soczysta zieleń drzew rosnących na brzegu wskazywała na pewną urodzajność gleby i przypominała roślinność strefy umiarkowanej. Najprawdopodobniej za urwistym brzegiem ziemia była żyzniejsza i roślinność osłonięta od morskich wiatrów mogła tam pnieć się bujnie.

Nie wydawało mu się, aby wybrzeże było z tej strony zamieszkane. Nie było widać ani domu, ani chaty – nawet w okolicy ujścia rzeki. Może tubylcy, jeśli w ogóle istnieli, woleli osiąść w głębi lądu, gdzie mniej dokuczały gwałtowne wiatry zachodnie?

– Nie widać nigdzie dymu – rzekł Briant opuszczając lunetę.

– Nie ma na brzegu ani jednej łodzi – zauważył Moko.

– Skąd by się tu wzięły łodzie, skoro nie ma przystani – powiedział Doniphan.

– Cóż z tego, że nie ma portu – ozwał się Gordon. – Łodzie rybackie mogą się schronić choćby w ujściu strumienia; niewykluczone, że uciekły przed sztormem w górę rzeki.

Gordon miał słuszość. W każdym razie nie było widać ani jednej łodzi i ta część wybrzeża wydawała się zupełnie bezludna. A czy będzie można osiedlić się tutaj, jeśli chłopcom wypadnie spędzić kilka tygodni w tych okolicach? Rozstrzygnięcie tej kwestii było dla nich w tej chwili najpilniejsze.

Tymczasem wody opadały, co prawda bardzo wolno, bo wichur udaremniał to w znacznej mierze, chociaż wyczuwało się lekkie złagodzenie podmuchów i zmianę ich kierunku na północno-zachodni. Ważnym zadaniem było więc przygotować się do owego momentu, kiedy w pierścieniu raf otworzy się jakieś możliwe przejście.

Dochodziła siódma. Wszyscy znosili na pokład przedmioty pierwszej potrzeby, inne bowiem mieli zabrać dopiero wtedy, kiedy morze przybliży „Sloughi” do brzegu. Pracowali starsi i młodszy. Na statku był dość znaczny zapas konserw, sucharów, solonego i wędzonego mięsa. Chłopcy sporządzili kilka pakunków z żywnością, które starsi mieli rozdzielić między siebie i przetransportować na ląd.

Ale byłoby to możliwe tylko wtedy, gdyby morze odsłoniło całkowicie rafy. Czy stanie się tak w pełni odpływu, czy spadek wód wystarczająco uwolni skały aż po piaszczyste wybrzeże?

Briant i Gordon obserwowali z uwagą morze. Kiedy zmienił się wiatr, powierzchnia wody zaczęła się uspokajać, kipiela stawała się mniej gwałtowna. Łatwiej było więc wyznaczyć spadek wód, obserwując różne punkty, które wynurzały się stopniowo. Zresztą skutki odpływu dawały się

odczuć i na jachcie – szkuner coraz silniej kładł się na lewą burtę. Zachodziła obawa, że jeśli przechył będzie nadal wzrastał, „Sloughi” położy się zupełnie na bok. Szkuner bowiem miał smukły kadłub: wysoki kil i ostro wygięte ku górze wręgi, charakterystyczne dla szybkobieżnego jachtu. W takim razie, jeśli woda zaleje pokład, nim chłopcy zdołają go opuścić, sytuacja stanie się nad wyraz groźna.

Jaka szkoda, że szalupy zniknęły porwane przez burzę! Briant i jego towarzysze pomieściliby się doskonale w tych łodziach i już teraz mogliby rozpocząć próby lądowania. O ileż łatwiej przewieźliby ze szkunera na ląd mnóstwo rozmaitych przedmiotów, które chwilowo trzeba było zostawić na pokładzie! A jeśli z nadejściem nocy „Sloughi” roztrzaska się, jakąż wartość będą przedstawiać jego szczątki, które fala, rozrzuciwszy po skałach, przygna wreszcie do brzegu? Czy będą się mogły jeszcze na coś przydać? Czy pozostała żywność nie ulegnie zepsuciu? Czy płody tej nieznannej ziemi nie staną się wkrótce wyłącznym źródłem pożywienia dla naszych rozbitków?

Brak jakiegokolwiek czółna zdecydowanie utrudniał wszelkie próby ratunku.

Raptem ktoś krzyknął na dziobie – to Baxter dokonał właśnie ważnego odkrycia.

Jolka, którą uważano za straconą, tkwiła na dziobie zaplątawszy się w liny bukszprytu. Prawda, że w jolce mogło się pomieścić najwyżej sześciu chłopców, ale skoro nie była uszkodzona – co dało się stwierdzić, gdy wciągnięto ją na pokład – będzie można się nią posłużyć, jeśli nie uda się przebyć pierścienia raf suchą nogą. Należało więc poczekać, aż wody osiągną najniższy poziom; tymczasem wywiązała się burzliwa dyskusja, podczas której Briant i Doniphan znów się posprzecziali.

Doniphan, Wilcox, Webb i Cross zawładnęli jolką i zamierzali właśnie przerzucić ją przez burtę, gdy zjawił się Briant.

– Co wy robicie? – spytał.

– To, co nam się podoba! – odpowiedział Wilcox.

– Myślicie popłynąć tym czółnem?

– Tak – rzekł Doniphan. – A co, może zamierzasz nam w tym przeszkodzić?

– Oczywiście. Nie tylko ja, ale wszyscy, których chcecie tutaj zostawić!...

– Zostawić? Co ci strzeliło do głowy? – odparł wyniośle Doniphan. – Ani myślę zostawić was tutaj, rozumiesz? Kiedy tylko dostaniemy się na brzeg, jeden z nas odprowadzi łódź.

– A jeśli okaże się, że czółno nie będzie mogło wrócić? – wykrzyknął Briant, z trudem panując nad sobą. – Jeśli roztrzaska się o skały?!

– Spuszczajmy je na wodę!... Prędzej! – powiedział Webb odepchnąwszy Brianta.

Po czym, razem z Wilcoxem i Crossem, chwycili za czółno, by przerzucić je przez burtę. Briant uczeplił się go także.

– Nie odpłyniecie! – powiedział.

– To się pokaże! – mruknął Doniphan.

– Nie odpłyniecie! – powtórzył Briant postanowiwszy walczyć do ostatka w imię wspólnego dobra. – Musimy zachować jolkę dla najmłodszych. Przecież woda może być zbyt głęboka i nie pozwoli nam dostać się na brzeg!...

– Odczep się! – wrzasnął Doniphan rozzłościwszy się na dobre. – Jeszcze raz ci mówię, że nie zabronisz nam robić tego, co zechcemy.

– A właśnie, że zabronię!

I obaj chłopcy już mieli rzucić się na siebie.

W walce Wilcox, Webb i Cross opowiedzieliby się oczywiście za Doniphanem, natomiast Baxter, Service i Garnett stanęliby po stronie Brianta. I waśń wydałaby z pewnością opłakane skutki, gdyby Gordon nie wmieszał się w porę.

Gordon, najstarszy, najbardziej opanowany i rozumiejący najlepiej, że kłótnia pociągnęłaby godne pożałowania następstwa, miał tyle zdrowego rozsądku, aby się ująć za Briantem.

– Daj spokój, Doniphan! – rzekł. – Trochę cierpliwości! Widzisz przecie, że morze jest wzburzone. Stracimy czółno, i tyle.

– Ja nie chcę – wykrzyknął Doniphan – żeby Briant nami rządził! A już przywykł do tego od pewnego czasu!

– I my nie chcemy! Nie! Nie! – zawołali Cross i Webb.

– Nie zamierzam wami rządzić – odpowiedział Briant – ale też nie mogę dopuścić, żebyście rządzili się sami. Przecież tu chodzi o wspólne dobro.

– Mamy je na uwadze tak samo jak ty – odpalił Doniphan. – Ale teraz, kiedy jesteśmy już na łądzie...

– Niestety, jeszcze nie – przerwał Gordon. – Doniphan, nie opieraj się dłużej, poczekajmy na taki moment, kiedy jolka naprawdę będzie w stanie oddać nam usługę.

Gordon załagodził w odpowiednim momencie spór między Briantem a Doniphanem – zdarzyło mu się to zresztą nie po raz pierwszy – i koledzy uznali słuszność jego wywodów.

Poziom wód obniżył się już o dwie stopy. Czy istniał między skałami jaki przesmyk? O tym warto byłoby się przekonać.

Briant przypuszczał, że łatwiej będzie się zorientować w położeniu raf, gdy obejrzy się je z wysokości fokmasztu; powędrował więc na dziób, chwycił się want sterburty i wciągając się na

rękach wspiął się aż na saling.

Przez pierścień raf wiódł ku brzegom wolny szlak – jego kierunek wyznaczały z obu stron ostre wierzchołki skał wynurzające się z wody; gdyby chłopcy chcieli popłynąć czółnem na ląd, musieliby puścić się właśnie tędy.

Za wiele jednak wirów i przeciwnych prądów burzyło jeszcze powierzchnię wód, aby przedsięwzięcie takie miało szansę powodzenia. Fala cisnęłaby niechybnie jolkę na któryś z ostrych wierzchołków i łódź w oka mgnieniu rozleciałaby się w drzazgi. Zresztą lepiej było poczekać, gdyż odpływ mógł całkiem odsłonić jakieś łatwe przejście.

Z wysokości salingu, na którym Briant siadł okrakiem, łatwo było zapoznać się dokładnie z topografią brzegu. Z lunetą przy oku badał każdy odcinek piaszczystej plaży, ścielącej się u stóp urwiska. Ta część wybrzeża, zamknięta między dwoma cyplami odległymi od siebie o jakie osiem do dziewięciu mil, wydawała się nie zamieszкана.

Po półgodzinnej obserwacji Briant zsunął się na dół, aby zdać z niej sprawę kolegom. Doniphan, Wilcox, Webb i Cross wysłuchali go milcząc wymownie, Gordon zaś spytał:

– Nie wiesz, o której godzinie „Sloughi” osiadł na skale? Czy nie około szóstej?

– Tak – odparł Briant.

– Ile czasu trwa odpływ?

– Zdaje mi się, że pięć godzin. Prawda, Moko?

– Tak... pięć do sześciu godzin – potwierdził chłopiec okrętowy.

– A więc koło jedenastej powinniśmy rozpocząć próby lądowania, będzie to chyba najlepszy moment – powiedział Gordon.

– I ja też tak wyliczyłem – rzekł Briant.

– A więc przygotujmy się – ciągnął Gordon. – Zjedzmy śniadanie, bo gdybyśmy musieli skoczyć w morze, lepiej niech się to stanie w kilka godzin po jedzeniu.

Któż inny, jeśli nie ten rozważny chłopiec, mógł udzielić tak dobrej rady!

Zabrano się więc do śniadania złożonego z konserw i sucharów. Briant opiekował się ze szczególną troskliwością malcami, Jenkins, Iverson, Dole i Costar z właściwą ich wiekowi niefrasobliwością zaczęli już się uspokajać i przejedliby się na pewno, gdyż od dwudziestu czterech godzin prawie nic nie mieli w ustach. Ale do tego nie dopuszczono, a woda zaprawiona kilkoma kroplami brandy pokrzepiła wszystkich.

Po czym Briant wrócił na dziób i wsparłszy się łokciami o szczytki nadburcia obserwował rafy.

Jak wolno obniżał się poziom wody. A jednak był to fakt oczywisty, skoro pochylenie statku wzrastało. Moko rzuciwszy sondę stwierdził, że przynajmniej osiem stóp wody znajduje się jeszcze ponad dnem morskim. Czy można się było spodziewać, że odpływ odkryje dno zupełnie? Moko nie ludził się co do tego; postanowił przeto szepnąć o tym tylko Briantowi, nie chcąc trwożyć innych chłopców.

Briant uznał, że należy porozmawiać o tym z Gordonem. Obaj wiedzieli doskonale, że to wicher, choć obrócił się nieco na północ, był przyczyną tak skąpego spadku wód. Ich poziom obniżyłby się znacznie podczas ciszy.

– Co robić? – spytał Gordon.

– Nie wiem... Nie mam pojęcia... – odparł Briant. – Co to za nieszczęście nie mieć o czymś pojęcia! Być tylko dzieckiem, kiedy powinno się być dorosłym!

– Konieczność będzie nas uczyć – odparł Gordon. – Nie lamentujmy i działajmy ostrożnie...

– Otóż to, działajmy! Jeśli nie wydostaniemy się ze szkunera, nim rozpocznie się przyptyw, jeśli będziemy musieli spędzić jeszcze jedną noc na pokładzie – będziemy zgubieni!

– To aż nazbyt oczywiste, przecież jacht rozleci się w kawałki! Musimy go opuścić za wszelką cenę...

– O tak, za wszelką cenę!

– Czy nie byłoby dobrze zbudować tratwę albo prom?

– Już o tym myślałem – odparł Briant. – Nieszczęściem drzewo, które można by użyć na budulec, porwały fale. A na porąbanie resztek nadburcia i zbudowania z tego materiału tratwy jest, już za późno. Pozostaje nam jolka, bezużyteczna zresztą, bo morze jest zanadto wzburzone. Nie! To na nic! Moglibyśmy tylko spróbować przeciągnąć ponad pierścieniem raf linę i uwiązać ją jednym końcem u wierzchołka skały. Kto wie, czy nie można by przyholować się w ten sposób bliżej brzegu...

– A któż przerzuci linę?

– Ja – odparł Briant.

– A ja ci pomogę – rzekł Gordon.

– Nie, ja sam! – zaproponował Briant.

– Weźmiesz jolkę?

– Mógłbym ją stracić, Gordon, a lepiej zachować ją na czarną godzinę.

Briant nie przystąpił jednak od razu do wykonania niebezpiecznego projektu, postanowił bowiem przedsięwziąć pewne środki ostrożności, aby zapobiec wszelkim niepomyślnym wypadkom.

Rozkazał najmłodszemu włożyć pasy ratunkowe, których kilka znajdowało się na statku. Gdyby musieli opuścić jacht, a woda byłaby zbyt głęboka, by malcy mogli puścić się w pływ, pasy utrzymają ich na powierzchni; starsi zaś chłopcy, przytrzymując się liny, będą popychać młodszych ku brzegowi.

Było już kwadrans po dziesiątej. W niespełna czterdzieści pięć minut morze osiągnie najniższy poziom. U stewy szkunera naliczono zaledwie cztery czy pięć stóp głębokości; ale nie wydawało się, żeby poziom wody miał opaść więcej niż o kilka cali. Co prawda dno morskie zaczynało wyraźnie wynurzać się w odległości jakich sześćdziesięciu jardów od „Sloughi”, co można było poznać po ciemniejszym kolorze wody i coraz liczniej wyłaniających się z fal wierzchołkach skał opasujących ciasno plażę. Cała trudność polegała na przebyciu spienionej głębi, nad którą wznosił się dziób szkunera. Niemniej, jeśli Briant zdołałby przeciągnąć linę na ląd i umocować ją solidnie u wierzchołka którejś skały, lina ta, naprężona później za pomocą kabestanu, pozwoliłaby może chłopcom dotrzeć do płytszych miejsc, przy brzegu. Prócz tego można by spuszczać po linie pakunki z żywnością i niezbędnymi narzędziami – paczki dotarłyby nieuszkodzone na brzeg.

Choć trudne to przedsięwzięcie groziło Bóg wie jakimi niebezpieczeństwami, Briant nie zgodził się, by ktokolwiek go zastąpił, i zaczął się przygotowywać do opuszczenia statku.

Na pokładzie znajdowało się kilka lin długości około stu stóp; posługiwano się nimi zazwyczaj jako cumami albo holami. Briant wybrał jedną z nich, średniej grubości – taka wydała mu się najstosowniejsza – i zrzuciwszy odzież opasał się nią w pól.

– Chodźcie tutaj wszyscy! – zawołał Gordon. – Będziecie rozwijać linę. Chodźcie na dziób!

Doniphan, Wilcox, Cross i Webb nie mogli odmówić pomocy w przedsięwzięciu, którego doniosłość dobrze rozumieli. Toteż jakiegokolwiek były ich uczucia, wzięli się do rozplątywania zwoju liny, którą należało popuszczać, by oszczędzić Briantowi zbędnego wysiłku.

Gdy chłopiec miał już skoczyć w morze, jego brat podbiegł, wołając:

– Braciszku! Braciszku!

– Nie bój się o mnie, Kubusiu! – odkrzyknął tamten.

I w tej samej chwili chłopcy zobaczyli go, jak płynął dzielnie wśród fal, lina zaś sunęła za nim.

Zadanie było trudne nawet w tym wypadku, gdyby morze uspokoiło się zupełnie, gdyż każde przybrzeże, najeżone rafami, wre zawsze gwałtowną kipiela. Krzyżujące się prądy nie pozwalały śmiałkowi płynąć po linii prostej, chwyciły go tak silnie, iż z nieopisanym trudem wyrывał się spod ich przemocy.

Mimo wszystko Briant przybliżał się wolno do brzegu w miarę tego chłopcy odwijali linę. Widać jednak było, że traci siły, chociaż oddalił się od szkunera najwyżej o pięćdziesiąt stóp. Tuż przed chłopcem fale pędzące z przeciwnych stron waliły się na siebie, tworząc rodzaj leja wodnego. Jeżeli Briant zdoła go opłynąć, kto wie, czy nie dotrze do celu, gdyż dalej wody były już znacznie

spokojniejsze. Zebrawszy wszystkie siły rzucił się gwałtownie w lewo. Ale wysiłek ten okazał się daremny. Wytrawny pływak, dorosły mężczyzna, nie sprostałby temu. Pogmatwane prądy chwyciły Brianta i wciągały nieodparcie w sam środek wiru.

– Ratunku!... Ciągnijcie! Ciągnijcie! – zdołał wykrzyknąć, nim zniknął pod wodą.

Na pokładzie jachtu strach sparaliżował wszystkich.

– Ciągnąć! – zakomenderował stanowczo Gordon. Chłopcy rzucili się do zwijania liny, obawiano się, by Briant nie poszedł na dno.

Nie upłynęła minuta, jak wciągnięto Brianta na pokład. Był co prawda nieprzytomny, ale szybko wrócił do siebie w objęciach brata.

Przerzucenie liny ponad pierścieniem raf nie powiodło się. Każdy, kto by się pokusił je powtórzyć, nie miałby żadnych szans powodzenia. A zatem nieszczęsne dzieci musiały czekać...; Na co? Na ratunek? Ale skąd by mógł on nadejść?

Minęło południe. Przyptyw dawał się wyraźnie odczuć, a że księżyc był akurat na nowiu, przybór wód zapowiadał się gwałtowniejszy niż dnia poprzedniego. Jeśliby wiatr powiał znów od pełnego morza, szkuner zostałby zepchnięty z mielizny... Zawadziłby znów dnem o rafę, runąłby na bok między skały! Nikt nie uszedłby z życiem! I nie byłoby na to żadnej rady!

Skupiwszy się na dziobie – malcy w środku, a starsi dookoła nich – chłopcy patrzyli na wzdymające się wody, na wierzchołki skał, które zatapiał odmęt. Nieszczęściem wiatr dał znów od zachodu i jak poprzedniej nocy smagał ziemię niczym bat. Na coraz głębszej wodzie fale wzrastały, obryzgiwały szkuner perlistym pyłem i wkrótce miały runąć na pokład. Bóg tylko mógł przyjść z pomocą małym rozbitkom. Słowa modlitwy mieszały się z okrzykami przerażenia.

Nieco przed drugą szkuner, pochylony na bakbort, wyprostował się pod naporem wody; kołysząc się uderzał dziobem o dno, tylna zaś jego stewa tkwiła nadal w skalistym łożysku. Niebawem wstrząsy zaczęły następować szybko po sobie i „Sloughi” walił się to na jeden, to na drugi bok. Chłopcy chwycili się za ręce w obawie, by któregoś nie wyrzuciło za burtę.

W tej chwili olbrzymi, spieniony wał wodny nadciągający od morza pojawił się w odległości – dwóch kabli od jachtu. Rzekłbyś, potężna grzywa powrotnej fali albo gwałtownego przyptywu, wysoka na przeszło dwadzieścia stóp. Runęła z wściekłością rwącego potoku, pokryła w całości lawicę raf, uniosła „Sloughi”, popchnęła go nad skałami, których nawet nie musnął kadłubem.

W niespełną minutę szkuner, otoczony kipiącymi masami wody, utknął pośrodku plaży, na piaszczystej wydmie, o dwieście stóp od pierwszych drzew, które przycupnęły u podnóża urwiska. I znieruchomiał – tym razem na stałym lądzie – a morze cofało się odsłaniając przybrzeżne piaski.

Kolegium Chairmana w Auckland – „Starzy” i „Malcy” – Wakacje na morzu – Szkunier „Sloughi” – Noc z 15 na 16 lutego – W nieznane – Zderzenie – Sztorm – Poszukiwania – Co pozostało ze szkunera?

W Auckland, stolicy Nowej Zelandii*, wyspy będącej ważną kolonią angielską, cieszyło się w owych czasach najwyższym uznaniem kolegium Chairmana. Uczęszczało tam około stu uczniów, pochodzących z najznakomitszych rodzin tego kraju. Maorysi, ludność tubylcza archipelagu, nie mieli dość środków, by kształcić swoje dzieci u Chairmana – dla nich przeznaczono zresztą inne szkoły. Tylko młodzi Anglicy, Francuzi, Amerykanie, Niemcy, synowie właścicieli ziemskich, rentierów, – bogatych kupców i urzędników pobierali naukę w tym kolegium. Otrzymywali tam wszechstronne wykształcenie, takie samo, jakie dają podobne zakłady naukowe w całym Zjednoczonym Królestwie.

W skład archipelagu nowozelandzkiego wchodzi dwie wielkie wyspy: Ika-Na-Mawi, czyli „Wyspa Ryb”, na północy i na południe od niej – Tawai – Ponamou, czyli „Wyspa Zielonego Jadeitu”. Wyspy te, oddzielone od siebie Cieśniną Cooka, leżą między trzydziestym czwartym a czterdziestym piątym równoleżnikiem półkuli południowej, co odpowiadałoby położeniu Francji i Północnej Afryki na półkuli północnej.

Wyspa Ika – Na – Mawi, bardzo rozczłonkowana od północy, tworzy rodzaj nieregularnego trapezu wyciągniętego jak gdyby ku północnemu zachodowi w ślad za krzywą, którą wytycza Przylądek Van Diemena. Niemal na początku tej krzywej, tam gdzie szerokość półwyspu nie przekracza kilku mil, znajduje się Auckland. Położenie tego miasta przypomina położenie Koryntu i temu właśnie zawdzięcza miano „Koryntu Południa”. Auckland posiada dwa otwarte porty – jeden w zachodniej części miasta, drugi we wschodniej, nad niezbyt głęboką zatoką Hauraki, którą pocięto na angielską modłę długimi mołami, dzięki czemu mogą tam zawijać okręty o średnim tonażu. Moło Handlowe, jedno z wielu, sięga aż po Queen’s Street, jedną z najznacniejszych ulic miasta.

Mniej więcej na połowie tej ulicy stał dom, gdzie mieściło się kolegium Chairmana.

Otóż 15 lutego 1860 roku po południu wysypała się z budynku szkoły setka uczniów, którym towarzyszyli rodzice; wesołe twarze i radosne gesty upodobały – chłopców do ptaków, które wypuszczono z klatki.

Nie było w tym nic dziwnego – zaczynały się wakacje. Dwa miesiące swobody, dwa miesiące wolności! A dla pewnej liczby chłopców – nadzieja podróży morskiej, o której rozprawiano już od dawna w kolegium. Po cóż opisywać zawiść, jaką budzili ci, których fortuna wyróżniła zapewniając im miejsce na pokładzie „Sloughi”, jachtu gotowego wyruszyć w podróż dookoła Nowej Zelandii!

Ten piękny szkunier, wynajęty przez rodziców, przygotowany był na sześciotygodniowy rejs. Należał on do jednego z ojców – pana Williama H. Garnetta, byłego kapitana marynarki handlowej, człowieka, który budził całkowite zaufanie. Sumy uzyskane od rodziców przeznaczono na koszty podróży, która miała odbyć się w najlepszych warunkach, jeśli chodzi o bezpieczeństwo i komfort. Wielka radość czekała chłopców i naprawdę trudno byłoby lepiej wykorzystać wakacje.

Edukacja, jaką zapewniają kolegia angielskie, różni się znacznie od tej, którą otrzymują wychowankowie kolegiów francuskich, Anglicy pozwalają uczniom rozwijać własną inicjatywę, a zatem dają im więcej swobody, co wpływa pomyślnie na ich rozwój. Są oni znacznie krócej dziećmi niż uczniowie francuscy. Słowem – wychowanie dotrzymuje kroku wykształceniu. Stąd uczniowie szkół angielskich są, w większości wypadków, grzeczni, uważni, dbali o swój wygląd zewnętrzny i – co godne jest podkreślenia – nie lubią na ogół uciekać się do obłudy czy kłamstwa nawet wówczas, gdy chodzi o uniknięcie sprawiedliwej kary. Należy również zaznaczyć, że w tych szkołach młodzież nie jest tak bardzo skrupowana dyscypliną, jaką narzuca życie w gromadzie i konieczne w nim godziny ciszy. Najczęściej każdy ma osobny pokój, dokąd przynoszą mu niektóre posiłki, a kiedy chłopcy zasiadają w jadalni, mogą gawędzić swobodnie.

Uczniowie podzieleni są na klasy w zależności od wieku. W kolegium Chairmana było pięć klas. O ile chłopcy z pierwszej i drugiej całowali jeszcze rodziców na powitanie w policzki, o tyle ci z trzeciej „starzy”, zastępowali synowski pocałunek męskim uściskiem dłoni. Nadzorcy nie byli potrzebni, a lektura powieści i dzienników dozwolona, dni wolne od nauki częste, ilość godzin lekcyjnych niezbyt wielka, stosunek do ćwiczeń cielesnych właściwy, gimnastyka, boks i wszelkie gry zalecane. Ale mimo panujących tutaj swobód, których chłopcy nie nadużywali prawie nigdy, wprowadzono pewien rygor: były nim kary cielesne, najczęściej chłosta, stosowane z reguły w wypadkach ciężkich przewinień. Zresztą żaden młodociany Anglik nie uważał chłosty za dyshonor i poddawał się tej karze bez szemrania, jeśli uznał, że na nią zasłużył.

Anglicy hołdują tradycji – o czym każdemu wiadomo – zarówno w życiu prywatnym, jak i publicznym, toteż i w zakładach naukowych przetrwały najróżniejsze, niekiedy absurdalne obyczaje. Zresztą nie przypominają one w niczym owych „chrtów szkolnych”, przez które w kolegiach francuskich przechodzi nowy uczeń. Starsi opiekują się młodszymi, ale pod tym warunkiem, że malcy świadczą im w zamian pewne usługi, od czego nie wolno im się wymawiać. Usługi te polegają na przyniesieniu rankiem śniadania, czyszczeniu ubrania, pucowaniu butów i załatwianiu sprawunków; nadaje się im miano „fagizmu”, tych zaś, którzy je wykonują, nazywa się „fagami”*. Właśnie ci najmłodszy, z pierwszej klasy, byli fagami uczniów z klas wyższych, a jeśli któryś spróbowałby się opierać, los jego byłby godny pożałowania. Ale nikt nawet o tym nie myślał: malcy podporządkowywali się owej dyscyplinie, jakiej nie znają wychowankowie francuskich szkół licealnych. Wreszcie wymagała tego tradycja, a przecież jeśli istnieje na świecie państwo przodujące w jej poszanowaniu, jest nim na pewno Zjednoczone Królestwo, gdzie władczyni ta rządzi zarówno najlichszym „cockneyem”* londyńskiej ulicy, jak i parem zasiadającym w Izbie Lordów.

Uczniowie, mający wyruszyć w rejs żeglarski, rekrutowali się z rozmaitych klas kolegium Chairmana. Toteż na pokładzie szkunera, co nie uszło zapewne uwagi czytelnika, znajdowali się chłopcy od lat ośmiu do czternastu. I oto tych piętnastu chłopców, licząc razem z Mokiem, straszna przygoda porwała w swój nieubłagany wir i mogła nimi miotać, kto wie jak długo!

Winniśmy zapoznać czytelnika z ich nazwiskami, wiekiem, uzdolnieniami, usposobieniem, z sytuacją ich rodzin, a także objaśnić wzajemne stosunki istniejące między nimi w kolegium Chairmana, nim opuścili jego progi z nadejściem wakacji.

Z wyjątkiem dwóch Francuzów, braci Briant, i Gordona, wszyscy są Anglikami.

Doniphan i Cross pochodzą z rodzin bogatych właścicieli ziemskich, przewodzących społeczeństwu Nowej Zelandii. Obaj mają po trzynaście lat i parę miesięcy, chodzą do piątej klasy i są kuzynami. Doniphan, elegancik, dbały o swój wygląd, to z pewnością najbardziej dystyngowany uczeń. Inteligentny i pilny, wziął sobie za punkt honoru nigdy nie opuszczać się w nauce – lubi się kształcić, ale pragnie również górować nad kolegami. Zadziiera niekiedy nosa, jak to bywa wśród arystokracji, skutkiem czego koledzy przezywają go lordem Doniphanem. Jest despotyczny z natury i chciałby zawsze wszystkim rządzić. Stąd owa rywalizacja między nimi a Briantem, która zaczęła się już Przed paru laty, a przybrała na sile od momentu, gdy wzmógł się wpływ Brianta na kolegów. Cross, uczeń dość przeciętny, zachwyca się bezkrytycznie wszystkim, co myśli, mówi i czyni jego kuzyn Doniphan.

Baxter, z tej samej klasy, chłopiec trzynastoletni, opanowany, – roztropny, pracowity, bardzo sprytny, uzdolniony do wszelkich robót ręcznych, jest synem niezbyt majątnego kupca.

Webb i Wilcox, obaj z czwartej klasy, mają po dwanaście i pół roku. Średnio inteligentni, dość samowolni i kłótlivi, byli zawsze bardzo wymagający wobec fagów. Ojcowie obu tych chłopców są bogaci i piastują wysokie urzędy w sądownictwie.

Garnett i Service, dwaj przyjaciele z trzeciej klasy, mają po dwanaście lat; jeden z nich jest synem emerytowanego kapitana marynarki, drugi – zamożnego kolonisty; obie te rodziny mieszkają na bulwarze North-Shore, w północnej części portu Waitemala, i żyją w wielkiej przyjaźni; skutkiem tego Garnett i Service są nierozłączni. Obaj chłopcy mają dobre serca, ale nie odznaczają się wielkim zamiłowaniem do pracy i gdyby im dano do ręki klucz swobody, na pewno nie pozwoliliby mu zardzewieć. Garnett uwielbia grę na harmonii – instrumencie cenionym wysoko w angielskiej marynarce. Jako syn marynarza, grywa na swoim ulubionym instrumencie w każdej wolnej chwili; oczywiście nie omieszkał go zabrać na pokład „Sloughi”. Service zaś to z pewnością najweselszy trzpiot z całej bandy, prawdziwy trefniś kolegium Chairmana, chłopak rozmiłowany w przygodach podróżniczych, zapalony wielbiciel „Robinsona Kruzoe” i „Robinsona; Szwajcarskiego”^{*}.

Przyszła teraz kolej na dwóch innych, dziewięcioletnich chłopców. Pierwszy z nich, Jenkins, jest synem dyrektora Towarzystwa Naukowego „New – Zealand Royal Society”; drugi zaś, Iverson, jest synem pastora kościoła metropolitańskiego Świętego Pawła. Chociaż Jenkins jest dopiero w drugiej, a Iverson w trzeciej klasie, wymieniają ich obu jako dobrych uczniów.

Dwaj następni, Dole, dziewięć i pół roku, Coster, osiem lat, są to synowie oficerów, a mieszkają w miasteczku Uchunga, o sześć mil od Auckland, na wybrzeżu, nie opodal portu Manukau. O tych; dwóch malcach można powiedzieć tylko tyle, że Dole jest uparciuchem, a Coster – łakomczuchem. Nie uświetniają bynajmniej klasy pierwszej, niemniej uważają się za bardzo wykształconych, bo umieją czytać i pisać – czymże zresztą innym można chlubić się w tym wieku!

Jak widzimy, wszyscy ci chłopcy należą do zamożnych rodzin, z dawna osiadłych w Nowej Zelandii.

Pozostało nam tylko opowiedzieć o trzech innych chłopcach jadących szkunerem – Amerykaninie i dwóch Francuzach.

Amerykanin to czternastoletni Gordon, typowy Jankes o pospolitych rysach i szorstkim obejściu. Mimo że jest trochę niezręczny i przyciężki, należy z pewnością do najlepszych uczniów piątej klasy. Nie tak błyskotliwy jak Doniphan, odznacza się jednak zdrowym rozsądkiem i praktycznym umysłem, czego już nieraz dał dowody. Lubi zajęcia poważne, z natury jest obserwatorem, a z usposobienia – flegmatykiem. Metodyczny, a nawet drobiazgowy, układa myśli w mózgu niby przedmioty w swoim pulpicie, w którym wszystkie rzeczy są poklasyfikowane, każda ma etykietę i zarejestrowana jest w specjalnym notesie. Koledzy szanują go na ogół, uznają jego przymioty i choć nie jest rodowitym Anglikiem, odnoszą się do niego serdecznie. Gordon pochodzi z Bostonu; ale gdy stracił rodziców, zaopiekował się nim jedyny krewniak, urzędnik konsularny, który dorobiwszy się majątku osiadł w Nowej Zelandii. Od kilku zaś lat mieszka w pobliżu miasteczka Mount Saint-John w jednej z prześlicznych will rozsianych licznie na tamtejszych wzgórzach.

Dwaj młodzi Francuzi, Briant i Jakub, są synami znakomitego inżyniera, który przybył tutaj dwa pół roku temu, aby pokierować robotami nad osuszaniem bagien leżących w środkowej części wyspy Ika-Na-Mawi.

Starszy ma lat trzynaście. Ten leniwy, aczkolwiek bardzo inteligentny chłopiec dostaje się często na listę najgorszych uczniów piątej klasy. Ale jeśli tylko zechce, potrafi dzięki wybornej pamięci i niezwyklej łatwości przyswajania wiedzy stanąć w pierwszym szeregu i tego właśnie Doniphan najbardziej mu zazdrości. Toteż Briant i Doniphan nieraz czubili się w kolegium, czego dalszy ciąg zaobserwowaliśmy na „Sloughi”. Briant jest odważny, przedsiębiorczy, wygimnastykowany, cięty w języku, a przy tym usłużny, dobry i, w przeciwieństwie do Doniphana, bynajmniej nie pyszałkowaty; dodać należy, że nie bardzo dba o swe ubranie i wygląd. Słowem – Briant to typowy Francuz i tym samym jakże różny od swoich kolegów, Anglików. Występował często w obronie najsłabszych, kiedy starsi chłopcy wykorzystywali malców ponad ich siły, skoro zaś o tym mówimy, nigdy nie chciał spełniać obowiązków, jakie nań narzucał fagizm. Wynikały sprzeczki, bójki, nawet całe batalie, z których dzięki odwadze i sile wychodził zawsze zwycięsko. Toteż był powszechnie lubiany i kiedy wynikł spór o dowództwo na „Sloughi”, wszyscy niemal, z małymi tylko wyjątkami, zgodzili się podporządkować jego komendzie, tym bardziej że podczas podróży z Europy do Nowej Zelandii zdobył – jak wiemy – trochę umiejętności żeglarskich.

Gdy zaś idzie o młodszego, Kubusia, uważano go dotychczas za największego psotnika w trzeciej klasie, a może nawet w całej szkole, nie wyłączając Service’a; płatał kolegom ustawicznie psoty i psie figle, a brał chłostę częściej, niż na to zasługiwał. Ale, jak się o tym przekonamy, usposobienie Kubusia zmieniło się całkiem już na początku podróży i nikt nie potrafił odgadnąć dlaczego.

Tacy są ci chłopcy, których sztorm rzucił na nieznaną ląd Oceanu Spokojnego.

Podczas kilkutygodniowego rejsu wzdłuż wybrzeży Nowej Zelandii ojciec Garnetta, jeden z najśmielszych żeglarzy, jakich znano na wodach Australii i Oceanii, właściciel „Sloughi”, miał dowodzić jachtem. Ileż to razy „Sloughi” pływał wzdłuż wybrzeży Nowej Kaledonii, Nowej Holandii, od Cieśniny Torresa aż po południowy cypel Tasmanii, aż po wody koło wysp Moluki, koło Filipin i Celebesu, tak niebezpieczne częstokroć dla okrętów o większym tonażu! Ale „Sloughi” był solidnie zbudowany, przystosowany doskonale do żeglugi morskiej nawet w okresie burz.

Załoga składała się z bosmana, sześciu marynarzy, kucharza i chłopca okrętowego imieniem Moko

– był to dwunastoletni Murzyn, którego rodzice służyli od lat pewnemu koloniście nowozelandzkiemu. Trzeba jeszcze wymienić pięknego psa myśliwskiego, setera wabiącego się Phann: byłon własnością Gordona i nie odstępował go na krok.

Wyznaczono termin odjazdu na dzień 15 lutego. Tymczasem „Sloughi” stał przycumowany u końca Commercial-pier*, a więc w części portu najbardziej wysuniętego na morze.

Kiedy młodzi pasażerowie przybyli 14 lutego na jacht, marynarzy nie było na pokładzie. Kapitan Garnett miał się zjawić dopiero w momencie ostatecznych przygotowań do odjazdu. Jedynie więc bosman i chłopiec okrętowy powitali Gordona i jego kolegów – reszta załogi bowiem powędrowała na ląd, by pokrzepić się ostatnim kieliszkiem whisky. Kiedy chłopcy rozgościli się i położyli spać, bosman uznał, że wolno mu podążyć za towarzyszami do portowej knajpy, gdzie zabawił aż do późnej nocy. Moko zaszywszy się w kubryku spał jak suseł.

I cóż się wtedy wydarzyło? Jedno jest pewne: cuma przytrzymująca jacht odczepiła się skutkiem czyjegoś niedbalstwa albo złej woli... Na pokładzie nic nie spostrzeżono.

Głęboka ciemność spowijała port i zatokę Hauraki. Wiatr od lądu dał coraz silniej, szkuner znoszony odpływem nikał na pełne morze.

Kiedy Moko się zbudził, „Sloughi” kołysał się tak silnie, że położenie jego nie budziło wątpliwości – nie było to bowiem łagodne bujanie, jakie odczuwamy na statku stojącym w porcie, ale gwałtowne huśtanie wzburzonych wód na morzu. Moko wybiegł bez chwili namysłu na pokład... Jacht dryfował!

Postyszawszy okrzyki chłopca okrętowego Gordon, Briant, Doniphan i kilku innych zeskoczyło z koi i popędziło ku schodni. Daremnie wołali o pomoc! Nie dostrzegali już ani portowych świateł, ani miasta. – Jacht znajdował się w połowie zatoki, o trzy mile od wybrzeża.

Najpierw, za radą Brianta, którą poparł Moko, chłopcy próbowali rozwinąć żagiel, aby płynąć halsem, dotrzeć z powrotem do portu. Ale żagiel – zbyt ciężki, by chłopcy mogli go ustawić właściwie – złapał wiatr zachodni, który gnał ich coraz dalej, na pełne morze. „Sloughi” opłynął przylądek Colwille, przebył cieśninę dzielącą go od wyspy Grande Barriere i znalazł się niebawem w odległości wielu mil od Nowej Zelandii.

Łatwo pojąć grozę takiej sytuacji. Briant i jego koledzy nie mogli już liczyć na żadną pomoc od strony lądu. Gdyby któryś ze statków stojących w porcie wyruszył na poszukiwania szkunera, wiele upłynęłoby czasu, zanimby zdołał go znaleźć – zakładając, iż byłoby to w ogóle możliwe w tak głębokich cieśninach! Zresztą nawet za dnia któż zdołałby dostrzec ten mały stateczek zagubiony na bezkresnych wodach? Nieprawdopodobne zaś był by chłopcy wydostali się o własnych siłach z tak trudnej sytuacji. Jeżeli wiatr się nie zmieni, będą musieli zrezygnować z powrotu.

Pozostała im, to prawda, nadzieja napotkania któregoś z okrętów zmierzających do jednego z portów Nowej Zelandii. I jakkolwiek możliwość ta była bardzo problematyczna, Moko wciągnął latarnię na fokmaszt. Nie pozostawało teraz nic innego, jak czekać świtu.

Hałasy na pokładzie nie zbudziły malców, pozwolono im więc spać spokojnie. Ich przerażenie wywołałoby jeszcze większe żal mieszanie.

Tymczasem niejedyn już raz próbowano ustawić jacht wiatr. Ale „Sloughi” wykręcał się natychmiast i dryfował wschód.

Nagle w odległości trzech mil pojawiło się jakieś światło. „Białe światło zawieszona na topie masztu – znak rozpoznawczy płynącego parowca! Wkrótce pojawiły się też dwa światła pozycyjne, zielone i czerwone; ponieważ było je widać jednocześnie, parowiec musiał płynąć wprost na jacht.

Przerażeni chłopcy daremnie krzyczeli. Łoskot fal, świst pary buchającej z rur wypustowych parowca, wycie wiatru, który otwartym morzu był niezwykle gwałtowny – wszystko to zagłuszyło ich wołania.

Ale jeśli nawet wachta na parowcu nie słyszała okrzyków, musiała dostrzec światło sygnałowe szkunera. Była to ich ostatnia szansa.

Nieszczęściem szkuner zakołysał się gwałtowniej, lina i latarnia spadła w morze; nic już teraz nie ujawniało obecności jachtu, ku któremu parowiec sunął z szybkością dwunastu mil na godzinę.

Po kilku minutach parowiec otarł się o jacht, który zatonąłby niechybnie, gdyby zderzenie nastąpiło od strony burty; ale statek zawadził tylko o rufę szkunera i zerwał kawałek tablicy nie naruszywszy kadłuba.

Zderzenie było tak nieznaczne, że parowiec popłynął spokojnie dalej, zostawiając „Sloughi” na pastwę zbliżającej się nawałnicy.

Zdarza się, że kapitan ani pomyśli, żeby przyjść z pomocą statkowi, z którym się zderzył. Można by wymienił wiele przykładów takiego zbrodniczego postępowania. W tym jednak wypadku na pokładzie parowca prawdopodobnie wcale nie odczuło się wstrząsu, jaki wywołało zderzenie z lekkim, niewidocznym w ciemnościach jachtem.

Mali pasażerowie musieli tedy uznać się za zgubionych, gdyż wicher gnał jacht coraz dalej. O świcie ukazały się ich oczom puste bezkresy wód. W tych stronach Oceanu Spokojnego, z rzadka tylko odwiedzanych, szlaki okrętów kursujących między Ameryką, a Oceanią i Australią biegają zwykle albo bardziej na południe, albo bardziej na północ. Ani jeden statek nie pojawił się więc w polu widzenia. Nadeszła noc, gorsza od poprzedniej, bo jeśli nawet wicher zmniejszał się chwilami, to kierunek jego nie zmienił się wcale.

Ani Briant, ani jego koledzy nie potrafili sobie wyobrazić, jak długo miała trwać ta podróż. Próżno wyteżali siły, by skierować statek ku wybrzeżom Nowej Zelandii. Nie wiedzieli, jak się zmienia kurs jachtu pod wiatr, i byli za słabi, by rozpiąć żagle.

W takich to okolicznościach Briant, wykazując energię o wiele większą, niż można było się spodziewać po tak młodym chłopcu, zyskał w oczach kolegów taki autorytet, że nawet Doniphan musiał mu się podporządkować. Nie zdołał wprawdzie, mimo pomocy Moka, skierować jachtu na

zachód, ale uciekając się do swoich, jakże skąpych, doświadczeń żeglarskich chronił go przed wywróceniem. Nie szczędził sił, czuwał dniem i nocą, spojrzenie jego obiegało ustawicznie widnokrąg poszukując możliwości ocalenia. Nie omieszkał też rzucić w morze kilka butelek, w których zapieczętował kartki z wiadomościami o losach „Sloughi”. Nie rokowało to wielkich nadziei, ale chłopiec nie chciał zaniechać żadnego środka.

Tymczasem wiatr zachodni gnał statek po wodach Oceanu Spokojnego niepodobna było ani zmienić kursu szkunera ani zmniejszyć jego szybkości.

Wiemy, jakie były dalsze losy „Sloughi”. W kilka dni po opuszczeniu przez jacht zatoki Hauraki rozpętał się sztorm i szalał z niezwykłą gwałtownością przez dwa tygodnie. Szkuner atakowany przez olbrzymie fale uniknął, Bóg wie ile razy, zdruzgotania i zatopienia – a nastąpiłoby to niechybnie, gdyby nie nadzwyczaj solidna jego budowa. Wreszcie „Sloughi” przybił do nieznanego lądu na Oceanie Spokojnym.

Jakiż los czekał tutaj gromadkę młodych rozbitków, rzuconych na nieznaną ląd, odległy o tysiąc osiemset mil od Nowej Zelandii? Skąd mógł nadejść ratunek, którego chłopcy nie zdołali wywalczyć własnymi siłami?

Tak czy inaczej, rodziny chłopców miały wszelkie powody, by mniemać, że morze pochłonęło ich wraz ze szkunerem.

Kiedy nocą z 14 na 15 lutego skonstatowano w Auckland zniknięcie „Sloughi”, powiadomiono przede wszystkim kapitana Garnetta i rodziny nieszczęśliwych chłopców. Nie będziemy opisywać szczegółów wrażenia, jakie ten wypadek wywołał w całym mieście – dość powiedzieć, że zapanowało tu powszechne przerażenie.

Może jednak jacht nie zdążył jeszcze wypłynąć poza zatokę Czy nie udałoby się go odnaleźć, mimo że wzmagający się wiatr zachodni budził najgłębsze obawy co do losu szkunera?

Nie tracąc ani chwili, kapitan portu pośpieszył zaginionym z pomocą. Dwa małe parostatki ruszyły na poszukiwania: wypłynęły z zatoki Hauraki i zapuściły się daleko na pełne morze. Przez całą noc przeszukiwały okoliczne wody; fala stawała coraz wyższa. Rankiem wróciły do Auckland, by nieszczęśliwym rodzicom odebrać wszelką nadzieję.

Parowce nie odnalazły jachtu – wyłowiły tylko jego szczątki: rozbity kasztel rufowy runął w morze, gdy statek peruwiański „Quito” otarł się o „Sloughi”, o czym zresztą nikt na pokładzie parowca nie wiedział.

Na jednej z desek widniało jeszcze kilka liter nazwy „Sloughi”. Było tedy pewne, że jacht, zdruzgotany przez gwałtowniejszą od innych falę, zatonął razem z załogą o jakieś dwadzieścia mil Nowej Zelandii.

Wybrzeże wydawało się istotnie bezludne, jak to stwierdził już przedtem Briant z wysokości salingu. Od godziny szkuner tkwił na plaży ugrzęzłszy w piachu, a żaden tubylec się nie pojawił. Żadnego domu, szałasu czy chaty nie było widać ani pomiędzy drzewami otaczającymi szerokim kręgiem podnóże urwiska, ani też nad brzegami rzeki, która właśnie wezbrała na skutek przyptywu morskiego. Na plaży, obrzeżonej pokrytymi morską namuliskami, nie było śladu ludzkiej stopy. Przy ujściu rzeki nie pokazała się żadna łódź rybacka. Dym nie snuł się nigdzie nad półkolem wybrzeża i zatoki, otoczonych od południa i północy ramionami przylądków.

Briant i Gordon postanowili przede wszystkim skierować się Przez las do urwiska i wdrzeć się na nie, jeśli to będzie możliwe.

– Jesteśmy na lądzie i – powiedział Gordon – a to już bardzo wiele. Ale co to za ziemia? Wydaje się nie zamieszкана...

– Najważniejsze jest to, żeby nadawała się do zamieszkania – odparł Briant. – Mamy trochę żywności, amunicji również wystarczy na pewien czas! Brak nam tylko schronieni i musimy je znaleźć... choćby dla malców... Przede wszystkim dla nich!

– Tak, masz rację – przytaknął Gordon.

– Jeśli zaś idzie o to, aby dowiedzieć się, gdzie jesteśmy, zajmiemy się tym, kiedy załatwimy sprawy najpilniejsze. Jeśli to ląd stały, kto wie, czy nie uda nam się znaleźć pomocy!... Jeśli to wyspa... bezludna wyspa... no, to zobaczymy!... W drogę, Gordon, chodźmy zbadać brzeg!

Dotarli niebawem do lasu, którego granica biegła ukośnie od podnóża urwiska aż po prawy brzeg rzeczki, przytykającej do niej w odległości kilkuset kroków od ujścia.

Nie znaleźli w lesie żadnych śladów bytności człowieka, żadnej ścieżyny, żadnego szlaku. Pnie wiekowych drzew, powalonych starością, leżały tu i ówdzie i chłopcy grzęzli po kolana w zeschniętych liściach. Jednakże ptaki umykały przed nimi wie, jakby wiedząc, że trzeba unikać ludzi. Wydawało się wie prawdopodobne, że wybrzeże to, jakkolwiek nie zamieszkanе, odwiedzali czasami jacyś tubylcy z sąsiednich terenów.

Chłopcy przebyli w dziesięć minut las gęstniejący w miarę jak zbliżali się do urwiska, które wznosiło się prostopadle, niby mur, na wysokość stu dwudziestu stóp. Czy w dolnej części ściany znajduje się jakieś zagłębienie, w którym można by się schronić? Byłoby to bardzo pożądane! W istocie, gdyby w tym zakątku osłoniętym drzewami od wiatrów znad pełnego morza, od fal, które nie dotarłyby tutaj nawet w czasie najgwałtowniejszych burz, znajdowała się jakaś grotа, chłopcy mieliby doskonałe schronienie. Młodzi rozbitkowie mogliby się tutaj zainstalować chwilowo, czekając na moment, kiedy zbadawszy dokładnie wybrzeże, będą mogli bezpiecznie zapuścić się w

głębokości lądu.

Niestety, na owym stoku, nie mniej stromym niż wały obronne twierdzy, Briant i Gordon nie znaleźli żadnej grotty, a nawet i szczeliny, którą zdołaliby się wspiąć na krawędź urwiska. Kto chciałby zapuścić się głębiej w ten ląd, musiałby zapewne obejść urwisko, którego położenie Briant określił dokładnie z salingu „Sloughi”.

Przez jakieś pół godziny dwaj chłopcy posuwali się na południe obchodząc urwisko. Dotarli do prawego brzegu krętej rzeki płynącej od wschodu. Brzeg, po którym wędrowali, ocieniały piękne drzewa, ale brzeg przeciwny, pozbawiony zieleni i płaski, wyglądał całkiem inaczej: z pewnością zaczynały się tu bagna rozciągające się na południe, aż po widnokrąg.

Zawiedzeni w swych nadziejach dotarcia na szczyt urwiska, skąd można byłoby ogarnąć wzrokiem przestrzeń w promieniu wielu mil, Briant i Gordon zawrócili ku „Sloughi”.

Doniphan wraz z kilkoma chłopcami przechadzali się wśród skał, a Jenkins, Iverson, Dole i Costar zabawiali się zbieraniem muszel.

Briant i Gordon powiadomili starszych kolegów o wyniku wyprawy. Nie należało raczej opuszczać szkunera przed dokładniejszym zbadaniem tych zakątków. Aczkolwiek spód jachtu był silnie uszkodzony, a pochylenie na bakbort znaczne, mógł on doskonale służyć za prowizoryczne schronienie nawet tam, gdzie osiadł. Choć pokład pękł przy dziobie, nad kubrykiem, salon i kajuty na rufie chroniły doskonale przed wichrem. Kuchnia zaś – ku uciesze malców, których sprawa jedzenia szczególnie interesowała – nie ucierpiała wcale, gdy jacht zawadził kilem o rafy.

Dobrze się stało, że chłopcy nie byli zmuszeni przenosić na plażę przedmiotów, bez których nie mogliby się obejść na lądzie. Gdyby im się to nawet powiodło, na jakież trudności naraziliby się i jak bardzo by się zmęczyli! Gdyby „Sloughi” utknął ostatecznie na przedmurzu raf, jakiegoż mogliby się chwycić sposobu, aby uratować dobytek? Czy fale nie rozbiłyby od razu jachtu, a wtedy cóż zdołano by uratować z konserw, broni, amunicji, pościeli i wszelkiego rodzaju sprzętów? Szczęściem olbrzymia fala przerzuciła „Sloughi” przez pierścień raf. Chociaż szkuner był teraz zupełnie niezdatny do żeglugi, mógł jednak służyć jeszcze chłopcom za chwilowe schronienie. Kadłub jego ostał się zwycięsko zarówno burzy, jak gwałtownym wstrząsam i nic nie było w stanie wyrwać go z piasku, w który wparł się kilem. Oczywiście, pod zmiennym działaniem słońca i deszczu będzie się musiał w końcu rozpaść; burty popękają, – szczeliny na pokładzie rozszerzą się tak, iż szkuner przestanie być zdatny na mieszkanie. Ale nim to nastąpi, młodzi rozbitkowie zdołają dotrzeć do jakiegoś miasta lub wsi, a jeśli burza wyrzuciła ich na bezludną powinni znaleźć wśród nadbrzeżnych skał jakąś grotę.

Najlepiej byłoby więc pozostać chwilowo na „Sloughi”. Chłopcy zakrzętnęli się niezwłocznie wokół tej sprawy: Szurowa drabinka spuszczonej z prawej burty, na którą pochylił się szkuner, ułatwiała dostęp do luków. Moko znajdujący się trochę, jako chłopiec okrętowy, na kuchni i Service, który lubił pitrasić, wzięli do przygotowania posiłku. Wszystkim chłopcom wybornie dopisał apetyt, Jenkins, Iverson, Dole i Costar poweseleli nawet nieco. Tylko Kubuś Briant, niegdyś najbardziej skory do figłów, trzymał się nadal na uboczu. Tak wielkie zmiany w usposobieniu zachowaniu się chłopca intrygowały kolegów; ale Kubuś, milczący od pewnego czasu jak ryba, unikał wszelkich

pytań.

Zmęczeni po tylu dniach i nocach pełnych niebezpieczeństw chłopcy marzyli tylko o śnie. Malcy rozbiegli się po kajutach, w ślad za nimi poszli też wkrótce starsi Niemiej Briant, Gordon i Doniphan postanowili na zmianę sprawować straż. Mogło przecież pojawić się stado dzikich zwierząt albo gromada groźnych tubylców. Obawy okazały się jednak płonne. Noc upłynęła spokojnie, bez alarmu, a kiedy słońca wzeszło, chłopcy zabrali się do pracy.

Należało przede wszystkim obliczyć i spisać żywność znajdującą się na jachcie, następnie wszelki sprzęt, a więc broń, narzędzia, przybory, odzież, naczynia kuchenne itd. Kwestia żywności była najważniejsza, wybrzeże bowiem wydawało się nie zamieszkane. Jedyne źródło aprowizacji mogło stanowić rybołówstwo, a także myślistwo – gdyby dopisała zwierzyna. Doniphan, wytrawny strzelec, dotychczas wypatrył tylko stada ptactwa uwijającego się ponad rafami i wśród nadbrzeżnych skał. Ale nie byłoby przyjemne żywić się wyłącznie ptactwem morskim. Wypadało zorientować się, na jak długo, przy oszczędnej gospodarce, wystarczą zapasy zgromadzone na jachcie.

Otóż okazało się, że z wyjątkiem sucharów, których ilość był rzeczywiście pokaźna, konserwy, szynka, tak zwane suchary mięsne – sporządzane z najlepszej mąki i mielonej wieprzowiny prawione korzeniami – peklowana wołowina, mięso solone i puszki z duszoną wołowiną wystarczą najwyżej na dwa miesiące, nawet przy największej oszczędności. Toteż wypadało zdać się od samego początku, na płody tej ziemi, aby nie naruszać zapasów, które mogły okazać się nieodzowne, w razie gdyby chłopcy musieli przewędrować wiele mil, chcąc dotrzeć do nadbrzeżnych portów lub miast położonych w głębi lądu.

– Oby tylko część tych konserw się nie zepsuła! – westchnął Baxter. – Jeśli woda morska dostała się do wnętrza jachtu, gdyśmy osiedli na skale...

– Przekonamy się o tym otwierając puszki, które wydadzą nam się uszkodzone – odparł Gordon. – A gdyby tak przesmażyć znajdujące się w nich mięso... kto wie, czy nie nadawałoby się jeszcze do użytku?

– Chętnie się tym zajmę – powiedział Moko.

– I zabierz się do tego jak najprędzej – rzekł Briant – bo przez kilka dni będziemy musieli żywić się tylko tym, co mamy na statku.

– A dlaczego nie mielibyśmy się wdrapać choćby jeszcze dziś – ozwał się Wilcox – na skały nad zatoką od północnej strony i nabierać tam jaj, które są przecież wysmienite?

– Tak! Tak! – zawołali Dole i Costar.

– A ryby? Dlaczego nie mielibyśmy łowić ryb? – dorzucił Webb. – Czyż to brak wędek na pokładzie, a ryb w morzu? Kto idzie na ryby?

– Ja! Ja! – wołali malcy.

– Dobrze już! Dobrze! – odrzekł Briant. – Ale nie wyobrażajcie sobie, że to zabawa! Tylko prawdziwi rybacy dostaną wędki!

– O, bądź spokojny, Briant – odparł Iverson. – Będziemy traktować to jak obowiązek.

– Zgoda, ale spis jest pilniejszy – ozwał się Gordon. – Nie wolno nam myśleć wyłącznie o jedzeniu...

– Dobrze jednak byłoby nazbierać trochę mięczaków na śniadanie – zauważył Service.

– Niech i tak będzie – zgodził się Gordon. – Malcy, idźcie we trzech albo czterech! Moko, pójdziesz z nimi.

– Dobrze, proszę pana.

– A pilnuj ich tam – dorzucił Briant.

– Niech się pan nie obawia.

Na Moka zawsze można liczyć; uczynny, bardzo zręczny i odważny, miał oddać w przyszłości nieocenione usługi młodemu rozbitkom. Był szczególnie przywiązany do Brianta, a Briant nie taił swojej sympatii dla Moka – sympatii, której jego anglosascy koledzy pewnie by się wstydzi.

– Chodźmy! – zawołał Jenkins.

– A ty nie pójdziesz z nimi, Kubusiu? – zwrócił się Briant do brata.

Kubuś odpowiedział przecząco.

Jenkins, Dole, Costar, Iverson wyruszyli tedy pod przewodnictwem Moka i powędrowali skrajem raf, które odpływ odsłonił zupełnie.

Było całkiem prawdopodobne, że szczeliny skalne zawierały sporo różnych mięczaków jadalnych, a nawet ostryg; ślimaki te, surowe lub gotowane, stanowiłyby podstawę śniadania. Chłopcy szli podskakując, bardziej uradowani rozrywką niż pożytkiem, jaki miała przynieść wyprawa. W ich wieku z niedawno przeżytych doświadczeń pozostaje zaledwie wspomnienie, a o przyszłość grożącą wieloma niebezpieczeństwami nie troszczyli się wcale.

Kiedy gromadka oddaliła się, starsi przystąpili do przeglądania sprzętu, znajdującego się na pokładzie. Doniphan, Cross, Wilcox i Webb obejrzel dokładnie broń, amunicję, odzież, pościel, narzędzia, a Briant, Garnett, Baxter i Service sporządzili spis rozmaitych trunków, wina, portera, wódki, whisky i dżynu przechowywanych na spodzie jachtu w beczkach o pojemności od dziesięciu do czterdziestu galonów*. W miarę jak wymieniano różne przedmioty, Gordon zapisywał je w notatniku. W notesie tym było pełno już zresztą uwag odnoszących się do urządzeń szkunera i do jego ładunku. Systematyczny Amerykanin – urodzony buchalter – miał już gotowy inwentarz i zdawać się mogło, iż ma go tylko sprawdzić.

Stwierdzono przede wszystkim, że na jachcie znajduje się cały zapasowy osprzęt: żagle, wszelkiego rodzaju liny, konopne i talowe, cumy itd. Gdyby jacht był zdalny jeszcze do żeglugi, nietrudno byłoby go otaklować, nie brakło bowiem ani jednej części osprzętu. A choćby owe żagle z najlepszego płótna i nowiutkie olinowanie nie mogły służyć za takielunek, powinny przydać na pewno w momencie, gdy chłopcy zaczną budować sobie schronienie na lądzie. Przybory rybackie, ręczne sieci, wędki pławikowe i głębinowe figurowały również w spisie. – a był to cenny sprzęt, jeśli okolica obfitowała w ryby.

Jeśli idzie o broń, to Gordon zapisał w swoim notesie: osiem myśliwskich strzelb iglicówek, dalekonośną flintę na kaczki oraz dwanaście rewolwerów; co się zaś tyczy amunicji: trzysta naboju w łuskach do odtylcówek, dwie beczułki prochu, po dwadzieścia pięć funtów każda, i spora ilość śrutu, loftek i kul.

Amunicja, którą zabrano dla urządzania podczas postojów jachtu polowań na wybrzeżach Nowej Zelandii, miała oddać tutaj znacznie lepsze usługi zapewniając byt gromadce chłopców. Oby tylko nie musieli jej użyć w obronie własnego życia! W ładowni znajdowała się jeszcze pewna ilość rakiet przeznaczonych do sygnalizacji nocnej, ze trzydzieści puszek prochu i pocisków do dwóch okrętowych działek, z których, miejmy nadzieję, nie trzeba będzie korzystać w celu odparcia ataku tubylców.

Zapas przyborów toaletowych oraz ilość naczyń kuchennych zaspokoiłyby całkiem potrzeby młodych rozbitków nawet w tym wypadku, gdyby musieli tu pozostać dłużej. Jakkolwiek część naczyń potłukła się, gdy „Sloughi” uderzał o rafy, ocalało jednak sporo nakryć stołowych i garnków. Nie były to zresztą rzeczy absolutnie konieczne. Chłopców niepokoiło raczej, czy odzieży flanelowej, wełnianej, bawełnianej i płóciennej starczy zawsze na zmianę – zależnie od pogody. Bo jeśli ten łódź leżał na tej samej szerokości geograficznej, co Nowa Zelandia – było to bardzo prawdopodobne, bowiem od Auckland jacht gnany był niezmiennie wiatrem zachodnim – należało się spodziewać wielkich upałów latem, a silnych mrozów w zimie. Szczęśliwym trafem na pokładzie jachtu dość było ciepłej odzieży, niezbędnej podczas kilkutygodniowej wycieczki, a właściwie włóczgi morskiej. Poza tym w skrzyniach załogi znaleziono spodnie i bluzy wełniane, ceratowe płaszcze i grube trykoty, które łatwo można było dopasować do wzrostu starszych i młodszych chłopców. Dzięki temu zimowe chłody nie były groźne. Rzecz naturalna, iż w momencie kiedy okoliczności zmuszą chłopców, by opuścili szkuner i obrali inne, pewniejsze schronienie, każdy zabierze ze sobą pościel; koje wysłane były obficie materacami, prześcieradłami, poduszkami i kocami, które przy oszczędnym używaniu i dbałości powinny wystarczyć na długo...

Długo!... Słowo, które mogło dla chłopców oznaczać: zawsze!

Zobaczmy teraz, jakie przyrządy Gordon zapisał w swoim notesie: dwa barometry metalowe, termometr spirytusowy z podziałką stustopniową, dwa zegary, kilka trąbek i miedzianych kornetów, jakimi marynarze posługują się podczas mgły, a których dźwięk rozchodzi się daleko, trzy lunety o małym i dużym zasięgu, kompas naktuzowy i dwa inne, mniejsze, „storm-glas” – instrument wskazujący zbliżanie się burzy, wreszcie kilka flag Zjednoczonego Królestwa, nie licząc kompletu chorągiewek, za pomocą których dowódcy okrętów porozumiewają się ze sobą na morzu. Na koniec znalazło się także „halkett-boat” – małe kauczukowe czółno składane jak walizka, w którym można przepłynąć rzekę albo jezioro.

Co do narzędzi, to w kuferku stolarza znalazł się ich zapas dość obfity, nie mówiąc już o workach gwoździ, haczyków, śrub i innego żelastwa, niezbędnego przy drobnych naprawach jachtu. Nie brakło też i guzików, igieł i nici, gdyż matki naszych podróżników, przewidując konieczność częstego naprawiania ubrań, zaopatrzyły chłopców we wszystko, co trzeba. Nie groził im też brak ognia: okazały zapas zapalek, zapalniczek i knotów powinien wystarczyć na długo i w tym względzie nie mieli powodów do obaw.

Były też na „Sloughi” mapy morskie, z oznaczeniem szlaków żeglugowych; ale że widniały na nich jedynie wyspy nowozelandzkie, okazały się więc tutaj, na obcym lądzie, całkiem nieużyteczne. Szczęściem Gordon miał ze sobą jeden z owych atlasów ogólnych, zawierających mapy zarówno Starego, jak i Nowego Świata, ściśle mówiąc atlas Stielera, najdoskonalszy ze wszystkich, jakie stworzyła geografia współczesna. W bibliotece znaleźli sporo książek angielskich i francuskich, głównie powieści podróżniczych i kilka dzieł naukowych, nie mówiąc o dwóch słynnych „Robinsonach”, których Service gotów był ocalić od zniszczenia, jak niegdyś Camoens uratował swoje „Luzjady”^{*}. Garnett postąpiłby z pewnością tak samo ze swym słynnym akordeonem, który, jak się okazało, wyszedł i bez tego nietknięty z katastrofy. Wreszcie, skoro dowiedzieliśmy się, że było co czytać, pora powiedzieć, że były również pióra, ołówki, atrament i papier do pisania, a znalazł się i kalendarz na rok 1860, w którym Baxter miał wykreślać kolejno każdy miniony dzień.

– Dziesiątego marca – powiedział Baxter – nasz biedny „Sloughi” został rzucony na brzeg tej ziemi!... Skreślam więc ten dzień i wszystkie dni poprzednie roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego.

Wymieńmy jeszcze kwotę pięciuset funtów w złocie, znaną w kasie ogniotrwałej; pieniądze te przydałyby się, gdyby młodzi rozbitkowie zdołali dotrzeć do jakiegoś portu, skąd mogliby wrócić do kraju.

Gordon przystąpił teraz do szczegółowych obliczeń zawartości rozmaitych baryłek załadowanych na spodzie jachtu. Kilka tych beczulek napełnionych dżynem, piwem lub winem uległo uszkodzeniu, gdy szkuner uderzył kadłubem o rafy, a zawartość ich wyciekła poprzez strzaskane klepki. Była to strata niepowetowana, tym bardziej więc należało oszczędzać tę resztę, która pozostała.

W sumie na dnie szkunera znajdowało się jeszcze sto galonów czerwonego wina francuskiego i kseresu, pięćdziesiąt galonów dżynu, wódki i whisky, czterdzieści beczek piwa, po dwadzieścia pięć galonów każda, i prócz tego ze trzydzieści butelek rozmaitych likierów; butelki te, oplecione słomą, skutecznie oparły się wstrząsom.

Jak widzimy, piętnastu rozbitków ze „Sloughi” mogło sobie powiedzieć, że na pewien czas byt mają zapewniony. Trzeba było jeszcze rozejrzeć się, czy naturalne zasoby tej ziemi pozwolą im na oszczędzanie zapasów. Jeśli sztorm przygnał ich istotnie do brzegów wyspy, mogli się nie łudzić, że zdołają się stąd wydostać, chyba że jakiś okręt pojawi się na tych wodach, a chłopcom uda się go powiadomić o swojej obecności na wyspie. Naprawić jacht, Wyremontować uszkodzone wiązania kadłuba, sporządzić nowe Poszycie – wszystko to wymagało pracy ponad ich siły oraz napędzi, jakimi nie dysponowali! Nie było też do pomyślenia, aby chłopcy zbudowali ze szczątków jachtu nową łódź, a zresztą, mało obznajmieni ze sztuką żeglarską, jakże zdołaliby przebyć ocean i powrócić na Nową Zelandię? Gdyby jednak chłopcy mieli szalupy ze szkunera, udałoby się może dopłynąć do jakiegoś lądu lub wyspy, jeśli takie znajdowały się w pobliżu. Ale fale uniosły obie

szalupy i na pokładzie jachtu pozostało jedynie małe czółno zdatne najwyżej do żeglugi przybrzeżnej.

W południe trzech malcy pod opieką Moka wrócili na jacht. Przyłożywszy się uczciwie do pracy, okazali się rzeczywiście użyteczni. Przyniesli spory zapas ślimaków, które Moko postanowił przyrządzić na obiad. Jaja także musiały znajdować się tutaj w wielkiej obfitości, Moko bowiem zauważył chmary gołębi skalnych. Ptaki te, z gatunku jadalnych, gnieździły się w górnej części urwiska.

– Doskonale! – powiedział Briant. – Któregoś ranka urządzimy polowanie; zdobycz może być bardzo bogata!

– Z pewnością – odpowiedział Moko – paroma strzałami z fuzji ubije się kilka tuzinów naraz. Jaja zaś nietrudno chyba będzie zdobyć spuszczać się na linie z urwiska.

– Zgoda! – odrzekł Gordon. – A tymczasem, Doniphan, czy nie chciałbyś zapolować jutro?...

– Oczywiście! – odparł Doniphan. – Webb, Cross, Wilcox, pójdziecie ze mną?...

– Z przyjemnością – odpowiedzieli trzech chłopcy uradowani.

– Ale proszę was bardzo – upomniał ich Briant – nie ubijajcie za wiele gołębi. W razie potrzeby łatwo będzie do nich trafić. Nie wolno nam marnować śrutu i prochu...

– Dobrze, dobrze! – zniecierpliwiał się Doniphan, którego irytowały wszelkie uwagi, a szczególnie ze strony Brianta. – Nie pierwszy to nasz strzał i rady nam niepotrzebne!

Po godzinie Moko zawiadomił chłopców, że obiad gotowy. Wróciwszy szybko na pokład zasiedli w jadalni. Na skutek pochylenia jachtu stół był przekrzywiony w prawo. Ale to nie przeszkadzało; chłopcom nawykłym do jedzenia na rozkołysanym statku. Ślimaki, a przede wszystkim małże okazały się wyborne, aczkolwiek; sposób, w jaki je przyprawiono, pozostawiał wiele do życzenia. Ale czyż w tym wieku apetyt nie jest najlepszą przyprawą? Suchary, kawał peklowanej wołowiny, zimna woda zaczerpnięta z rzeki w porze odpływu, aby nie miała w sobie ani odrobiny słonawego posmaku, zaprawiona kilkoma kroplami wódki – złożyły się na posiłek nie do pogardzenia.

Południe upłynęło na porządkowaniu ładowni i segregowaniu spisanych przedmiotów. Jenkins i jego towarzysze łowili tymczasem ryby, od których roiło się w rzece. Po kolacji wszyscy poszli spać z wyjątkiem Baxtera i Wilcoxa, którzy mieli czuwać do rana.

Tak minęła pierwsza noc na tym nieznanym lądzie Oceanu Spokojnego.

Na ogół biorąc chłopcy nie byli pozbawieni żywności, której brak odczuwają nazbyt często rozbitkowie rzućni na bezludne brzegi.

W podobnych okolicznościach dorośli mężczyźni, przedsiębiorczy i silni, mieliby wiele szans wydostania się z opresji. Ale czy chłopcy, wśród których najstarszy miał zaledwie piętnaście lat, zdołają sprostać zadaniom, jakie nałoży na nich walka o byt? Bardzo to wątpliwe!

Rozdział V

Wyspa czy ląd stały? – Wyprawa – Briant idzie sam – Zwierzęta ziemno – wodne – Stado pingwinów – Śniadanie – Ze szczytu przylądka – Trzy dalekie wysepki – Błękitna smuga na horyzoncie – Powrót na „Sloughi”

Wyspa czy też ląd stały? Oto był ważny problem nurtujący ustawicznie Brianta, Gordona i Doniphana, chłopców, których charaktery i inteligencja wysuwały na czoło gromadki. Rozprawiali nieraz na ten temat, dumając o przyszłości, gdy tymczasem malcom wystarczała teraźniejszość. Ziemia ta, czymkolwiek by się okazała, wyspą” czy lądem stałym, nie leżała z pewnością w strefie tropikalnej. Świadczyła o tym jej roślinność: dęby, buki, brzozy, olchy, sosny, jodły i świerki, mirty, skalnice różnego gatunku – tych drzew i krzewów nie spotyka się na lądach środkowej części Pacyfiku. Wydawało się nawet, że ziemia ta była bardziej odsunięta od równika niż Nowa Zelandia, a co za tym idzie, leżała bliżej bieguna południowego. Zachodziła więc obawa, że zimy bywają tu bardzo surowe. Zeschłe liście słały się już grubą warstwą w lesie porastającym podnóża urwiska. Tylko sosny i świerki pozostały zielone.

– Właśnie dlatego – powiedział Gordon następnego dnia po przekształceniu „Sloughi” na stałą siedzibę – wydaje mi się, że nie powinniśmy zagrzewać długo miejsca na tym wybrzeżu.

– I ja tak myślę – zgodził się Doniphan. – Jeśli będziemy się ociągać tak długo, aż zaskoczy nas zima, niełatwo dotrzemy do jakichś osiedli. Mogą być przecież odległe o setki mil!

– Cierpliwości, koledzy! – rzekł Briant. – Mamy dopiero połowę marca.

– A więc piękna pogoda utrzyma się do końca kwietnia – powiedział Doniphan. – W ciągu sześciu tygodni można przebyć szmat drogi...

– Jeśli droga istnieje – uciał Briant.

– A czemuż by nie miało jej być?

– Ba, pewnie – powiedział Gordon. – A jeśli nawet jest, to czy wiemy, dokąd nas zaprowadzi?

– Wiem tylko jedno – rzekł Doniphan – że byłoby niedorzecznością tkwić na szkunerze aż do pory deszczowej. Po cóż doszukiwać się ciągle nowych trudności!

– Lepiej je dostrzegać – powiedział porywco Briant – niż zapuszczać się, jak głupiec, w głąb nieznanego lądu.

– Ty zaraz nazywasz głupcem każdego – odparł kwaśno Doniphan – kto nie zgadza się z tobą.

Odpowiedź Doniphana wywołałaby może replikę i rozmowa zamieniłaby się w kłótnię, gdyby nie

zapobiegł temu Gordon.

Sprzeczkę nie doprowadzą do niczego – rzekł. – Tylko zgoda może nam pomóc. Doniphan ma rację, że powinniśmy bez zwłoki dotrzeć do terenów zamieszkałych” jeśli takie istnieją w pobliżu. Ale Briant pyta, czy to możliwe, i ma słuszną wątpliwość zastanawiając się nad tym.

– Ach, do diabła! – wykrzyknął Doniphan. – Przecież wędrując ku północy albo na południe, albo też na wschód, dotrzemy w końcu...

– O, tak, jeśli jesteśmy na lądzie stałym – przerwał Briant – natomiast nie dotrzemy nigdzie, jeśli jesteśmy na wyspie, i to na wyspie bezludnej!

– Otóż dlaczego powinniśmy zbadać tę sprawę – powiedział Gordon. – Jeśli zaś idzie o to, by opuścić „Sloughi” nie stwierdziwszy, czy na wschodzie jest morze, czy też nie...

– To „Sloughi” nas opuści! – wykrzyknął Doniphan, niełatwo odstępując od swojego zdania. – Nie oprze się nawałnicom, które rozszaleją się tutaj w zimie.

– Zgoda – powiedział Gordon. – Ale nie możemy zapuszczać się w głąb lądu nie wiedząc, dokąd idziemy.

Racja Gordona była tak oczywista, że Doniphan musiał ją uznać, rad nierad.

– Jestem gotów w każdej chwili pójść na zwiady – oświadczył Briant.

– Ja także – dorzucił Doniphan.

– Wszyscy jesteśmy gotowi – powiedział Gordon – ale wydaje mi się, że wlec ze sobą malców na wyprawę, która może okazać się długa i męcząca, byłoby nieroztropnością; myślę, że wystarczy dwóch albo trzech...

– Jaka szkoda – zauważył Briant – że nie ma w pobliżu wysokiego wzgórza, skąd można by obejrzeć okolicę. Na nieszczęście wylądowaliśmy w kraju nizinnym; nawet z pełnego morza nie dostrzegłem nigdzie na widnokręgu żadnej góry. Zdaje się, że to urwisko wznoszące się nad plażą jest jedyną wyniosłością, jaką tu spotykamy. W dali, za urwiskiem, ciągną się pewnie lasy, równiny i bagna; przez nie płynie ta rzeka, do której ujścia już jesteśmy dotarli.

– Warto byłoby jednak zbadać najbliższą okolicę, zanim wyruszymy na dłuższą wyprawę i okrążymy urwisko, gdzie Briant i ja szukaliśmy groty – zauważył Gordon.

– A dlaczego nie mielibyśmy pójść najpierw na północny kraniec zatoki? – powiedział Briant. – Zdaje mi się, że wspiąwszy się na cypel, który zamyka ją od tej strony, można by daleko sięgnąć wzrokiem...

– O tym samym właśnie myślałem – przerwał Gordon. – Tak, cypel ten ma ze dwieście pięćdziesiąt, a może trzysta stóp wysokości i pewnie góruje nad urwiskiem.

– Pójdę tam chętnie – powiedział Briant.

– I na cóż się to zda? – zapytał Doniphan. – Co stamtąd zobaczysz?

– To, co będzie widać – odparł Briant.

W istocie na północnym krańcu zatoki wznosiło się rumowisko skalne, rodzaj wzgórza opadającego stromą ścianą ku morzu i będącego jakby przedłużeniem urwiska nad plażą. Odległość dzieląca „Sloughi” od cypla nie przekraczała ośmiu mil, biorąc pod uwagę krzywą brzegów zatoki, natomiast w linii prostej – w linii lotu pszczoły, jak mawiają Amerykanie – wynosiła najwyżej pięć. Gordon niewiele się pomylił oznaczając wysokość cypla na trzysta stóp ponad poziom morza.

Czy ta wysokość jest wystarczająca, – by wzrok mógł ogarnąć całą okolice? Czy nie napotka od wschodu jakiejś przeszkody? W każdym razie można będzie na pewno stwierdzić, co znajduje się za przylądkiem – czy brzeg ciągnie się dalej, hen ku północy, czy też rozpościera się tam ocean. Należało tedy powędrować na północny kraniec zatoki i wspiąć się na szczyt wzgórza. Gdyby ląd rozpościerał się płasko ku wschodowi, można byłoby zlustrować go stamtąd na przestrzeni wielu mil.

Postanowiono zrealizować pomysł. Jakkolwiek Doniphan nie rokował mu powodzenia – zapewne z tej racji, że wpadł na niego Briant, a nie on sam – przedsięwzięcie mogło dać świetne rezultaty.

Jednocześnie zapadło postanowienie, że chłopcy nie opuszczą jachtu, dopóki nie upewnią się, czy morze wyrzuciło ich na wybrzeże kontynentu (w tym wypadku należało przypuszczać, że jest to kontynent amerykański), czy też na brzeg jakiejś wyspy.

Ale przez pięć następnych dni nie sposób było wyruszyć w drogę. Mgła spowiła wybrzeże, siąpił drobny deszcz. Jeśli wiatr nie przybrałby na sile, mgły zaciemniające horyzont mogłyby udaremnić projektowaną wyprawę.

Chłopcy nie zmarnowali bynajmniej tych kilku dni. Poświęcili je na rozmaite prace. Briant zajął się malcami, nad którymi czuwał tak pilnie, jakby okazywanie uczuć ojcowskich było dla niego wrodzoną potrzebą. Chciał za wszelką cenę, aby malcom na niczym nie zbywało, o ile tylko pozwalały na to warunki. Ochłodziło się znacznie, toteż Briant zmusił chłopców do przywdziania cieplejszej odzieży, znalezionej w skrzyniach marynarzy; musiał ją jednak przystosować do wzrostu młodszych kolegów. Chłopcy przedzierzgnęli się w mistrzów sztuki krawieckiej, jakkolwiek posługiwali się przy tym więcej nożycami niż igłą; Moko, jako chłopiec okrętowy „do wszystkiego”, wykazał w tej dziedzinie wielką pomysłowość. Nie wyobrażajcie sobie, aby Costar, Dole, Jenkins i Iverson wyglądali elegancko w niezmiernie szerokich bluzach i spodniach, dopasowanych jedynie pod względem długości rękawów i nogawic! O, nie! Ale mniejsza z tym! Przywykli szybko do tych pokracznych, obliczonych z konieczności na wyrost strojów.

Zresztą nie pozwalano im próżnować. Pod opieką Garnetta czy Baxtera udawali się w porze odpływu na połów ślimaków albo szli nad rzekę uzbrojeni w sieci i wędkę. Było to dla nich zabawą, a wszyscy odnosili z tego korzyść. Poza tym, oddając się owym przyjemnym zajęciom, nie zastanawiali się nad sytuacją, choć i tak nie zdołaliby pojąć jej grozy. Tęsknota za rodzicami nękała ich niewątpliwie, lecz nękała ona i starszych. Ale może malcom nie przychodziło w ogóle na myśl, że

nie ujrzą już nigdy swoich bliskich!

Gordon zaś i Briant nie opuszczali wcale jachtu wzięwszy na siebie obowiązek utrzymywania tam porządku. Niekiedy pozostawał z nimi Service: był zawsze pogodny i okazał się też wielce użyteczny. Polubił serdecznie Brianta i nie przyłączał się nigdy do tych kolegów, którzy opowiadali się raczej za Doniphanem. Toteż Briant odczuwał dla niego wiele sympatii.

– Dobra nasza! Dobra nasza! – wykrzykiwał Service. – Doprawdy ta łaskawa fala rzuciła na plażę naszego biednego „Sloughi” w momencie bardzo stosownym, i to nie uszkodziwszy go prawie! Szczęście takie nie dopisało ani Robinsonowi Kruzoe, ani Robinsonowi Szwajcarskiemu na ich urojonych wyspach!

A Kubuś Briant? No cóż... gdy zjawił się czasem na pokładzie, by pomóc bratu w rozmaitych pracach, ledwie odpowiadał na pytania i odwracał wzrok, jeśli ktokolwiek spojrział mu prosto w oczy.

Brianta niepokoiło zachowanie się Kubusia. Starszy o przeszło trzy lata brat wywierał na malca silny wpływ. Teraz zauważył, że od momentu kiedy „Sloughi” wypłynął na morze, Kubuś zachowywał się tak, jakby dręczyły go wyrzuty sumienia. Czyżby popełnił coś takiego, czego nie śmiał wyznać nawet starszemu bratu? Jedno było pewne: oczy Kubusia, bardzo często zaczerwienione, zdradzały, że chłopiec popłakiwał w ukryciu.

Briantowi przyszło w końcu na myśl, że malec jest niezdrów. Gdyby Kubuś zachorował poważnie, Briant byłby całkowicie bezsilny. Przerażony, zasypywał malca pytaniami, ale ten odpowiadał niezmiennie:

– Nie... nie... nic mi nie jest... nic!

Nic więcej nie udawało się z niego wydobyć.

Między 11 a 15 marca Doniphan, Wilcox, Webb i Cross polowali z zapalem na ptactwo gnieźdzące się wśród skał. Trzymali się zawsze razem, stroniąc wyraźnie od reszty kolegów. Niepokoiło to Gordona. Przy pierwszej więc sposobności spróbował wytłumaczyć obu stronom, jak ważną dla nich rzeczą jest zgoda. Lecz chłopcy, a przede wszystkim Doniphan, odnieśli się do jego słów tak chłodno, że Gordon uznał, iż rozrotpniej będzie nie nalegać. A jednak nie stracił nadziei, że zdoła kiedyś wyplenić owe chwasty niezgody, które w przyszłości mogły okazać się groźne. A zresztą kto wie, czy dalsze wypadki nie doprowadzą do zbliżenia niechętnych sobie obozów, czego Gordon nie potrafił osiągnąć perswazją.

W te mgliste dni, które udaremniły projektowaną wyprawę, łowy dały obfitą zdobycz. Doniphan, zapalony sportowiec, świetnie sobie radził ze strzelbą. Był dumny ze swej zręczności – nawet nazbyt dumny – i odnosił się z pogardą do innych sposobów łowieckich, a więc do kopania wilczych dołów, zastawiania sideł i sieci, do czego namawiał Wilcox. W sytuacji chłopców wszystko przemawiało za tym, że Wilcox, a nie Doniphan odda im większe usługi. Webb strzelał celnie, ale nie mógł się mierzyć z Doniphanem. Cross natomiast nie miał do tego żadnych zdolności i poprzestawał na zachwycie dla wyczynów krewniaka. Trzeba jeszcze wymienić psa Phanna, który odgrywał tutaj

wybitną rolę – nie wahał się nigdy dać susa w morze, gdy ustrzelony ptak spadł poza pierścieniem raf.

Wspomnieć należy, że wśród sztuk ubitych przez młodych myśliwych znajdowało się wiele ptaków morskich – kormoranów, mew i nurków, z których Moko nie miał żadnego pożytku. Co prawda gołębie posypały się obficie, jako też dzikie kaczki i gęsi, których mięso jest wysoko cenione. Gęsi te należały do gatunku bernakli, a kierunek ich lotu, gdy podrywały się na odgłos strzału, wskazywał, że zamieszkują w głębi łądu. Doniphan ubił ponadto kilka ostrygojadów żywiących się mięczakami, na które są bardzo łase.

Na ogół wybór był bogaty, ale w wielu wypadkach ptactwo wymagało specjalnego przyrządzenia, raził bowiem zbliżony do tranu smak tego mięsa. Mimo usilnych starań Moko nie potrafił podolać zadaniu tak, by zadowolić każdego. Nie należało jednak stawiać zbyt wysokich wymagań, jak mawiał przewidujący Gordon, i trzeba było oszczędzać konserw – w przeciwieństwie do sucharów, których mieli pod dostatkiem.

Chłopcy oczekiwali więc niecierpliwie momentu wycieczki ma – być może, rozstrzygnąć ważne zagadnienie: wyspa czy łąd stały? Zależała od tego ich przyszłość, osiedlenie się prowizoryczne na tej ziemi lub stały pobyt.

15 marca pogoda zdawała się sprzyjać odkładanemu zamierzeniu. Nocą niebo uwolniło się od gęstych oparów, które nagromadziły się podczas kilkudniowej ciszy morskiej. Wiatr od łądu rozegnał je w ciągu paru godzin. Jaskrawe promienie słońca obrzeżyły złotem krawędź urwiska. Należało się spodziewać, że wschodnia część horyzontu, oświetlona o zachodzie promieniami, ukaże się z całą wyrazistością, a właśnie na dokładnym zbadaniu tej części widnokręgu chłopcom zależało najbardziej. Jeśli od tej strony pojawi się pas wód przytykający do linii horyzontu nieprzerwaną smugą, będzie to znaczyło, że łąd ten jest wyspą – a zatem rozbitkowie mogą liczyć tylko na pomoc zbłąkanego w te strony okrętu.

Pamiętamy wszyscy, że to Brant wysunął projekt zwiedzenia północnej części zatoki i że wycieczkę tę postanowił odbyć sam. Z pewnością zgodziłby się chętnie, by towarzyszył mu Gordon. Ale z drugiej strony niepokoiłby się o malców, gdyby pozbawił ich jego opieki.

Briant stwierdziwszy 15 marca wieczorem, że barometr utrzymuje się na pogodzie stałej, uprzedził Gordona, iż wyruszy nazajutrz o świcie. Przebycie dziesięciu czy jedenastu mil (w obie strony) nie sprawi kłopotu chłopcu silnemu i nie zważającemu na trudy. Jeden dzień starczy mu z pewnością na wykonanie przedsięwzięcia i Gordon może być spokojny, że kolega wróci przed zmierzchem.

Gdy się rozwidniło, Briant ruszył w drogę nie budząc nikogo. Wziął gruby kij i rewolwer, na wypadek gdyby natknął się w drodze na jakieś dzikie zwierzę, jakkolwiek myśliwi nie zauważyli dotychczas żadnych niepokojących tropów.

Oprócz owych narzędzi obrony Briant wziął też pewien instrument, który miał mu ułatwić zadanie. Była to jedna z lunet znajdujących się na „Sloughi” – luneta o bardzo dalekim zasięgu i wyjątkowej ostrości. W torbie podróżnej przytroczonej do pasa miał suchary, kawał solonego mięsa i manierkę z

wodą zaprawioną kilkoma kroplami wódki – słowem to, czego potrzebował na obiad albo i na kolację, gdyby jakieś nieprzewidziane wypadki zatrzymały go w drodze.

Briant raźnie maszerował wzdłuż wybrzeża obwiedzonego smugą porostów morskich, nie obeschłych jeszcze po ostatnim przyptywie, a stykających się z wewnętrzną stroną pierścienia raf. Po godzinie minął punkt, do którego dotarł ostatnio Doniphan z towarzyszami, gdy polowali na gołębie skalne. W tej chwili jednak ptakom nic nie groziło ze strony Brianta. Ani myślał się zatrzymywać, chcąc dotrzeć jak najszybciej do cypla. Powietrze było przejrzyste, niebo wolne od chmur, należało z tego korzystać. Jeśli po południu mgły zasnują horyzont od wschodu, wyprawa spełźnie na niczym.

Przez pierwszą godzinę Briant, idąc szybko, przebył połowę drogi. Spodziewał się, że o ósmej rano dotrze – jeżeli nie pojawią się jakieś przeszkody – do nasady cypla. Ale w miarę jak ściana urwiska przybliżała się do pierścienia raf, droga stawała się coraz trudniejsza. Skrawek nadbrzeżnego piasku zwężał się ustawicznie, bo i rafy wdzierały się nań coraz bardziej. Briant stąpał dotychczas po twardym gruncie rozciągającym się od morza do lasu w pobliżu ujścia rzeki. Teraz musiał zapaść się między śliskie głązy, lepkie porosty morskie, liczne kałuże, które trzeba było obchodzić, chwiejące się kamienie, które nie dawały nogom dostatecznego oparcia. Marsz po takim terenie stał się bardzo męczący i, co gorsza, pochłonął dwie dodatkowe godziny.

„A jednak muszę dotrzeć do cypla, nim zaczną się przyptyw! – pomyślał Briant. – Ostatnim razem fale pokryły tę część plaży, a zatem pokryją ją i teraz, aż po urwisko. Jeśli będę zmuszony zawrócić lub szukać schronienia na wierzchołku skały, nie zdążę na czas! Trzeba więc za wszelką cenę przedrzeć się przez tę część plaży, nim ją zaleją fale”.

I dzielny chłopiec, nie zważając na ogarniające go zmęczenie, próbował skrócić sobie drogę. Niejeden raz musiał zdejmować buty i skarpetki, by przebrnąć przez wielkie kałuże, gdzie woda sięgała mu do kostek; po czym znów wdrapywał się na wierzchołki raf, pod groźbą upadku, którego unikał przyzywając na pomoc całą swoją zręczność i zwinność.

Ta część wybrzeża, jak zauważył, obfitowała szczególnie w zwierzynę morską. Roiło się tu od gołębi, ostrygojadów, kaczek.

Kilka par fok igrało wśród przybrzeżnych raf, nie okazując zresztą lęku i nie zamierzając kryć się pod wodą. Łatwo było wywnioskować, że foki nie obawiały się, by mogło im cokolwiek grozić ze strony człowieka: widocznie od wielu lat żaden rybak i nie zapędził się w te strony.

Zastanowiwszy się głębiej, Briant doszedł do przekonania, iż obecność fok wskazuje na to, że ziemia ta leży na wyższym stopniu szerokości geograficznej, niż przypuszczał, a zatem jest bardziej wysunięta na południe od archipelagu nowozelandzkiego. Szkuner, gnany po wodach Pacyfiku, musiał zapewne znaczni zboczyć na południowy wschód.

Przypuszczenia te potwierdziły się, gdy Briant dotarł do cypla. Spostrzegł tam stado pingwinów – ptaków zamieszkujących okolice podbiegunowe. Dreptało ich tu mnóstwo. Kołysały się z boku na bok, podtrzymując niezdarnie lotkami, które służą im raczej do pływania niż do lotu. Mięso ich, cuchnące, jak gdyby zjełczałym tłuszczem, jest niejadalne.

Była akurat dziesiąta rano. Widzimy więc, ile czasu zużył Briant na przebycie ostatnich kilku mil. Wycieńczony, zgłodniały, postanowił wypocząć nieco przed wspinaczką na cypel, którego grań wznosiła się na trzysta stóp nad poziom morza. Chłopiec usiadł na skale, której nie groziło zatopieniem morze, wdzierające się już na pierścień raf. To pewna, że gdyby wyruszył o godzinę później, nie zdołałby już przejść między rafami a podnóżem urwiska, bo wezbrane wody otoczyłyby go dookoła. Lecz teraz nie było żadnego powodu do obaw. Po południu, gdy odpływ wysysie wody z plaży, znów otworzy się wolne przejście.

Spory kawał mięsa oraz kilka łyków wody z manierki zaspokoili głód i pragnienie, a krótki odpoczynek przyniósł ulgę zmęczonym mięśniom. Samotny, z dala od kolegów, chłopiec starał się na zimno rozważyć sytuację, postanowiwszy niezłomnie walczyć do końca o wspólne ocalenie, nie oszczędzając siebie. Postawa Doniphana i kilku innych kolegów zaprzętała stale jego myśli; widział w niej przyczynę jakże przykrej niezgody. A jednak postanowił sprzeciwić się z całą mocą wszelkim planom, które, jego zdaniem, w czymkolwiek mogłyby zagrażać rozbitkom. Po czym jał rozmyślać o Kubusiu, stan psychiczny brata budził w nim poważne obawy. Był pewien, że malec ukrywa przed nim jakiś karygodny postępek, którego dopuścił się zapewne jeszcze przed wyjazdem, i postanowił zmusić go do wyznań.

Chcąc odzyskać całkowicie utracone siły, Briant wypoczywał przeszło godzinę, po czym wziął torbę, zarzucił ją sobie na plecy i jał się wspinać po głazach.

Przylądek ów, leżący u samego krańca zatoki, a zakończony ostrym cyplem, był dziwacznym tworem geologicznym.

Wbrew przypuszczeniom, jakie można było powziąć spoglądając na cypel z daleka, owa wyniosłość nie łączyła się bynajmniej w jedno pasmo z urwiskiem. Złożona z granitowych skał różniła się też budową od biegnącej wzdłuż brzegów wapiennej ściany, na której widniał układ warstwowy – podobnie jak w formacjach piętrzących się w Europie zachodniej nad kanałem La Manche.

Tyle zdołał zaobserwować Briant; zauważył też, że wąski przesmyk dzieli cypel od urwiska. Dalej, ku północy, szeroka plaża rozpościerała się, jak okiem sięgnąć. Ale wierzchołek cypla górował przecież nad innymi wyniosłościami o jakieś sto stóp – można więc będzie ogarnąć stamtąd spojrzeniem znaczną część terenu. A to było najważniejsze.

Wspinaczka nastęrczała nie byle jakie trudności. Głazy były tak wysokie, że Briant z trudem sięgał ich krawędzi, a następnie podciągał się w górę na rękach. Ale że należał do dzieci, które można było zaliczyć do rzędu „pełzających”, i wykazywał od najmłodszych lat szczególne upodobanie do wspinaczki, wreszcie ponieważ odznaczał się niezwykłą odwagą, zręcznością i zwinnością, dotarł w końcu na szczyt, uniknąwszy niejedyn raz śmiertelnego, być może, upadku.

Przytknąwszy lunetę do oka skierował ją najpierw na wschód.

Rozpościerała się przed nim niezmiernie równina. Grań urwiska, którego wschodni stok opadał łagodnie ku wnętrzu lądu, była tutaj najwyższym punktem. Dalej teren miejscami falował lekko, co nie zmieniało jednak równinnego charakteru okolicy. Zielone lasy, pozołkłe już z lekka, słały się

daleko, zakrywając łożysko rzek, które z pewnością toczyły swe wody w stronę wybrzeża, pod osłoną drzew. Była to płaszczyzna sięgająca aż po horyzont odległy o jakieś dwanaście mil. Nie wydawało się, by morze oblewało ląd od tej strony, chcąc więc stwierdzić, czy jest to ląd stały, czy wyspa, należało przedsięwziąć dłuższą wyprawę w kierunku wschodnim.

Skierowawszy lunetę ku północy, Briant nie dojrzał krańca wybrzeża. Rysowało się ono tutaj prostą linią na przestrzeni dobrych kilku mil. Po czym za wysuniętym głęboko w morze długim cyplem, linia brzegów cofała się gwałtownie w głąb lądu, tworząc ogromną, piaszczystą plażę, przypominającą pustynię.

Na południu, w dali, za cyplem zamykającym od tej strony zatokę, linia wybrzeża biegła z północnego wschodu na południowy zachód, opasując rozległe moczary. Kontrastowały one żywo z pustynnymi piaskami ścielącymi się na północy.

Briant nastawiał uważnie obiektyw lunety na każdy punkt szerokiego kręgu. Czy był na wyspie? Czy na lądzie stałym?... Nie potrafiłby odpowiedzieć na te pytania. W każdym razie, jeśli ziemia ta była wyspą, była to niewątpliwie duża wyspa; tyle tylko mógł stwierdzić.

Odwrócił się teraz ku zachodowi. Morze lśniło w ukośnych promieniach słońca, które z wolna chyliło się nad horyzontem.

Nagle Briant przytknął szybko lunetę do oka i skierował ją na linię widnokręgu.

– Okręty! – wykrzyknął. – Okręty płyną!

Istotnie, trzy czarne punkty zamajaczyły na krańcu połyskujących wód, w odległości co najmniej piętnastu mil.

Gwałtowne wzburzenie owładnęło chłopcem. Czy to aby nie złudzenie? Czy też naprawdę trzy statki pojawiły się w polu widzenia? Opuścił lunetę, przetarł soczewkę zapotniałą od jego oddechu i popatrzył znów...

Rzeczywiście te trzy czarne punkty podobne były do okrętów, a raczej do ich kadłubów. Omaszowań nie było widać, a w każdym razie nie wzbijał się ani jeden słup dymu, który towarzyszy płynącym parowcom.

Z kolei przyszło Briantowi na myśl, że jeżeli były to rzeczywiście statki, odległość dzieląca go od nich jest zbyt wielka, aby dostrzeżono jego sygnały. Biorąc pod uwagę to, że koledzy zapewne nic nie zauważą, roztropniej będzie wrócić szybko na „Sloughi” i rozpaść na plaży wielkie ognisko. I wtedy... gdy słońce zajdzie...

Rozmyślając tak, Briant obserwował jednocześnie trzy czarne punkty. Jakże się zmartwił spostrzegłszy, że owe punkty nie przesuwają się!

Nastawił jeszcze raz lunetę i przez kilka chwil nie wypuszczał trzech punktów z pola widzenia... Niebawem stwierdził, że były to trzy wysepki leżące na zachód od nieznanego lądu, gdzie się znajdował; „Sloughi”, gnany wicherą, musiał je z pewnością minąć, ukryte wśród gęstych mgieł.

Doznał wielkiego rozczarowania.

Była druga po południu. Wody oceanu zaczęły się cofać odsłaniając skalisty wał od strony urwiska. Chłopiec pomyślał, że czas już wracać na „Sloughi”, i zaczął przygotowywać się do drogi.

Chciał jednak jeszcze raz rzucić okiem na wschód. Kto wie, czy nie dojrzy teraz, kiedy słońce pochyliło się mocniej, jakiegoś szczegółu, którego przedtem nie zauważył.

Briant dokonał oględzin tej części horyzontu z drobiazgową dokładnością – i nie pożałował tego.

Bo tam, gdzie wyteńczywszy wzrok, ledwie dotarł spojrzeniem, za ostatnim pasmem zieloności, rysowała się wyraźnie błękitnawa smuga, widoczna na przestrzeni wielu mil, biegnąca z północy na południe; krańce jej zapadały w głąb niewyraźnej gmatwaniny drzew.

„Cóż to może być? – zastanowił się Briant i przyjrzał się jeszcze uważniej. – Morze!... O tak!... To jest morze!”

Luneta omal nie wypadła mu z rąk.

Skoro morze rozciąga się na wschodzie, niepodobna się dłużej łudzić. „Sloughi” nie przybił do kontynentu! Przybił do samotnej wyspy, otoczonej niezmiernym kręgiem wód, wyspy, z której nikt się nie wydostanie!...

I wtedy obrazy wszelkich możliwych niebezpieczeństw przemknęły przed oczyma chłopca niby groźna wizja. Serce ścisnęło mu się boleśnie...

Ale mimowolne zwątpienie wnet ustąpiło. Chłopiec pojął w lot, że nie ma prawa poddawać się rozpacz, jakkolwiek przyszłość jego własna i kolegów budziła poważne obawy.

W kwadrans potem Briant znalazł się na plaży i krocząc tą samą drogą, którą przebył rano, dotarł przed piątą na jacht, gdzie koledzy wyczekiwali niecierpliwie jego powrotu.

Rozdział VI

Dyskusja – Projektowana i odłożona wyprawa – Niepogoda – Połów – Olbrzymie porosty morskie – Costar i Dole na niezbyt szybkim wierzchowcu – Przygotowania do podróży – Krzyż Południa

Tegoż wieczora, po kolacji, Briant opowiedział starszym chłopcom o rezultatach wycieczki. Sprowadzały się one do tego: we wschodniej połaci kraju, za strefą lasów, błękitniała wstęga wód biegnąc wzdłuż linii horyzontu z północy na południe. Nie wątpił, iż było to morze. A więc „Sloughi” rozbił się niestety u brzegów jakiejś wyspy, a nie kontynentu!

Z początku Gordon i inni koledzy przyjęli oświadczenie Brianta z żywym niepokojem. Jak to? Znajdowali się więc na wyspie i nie będą mogli stąd się wydostać? Czy trzeba będzie zrezygnować z wyprawy, która miała na celu odszukanie dróg wiodących w głąb kontynentu? Będą skazani na oczekiwanie, aż jakiś okręt pojawi się w tych stronach! Czyż to naprawdę jedyna szansa ocalenia?

– Ale czy Briant nie pomylił się? – rzucił nagle Doniphan.

– Rzeczywiście, czy Briant nie wziął przypadkiem smugi chmur za morze? – dodał Cross.

– Nie – zaprzeczył Briant. – Jestem pewien, że się nie mylę. To, co widziałem, było pasmem wód wyginającym się w łuk na horyzoncie!

– W jakiej odległości? – spytał Wilcox.

– Około sześciu mil od cypla.

– A dalej – wypytywał Webb – nie było żadnych gór?

– Nie! Tylko niebo!

Briant obstawał przy swoim tak stanowczo, iż rozsądek nie pozwalał chłopcom dalej oponować.

Jedynie Doniphan upierał się jeszcze, co zresztą zdarzało mu się zawsze, kiedy dyskutował z Briantem.

– A ja twierdzę – powiedział – że Briant mógł się omylić, i dopóki nie zobaczymy na własne oczy...

– To właśnie zrobimy – przerwał Gordon – bo musimy wiedzieć, czego się trzymać.

– Ja zaś dodam – ozwał się Baxter – że nie mamy ani dnia do stracenia, jeśli chcielibyśmy wyruszyć w głąb lądu przed nadejściem zimy... jeżeli, oczywiście, okaże się, że jesteśmy na kontynencie.

– Już jutro, jeśli pogoda dopisze – rzekł Gordon – ruszymy na wyprawę, która potrwa zapewne kilka dni. Powiadam, jeśli będzie ładnie, bo zapuszczać się przy złej pogodzie w gęste lasy pokrywające wnętrze lądu byłoby szaleństwem...

– Zgoda – rzekł Brant. – A kiedy dotrzemy do przeciwległego brzegu wyspy?...

– Jeżeli to jest wyspa! – wykrzyknął Doniphan wzruszając arogancko ramionami.

– Tak, to jest wyspa – zniecierpliwził się Briant. – Nie pomyliłem się! Widziałem całkiem wyraźnie morze rozlewające się na wschodzie! Doniphan mi przeczy, bo taki już ma zwyczaj...

– Phi, nie jesteś nieomylny!

– Naturalnie, że nie jestem. Ale pokaże się, czy tym razem rzeczywiście się pomyliłem! Sam pójdę obejrzyć to morze i jeśli Doniphan zechce mi towarzyszyć...

– Oczywiście, pójdę.

– I my też! – krzyknęło kilku starszych chłopców.

– No dobrze! Dobrze! – uciał Gordon. – Uspokójmy się trochę, moi drodzy! Choć jesteśmy chłopcami, starajmy się zachowywać jak dorośli. Sytuacja jest dość poważna, a najdrobniejsza nieostrożność może ją jeszcze pogorszyć. Nie, nie możemy zapuszczać się wszyscy razem w te lasy. Przede wszystkim malcy nie mogą pójść, a zostawić ich na „Sloughi” bez opieki – też nie sposób. Niech Doniphan i Briant wyruszą na tę wyprawę i za biorą ze sobą jeszcze ze dwóch...

– Mnie! – powiedział Wilcox.

– I mnie – dorzucił Service.

– Niech i tak będzie – przystał Gordon. – I to dosyć – czterech wystarczy. Gdybyście dłużej zabawili, paru z nas wyjdzie na spotkanie, a reszta zostanie na szkunerze. Nie zapomnijcie o tym, że to jest nasze obozowisko, nasz dom, nasz „home” i nie możemy go opuścić, póki nie dowiemy się, czy znajdujemy na kontynencie, czy nie.

– Jesteśmy na wyspie – upierał się Briant. – Ostatni raz oświadczam...

– To się jeszcze pokaże! – przerwał Doniphan. Roztropne uwagi Gordona położyły kres waśni rozgorzałej między młodymi zapaleńcami. Było oczywiste – i Briant sam tak uznał – że należy wysłać zwiad, który przedostawszy się przez lasy dotrze do owej wstęgi wód. Jeśli nawet morze oblewało ten ląd od wschodu, czyż nie mogły znajdować się obok inne wyspy, oddzielone tylko wąskim przesmykiem, nietrudnym do przebycia? A jeśli te wyspy należały do któregoś z archipelagów i jeśli na horyzoncie pojawią się jakieś znaczniejsze wyniosłości, czyż nie trzeba się o tym przekonać, nim podejmie się decyzję, od której mogło zależeć ocalenie wszystkich? Jedno było rzeczą pewną, że płynąc na zachód nie napotka się między tą nieznaną ziemią a Nową Zelandią ani jednego lądu. Młodzi rozbitkowie mogli przybliżyć się do zamieszkanym okolic tylko pod tym warunkiem, że będą ich szukać tam, gdzie wschodzi słońce.

Roztropność nakazywała jednak wyruszyć na tę wyprawę tylko podczas pięknej pogody. I, jak powiedział Gordon, musieli tej pory myśleć i postępować jak dorośli, a nie jak dzieci. W tych okolicznościach i wobec groźnych zapowiedzi na przyszłość chłopcy muszą okazać się nie tylko nad wiek inteligentni, lecz i przewyciężyć lekkomyślność i beztroskę, naturalne w ich wieku; jeśli drobne waśnie doprowadzą do ostatecznego podziału na obozy, sytuacja, i bez tego krytyczna, stanie się rozpaczliwa. Oto dlatego Gordon postanowił uczynić wszystko, co w jego mocy, by utrzymać zgodę między kolegami.

Tymczasem, jakkolwiek Doniphan i Briant wyczekiwali niecierpliwie momentu wyruszenia w drogę, zmiana pogody pokrzyżowała ich plany. Już na drugi dzień rano zaczął padać lodowaty deszcz i siekł bezustannie, z małymi tylko przerwami. Barometr spadał stale, co wskazywało na zbliżanie się

okresu wichrów, a niepodobna było przewidzieć, kiedy nastąpi odmiana. Byłoby wielką lekkomyślnością puszczać się w drogę w tak niesprzyjających warunkach.

Ale właściwie czy było czego żałować? Na pewno nie. Było rzeczą zrozumiałą, że wszyscy – nie chodziło tu wcale tylko o najmłodszych – chcieli dowiedzieć się jak najszybciej, czy ocean otacza ich ze wszystkich stron. Ale nawet gdyby upewnili się, że są na lądzie stałym, czy mogliby zdecydować się teraz, na krótko przed nadejściem zimy, na tę wyprawę w głąb nieznanego kraju? A gdyby przyszło wędrować setki mil, jakże wytrzymałoby trudy takiej podróży? Czy nawet najmocniejszemu z nich starczyłoby sił, by dotrzeć do celu? Nie! Rozsądek nakazywał, by taką wyprawę przedsięwziąć, gdy nadejdą długie dni, a zima przestanie się srożyć. Toteż nie pozostawało nic innego, jak przetrwać złe czasy na „Sloughi”.

Gordon tymczasem dokładał wszelkich starań, by oznaczyć przypuszczalne miejsce katastrofy, której padli ofiarą. Atlas Stielera znajdujący się w bibliotece zawierał kilka map Oceanu Spokojnego. Otóż próbując określić bliżej szlak przebyty od Auckland aż do miejsca katastrofy, Gordon stwierdził, że między Nową Zelandią a wybrzeżami amerykańskimi zaznaczono na północ od wysp Pomotou jedynie Wyspę Wielkanocną i wyspę Juan Fernandez, na której Selkirk*, rzeczywisty Robinson, spędził część życia. Na południe zaś nie było ani jednego lądu aż po niezmierzone wody Oceanu Arktycznego, Posuwając się prosto na wschód, napotkać można było tylko archipelagi Chiloe i Madrede-Dios, rozrzucone u wybrzeży chilijskich, a niżej – wyspy rozsiane w pobliżu Cieśniny Magellana i Ziemi Ognistej. Rozbija się o nie to samo okrutne morze, które nęka przyłodek Horn.

Jeśli więc szkuner został rzucony na jedną z owych bezludnych wysp sąsiadujących z pampasami, trzeba by przebyć setki mil, chcąc dotrzeć do zamieszkałych prowincji Chile, do brzegów La Płaty albo do Republiki Argentyńskiej. Jakiejże można spodziewać się pomocy wśród tych ogromnych pustkowi, gdzie mnóstwo niebezpieczeństw czyha na podróżnego?

Wobec takich ewentualności trzeba było postępować nadzwyczaj ostrożnie, bo wędrowka w nieznanym mogła grozić zagładą.

Tak myślał Gordon; Briant i Baxter byli tego samego zdania. Doniphan i jego stronnicy bez wątpienia musieliby w końcu te się z tym pogodzić.

Niemniej zamierzali dotrzeć do morza widocznego od wschodu. Ale przez najbliższe dwa tygodnie projekt ów był niewykonalny. Pogoda zepsuła się fatalnie, lało od rana do wieczora, zrywała co chwila wichura o nieopisanej gwałtowności. Niepodobna byłoby przedrzeć się przez lasy. I chociaż chłopców stale dręczył wątpliwość: kontynent czy wyspa, musieli zrezygnować na raz z ekspedycji.

Przez te długie dni, kiedy szalały nawałnice, Gordon i jego koledzy zaszyli się na „Sloughi”, ale nie próżnowali bynajmniej, mówiąc już o staraniach, jakich wymagał cały dobytek, należą wziąć się jak najszybciej do usunięcia niektórych uszkodzeń zagrażających ostatecznym zniszczeniem szkunerowi nękanemu wicherą. Poszycie pękało coraz wyżej, a pokład również był nieszczelny. W niektórych miejscach, tam gdzie pakuły powyłaziły ze spojeń, pokład przeciekał i należało uszczelnić go niezwłocznie.

Ale przede wszystkim musieli szukać jak najpilniej pewniejszego schronienia. Zakładając nawet, że będą mogli udać w głąb kontynentu, na wschód, wiedzieli, że nie nastąpi to wcześniej niż za pół roku, a „Sloughi” z pewnością nie przetrwa długo. A jeśli wypadnie opuścić go wśród zimy, gdzie szukać schronienia, skoro w zachodniej ścianie płaskowyżu nie istniało żadne wgłębienie, które można by wykorzystać? Należało wszcząć poszukiwania na przeciwległym stoku osłoniętym od wiatrów znad pełnego morza i w razie potrzeby zbudować tam pomieszczenie odpowiednio obszerne dla całej gromadki.

Tymczasem trzeba było przystąpić do najpilniejszych napraw, zatkać szpary, nie tylko te, które przepuszczały wodę, ale i te, co sprawiały, że pod pokładem hulał wiatr, słowem – uszczelnić poszycie kadłuba. Gordon gotów był nawet poświęcić na to zapasowe, grube żagle, ale żał mu było płótna, które mogło się przydać na namiot, gdyby wypadło kiedyś nocować pod gołym niebem. Stało na tym, że rozłożono na pokładzie nieprzemakalne, nasmołowane płachty.

– W tym samym czasie podzielono ładunek na niewielkie paczki, wpisano je do notesu Gordona pod odpowiednimi numerami, aby we właściwej kolejności przetransportować je w nagłym wypadku pod drzewa.

Kiedy deszcz ustawał na kilka godzin, Doniphan, Webb i Wilcox polowali na gołębie skalne, które Moko z większym lub mniejszym powodzeniem przyrządzał na najrozmaitsze sposoby. Garnett, Service i Cross, a z nimi malcy i niekiedy Kubuś – gdy starszy brat zażądał tego wyraźnie – zajmowali się rybołówstwem. Okolica obfitowała w ryby i w wodach zatoki, pomiędzy wodorostami oplatającymi rafy, znajdowano przedstawicieli gromady „notothenii”, a także ogromne sztokwisze. Między długimi paździorami wodorostów, owych „kleps” dochodzących do czterystu stóp długości, roiły się miliardy rybek, które można było chwycić ręką.

Warto było słyszeć okrzyki, jakie malcy wydawali ciągnąc sieci albo zarzucając wędki na skraju pierścienia raf!

– Mam je! O, jakie wspaniałe! – wołał Jenkins. – Och, jakie wielkie!

– A moje! Jeszcze większe od twoich! – krzyczał Iverson przyzywając Dole’a na pomoc.

– Uciekną mi! – wrzeszczał Costar. Starsi chłopcy śpieszyli im wtedy z pomocą.

– Trzymajcie mocno! Trzymajcie!... – wołał Garnett albo Service biegnąc od jednego do drugiego. – I przede wszystkim wyciągajcie szybko sieci!

– Ależ ja nie mogę!... Nie mogę! – powtarzał Costar, którego, choć się opierał, ściągała w dół naładowana sieć. Wspólnym wysiłkiem wyciągali sieci na piasek. Był na to najwyższy czas, bo w tych przejrzystych wodach roiło się od „hyxinii” – straszliwych minogów, które w jednej chwili pożarłyby ryby uwięzione w sieci. Sporo ryb przepadło już w ten sposób. Pozostałe wystarczały na zaspokojenie potrzeb małych rozbitków. Łowiono najwięcej sztokfiszki, których mięso – zarówno świeże, jak i solone – jest wyborne.

Natomiast połowy u brzegów rzeczki dawały liche rezultaty, chwymano tam nędzne „galaxias” –

odmianę kielbi – nadając się tylko do smażenia.

27 marca niecodzienny połów stał się przyczyną zabawnego wydarzenia.

Kiedy po południu deszcz przestał padać, malcy powędrowali nad rzekę, uzbrojeni w sprzęt rybacki.

Nagle rozległy się okrzyki – prawda, że były to okrzyki radości, niemniej chłopcy wzywali pomocy.

Gordon, Briant, Service i Moko, zajęci czymś na szkunerze, porzucili pracę i pobiegli w kierunku, skąd dochodziły wołania; niebawem przebyli owe pięćset czy sześćset kroków dzielące ich rzeki.

– Prędeż! Prędeż! – pisał Jenkins.

– Chodźcie zobaczyć Costara i jego wierzchowca! – dorzuci Iverson.

– Prędeż, prędeż, Briant, bo nam ucieknie! – wrzeszczał Jenkins.

– Już dosyć! Dosyć!... Zsadźcie mnie! Boję się! – krzyczał Costar szamocząc się rozpaczliwie.

– Wio! Wio! – pokrzykiwał Dole siedząc okrakiem za plecami Costara na jakiejś ruchomej bryle.

Bryłą tą był żółw, jeden z owych kolosów, które spotyka się uspięne na powierzchni morza.

Żółw, napadnięty zniecka na piasku, usiłował dotrzeć do wody – swojego żywiołu.

Dzieci daremnie próbowały zatrzymać silne zwierzę zarzuciwszy mu linkę na szyję wysuniętą ze skorupy. Żółw posuwał ciągle i jakkolwiek nie spieszył się, ciągnął linkę tak mocno, gromadka chłopców nie mogła mu się oprzeć i wlokła się za ni. Przez figle Jenkins posadził Costara na żółwiu, a Dole siedząc okrakiem za kolegą przytrzymywał malca, który przerażony wrzeszczał tym głośniejszym, im bardziej żółw zbliżał się do wody.

– Trzymaj się!... Trzymaj się mocno!... – uspokajał Gordor

– I uważaj, żeby koń ci się nie spłoszył! – dorzucił Service.

Briant nie zdołał zapanować nad śmiechem, bo też żadne niebezpieczeństwo nie groziło chłopcom. Jeśliby nawet Dole puścił Costara, malec będzie mógł po prostu zsunąć się na piasek i wszystko skończy się na strachu.

– Natomiast pojmanie zwierzęcia było sprawą bardzo pilną. Choćby Briant i jego koledzy przyłączywszy się do malców starali się zatrzymać żółwia wspólnymi siłami, i tak nie potrafiliby tego dokazać. Należało więc chwycić się jakiegoś innego sposobu, by zatrzymać go, nim dotrze do brzegu i schroni się w wodzie.

Rewolwery, które Gordon i Briant chwycili zbiegając ze szkunera, nie zdałyby się tu na nic, gdyż

kula nie przebije skorupy żółwia. A gdyby chłopcy, chwyciwszy siekiere, próbowali go zarąbać, schowałby głowę i łapy pod skorupę.

– Jest tylko jeden sposób – powiedział Gordon – musimy go przewrócić na grzbiet.

– Ale jak? – zdumiał się Service. – On waży ze trzysta funtów i nigdy nie potrafimy...

– Drągi!... Dajcie drągi! – wykrzyknął Briant. I pognął co sił, a za nim Moko, ku jachtowi.

Żółw oddalony był już od brzegu nie więcej niż o trzydzieści kroków. Toteż Gordon zсадził szybko Costara i Dole'a trzymających się kurczowo skorupy. Wszyscy chłopcy zaczęli ciągnąć za linę z całych sił, ale nie zdołali zatrzymać żółwia, któremu wystarczyłoby na pewno sił, by holować za sobą całe kolegium Chairmana.

Szczęściem Briant i Moko wrócili, nim zwierzę dotarło do morza.

Chłopcy wetknęli dwa drągi pod skorupę i za pomocą tych lewarów odwrócili zwierzę na grzbiet, nie bez wielkiego wysiłku. Żółw dostał się naprawdę do niewoli, o własnej bowiem mocy nie mógł stanąć na nogi.

Zresztą, w momencie gdy chował głowę, Briant dał mu po niej siekiere tak celnie, że zwierzę straciło życie w jednej chwili.

– No i cóż, boisz się jeszcze tego potwora? – zagadnął Briant Costara.

– Nie... nie... bo już nie żyje.

– Świetnie! – ozwał się Service. – Ale założę się, że nie odważysz się zjeść ani kawałka mięsa z tej bestii.

– A to jadalne?

– Oczywiście.

– No to będę jadł, jeśli się okaże smaczne! – powiedział Costar łykając ślinę.

– Mięso żółwia jest wyborne – oświadczył Moko, i nie przesadzał wcale, utrzymując, że jest to niezwykle delikatna potrawa.

Niepodobna było zanieść kolosa na jacht – należało go ćwiartować na miejscu. Czynność odrażająca, ale młodzi rozbitkowie przywykali z wolna do pewnych, nieraz bardzo przykrych stron życia Robinsonów. Najtrudniej było roztrzaskać twardą jak metal skorupę, na której wyszczerbiłoby się ostrze każde siekiery. Chłopcy dokazali tego wbijając dłuta w spojenie płytek. Po czym pokrajane na kawałki mięso zanieśli na jacht. I tego wieczora wszyscy przekonali się, że zupa żółwiowa jest wyśmienita, nie mówiąc już o kotletach z rusztu, które chłopcy pochłonęli w mig, jakkolwiek Service przypalił je trochę na zbyt silnym ogniu. Phann okazał też na swój sposób zadowolenie z wybornej kolacji, dowiódłszy, że psi ród nie gardzi bynajmniej resztkami żółwia.

Żółw dostarczył im około pięćdziesięciu funtów mięsa, dzięki czemu zaoszczędzili na konserwach.

Życie rozbitków nie uległo większym zmianom, choć marz już się kończył. Przez ostatnie trzy tygodnie chłopcy pracowali jak najpilniej, licząc się z tym, że wypadnie im zapewne pozostać dłużej na tym odcinku wybrzeża. Należało teraz, nim nadejdzie zima, rozstrzygnąć ważną kwestię: wyspa czy kontynent?

Dzień 1 kwietnia wróżył wyraźnie rychłą zmianę pogody, barometr wznosił się wolno i suchy, cichnący chwilami wiatr owiewał ziemię. Niepodobna było mylić się co do owych zwiastunów ciszy morskiej mającej potrwać zapewne czas dłuższy. Warunki sprzyjały więc wyprawie w głąb lądu.

Starsi chłopcy omówili tego dnia szczegóły wycieczki, której wagę doceniał każdy, i po krótkiej dyskusji przystąpili do przygotowań.

– Przypuszczam – powiedział Doniphan – że nic nie stanie na przeszkodzie, byśmy wyruszyli jutro rano?

– Mam nadzieję, że nie – zgodził się Briant. – Musimy być gotowi w każdej chwili.

– Jeśli dobrze pamiętam – odezwał się Gordon – pasmo wód, które spostrzegłeś na wschodzie, znajdowało się w odległości sześciu albo siedmiu mil od cypla...

– Tak – odparł Briant – ale z naszego obozowiska może być tam znacznie bliżej, bo zatoka wrzyna się głęboko w ląd.

– No to wasza wycieczka nie potrwa dłużej niż dobę? – zagadnął Gordon.

– Owszem, jeśli będziemy mogli posuwać się w linii prostej na wschód. Tylko czy uda nam się przedrzeć przez lasy, gdy okrążymy urwisko?

– Takie trudności nas nie powstrzymają! – rzucił Doniphan.

– Przypuśćmy – zgodził się Briant. – Ale jeszcze inne przeszkody mogą nam zamknąć drogę, na przykład strumień, bagna czy ja wiem wreszcie co? Przeworność radzi, by zaprowiantować się na kilka dni, bo kto wie, ile czasu potrwa ta ekspedycja...

– Trzeba zabrać broń – wtrącił Wilcox.

– To się samo przez się rozumie – powiedział Briant. – A prócz tego musimy się umówić z tobą, Gordon, że nie będziesz się niepokoił, jeśli nie wrócimy nawet za dwa dni...

– Niepokoję się nie widząc was choćby przez pół dnia. Ale to nie ma nic do rzeczy. Skoro postanowiliście wyruszyć na tę wycieczkę, to idźcie. Zresztą celem powinno tu być nie tylko morze, które dojrzałeś na wschodzie. Należałoby też zbadać wschodni stok płaskowyżu. Z tej strony nie znaleźliśmy żadnych grot, a jeśli chcemy opuścić „Sloughi”, musimy poszukać schronienia osłoniętego od wichru znad pełnego morza. Nie wydaje mi się możliwe przetrwać zimę na tej plaży...

– Masz rację, Gordon – odparł Briant. – Poszukamy jakiegoś miejsca zdatnego na schronienie...

– Jeżeli nie okaże się, że będziemy mogli opuścić na zawsze tę domniemaną wyspę! – zauważył z naciskiem Doniphan nawiązując ze zwykłym uporem do swojej koncepcji.

– Oczywiście, chociaż spóźniona pora wcale temu nie sprzyja! – odpowiedział Gordon. – Zresztą zrobimy to, co będzie dla nas najkorzystniejsze. A więc jutro ruszacie w drogę.

Przygotowania nie zabrały chłopcom wiele czasu. Żywność na cztery dni ułożyli w torbach przewieszonych przez ramię, cztery strzelby, cztery rewolwery, dwie siekiery, kompas, luneta o dalekim zasięgu wynoszącym trzy do czterech mil, plecy, drobne przybory, knoty hubkowe, krzesiwo, zapałki – ekwipunek ten winien starczyć na niezbyt długą, ale kto wie, czy zupełnie bezpieczną wyprawę. Toteż Briant i Doniphan, a także Service i Wilcox, którzy mieli im towarzyszyć, przyrzekli mieć się stale bacności, posuwać się naprzód z największą ostrożnością i nigdy się nie rozłączać.

Gordon zdawał sobie sprawę, że powinien właściwie, z uwag, na Brianta i Doniphana, wziąć udział w ekspedycji. Ale wydało mu się, że roztropniej będzie pozostać na „Sloughi”, aby czuwać, nad młodszymi kolegami. Wziąwszy Brianta na stronę, wyjednał u niego obietnicę, że będzie unikał wszelkiej okazji do waśni czy kłótni.

Przepowiednie barometru nie zawiodły. Nim zapadł zmierzch, resztki chmur pomknęły ku zachodowi i znikły. Półokrąg wód przytykał od tej strony do niezwykle czystego horyzontu. Wspaniałe konstelacje półkuli południowej jarzyły się na niebie, a wśród nich piękny Krzyż Południa, przyświecający arktycznemu biegunowi wszechświata.

W przeddzień rozstania Gordonowi i jego kolegom ścisnęły się serca. Ileż podczas tej wyprawy może się zdarzyć poważnych a nieprzewidzianych wypadków! Błądząc wzrokiem po niebie; chłopcy wybiegali myślą ku rodzicom, krewnym i ojczyźnie, których być może nigdy już nie zobaczą...

Rozdział VII

*Brzezina – Na krawędzi urwiska – Poprzez lasy – Zapora wodna – Rzeka przewodnikiem –
Nocne obozowisko – Ajupa – Błękitna smuga – Phann gasi pragnienie*

Briant, Doniphan, Wilcox i Service wyszli z obozowiska o siódmej rano. Słońce, wędrując po bezchmurnym niebie, zapowiadało jeden z owych pięknych dni, jakimi październik darzy niekiedy na półkuli północnej mieszkańców strefy umiarkowanej. Nie groził zbyt upał ani chłód. Gdyby jakaś przeszkoda miała zatrzymać lub opóźnić marsz, wynikałaby jedynie z samego ukształtowania terenu.

Młodzi wędrowcy przebyli na skos plażę, kierując się ku podnóżu urwiska. Gordon doradził chłopcom, by zabrali Phanna, którego instynkt mógł im oddać nieocenione przysługi; inteligentne zwierzę wzięło więc udział w wyprawie.

Po kwadransie czterej chłopcy zapuścili się w las, który szybko przebyli. Ptaki fruwały między drzewami. Ale że nie wolno było tracić czasu na gonitwę za nimi, Doniphan pohamował swoje zapędy myśliwskie i oparł się pokusie. Nawet i Phann pojął w końcu, że na darmo zużywa siły biegnąc tam i z powrotem, i szedł u boku chłopców nie oddalając się więcej, niż wymagała tego rola zwiadowcy.

Plan był następujący: jeżeli nie udałoby się wdrzeć na urwisko, chłopcy zamierzali wędrować wzdłuż niego. Gdyby się to powiodło, skierują się wprost na smugę wód dostrzeżonych przez Brianta. Nie była to wprawdzie droga najkrótsza, ale najpewniejsza. Nadłożenie zaś jednej czy dwóch mil nie mogło sprawić kłopotu silnym i wytrawnym piechurom.

Pod ścianą urwiska Briant rozpoznał miejsce, gdzie obaj z Gordonem zatrzymali się podczas pierwszej wycieczki. W południowej części owego wapiennego muru nie było żadnego przejścia, należało więc skierować się na północ, by znaleźć dostępną przełęcz, choćby nawet wypadło dotrzeć aż do cypla. Ryzykowali stratą całego dnia, ale i tak nie sposób byłoby postąpić inaczej, gdyby się okazało, że cała zachodnia ściana płaskowyzu jest nie do przebycia.

Briant wyjaśnił to kolegom, a Doniphan, spróbowałszy bezskutecznie wspiąć się na skarpe, nie zgłosił sprzeciwu. Wszyscy czterej podążyli dalej wzdłuż urwiska, z którym graniczyły ostatnie rzędy drzew.

Szli tak około godziny; Briant, przypuszczając, że będą musieli dotrzeć do cypla, zaczął się niepokoić, czy przejście między rafami okaże się jeszcze dostępne. Czy o tej porze przybierające wody nie zalały już całkowicie plaży? Wędrowcy musieliby zmarnować pół dnia, czekając, aż odpływ odsłoni przybrzeżne skały.

– Spieszmy się – powiedział Briant wyjaśnwszy kolegom, dlaczego należało wyprzedzić przyływ.

– Phi! – skrzywił się Wilcox. – Będzie tam wody najwyżej po kostki!

– Aha, najpierw po kostki, potem po piersi, a wreszcie po uszy! – odrzekł Briant. – Nie zapominaj, że poziom wód wzrasta podczas przyływu najmniej o pięć do sześciu stóp. Naprawdę, zdaje mi się, że powinniśmy byli pójść wprost na cypel.

– Czemuś nam tego nie zaproponował? – ozwał się Doniphan. – Przecież ty jesteś naszym przewodnikiem i jeśli się spóźnimy, to z twojej winy.

– Niech i tak będzie, Doniphan! W każdym razie nie wolno nam tracić już ani chwili. A gdzie jest Service?

I zawołał:

– Service! Service!

Chłopca nie było w pobliżu. Odszedł zabrawszy swojego przyjaciela Phanna i zniknął za skalnym występem, o sto kroków w prawo.

Ale niemal w tym samym momencie dobiegły chłopców okrzyki Service'a i szczekanie psa. Czyżby groziło im jakieś niebezpieczeństwo?

Briant, Doniphan i Wilcox podbiegli w oka mgnieniu do kolegi stojącego pod skalnym rumowiskiem, powstałym tutaj już dawno wskutek obsunięcia się ściany płaskowyzu. Z powodu ustawicznego sączenia się wody albo po prostu zmian klimatycznych wapien rozkruszył się tworząc od grani aż do podstawy jakby przepołowiony lej. W pionowej ścianie widniała stożkowata gardziel o zboczach nachylonych pod kątem 40° do 50°. Ponadto nierówności i występy tworzyły tu jakby stopnie, po których łatwo byłoby się wspiąć. Chłopcy, zwinni i wygimnastykowani, mogliby bez większego trudu dotrzeć do grani, jeśliby pod ich nogami nie obsunęły się na nowo głązy.

Nie zawahali się, choć było to niebezpieczne.

Doniphan pomknął pierwszy na kamienne usypisko spiętrzone u podnóża.

– Zaczekaj! Zaczekaj! – zawołał Briant. – To przecież nieostrożność!

Ale Doniphan nie usłuchał; miłość własna nakazywała mu prześcignąć kolegów, zwłaszcza Brianta. Niebawem znalazł się w połowie wysokości leja.

Koledzy poszli w jego ślady; wspinając się za nim, obierali takie odcinki, by nie znajdować się tuż pod Doniphanem; strącał on kamienie, które tocząc się i podskakując mogłyby ugodzić któregoś z nich.

Wszystko odbyło się pomyślnie, a Doniphan miał tę satysfakcję, że postawił stopę na krawędzi urwiska, zanim znaleźli się tam inni!

Wydobył lunetę z pokrowca i wodził nią po lasach, które, jak okiem sięgnąć, rozpościerały się na wschodzie.

Otwierała się tutaj ta sama panorama zieleni i błękitu nieba, którą Briant oglądał z cypla – jednakże mniej rozległa, ponieważ przyładek wznosił się o jakieś sto stóp wyżej od grani urwiska.

– No i co? – spytał Wilcox. – Co widzisz?

– Nie widzę nic szczególnego – odparł Doniphan.

– No, to ja teraz popatrzę – powiedział Wilcox.

Doniphan oddał lunetę koledze, nie ukrywając zadowolenia, które odmalowało się na jego twarzy.

– Nie widzę ani śladu morza! – powiedział Wilcox opuszczając lunetę.

– Prawdopodobnie dlatego – dorzucił Doniphan – że nie ma tu morza. Briant, przyjrzyj się teraz i ty, a przyznasz, żeś się pomylił.

– To zbyt cenne! – odparł Briant. – Wiem na pewno, że mam rację.

– To przechodzi wszelkie pojęcie!... Przecież my naprawdę nic nie widzimy...

– Naturalnie, bo płaskowyż jest niższy od cypla, a to zmniejsza pole widzenia. Gdybyśmy się znajdowali na tej wysokości, gdzie ja wtedy byłem, dostrzeżelibyśmy niebieskawe pasmo w odległości sześciu albo siedmiu mil. Zobaczylibyście, że znajduje się tam, gdzie już je zauważyłem, i niepodobna wziąć go za smugę mgieł.

– Łatwo tak mówić... – zauważył Wilcox.

– Łatwo się też o tym przekonać – rzucił Briant. – Przejdźmy płaskowyż, przedostaniemy się przez lasy, maszerujmy prosto przed siebie, aż dotrzemy...

– Ba, moglibyśmy tak zejść bardzo daleko – przerwał Doniphan – a nie wiem, doprawdy, czy warto...

– To zostań tutaj – powiedział Briant, który pamiętając zalecenia Gordona panował nad sobą, jakkolwiek irytowała go zła wola kolegi. – Zostań, Service i ja pójdziemy dalej sami...

– My też pójdziemy! – uciął Wilcox. – Doniphan, ruszajmy w drogę.

– A kiedy zjemy śniadanie? – odezwał się Service. Istotnie należało najeść się do syta przed dalszą drogą. Zabrało to pół godziny, po czym chłopcy ruszyli znowu.

Szybko pokonali pierwszą milę. Nie napotkali żadnych przeszkód na tym terenie porośniętym trawą. Tu i ówdzie ukazywały się kamieniste wzgórki, pokryte mchami i porostami. Występowały z rzadka kępy krzewów zgrupowanych jakby gatunkami: tu paprocie drzewiaste albo widłaki, tam wrzos, kwaśnica, ostrókrzew o liściach jak ze stali albo twardolistny berberys pleniący się nawet w okolicach podbiegunowych.

Przewędrowawszy płaskowyż Briant i jego koledzy z niemałym trudem zsunęli się z przeciwległego stoku, niemal tak samo stromego i wysokiego jak od strony zatoki. Gdyby nie łożysko wyschłego strumienia, które biegło krętą linią po zboczu łagodząc nieco stromiznę, musieliby zawrócić w stronę cypla.

W lesie marsz stał się bardziej uciążliwy: krzewiła się tu bujna roślinność, wysokie, zjeżone trawy broniły dostępu. Powalone drzewa zagradzały często przejścia, a poszycie było tak gęste, iż chłopcy musieli torować sobie drogę. Niby pionierzy, którzy zapuszczają się w lasy Nowego Świata*, młodzi rozbitkowie walili siekierami bez wytchnienia. Zatrzymywali się bardzo często, walcząc z wciąż nowymi przeszkodami. Stąd powstało znaczne opóźnienie, a przebyta od rana do wieczora droga wyniosła najwyżej cztery mile.

Zdawało się, że nikt dotąd nie wdarł się pod sklepienie tej puszczy. Nie widniał tu żaden ślad ludzkiej stopy, nikt nie wydeptał choćby najwęższej ścieżki. Wiek albo wichura, a nie ludzka ręka, obalały drzewa. Trawa, zgnieciona gdzieś, świadczyła wymownie, że przemknęły tędy

niedawno jakieś zwierzęta sporych rozmiarów; chłopcy dostrzegli je, ale umknęły, nim zdążyli je rozpoznać. Zapewne nie należały do najgroźniejszych, skoro uciekały tak szybko.

Doniphan z pewnością niejedną raz chwyciłby za strzelbę i posłał kulę któremuś z tych płochliwych czworonogów – tak świerzbiała go ręka! Ale rozsądek brał górę i Briant nie potrzebował przekonywać kolegi, że huk wystrzału mógłby zdradzić ich obecność.

Jakkolwiek Doniphan pojmował doskonale, iż musi nakazać milczenie swojej ulubionej strzelbie, sposobności dobycia z niej głosu nie brakło. Co krok zrywały się stada kusaków; ptaków o bardzo delikatnym mięsie, to znowu gromady czubatek; prócz nich dzikie gęsi, kurki wodne, nie mówiąc o innym ptactwie, które” można było zabijać setkami.

Słowem – gdyby chłopcy musieli zatrzymać się tu dłużej, nie zabrakłoby im żywności, bo łowy dałyby wspaniały łup. Stwierdziwszy to na początku, Doniphan postanowił powetować sobie później wstrzeźliwość, którą narzuciły mu okoliczności.

Drzewa rosnące w tym lesie należały w większości do różnych odmian brzozy i buka – ich jasnozielone korony wznosiły się na sto stóp nad ziemią. Spośród nich wystrzelały cyprysy, mirty o niezwykle twardych, czerwonych pniach, wspaniałe kępy krzewów zwanych „winters”, których kora wydziela aromat przypominający woń cynamonu.

O drugiej chłopcy znalazłszy się na wąskiej polanie przeciętej niezbyt głębokim strumykiem – w Ameryce Północnej potok taki nazywa się „creek” – zatrzymali się znów na dłuższy postój. Krystaliczne wody strumyka toczyły się wolno po łożysku usłanym czarniawymi głazami. Spoglądając na spokojny i płytki nurt strumienia, którego biegu nie hamowały kłody drzew ani nie zarastała trawa, można było przypuszczać, że nie opodal znajdują się jego źródła. Z łatwością można się było przeprawić przez ów strumień, stąpając po głazach wystających ponad wodę. A nawet w jednym miejscu płaskie kamienie ułożone były tak symetrycznie, iż musiało to zwrócić uwagę chłopców.

– Osobliwe – powiedział Doniphan.

Istotnie był to rodzaj kamiennej grobli łączącej oba brzegi.

– Można by pomyśleć, że to tama! – wykrzyknął Service gotując się, by po nich przebiec.

– Zaczekaj! Zaczekaj! – powstrzymał go Briant. – Musimy się najpierw zorientować, jak są ułożone te płyty.

– Niepodobna uwierzyć, że same się tak ułożyły – ozwał się Wilcox.

– Nie – odrzekł Briant. – Zdaje się, że ktoś chciał tu wybudować wygodne przejście z jednego brzegu na drugi... Obejrzyjmy to z bliska.

Chłopcy zbadali starannie poszczególne odcinki wąskiej grobli, która wynurzała się z wody zaledwie na kilka cali, a w porze deszczowej musiała być z pewnością zatopiona.

Czy można było twierdzić, że człowiek ułożył w ten sposób płyty, aby ułatwić sobie przeprawę na drugi brzeg? Czy lepiej było przyjąć, że głązy, spychane w okresie powodzi wezbranymi wodami, spiętrzyły się tu z wolna, aż utworzyły naturalny próg? Było to najprostsze wytłumaczenie pochodzenia grobli, toteż Briant i jego koledzy, dokonawszy szczegółowych oględzin, zgodzili się na taką koncepcję.

A dodać trzeba, że ani lewy, ani prawy brzeg rzeczki nie wskazywał na to, by na polanie stanęła kiedykolwiek ludzka stopa.

Strumyk płynął na północny wschód, a więc w kierunku przeciwnym do zatoki. Czyżby wpadał do morza, które Briant dostrzegł z cypla?

– Prawdopodobnie potok ten jest dopływem jakiejś większej rzeki, płynącej na zachód – rzekł Doniphan.

– Przekonamy się o tym wkrótce – odparł Briant uznawszy, że nie warto wszczynać dysksji. – A tymczasem wydaje mi się, że powinniśmy iść brzegiem, póki strumień będzie płynął na wschód, jeśli oczywiście nie okaże się zbyt kręty.

Czterej chłopcy puścili się w dalszą drogę; przedostali się groblą na drugi brzeg, obawiając się, czy przeprawa w dolnym biegu strumienia nie okaże się trudniejsza.

Łatwo było posuwać się wzdłuż potoku, z wyjątkiem tych miejsc, gdzie korzenie drzew sterczały nad wodą, a gałęzie sięgały przeciwległego brzegu. Jakkolwiek strumień skręcał niekiedy gwałtownie, jego ogólny kierunek sprawdzany kompasem pozostał nadal ten sam: z zachodu na wschód. Ujście zaś znajdowało się prawdopodobnie jeszcze daleko, o czym świadczył jednostajny, powolny nurt potoku.

Około wpół do szóstej Briant i Doniphan stwierdzili z żalem, że strumień zmienia kierunek skręcając wyraźnie ku północy. Gdyby trzymali się nadal jego brzegu jak nici przewodniej, mogliby zajść daleko, odsuwając się jednocześnie od celu wyprawy. Postanowili tedy zgodnie porzucić brzeg potoku i ruszyć prosto na wschód, przedzierając się przez zwarty brzozywy i bukowy gąszcz.

Marsz stał się bardzo uciążliwy. Zanurzywszy się w wysoką trawę, sięgającą często ponad głowy, musieli ciągle się nawoływać, aby nie pogubić się wzajemnie.

Briant niepokoił się coraz bardziej, gdyż nic nie wskazywało na bliskość morza, chociaż wędrowali już cały dzień. Czyżby padł ofiarą złudzenia, wtedy gdy z cypla badał horyzont?

„Nie! Nie! – mówił do siebie. – Na pewno się nie myliłem! Tak się nie mogło zdarzyć! To być nie może...”

Nie dotarli jeszcze do skraju lasu, choć zbliżała się już siódma wieczór, a ciemności zapadły tak głęboko, iż nie sposób było posuwać się dalej.

Briant i Doniphan postanowili zatrzymać się i spędzić noc pod osłoną drzew, posiliwszy się solidnymi porcjami peklowanej wołowiny i otuliwszy się pledami. Mogliby też rozpalić sute

ognisko, które chroniłoby ich przed atakami dzikich zwierząt. Ale blask płomienia zdradziłby ich obecność tubylcom, gdyby ci mieszkali w pobliżu.

– Lepiej nie ryzykować – powiedział Doniphan.

Wszyscy podzielili jego zdanie i zakrzętnęli się koło kolacji. Apetyt im dopisywał. Dokonawszy poważnego uszczerbku w zapasach żywności, układali się właśnie do snu u stóp olbrzymiej brzozy, kiedy Service zauważył gąszcz krzewów, ciasno splecionych ze sobą, o kilka kroków od prowizorycznego obozowiska. Z owej gęstwiny wynurzało się niezbyt wysokie drzewo, którego dolne gałęzie zwisały tuż nad ziemią. Jakkolwiek chłopcom trudno było rozeznąć się w szczegółach z powodu gęstych ciemności, zaszyli się w tym gąszczu wysłanym suchymi liśćmi i zasnęli smacznie, otuliwszy się pledami. Bezsenność rzadko kiedy trapi młodzież. Toteż nie zbudzili się ani razu aż do rana, a Phann, którego obowiązkiem było czuwać, poszedł także w ślady swoich opiekunów.

Mimo to pies zawarczał groźnie kilka razy. Prawdopodobnie jakieś zwierzęta włóczyły się po lesie, ale nie zbliżyły się do obozowiska.

Service pierwszy wygramolił się z gąszczu i natychmiast rozległy się jego wrzaski, a raczej okrzyki zdumienia:

– Briant! Doniphan! Wilcox! Chodźcie tutaj!

– Co się stało? – spytał Briant.

– Cóż tam znowu? – niecierpliwiał – się Wilcox. – Ten chłopak wciąż wrzeszczy i napędza nam strachu!

– No, dobrze, już dobrze! – uspokoił ich Service. – Ale chodźcie zobaczyć, gdzieśmy spali.

Nie był to wcale gąszcz krzewów, ale szałas spleciony z gałęzi, taki jaki Indianie nazywają „ajupa”. Ajupę zbudowano najwidoczniej dość dawno – zarówno jej dach, jak i ścianki nie runęły dotąd tylko dlatego, że wspierały się o drzewo. Jego liście stroiły świeżą zielenią ów szałas, podobny do tych, w których mieszkają plemiona tubylcze Ameryki Południowej.

– A więc ktoś tu mieszka – powiedział Doniphan rozglądając się szybko wokół.

– Przynajmniej był tutaj – odparł Briant. – Bo ajupa nie zbudowała się sama.

– Teraz wiadomo, skąd się wzięła grobla na strumieniu! – zauważył Wilcox.

– Ach, tym lepiej! – wykrzyknął Service. – Jeśli mieszkają tutaj jacyś ludzie, to są bardzo poczciwi, bo zbudowali specjalnie dla nas ajupę, abyśmy mieli gdzie przenocować!

W rzeczywistości nie było pod słońcem nic bardziej zwodniczego niż twierdzenie Service’a, że mieszkańcy tej ziemi są poczciwymi ludźmi. Jedno natomiast było oczywiste: że tubylcy odwiedzali albo odwiedzili te lasy w czasach mniej lub więcej odległych. Owymi tubylcami mogli być Indianie, jeśli ląd ten należał do Nowego Świata, albo Polinezyjczycy, być może kanibale, jeśli była to jedna z

wysp Oceanii. Ostatnia ewentualność groziła straszliwym niebezpieczeństwem – koniecznie więc należało tę kwestię rozstrzygnąć.

Briant miał już zamiar wyruszyć w drogę, kiedy Doniphan zaproponował, by zbadać najdokładniej szłaś, który zresztą zdawał się od dawna opuszczony.

Kto wie, czy nie znajdzie się tam jakiś przedmiot, narzędzie lub naczynie, którego pochodzenie uda się ustalić?

Przetrzęsali starannie legowisko z suchych liści, którymi wymoszczona była ajupa, i w kącie szłaś Service znalazł glinianą skorupę z rozbitej miski czy dzbana. Był to co prawda nowy ślad pracy człowieka, ale nic ponadto. Chłopcy ruszyli więc w dalszą drogę.

O wpół do ósmej wędrowcy z busołą w dłoni pomaszerowali wprost na wschód. Pochyłość terenu zaznaczała się lekko. Szli wolno, bardzo wolno dwie godziny, przedzierając się przez chaszczę i wysokie trawy, torując sobie drogę siekierami.

Wreszcie przed dziesiątą oczom ich ukazał się widok odmienny niż dotychczasowa gęsta zasłona drzew. Za skrajem lasu rozpościerała się rozległa równina porośnięta lentyszkami, tymiankiem i wrzosem. O pół mili na wschód opasywała ją półkolistą smuga piasków, o które rozpryskiwały się łagodne fale. Morze, dostrzeżone kiedyś przez Brianta, rozlewało się aż po horyzont...

Doniphan milczał. Pycha nie pozwalała mu uznać bez walki, że kolega ma rację.

Tymczasem Briant, obojętny na własny triumf, badał okolicę przytknąwszy lunetę do oka.

Wybrzeże, oświetlone ostro od północy, wyginało się tam nieco w lewo.

Na południu rozciągała się taka sama panorama z tą tylko różnicą, że linia brzegu była silniej wygięta.

Nie było się co łudzić! Rozwiały się wątpliwości! Sztorm rzucił szkuner nie na brzegi kontynentu, lecz na wyspę i trzeba było rozstać się z jakąkolwiek nadzieją ratunku... chyba że pomoc nadejdzie z zewnątrz.

Żaden inny ląd nie pojawiał się w polu widzenia. Wydawało się, że wyspa, zagubiona wśród bezmiarów oceanu, jest zupełnie samotna!

Tymczasem Briant, Doniphan, Wilcox i Service, przeciąwszy łąkę, która przytykała do plaży, zatrzymali się u stóp piaszczystego pagórka. Zamierzali wybrać się po śniadaniu przez las ku zatoce. Może, przyspieszając kroku, zdołają przed nocą dotrzeć do „Sloughi”.

Podczas posiłku, który upłynął w niewesołym nastroju, wymienili zaledwie kilka zdań.

Wreszcie Doniphan, podniósłszy strzelbę i torbę podróżną, wstał i powiedział tylko jedno słowo:

– Idziemy.

Objąwszy ostatnim spojrzeniem morze, kierowali się już ku łące, gdy Phann popędził w podskokach w stronę plaży.

– Phann! Do nogi! Phann! – krzyknął Service.

Ale pies biegł dalej, obwąchując wilgotny piasek. Po czym jednym susem skoczył między drobne fale i zaczął chciwie pić.

– On pije! Pije! – zdumiał się Doniphan.

W mgnieniu oka przebiegł przez plażę i podniósł do warg trochę wody... Była słodka!

A więc te rozległe wody, sięgające na wschodzie aż po horyzont... to jezioro... to wcale nie morze!

Rozdział VIII

Rekonesans nad zachodnią częścią jeziora – Marsz wzdłuż brzegu – Strusie – Spokojna noc – Występ urwiska – Grobla – Szczątki czółna – Napis – Jaskinia

Rozbitkowie nie rozstrzygnęli więc ważnej kwestii, od której zależało ich ocalenie. Nie było teraz cienia wątpliwości, iż domniemane morze było olbrzymim jeziorem. Ale czyż jezioro to mogło znajdować się na wyspie? Czy prowadząc dalsze badania chłopcy nie dotrą, obszedłszy jezioro, do prawdziwego morza, którego nie będą w stanie przebyć?

Jezioro było dość rozległe, skoro powierzchnia wód stykała się z niebem – zwrócił na to uwagę Doniphan – na przestrzeni trzech czwartych widnokręgu. Było więc bardzo prawdopodobne, że chłopcy znajdowali się na lądzie stałym, a nie na wyspie.

– Przypuszczalnie nasz „Sloughi” rozbił się u wybrzeży Ameryki – zauważył Briant.

– Domyślałem się tego od początku – odparł Doniphan. – I chyba się nie pomyliłem.

– W każdym razie to, co dostrzegłem na wschodzie, okazało się wodą...

– Zgoda. Ale to nie morze!

Odpowiedź ta świadczyła raczej o próżności Doniphana niż o pragnieniu pogodzenia się z kolegą. Briant nie spierał się dłużej – Zresztą lepiej było dla wszystkich, żeby się istotnie pomylił. Wyspa byłaby dla nich więzieniem, a ląd stały nie. Jednakże dłuższą wyprawę na wschód należało odłożyć do stosowniejszej pory roku. Trudności, na jakie czterej chłopcy natknęli się prze bywając tę niewielką, wynoszącą zaledwie kilka mil przestrzeni między obozem nad zatoką a jeziorem, wzrosłyby znacznie, gdyby wypadło odbyć o wiele dłuższą wędrówkę, i to razem z młodszymi

kolegami. Była już połowa kwietnia, a na półkuli południowej zima zjawia się wcześniej niż na północnej. Nie sposób było; myśleć o takiej ekspedycji przed nadejściem wiosny.

A jednak dalszy pobyt w zatoce, chłostanej ustawicznie zachodnimi wichurami znad pełnego morza, był niemożliwy. Już pod koniec miesiąca trzeba będzie opuścić szkuner. Skoro więc Gordon i Briant nie odkryli na wschodnim stoku płaskowyżu żadnej jaskini, należało się przekonać, czy w pobliżu jeziora nie znalazłoby się miejsce nadające się do zamieszkania. Rekonesans taki wydawał się konieczny, choć opóźniliby powrót do obozu o dzień lub dwa. Bez wątplenia Gordon będzie się bardzo niepokoił; ale Briant i Doniphan nie zawahali się nawet. Żywności mieli jeszcze na dwie doby; zdecydowali więc, iż powędrują na południe trzymając się brzegów jeziora.

Istniała jeszcze jedna przyczyna skłaniająca chłopców do dalszych poszukiwań.

Tę część terytorium zamieszkiwali kiedyś albo przynajmniej odwiedzali krajowcy. Grobla na strumieniu i ajupa świadcząca, iż jacyś ludzie przebywali w tej okolicy w czasach mniej lub więcej odległych, były dowodami, które należało sprawdzić przed przystąpieniem do zakładania zimowego obozowiska. Kto wie, czy nowe ślady człowieka nie wzbogacą poprzednich odkryć. Czy nie mogło się zdarzyć, iż jakiś rozbitek – jeśli przyjmiemy, że nie byli to krajowcy – żył w tych okolicach aż do chwili, gdy udało mu się dotrzeć do jakiejś osady leżącej na tym kontynencie?

Briant i jego koledzy musieli tylko rozstrzygnąć, czy skierować się na północ, czy na południe. Postanowili ruszyć na południe, gdyż posuwając się w tym kierunku, zbliżali się także do szkunera. Później będą się mogli zorientować, czy nie wypadnie im dotrzeć do południowego krańca jeziora.

Powziąwszy to postanowienie chłopcy puścili się o wpół do dziewiątej w drogę; szli wśród porośniętych trawą wydm, którymi falowała równina obrzeżona od zachodu wałem zieleni.

Phann pomykał przodem, myszkował wśród zarośli i wypłaszał stada kusaków z kęp lentyszku i paproci. Krzewiły się tutaj gęsto czerwone i białe żurawiny oraz dzikie selery. Fuzje niestety musiały milczeć, wydawało się bowiem wielce prawdopodobne, że plemiona tubylcze odwiedzają pobrzeże jeziora.

Posuwając się wzdłuż brzegu, już to między wydmami, już to po piasku, chłopcy przebyli tego dnia bez większego wysiłku dwanaście mil. Nie natknęli się ani razu na ślady krajowców. Ani jeden słup dymu nie wzbił się ponad lasem. Żaden ślad stopy ludzkiej nie odbił się na piasku, który zraszały fale tych wód sięgających po widnokrąg. Zachodni brzeg jeziora zdawał się wschodnim. Wody te były zresztą całkiem puste: ani żagla na horyzoncie, ani pirogi u brzegów. Jeśli nawet okolica ta była kiedyś zamieszкана, teraz wydawała się bezludną.

Co się tyczy zwierząt drapieżnych i przeżuwaczy, to nie pojawiły się one ani razu. Po południu przemknęły kilkakrotnie pod lasem jakieś ptaki, ale podejść do nich było niepodobieństwem. Nie przeszkodziło to Service'owi wykrzyknąć:

– To strusie!

– W takim razie muszą to być młode strusie – powiedział Doniphan – bo są bardzo małe!

– Jeśli to są strusie – ozwał się Briant – i jeśli znajdujemy się na kontynencie...

– Czyżbyś o tym jeszcze wątpił? – zagadnął ironicznie Doniphan.

– Jest to z pewnością kontynent amerykański, bo ptaki te występują na nim w wielkiej obfitości. To wszystko, co chciałem powiedzieć – odparł Briant.

Około siódmej chłopcy zatrzymali się na nocleg. Następnego dnia, jeśli nie natrafiliby na jakieś nieprzewidziane przeszkody, powinni byli wrócić nad zatokę Sloughi – taką bowiem nazwę nadali tej części wybrzeża, gdzie rozbił się szkuner.

Zresztą tego wieczoru niepodobna było posunąć się dalej na południe. W tym miejscu płynęła jedyna z owych rzek biorących początek z jeziora; trzeba było przebyć ją wpław. Ciemności nie pozwalały rozeznąć się dokładnie w topografii okolicy, a zdawało się, że prawy brzeg rzeki był bardzo wysoki.

Po kolacji Briant, Doniphan, Wilcox i Service myśleli już tylko o śnie. Tym razem musieli spać pod gołym niebem, gdyż nie,; natknęli się na żaden szałas. Ale gwiazdy lśniły cudownie, a sierp księżycy chylił się z wolna ku zachodowi.

Spokój panował na jeziorze i na plaży. Czterej chłopcy, ulokowawszy się między olbrzymimi korzeniami buka, zasnęli tak mocno, że nawet huk pioruna nie zdołałby ich zbudzić. Tak samo jak i Phann nie słyszeli szczekania szakali rozlegającego się blisko ani też ryków bardziej odległych, które z pewnością pochodziły z gardzieli drapieżników. W okolicach, gdzie strusie żyją w stanie dzikim, należało obawiać się jaguarów albo kugarów, które można było nazwać lwami i tygrysami Ameryki Południowej. Ale noc minęła bez żadnych wydarzeń. Dopiero przed czwartą rano, nim świt rozjaśnił nieboskłon ponad jeziorem, pies zaczął się wyraźnie niepokoić: warczał głucho i obwąchiwał ziemię, jakby miał zamiar tropić jakąś zwierzynę.

Dochodziła siódma, kiedy Briant obudził towarzyszy otulonych; szczelnie pledami.

Zerwali się natychmiast i podczas gdy Service chrupał kawałek suchara, trzej inni rozglądali się po okolicy.

– Doskonale się stało – powiedział Wilcox – że nie próbowaliśmy wczoraj przepłynąć się przez rzekę. Bylibyśmy wpadli w sam środek trzęsawiska!

– Rzeczywiście – odparł Briant – ogromne moczary ciągną się na południe i nie widać ich końca.

– Spójrzcie! – zawołał Doniphan. – Popatrzcie na te stada kaczek, cyranek i ksyków, które wzbijają się nad powierzchnię bagna! Gdybyśmy zdołali osiedlić się tutaj jeszcze przed zimą, jestem pewien, że nie zabrakłoby nam żywności!

– A dlaczego nie moglibyśmy tu osiaść?... – odparł Briant i skierował się ku prawemu brzegowi rzeczki.

Wznosił się tutaj wysoki płaskowyż opadający pionowo ku rzece. Jego dwa urwiste brzegi stykały

się ze sobą pod kątem prostym – jedna ściana osłaniała koryto rzeczki, druga zaś biegła równolegle do jeziora. Czy płaskowyz ciągnął się ku północnemu zachodowi i czy to on właśnie wznosił się nad zatoką Sloughi? Rozstrzygnąć tę kwestię można było dopiero po dokładnych oględzinach okolicy.

Rzeczka przytykała prawym, szerokim na dwadzieścia stóp brzegiem do podnóży pobliskiego urwiska, lewy zaś jej brzeg, bardzo płaski, ledwie można było wysledzić wśród zalewów, kałuż i trzęsawisk, które pokrywały bagnistą równinę, rozciągającą się na południe, jak okiem sięgnąć. Aby określić ściśle kierunek rzeczki, należało wspiąć się na grzbiet urwiska; Briant postanowił dokonać tego przed wyruszeniem w powrotną drogę. Należało przede wszystkim obejrzeć rzeczkę w miejscu, gdzie zasilaty ją wody jeziora. Mierzyła tutaj najwyżej czterdzieści stóp szerokości, ale bliżej ujścia była zapewne głębsza i szersza po zagarnięciu strumieni mających źródła na trzęsawisku lub na sąsiednich wyżynach.

– Patrzcie, patrzcie! – wykrzyknął Wilcox zatrzymawszy się u podnóża skalnego występu.

Oto co przyciągnęło jego Uwagę: kamienie ułożone w specjalny sposób tworzyły tutaj rodzaj grobli, takiej jaką chłopcy widzieli poprzednio na leśnej polanie.

– Tym razem nie ma już wątpliwości – powiedział Briant.

– A tak! Nie ma już wątpliwości! – zgodził się Doniphan wskazując połamane deski leżące obok tamy.

Były to z pewnością szczątki kadłuba łodzi; dostrzeżono bowiem między innymi zieloną, omszałą belkę, której wygięty kształt wskazywał, że jest on kawałkiem dziobnicy; żelazny pierścień zżarty rdzą tkwił jeszcze na niej.

Nie ruszając się z miejsca, chłopcy rozglądali się wokół, jakby ów człowiek, który posługiwał się czółnem i zbudował groblę, miał się za chwilę ukazać.

Ale nie... Nikt się nie pojawił. Wiele lat musiało upłynąć od chwili, kiedy porzucono tę łódź na brzegu rzeczki. Może ów człowiek, który spędził tutaj część swego życia, powrócił do swoich współplemieńców, a może dopełnił reszty nędznego żywota na tej ziemi, nie zdoławszy jej opuścić.

Łatwo pojąć, jak wielkie wzruszenie ogarnęło chłopców, kiedy znaleźli te dowody bytności człowieka – dowody niezaprzeczone.

Nagle rzuciło im się w oczy dziwne zachowanie się psa. Phann zwęszył z pewnością jakiś trop. Nastawił uszy, bił gwałtownie ogonem; wodząc nozdrzami po ziemi wciskał się pod krzaki. Spójrzcie na Phanna – powiedział Service. Pies coś poczuł – zauważył Doniphan podchodząc do niego.

Phann zatrzymał się z podniesioną przednią łapą i wyciągniętą szyją. Po czym rzucił się nagle między drzewa rosnącej u stóp urwiska od strony jeziora.

Briant i jego koledzy pobiegli za nim. Niebawem zatrzymali się przed starym bukiem, na którego pniu widniały litery i data, wyrzyte w następujący sposób:

Briant, Doniphan, Wilcox i Service staliby tak, milczący i nieruchomi, jeszcze długo, gdyby Phann nie zawrócił nagle i niej zniknął za krawędzią urwiska.

– Phann! Do nogi! – krzyknął Briant.

Pies nie posłuchał i po chwili dobiegło chłopców jego gwałtowne ujadanie.

– Uwaga, koledzy! – powiedział Briant. – Nie rozłączajmy się ani na moment i miejmy się na baczności.

Istotnie należało teraz zachować jak największą ostrożność. Kto wie, czy jakiś oddział krajowców nie znajdował się w pobliżu a obecność ich byłaby nad wyraz niepożądana, gdyby się okazało, że byli to owi okrutni Indianie, którzy są plagą pampasów Ameryki Południowej.

Chłopcy nabili strzelby, ujęli w dłonie rewolwery i stanęli gotowi do obrony.

Po chwili ruszyli naprzód; obszedłszy występ skalny posuwa się wąskim skrawkiem wybrzeża. Nie uszli nawet dwudziestu kroków, kiedy Doniphan pochylił się, by podnieść jakiś przedmiot leżący na trawie.

Była to motyka, której żelazne ostrze ledwie się trzymało na zbutwiałym trzonku, motyka pochodzenia amerykańskiego albo europejskiego, a nie jedno z owych prymitywnych narzędzi polinezyjskich krajowców. Była ona głęboko przeżarta rdzą, tak jak żelazny pierścień na stewie. Leżała więc w tym miejscu od wielu lat.

U stóp urwiska widniały także ślady uprawy jakichś roślin, kilka krzywo wytyczonych grzęd, zagonek, pochrzynu, który niej pielęgnowany od dawna, powrócił do stanu dzikiego.

Nagle ponure wycie przeszło powietrze. W tej samej niemal chwili pojawił się Phann okazując dziwne, zupełnie niewytłumaczalne podniecenie. Obracał się w koło, rzucał się ku swoim młodym opiekunom, spoglądał na nich, szczekał wzywając ich jakby, żeby za nim poszli.

– Znalazł widocznie coś niezwykłego – powiedział Briant, na próżno starając się uspokoić psa.

– Chodźmy tam, dokąd chce nas zaprowadzić – rzekł Doniphan dając znak Wilcoxowi i Service'owi, by za nim podążyli.

O dziesięć kroków dalej pies zatrzymał się przed kępą gęstych zarośli, których gałęzie splatały się

u podnóża urwiska.

Briant podszedł bliżej, chcąc się przekonać, czy w gąszczu tym nie spoczywają ludzkie zwłoki albo zdechłe zwierzę, które Phann zwęszył. Rozgarnąwszy krzaki dostrzegł niewielki otwór.

– Tu jest jaskinia! – wykrzyknął cofając się o kilka kroków.

– Możliwe – odparł Doniphan. – Ale cóż jest w tej grocie?

– Dowiemy się zaraz – powiedział Briant.

I chwyciwszy siekiere jął ścinać krzaki zasłaniające otwór. Nadśluchiwał jednocześnie pilnie, ale nie doszły go żadne podejrzanym szmery.

Service chciał się już wśliznąć w szczelinę, ale Briant powstrzymał go mówiąc:

– Zobaczymy najpierw, jak się zachowa Phann.

Pies poszczekiwał nadal głucho, co oczywiście nie uspokajało chłopców ani trochę.

A jednak gdyby jakaś żywa istota przebywała w grocie, już by na pewno z niej wyszła!

Należało zbadać to dokładnie. Powietrze w grocie mogło być zatrute, Briant podpalił więc garść suchej trawy i rzucił w szczelinę. Trawa rozsypała się po ziemi, ale płonęła żywo, co świadczyło, że powietrze w jaskini nie było szkodliwe dla ludzi.

– Wejdziemy tam? – spytał Wilcox.

– Tak – odparł Doniphan.

Poczekajcie chwilę, trzeba oświetlić jaskinię – powiedział Briant.

Ściął nad brzegiem strumienia smolną gałąź i zapalił ją; po czym wraz z kolegami przecisnął się przez gąszcz.

Wejście do jaskini było wysokie na pięć stóp, a szerokie na dwie; dalej poszerzało się nagle, tworząc grootę wysoką na dwanaście stóp, szeroką zaś na dwadzieścia cztery, o dnie usłanym miłym, bielutkim piaskiem.

Wchodząc do jaskini Wilcox potrącił drewniany taboret ustawiony przy stole, na którym widniało parę naczyń kuchennych: fajansowy dzban, płaskie, szerokie muszle, które zapewne zastępowały talerze, wyszczerbiony nóż, kilka haczyków do wędki, metalowy kubek, pusty podobnie jak dzban. Po przeciwnej stronie stał rodzaj kufra zbitego ze źle dopasowanych desek, w którym mieściły się jakieś łachmany.

Ktoś mieszkał tu kiedyś, nie sposób było o tym wątpić. Ale kto i kiedy? Czy ciało tego człowieka nie leżało w jakimś kącie.

W głębi widniała nędzna prycza przykryta wełnianym, podartym pledem. U wezglowia, na ławce, stał drugi kubek i drewniany lichtarz, w którego otworze tkwił jedynie kawałeczek spalonego knota.

Chłopcy cofnęli się, pomyślawszy, że pod pledem leżą ludzkie zwłoki.

Briant, opanowując odrazę, podniósł pled...

Łóżko było puste.

Chłopcy, silnie poruszeni, powrócili na moment do Phanna, który pozostał przed grotą i ujadł rozpaczliwie.

Uszedłszy ze dwadzieścia kroków w dół rzeki, zatrzymali się nagle. Przerazenie przygwoździło ich do miejsca.

Pod bukiem leżał wśród korzeni ludzki szkielet.

A zatem tutaj umarł ów nieszczęśnik, który spędził zapewne wiele lat w jaskini. Ta prymitywna siedziba, która była mu domem, nie stała się dla niego schronieniem po śmierci.

Rozdział IX

Zwiedzanie grotty – Sprzęty i naczynia – Bola i lasso – Zegarek – Zeszyt prawie nieczytelny – Mapa – Gdzie jesteśmy? – Powrót do obozu – Prawy brzeg rzeki – Trzęsawisko – Sygnały Gordona

Chłopcy milczeli. Kim był ów człowiek zmarły w tym miejscu? Czyżby to był rozbitek, który nie doczekał się nadejścia pomocy? Jakiej był narodowości? Czy był młody, gdy zabłąkał się na ten ląd? Czy zmarł jako starzec? W jaki sposób zaspokajał codzienne potrzeby? Jeśli był rozbitkiem, rzuconym na tę ziemię, cóż stało się z jego towarzyszami? Czy i oni ocaleli z katastrofy? Czy też został sam po ich śmierci? Czy rozmaite przedmioty, znajdujące się w grocie, pochodziły z rozbitego okrętu, czy też zostały własnoręcznie zrobione przez owego nieszczęśnika?

Ileż pytań, na które, być może, nie mieli znaleźć odpowiedzi!

A jedno z nich było bardzo ważne! Skoro ów człowiek znalazł schronienie na kontynencie, czemuż nie dotarł do któregoś z miast leżących w głębi terytorium albo do jednego z nadbrzeżnych portów? Czyż powrót do kraju nastęczał mu tak wielkie trudności i przeszkody, iż nie zdołał ich przezwyciężyć? Czyżby odległość była tak wielka, że uznał ją za niemożliwą do przebycia? To pewne, że wyniszczony wiekiem albo chorobą, padł tutaj, u stóp drzewa, nie zdoławszy dowlec się do jaskini... A jeśli jemu nie starczyło sił, jeśli nie znalazł sposobu, by powędrować daleko w głąb lądu, na wschód albo na północ, jakże poradzą sobie rozbitkowie ze „Sloughi”?

Tak czy inaczej, należało obejrzeć jaskinię bardzo dokładnie. Może były tam jakieś dokumenty,

które mogły dostarczyć dokładniejszych wiadomości o tym, kim był ów człowiek i jak długo tutaj przebywał? Z drugiej zaś strony, warto było się przekonać czy nie można zainstalować się tutaj na zimę, kiedy wypadnie opuścić jacht.

– Chodźmy – powiedział Briant.

Wśliznęli się z Phannem w wąski otwór przyświecając sobie płonąca gałęzią.

Pierwszym przedmiotem, który dostrzegli, była paczka lichych świec – leżały na półce przytwierdzonej do ściany na prawo od wejścia; były one sporządzone z jakiegoś tłuszczu i pakuł. Service zapalił jedną z nich i osadził w drewnianym lichtarzu. Rozpoczęło się przeszukiwanie grotu.

Należało przede wszystkim zbadać jej rozplanowanie, skoro wydawała się zdatną do zamieszkania. Była bardzo przestronna. Chłopcy nie dostrzegli ani śladu wilgoci, jakkolwiek świeże powietrze dostawało się tu jedynie przez otwór wychodzący brzeg rzeki. Na ścianach jaskini, tak suchych, jakby były z granitu, nie widać było żadnych zacieków ani też owych różańce kropelek, z jakich formują się stalaktyty w niektórych grotach wapiennych. Położenie jej chroniło ją od wiatrów morskich. Co prawda światło ledwie się tutaj sączyło, ale przebicie jednego lub dwóch otworów mogłoby łatwo temu zaradzić i jednocześnie zwiększyć dopływ powietrza wystarczającego dla piętnastu osób.

Grota miała dwadzieścia stóp szerokości i trzydzieści długości, była więc nieco za mała, by mogła służyć jednocześnie za sypialnię, jadalnię, magazyn i kuchnię. Ale chodziło przecież o spędzenie tutaj tylko pięciu czy sześciu miesięcy zimowych, po czym rozbitkowie mieli wyruszyć na północny wschód, by dotrzeć do któregoś z miast Boliwii albo Argentyny. Oczywiście, jeśli wypadnie osiedlić się tutaj na stałe, będzie można rozszerzyć pomieszczenie, wykuwając następną groto w miękkim wapieniu. Na razie jednak młodzi rozbitkowie będą musieli zadowolić się jaskinią taką, jaką zastali, aż do nadejścia pory letniej.

Rozpatrzywszy to wszystko Briant sporządził szczegółowy inwentarz znajdujących się w grocie przedmiotów. Co prawda były ich bardzo niewiele! Nieszczęśnik musiał tu przybyć prawie bez niczego. Co zdołał ocalić z katastrofy? Tylko nieforemne kloce, połamane drzewce, części poszycia, z których sporządził legowisko, stół, skrzynię, ławę, zydle – jedyne sprzęty w tym nędznym mieszkaniu. Los obszedł się z nim nie tak łaskawie jak z rozbitkami ze „Sloughi”. Kilka narzędzi, motyka, siekiera, parę naczyń kuchennych, beczułka, w której ongi znajdowała się zapewne wódka, młotek, dwa dłuta, piła – tyle tylko chłopcy na razie znaleźli. Narzędzia te przewiózł na pewno ową łodzią, której szczątki leżały przy grobli na rzece.

O tym wszystkim dumal Briant i myśli swoje wyjawil kolegom. Otrząsnawszy się z trwogi, która ich ogarnęła na widok szkieletu – trwogi tym większej, że obawiali się takiej samej śmierci w opuszczeniu i samotności – pomyśleli, że przecież im nie brakowało tego wszystkiego, na czym zbywało nieszczęśliwcowi, otucha wstąpiła w ich serca.

Kim był ów człowiek? Z jakiego kraju pochodził? Kiedy nastąpiła katastrofa? Nie ulegało wątpliwości, że wiele, wiele lat upłynęło od jego śmierci. Szkielet znaleziony pod drzewem świadczył o tym aż nazbyt wymownie. Ponadto pierścień i siekiera zżarte rdzą, gąszcz krzewów

osłaniający wejście do jaskini – czyż to wszystko nie wskazywało, że rozbitek zmarł bardzo dawno temu?

Po dalszych poszukiwaniach znaleziono nowe przedmioty: jeszcze jeden nóż o kilku połamanych ostrzach, kompas, czajnik, żelazny pal i rożek żeglarski do prac linowych. Ale nie znaleźli żadnych przyrządów żeglarskich – busoli czy lunety – ani też jakiejś broni palnej zdatnej do polowania albo do obrony przed zwierzętami i krajowcami.

Rozbitek, chcąc się utrzymać przy życiu, musiał chyba zastawiać sidła. Zresztą sprawa ta wyjaśniła się, gdy Wilcox zawołał:

– Cóż to jest?

– To? – zdziwił się Service.

– To jakaś gra w kule – powiedział Wilcox.

– Gra w kule? – powtórzył ze zdumieniem Briant.

Ale zorientował się szybko, do czego służyły dwa okrągłe kamienie, które podniósł Wilcox. Był to rodzaj broni myśliwskiej, zwanej „bola”, składającej się z dwóch kul związanych linką; używają jej Indianie Ameryki Południowej. Gdy rzucić bolą wprawną ręką, linka owija się dookoła nóg zwierzęcia uniemożliwiając mu ucieczkę; myśliwy zdobywa wtedy łup bez większego trudu.

Mieszkaniec tej jaskini sam oczywiście sporządził tę broń, podobnie jako laso – długi rzemień, którym myśliwi posługują się w taki sam sposób jak i bolą, ale gdy zwierzę podejdzie bliżej.

Oto inwentarz przedmiotów znalezionych w jaskini. O ileż! Briant i jego koledzy byli bogatsi! Inna rzecz, że byli oni tylko dziećmi, a tamten – dorosłym mężczyzną.

Kim był właściwie ów człowiek? Prostym marynarzem czy też oficerem, który mógł wykorzystać swoją inteligencję rozwiniętą uprzednio studiami?

W głowach legowiska pod rogiem pledu, który Briant odrzucił, Wilcox znalazł zegarek wiszący na gwoździu wbitym w skałę.

Zegarek, nie tak pospolity jak te, które miewają zwykli marynarze, miał podwójną srebrną kopertę, do której przymocowano na takim samym łańcuszku kluczyk.

– Która godzina? Zobaczmy, która na nim godzina! – wykrzyknął Service.

– To nam nic nie powie – rzekł Briant. – Zegarek stanął zapewne na wiele dni wcześniej, nim zmarł ten nieszczęśliwy człowiek!

Briant otworzył z wielkim trudem kopertę, o brzegach pokrytych śniedzią, i zobaczył, że zegarek wskazywał dwadzieścia siedem po trzeciej.

– Ale na tym zegarku wyryte jest czyjeś nazwisko... – zauważył Doniphan. – Dzięki temu moglibyśmy ustalić...

– Masz rację – powiedział Briant.

„Delpeuch, Saint-Malo” – było to nazwisko i adres fabrykanta.

– Francuz, mój rodak! – wykrzyknął ze wzruszeniem Briant. Nie było wątpliwości – jakiś Francuz mieszkał w tej grocie, dopóki śmierć nie położyła kresu jego męczarniom!

Po tym dowodzie znalazł się wkrótce następny, nie mniej ważki; Doniphan odsunawszy pryczę natknął się na poźółkły zeszyt zapisany ołówkiem.

Na nieszczęście, pismo było prawie nieczytelne. Tylko kilka słów zdołano odcyfrować, a między nimi następujące: „Franciszek Baudoin”.

Imię i nazwisko, których początkowe litery rozbitek wyrył na drzewie! Zeszyt zawierał jego codzienne zapiski, od momentu kiedy znalazł się na tym lądzie! Spośród urywków zdań, których czas nie zdołał zatrzeć do cna, Briant odczytał jeszcze dwa wyrazy: „Duguay-Trouin”. Z pewnością była to nazwa okrętu, który rozbił się na tych dalekich wodach Pacyfiku.

Wreszcie, na samym początku, widniała ta sama data, którą wyryto pod inicjałami na drzewie – zapewne data katastrofy.

Upłynęło tedy pięćdziesiąt trzy lata od chwili, gdy Franciszek Baudoin przybił do tych brzegów. I przez długie lata nie otrzymał żadnej pomocy z zewnątrz!

Teraz dopiero chłopcy poznali całą grozę swojej sytuacji. Jakże poradzą sobie z tym, czemu nie podołał dorosły mężczyzna, marynarz nawykły do ciężkiej pracy, zaprawiony w trudach?

Przewracając stronicę zeszytu Doniphan spostrzegł złożoną ćwiartkę papieru, wsuniętą między kartki. Była to mapa wyrysowana atramentem sporządzonym zapewne z wody i sadzy.

– Mapa! – zawołał.

– Franciszek Baudoin prawdopodobnie sam ją naszkicował – dorzucił Briant.

– Jeśli tak, to nie był prostym marynarzem, skoro potrafił narysować mapę... – zauważył Wilcox.

– Czyżby to była... – zaczął Doniphan.

Tak. Była to mapa tych okolic! Na pierwszy rzut oka można było rozpoznać na niej zatokę Sloughi, ławicę raf, plażę, gdzie chłopcy rozłożyli obóz, jezioro, którego zachodnim brzegiem wędrował niedawno Briant i jego koledzy, trzy wysepki wynurzające się z oceanu, płaskowyż biegnący półkuliście aż po brzegi rzeki, lasy porastające środkową część terytorium...

A po przeciwnej stronie jeziora – znowu lasy sięgające aż po wybrzeże... tak, morze oblewało tę

ziemię dookoła.

W taki sposób spełzły na niczym projekty wędrówki na wschód, by tam szukać ratunku, a Briant odniósł zwycięstwo nad Doniphanem! Morze oblewało zewsząd ów domniemany kontynent... Był on wyspą i dlatego Franciszek Baudoin nie mógł się z niego wydostać!

Łatwo było zauważyć, że główne kontury wyspy odtworzono na mapie dość dokładnie. Odpowiednie odległości i długości mogły być oczywiście podane tylko w przybliżeniu, gdyż podstawę obliczeń stanowił czas marszu, a nie pomiary triangulacyjne; sądząc po okolicach, które Briant i Doniphan już znali, a rozpatrując część terytorium między zatoką Sloughi a jeziorek można było stwierdzić, że omyłki nie były znaczne.

Widocznie rozbitek zwiedził całą swoją wyspę, zaznaczył bowiem na mapie wszystkie ważniejsze szczegóły; ajupa zatem i grobla na strumieniu były z pewnością jego dziełem.

Oto topografia wyspy w ujęciu Franciszka Baudoin:

Wyspa była podłużna i przypominała ogromnego motyla z rozłożonymi skrzydłami. Zwężona pośrodku, między zatoką Slough, a zatoką leżącą na wschodzie, miała jeszcze trzecią, bardziej otwartą zatokę na południowym krańcu. Ujęte w ramę rozległych lasów, leżało w głębi lądu jezioro długości około osiemnastu mil a szerokie na pięć mil. Te dość znaczne rozmiary sprawiły, że Briant, Doniphan, Wilcox i Service, znalazłszy się na zachodnim brzegu jeziora, nie dostrzegli ani północnych, ani południowych ani też wschodnich jego wybrzeży. Dlatego na pierwszy rzut oka wzięli jezioro za morze. Brało z niego początek kilka rzecz a wśród nich i strumień, który przepływał pod grota i wpadał do zatoki Sloughi nie opodal obozu. Jediną znaczniejszą wyniosłością był tu płaskowyż, którego zbocze biegło ukośnie nad zatoką, od północnego przylądka aż po prawy brzeg rzeki. Północna część wyspy była, według mapy, jałowa i piaszczysta; na lewym brzeg rzeki rozpościerały się rozległe bagna sięgające aż po ostry cypel wysunięty silnie na południe. Na północnym i południowym wschodzie ciągnął się pas wydm nadających tej części wybrzeża wygląd zupełnie różny od okolic nad zatoką Sloughi.

Wreszcie, na podstawie podziałki wykreślonej u dołu mapy, chłopcy stwierdzili, że wyspa w największej swojej długości (z północy na południe) liczyła około pięćdziesięciu mil, a największa jej szerokość (wschód – zachód) nie przekraczała dwudziestu pięciu mil. Biorąc pod uwagę jej nieregularny kształt, należało przypuszczać, że obwód wyspy wynosił około stu pięćdziesięciu mil.

Niepodobna natomiast było zorientować się co do jej położenia: czy wchodziła w skład któregoś z archipelagów polinezyjskich, czy też otaczał ją zewnątrz bezmiar wód Pacyfiku?

Tak czy inaczej, narzucała się naszym rozbitkom konieczność osiedlenia się na stałe, a nie w sposób prowizoryczny. Jaskinia okazała się doskonałym schronieniem, należało więc przetransportować do niej cały sprzęt, nim wichry zimowe zniszczą jacht do reszty. Trzeba było teraz, nie zwlekając, wrócić do zatoki. Gordon zapewne już się niepokoił przypuszczając, że czterem towarzyszom przytrafiło się coś złego. Upłynęły bowiem trzy dni od ich wyjścia.

Za radą Brianta chłopcy postanowili wyruszyć w drogę jeszcze tego dnia, o jedenastej rano.

Mogli teraz ominąć urwisko: mapa wskazywała wyraźnie, że najlepiej będzie pójść prawym brzegiem rzeki płynącej ze wschodu na zachód; droga ta była najkrótsza. Najwyżej siedem mil dzieliło chłopców od zatoki, a przestrzeń tę mogli przebyć w kilka godzin.

Przedtem jednak postanowili oddać ostatnią posługę zmarłemu Francuzowi. Pod drzewem, na którym Franciszek Baudoin wyrył swoje inicjały, chłopcy wykopali łopatą grób, a drewniany krzyż, wbity w ziemię, oznaczył to miejsce.

Dokonawszy tej zbożnej ceremonii wrócili do jaskini i zasłonili otwór, aby nie wdarły się tam dzikie zwierzęta. Potem zjedli resztkę zapasów i powędrowali prawym brzegiem rzeki, maszerując wzdłuż podnóży urwiska. Po godzinie dotarli do miejsca, gdzie stromy stok oddalał się od brzegu rzeki, zbaczając na północny zachód. Posuwali się dość szybko, gdyż teren nie był zbyt zarosły drzewami, krzakami i chwastami.

Briant nie przestawał obserwować uważnie rzeki przewidując, że będzie ona szlakiem komunikacyjnym między jeziorem a zatoką Sloughi. Wydało mu się, że przynajmniej w górnym jej biegu można będzie holować na linie albo odpychać bosakiem łódź czy tratwę, co ułatwiłoby transport sprzętu, zwłaszcza w czasie przyływu, którego działanie dawało się zauważyć nawet w pobliżu jeziora. Należało stwierdzić, czy na rzece nie było progów i czy w niektórych miejscach nie była ona zbyt wąska i płytka do żeglugi. Były to jednak płonne obawy – na przestrzeni trzech mil od jeziora warunki żeglowności na rzece wydawały się doskonałe.

A jednak, około czwartej, musieli opuścić tę nadbrzeżną drogę, Prawy brzeg rzeki zajmowało na znacznej przestrzeni niebezpieczne trzęsawisko trudne do przebycia. Najrozsądniej więc był puścić się przez las.

Z kompasem w ręku Briant skierował się na północny zachód, aby najkrótszą drogą dotrzeć do zatoki Sloughi. Wybujale trawy tworzyły tutaj nieprzebyty gąszcz, co znacznie utrudniało marsz. Ponadto równo z zachodem słońca zmrok wdarł się pod gruby strop spleciony z gałęzi brzoź, sosen i buków.

Przebyli jeszcze dwie mile borykając się z trudnościami. Po okrążeniu moczarów, które sięgały dość daleko na północ, najlepiej byłoby wrócić nad rzekę wpadającą, według mapy rozbitka do zatoki Sloughi. Wtedy jednak musieliby nadłożyć spory kawał drogi, a Briant i Doniphan nie mieli ochoty tracić tak wiele czasu. Szli więc dalej lasem, lecz około siódmej wieczór nabrali pewności, że zabłądzili.

Czyżby musieli spędzić jeszcze jedną noc pod drzewami? Nie byłoby w tym wielkiego nieszczęścia, gdyby mieli jeszcze zapasy i gdyby głód nie dawał im się porządnie we znaki.

– Chodźmy dalej – powiedział Briant. – Idąc wciąż na zachód, dotrzemy przecież kiedyś do obozu...

– Jeżeli mapa nie podaje fałszywych wskazówek – odparł Doniphan. – Rzeka może wcale nie wpada do zatoki...

– A dlaczegoż to mapa miałaby być nieścista?

– A czemuż by miała być ścista?

Widać było, że Doniphan, nie mogąc dotąd strawić porażki, upierał się przy swoim: nie darzyć zbytym zaufaniem mapy rozbitka. A jednak mylił się. To, co chłopcy wiedzieli już o topografii wyspy, przeczyło twierdzeniu, jakoby mapa Franciszka Baudoin była niedokładna.

Briant uznał, że nie warto na ten temat dyskutować, i chłopcy ruszyli dalej.

O ósmej ciemności stały się nieprzeniknione. Czyż nigdy już nie mieli dotrzeć na skraj tego przeklętego lasu?

Nagle mignęło wśród drzew jaskrawe światło i rozjaśniło niebo.

– Co to jest? – zdumiał się Service.

– Pewnie spadająca gwiazda.

– Nie, to rakiet! – odpowiedział Briant. – Rakiet wystrzelona z pokładu.

– A więc to Gordon daje nam sygnały! – wykrzyknął Doniphan i zaraz odpowiedział wystrzałem z fuzji.

Chłopcy wyznaczyli sobie właśnie kierunek marszu, obierając jedną z gwiazd, kiedy następny błysk rozdarł ciemności; ruszyli tedy żywo w tę stronę i po trzech kwadransach znaleźli się na pokładzie „Sloughi”.

Istotnie Gordon lękał się, że koledzy mogli zabłądzić, i postanowił wystrzelić kilka rakiet, aby wskazać im położenie szkunera.

Gdyby nie ten świetny pomysł, Briant, Doniphan, Wilcox i Service nie mogliby po znojnjej podróży wypocząć tej nocy na wygodnych kojach.

Rozdział X

Relacja – Żegnaj, „Sloughi” – Wyladunek i rozbiórka jachtu – Wichura dokańcza dzieła – W namiocie – Budowa tratwy, Załadunek... I w drogę! Dwie noce na rzece – Przybycie do Groty Francuskiej

Łatwo sobie wyobrazić, jakiego przyjęcia doznał Briant i trzebi jego koledzy! Gordon, Cross, Baxter, Garnett i Webb serdeczniej wyciągnęli do nich ręce, a malcy rzucili im się na szyję. Posypały się okrzyki radości, wymieniano uściski dłoni. Phann też wziął udział w powitaniu, przepłatając

okrzyki dzieci głośnym ujadaniem. O tak, nieobecność kolegów bardzo się wszystkim dała we znaki!

„Czy zabłądzili? A może wpadli w ręce krajowców? Czy spotkali jakieś krwiożercze bestie?” – oto pytania, które zadawali sobie chłopcy pozostali na szkunerze.

Ale Briant, Doniphan, Wilcox i Service powrócili zdrowi i cali, pozostawało tylko dowiedzieć się, co im się przydarzyło w drodze. Opowieść jednak odłożono do następnego dnia, gdyż młodzi wędrowcy byli bardzo zmęczeni.

„Jesteśmy na wyspie!”

Tylko tyle powiedział Briant, ale wystarczyło to, aby przed oczami chłopców pojawiła się przyszłość pełna licznych i niepokojących wydarzeń. Jednakże Gordon przyjął tę nowinę spokojnie, nie okazując bynajmniej przygnębienia.

„No tak – zdawał się mówić – spodziewałem się tego i wcale mnie to nie wytrąciło z równowagi!”

Nazajutrz, 5 kwietnia o świcie, starsi chłopcy – Gordon, Briant, Doniphan, Baxter, Cross, Wilcox, Service, Webb, Garnett, a także Moko, który w potrzebie umiał dać dobrą radę, zebrali się na dziobie jachtu; malcy spali jeszcze. Briant i Doniphan mówili kolejno, zaznajamiając kolegów z wynikami wycieczki. Opowiedzieli, jak grobla na strumieniu i szczątki ajupy, ukryte w gąszczu krzewów, przekonały ich, że okolica jest albo była kiedyś zamieszкана. Objaśnili, jak się to stało, że rozległa przestrzeń wód, którą wzięli początkowo za morze, okazała się jeziorem; jak nowe wskazówki zawiodły ich do jaskini leżącej nad rzeką w pobliżu miejsca, gdzie wypływa ona z jeziora; jak znaleźli szkielet Franciszka Baudoin, rodaka Brianta; wreszcie powiadomili kolegów o tym, że według mapy, którą wykreślił nieszczęsny rozbitek, „Sloughi” rozbił się u brzegów wyspy.

W tej nadzwyczaj ścisłej relacji Briant i Doniphan nie pominęli żadnego szczegółu. Chłopcy wpatrywali się teraz w mapę, pojmując doskonale, że pomoc mogła nadejść tylko z zewnątrz!

Ale choć rozbitkowie mogli pokładać nadzieję jedynie w Bogu, przyszłość bowiem ukazywała im się w najczarniejszych barwach, najmniej – koniecznie trzeba to podkreślić – lękał się Gordon. Młody Amerykanin nie miał rodziny, która oczekiwałaby go w Nowej Zelandii. Odznaczał się praktycznym i systematycznym umysłem oraz dużymi zdolnościami organizacyjnymi, nie przeraził się więc wcale, że trzeba będzie stworzyć tu jak gdyby małą kolonię. Uważał to za okazję do wypróbowania swoich sił. Nie zawahawszy się ani na moment, krzepił towarzyszy, obiecując im znośny byt, jeśli zechcą słuchać jego zaleceń.

Przede wszystkim, skoro wyspa była dość pokaźnych rozmiarów, wydało się chłopcom nieprawdopodobne, żeby nie oznaczono jej na mapie Oceanu Spokojnego, przypuszczalnie w pobliżu Ameryki Południowej.

Obejrzawszy dokładnie odpowiednie mapy w atlasie Stielera, chłopcy stwierdzili, że nie ma na nich żadnej większej wyspy prócz archipelagów Ziemi Ognistej (inaczej Magellana), Desolation, Królowej Adelajdy, Clarence i tak dalej. Gdyby ich wyspa należała do jednego z tych archipelagów,

które dzielą od kontynentu amerykańskiego tylko wąskie kanały, Franciszek Baudoin zaznaczyłby to z pewnością na swojej mapie – a tego właśnie nie zrobił. Wnosić z tego należało, że samotna wyspa była odsunięta – albo na północ, albo na południe od wymienionych terenów. Nie rozporządzając ścisłymi danymi ani też odpowiednimi instrumentami, nie sposób było określić jej położenia na Pacyfiku.

Nie pozostawało więc nic innego, jak osiedlić się tu na stałe, zanim zima udaremni przeprowadzkę.

– Najlepiej będzie – odezwał się Briant – zamieszkać w jaskini, którą znaleźliśmy w pobliżu jeziora. To doskonałe schronienie.

– A czy jest ona dość obszerna, abyśmy mogli się wszyscy pomieścić? – zagadnął Baxter.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział Doniphan. – Ale sądzę, że będzie ją można powiększyć wykuwając następne pomieszczenie w skale! Mamy narzędzia...

– Bierzmy ją taką, jaka jest – wtrącił Gordon – choćby była trochę za ciasna...

– A przede wszystkim przenieśmy się tam jak najrychlej – dorzucił Briant.

Istotnie sprawa była pilna. Szkuner, jak wspomniał Gordon, stawał się z dnia na dzień lichszym schronieniem. Ostatnie deszcze, po których nastąpiły silne upały, utworzyły szerokie szpary w pokładzie i kadłubie jachtu. Podarte płachty przepuszczały wodę i chłód do wnętrza. Ponadto piaszczyste łożysko, na którym spoczywał „Sloughi”, drażyły podskórne strumyczki i jacht pochylał się coraz silniej, zapadając głęboko w ruchome piaski. Gdyby burza, jedna z tych, które szaleją w okresie zrównania dnia z nocą, rozpętała się u brzegów wyspy, jacht rozpadłby się zupełnie w ciągu paru godzin. Należało więc nie tylko opuścić go jak najszybciej, ale i rozebrać systematycznie, tak aby chłopcy mogli wykorzystać belki, deski, żelazo, blachę miedzianą – wszystko, co mogłoby się im przydać do urządzania Groty Francuskiej, jaskini, której nadano tę nazwę dla uczczenia pamięci zmarłego Francuza.

– A tymczasem gdzie się schronimy, gdzie będziemy mieszkać? – pytał Doniphan.

– W namiocie, który ustawimy na prawym brzegu rzeki, pod drzewami – odparł Gordon.

– To najlepsze wyjście – podchwycił Briant. – Bierzmy się do dzieła, nie traćmy ani chwili!

Rozbiórka jachtu, wyładunek sprzętu i żywności, budowa tratwy, którą chłopcy mieli przewieźć cały swój dobytek, powinny im zabrać co najmniej miesiąc – a więc będą mogli opuścić zatokę Sloughi dopiero w pierwszych dniach maja; zważywszy zaś, że tutejszy maj odpowiada listopadowi na półkuli północnej, trzeba się liczyć z tym, że przeprowadzka przypadnie na początek zimy.

Gordon słusznie postąpił obierając brzeg rzeki jako miejsce na obóz, gdyż transport całego materiału mógł się odbyć tylko wodą. Nie było innej, krótszej i wygodniejszej drogi. Wleczenie każdej belki z rozebranego jachtu przez las albo brzegiem rzeki byłoby pracą właściwie niewykonalną. Jeśli natomiast chłopcy wykorzystają przypyływ, tratwa spychana przybierającą falą

dotrze na miejsce bez większych trudności.

Briant przekonał się, iż w górnym biegu rzeki nie było żadnych przeszkód: ani wodospadów, ani wirów, ani progów. Zorganizowano teraz nową wyprawę czołnem dla zbadania dolnego biegu rzeki, począwszy od ujścia aż po trzęsawisko. Briant i Moko stwierdzili, że i na tym odcinku była ona spławna.

Przez kilka następnych dni chłopcy urządzali obozowisko na brzegu rzeki.

Niskie gałęzie trzech buków, powiązane ze sobą i umocnione długimi drzewcami masztów, tworzyły trójkąt, na którym rozpięto zapasowy fok, opuszczając jego boki ku ziemi. Do tego namiotu, umocowanego solidnie kołkami, chłopcy przenieśli pościel, najkonieczniejsze sprzęty, broń, amunicję, skrzynie z żywnością. Nie można było przystąpić od razu do budowy tratwy, należało najpierw rozebrać jacht.

Chłopcy nie uskarżali się teraz na pogodę – było zupełnie sucho. Jeśli czasami zrywał się wiatr, dał tylko od lądu; pracowali więc w dobrych warunkach.

Około 15 kwietnia pozostały na pokładzie tylko cięższe przedmioty, które można było przenieść dopiero po rozebraniu statku za pomocą specjalnych urządzeń – między innymi bryły ołowiu służące za balast, zbiorniki z wodą umieszczone na spodzie jachtu, kabestan i kuchnia. Co się zaś tyczy osprzętu, fokmasztu, łańcuchów, kotwic, lin, cum, linek holowniczych, nici kablowych i innych, których był spory zapas – chłopcy przenieśli to po trochu nad rzekę i ułożyli nie opodal namiotu.

Oczywiście, choć praca ta wymagała pośpiechu, rozbitkom musieli też zaspokajać bieżące potrzeby. Doniphan, Webb i Wilcox polowali codziennie po kilka godzin na gołębie skalne i ptactwo wodne znad bagien. Malcy zbierali ślimaki, gdy odpływ od słańiał rafy. Przyjemnie było patrzeć na Jenkinsa, Iversona, Dole'a i Costara, jak podobni do gromadki piskląt, uwijali się nad kałużami. Zdarzało się, że gdy zamoczyli sobie coś więcej niż nogi, surowy Gordon dawał im burę, a Briant bronił ich jak tylko mógł. Kubuś także zbierał ślimaki, ale milczał, ilekroć chłopcy wybuchali śmiechem.

Praca postępowała więc planowo, a w jej metodach przejawiał się stale wpływ Gordona, chłopca o niezwykłym zmyśle praktycznym. Doniphan nie zgodziłby się otrzymywać poleceń, gdyby wydawał je Briant albo ktokolwiek inny, ale Gordonowi był posłuszny. Słowem – zgoda panowała wśród gromadki.

A trzeba się było śpieszyć: pogoda zepsuła się w drugiej połowie kwietnia i oziębilo się znacznie. Niejeden raz wczesnym rankiem słupek termometru opadał do zera. Pojawiły się zwiastuny zimy, która miała sprowadzić grad, śnieg i wichry tak groźne w arktycznych strefach Oceanu Spokojnego.

Malcy i starsi chłopcy musieli więc ubierać się cieplej, wkładać grube trykoty, wełniane spodnie i bluzy przygotowane na okres wielkich mrozów. Wystarczyło zajrzeć do notesu Gordona, że dowiedzieć się, gdzie się znajduje ciepła odzież posortowana według rodzaju i rozmiarów. Briant opiekował się przede wszystkim najmłodszymi. Zwracał baczną uwagę, by nie marzły stopy i aby nie

przeziębiali się. Jeśli tylko który z malców nabawił się choćby lekkiego kataru, Briant nie wypuszczał go z namiotu i kładł w pobliżu ogniska płonącego dniem i nocą. Dole i Costar nieraz musieli spędzać dzień albo i dwa w obozie czy w kajucie, a Moko nie żałował im ziółek, które czerpał z apteczki pokładowej.

Opróżniwszy jacht prawie doszczętnie, chłopcy przystąpili do rozbiórki kadłuba, który zresztą pękał ze wszystkich stron. Zdjęli ostrożnie płyty miedzianej blachy okrywające z wierzchu poszycie statku – mogła im się przydać w Grocie Francuskiej. I obcęgi i młoty poszły w ruch przy rozbiórce poszycia, którego klepki, przybite gwoździami, z trudem dawały się oderwać od wiązań kadłuba. Była to ciężka praca dla niewprawnych dłoni i wątłych ramion, chłopców. Toteż rozbiórka postępowała dość wolno i dopiero wicher, który rozszał się 25 kwietnia; pośpieszył im z pomocą.

Jakkolwiek był to już początek zimy, rozpętała się w nocy gwałtowna burza, której nadejście zapowiedział stormglas. Błyskawice przecinały wokół przestworza, grzmiało od północy do świtu ku przerażeniu malców. Deszcz nie był na szczęście gwałtowny, ale chłopcy musieli kilkakrotnie przytrzymywać płótno namiotu, by nie porwała go wichura.

Namiot, osłonięty drzewami, wytrzymał zawieruchę, ale gorzej było z jachtem miotanym burzą, nadlatującą wprost znad morza, i zalewanym nieustannie ogromną, przewalającą się nad nim falą. Wkrótce rozleciał się w kawałki.

Poszycie zostało zerwane, wiązania połamane; kil pękł, gdy szkuner tłukł dnem o plażę; pozostały same szczątki. Ale nie było powodów do skargi, gdyż fale, cofając się, uniosły ze sobą zaledwie ich część między wierzchołkami skał podwodnych. Żelastwo, zagrzebane w piasku, można było odnaleźć z łatwością.

Tej właśnie pracy chłopcy poświęcili parę dni. Belki, deski, bryły ołowiane i inne przedmioty, których niepodobna było wynieść ze statku, leżały teraz na plaży. Należało tylko przetransportować je na brzeg, w pobliże namiotu.

Trud wielki, to prawda, ale po jakimś czasie chłopcy osiągnęli cel. Ciekawy był to widok, gdy wszyscy, zaprężeni do grubej belki, ciągnęli ją ile sił, dodając sobie animuszu tysiącem okrzyków. Posługiwali się drągami niby dźwignią, podkładali pod ciężkie przedmioty okrągłe kłocę, na których belki toczyły się łatwo. Najtrudniej było przetransportować kabestan, piec kuchenny i blaszane, bardzo ciężkie zbiorniki na wodę. Czemuż nie było wśród chłopców dorosłego mężczyzny, który by nimi pokierował! Gdyby ojciec Brianta, inżynier, i ojciec Garnetta, kapitan marynarki, byli tutaj, zapobiegliby licznym błędom, które chłopcy już popełnili i mieli jeszcze popełnić. Jednakże Baxter, wybitnie uzdolniony w dziedzinie mechaniki, wykazał wiele zręczności i zapału. Jego staraniem i za radą Moka przytwierdzono bloki do pali wbitych w ziemię – zwiększyło to dziesięciokrotnie siły całej gromady i chłopcy doprowadzili dzieło do końca.

Wreszcie 28 kwietnia wieczorem wszystko, co pozostało ze „Sloughi”, znalazło się tam, gdzie miał się odbyć załadunek.

– Od jutra – powiedział Gordon – rozpoczynamy budowę tratwy...

– Tak – przerwał Baxter – i żeby uniknąć spuszczenia jej na wodę, proponuję, byśmy zbudowali ją od razu na rzece...

– Ależ to będzie bardzo trudne zadanie – wtrącił Doniphan.

– Cha, cóż spróbujmy! – rzekł Gordon. – Jeśli nawet trudniej będzie budować ją w ten sposób, zaoszczędzimy sobie kłopotu z zepchnięciem jej na wodę.

Rzeczywiście należało tak postąpić i to już nazajutrz ułożono podkład tratwy; musiała mieć odpowiednio duże rozmiary, gdyż miała przewieźć ciężki i zabierający wiele miejsca ładunek.

Belki ze szkunera, kil pęknięty na dwie części, fokmaszt, kawałek grotmasztu złamanego na trzy stopy nad pokładem, drążki, pokładniki, bukszpryt, bom i gafel przeniesiono nad rzekę, tam gdzie przyływ dawał się odczuć tylko w punkcie kulminacyjnym. Chłopcy zaczęli na moment, kiedy woda uniosła belki. Wybrawszy najdłuższe, zsunęli je jedno obok drugich i powiązali mocno ze sobą, układając w poprzek mniejsze sztuki drewna.

Otrzymali w ten sposób solidny szkielet mierzący około trzydziestu stóp długości, a piętnastu szerokości. Pracowali niezmiernie i z nadejściem nocy ukończyli jego budowę. Briant przywiązał go przezornie do nadbrzeżnych drzew, aby przyływ nie porwał ich dzieła w górę rzeki, w stronę Groty Francuskiej, lub odpływ nie zniósł go na morze.

Po dniu tak pracowitym chłopcy padali niemal ze zmęczenia; zjedli kolację z wielkim apetytem, położyli się i spali twardo aż do rana.

Nazajutrz, 30 kwietnia, stanęli znów od świtu do pracy.

Należało teraz położyć na owym szkielecie z bali warstwę desek. Chłopcy użyli do tego klepek poszycia i desek z pokładu. Gwoździe, powbijane energicznymi uderzeniami młotów, i liny, którymi wzmocniono poszczególne części szkieletu, mocno spoiły całość.

Budowa tratwy zabrała trzy dni, choć chłopcy śpieszyli się bardzo, wiedząc, że nie wolno im zmarnować ani godziny. Kryształki lodu pojawiały się już na powierzchni kałuż i na brzegu rzeki. Namiot nie chronił teraz od zimna, choć płonął w nim stale suty ogień. Chłopcy walczyli z chłodem, tuląc się jeden do drugiego, owinięci szczelnie pledami. Należało przyspieszyć jeszcze tempo prac, by przeprowadzka do groty mogła nastąpić jak najrychlej.

Deski umocowano możliwie najsolidniej, aby nie rozsunęły się w czasie podróży, co pociągnęłoby za sobą zatopienie całego sprzętu. Toteż lepiej było opóźnić raczej odjazd o jeden dzień niż narazić się na katastrofę.

– A jednak – powiedział Briant – nie można zwlekać dłużej niż do szóstego maja.

– A to czemu? – spytał Gordon.

– Pojutrze zaczyna się pierwsza kwadra księżycy – odpowiedział Briant – i przyływy będą większe przez kilka dni. Im będą silniejsze, tym dalej popchną nas w górę rzeki. Zastanów się nad

tym, Gordon! Gdyby wypadło nam holować na linie tę ciężką tratwę albo popychać ją drągami... nie zdołalibyśmy przewyciężyć silnego prądu rzeki!

– Racja – zgodził się Gordon. – Musimy wyruszyć najdalej za trzy dni.

Wszyscy postanowili pracować bez wytchnienia, dopóki nie skończą dzieła.

3 maja chłopcy przystąpili do załadunku – należało rozmieścić ciężar umiejętnie, by tratwa nie traciła równowagi. Wszyscy, w miarę swoich sił, brali w tym udział. Jenkins, Iverson, Dole i Costar przenosili lżejsze przedmioty na tratwę: naczynia, narzędzia, instrumenty, a Briant i Barter układali je stosując się do wskazówek Gordona. Starszym chłopcom przypadło w udziale przetransportowanie cięższych przedmiotów: pieca kuchennego, zbiorników na wodę, kabestanu, rozmaitego żelastwa, blachy miedzianej, a wreszcie szczątków szkunera – wręgów, klepek, poszycia, pokładników, drzwi od schodni. Podobnie było z pakunkami z żywnością, baryłkami wina, piwa, wódki, nie mówiąc o kilku woreczkach soli zebranej na skałach w zatoce. Aby usprawnić załadunek, Baxter wbił w ziemię na krzyż dwa drągi i umocnił je czterema linami. Do tego kozła przymocowali blok, a jeden koniec przerzuconej przez niego liny nawinęli na brzoźnik – małą windę kotwiczną – dzięki czemu łatwiej było dźwignąć co cięższe przedmioty, unieść je ponad tratwę i spuścić bez wstrząsu na deski.

Krótko mówiąc, wszyscy pracowali z największą rozwagą i zapalem, toteż 5 maja po południu cały sprzęt znalazł się na tratwie. Pozostało już tylko ją odcumować. Miało to nastąpić nazajutrz około ósmej rano, kiedy wody zaczną wzbierać przy ujściu rzeki. Chłopcy spodziewali się, że teraz nareszcie czeka ich aż do wieczora zasłużony odpoczynek. Pomylili się jednak: Gordon wynalazł im nowe zajęcie.

– Koledzy – odezwał się – zamierzamy opuścić tę zatokę, nie będziemy więc mogli stale obserwować morza; gdyby jakiś statek pojawił się w polu widzenia z tej strony wyspy, nie zdołamy go zaalarmować sygnałami. Wydaje mi się więc, że warto ustawić maszt na krawędzi urwiska i wciągnąć na niego banderę, którą pozostawimy na stałe. Spodziewam się, że zwróci ona uwagę załogi statku, gdyby pojawił się na tych wodach.

Propozycję przyjęto. Stengę fokmasztu, której chłopcy nie użyli do budowy tratwy, zawleczono pod ścianę urwiska. Jakkolwiek zbocze w pobliżu strumienia wydawało się dostępne, chłopcy; wspinali się na nie z wielkim trudem, krętą ścieżyną wiodącą na szczyt urwiska.

Dotarli tam jednak w końcu i wkopali maszt w ziemię. Po czym Baxter, chwyciwszy flaglinkę, podniósł angielską banderę, a Doniphan dał salut wystrzałem z fuzji.

– Phi, phi, popatrz, jak Doniphan bierze w imieniu Anglii wyspę w posiadanie! – powiedział Gordon do Brianta.

– Dziwiłbym się bardzo, gdyby nie należała już do niej! – odparł Briant.

Gordon skrzywił się nieznacznie: ze sposobu, w jaki mówił nie raz o „swojej wyspie”, można było łatwo wywnioskować, że uważał ją po trosze za amerykańską.

Nazajutrz chłopcy zerwali się o świcie. Spieszyli się z rozmontowaniem namiotu i przeniesieniem pościeli na tratwę, gdzie okryto ją płótnem żaglowym dla zabezpieczenia przed deszczem podczas podróży. Zdawało się wprawdzie, że pogoda nie zamierzała zgotować im przykrej niespodzianki. Jednakże wiatr mógł się zmienić i napędzić na wyspę wilgotne mgły od morza. O siódmej ukończono ostatecznie przygotowania. Chłopcy rozmieścili wszystko na tratwie w ten sposób, aby móc na niej spędzić nawet kilka dni. Moko przygotował taką ilość prowiantu, by starczyło na całą podróż i żeby nie trzeba było rozpalać ognia.

O wpół do ósmej wszyscy zajęli miejsca na tratwie. Starsi stanęli na pomoście uzbrojeni w drągi lub bosaki – jedyne narzędzia, za pomocą których mogli kierować tratwą; ster na nic by się tu nie przydał, ponieważ mieli płynąć w górę rzeki z prądem przyływu.

Przed dziewiątą, gdy przyływ dał się już odczuć, głucho trzeszczenie przebiegło szkielet tratwy; poszczególne części zadygotały w wiązaniach. Ale tratwa wytrzymała próbę – nie należało się teraz obawiać, że rozpadnie się w kawałki.

– Uwaga! – krzyknął Briant.

– Uwaga! – powtórzył Baxter.

Obaj stali przy cumach, którymi tratwa uwiązana była z przodu i z tyłu; trzymali końce lin.

– Gotowi! – krzyknął Doniphan, stojący wraz Wilcoxem na przedzie.

Stwierdziwszy, że woda spycha tratwę, Briant zawołał:

– Rzucaj cumy!

Rozkaz wykonano i tratwa uwolniona z więzów popłynęła wolno, ciągnąc czółno na holu.

Chłopcy nie posiadali się z radości, kiedy ciężka machina ruszyła. Nie byłiby chyba z siebie tak radzi, nawet gdyby zbudowali okręt wojenny! Darujmy im tę odrobinę próżności!

Jak wiemy, prawy brzeg rzeki, ocieniony drzewami, był o wiele wyższy od lewego, który biegł wąskim pasem, przylegając do pobliskich bagien. Utrzymać tratwę w należytej odległości od płaskiego brzegu, gdzie mogłaby ugrzęznąć na mieliźnie, oto zadanie, któremu Briant, Baxter, Doniphan, Wilcox i Moko poświęcili wszystkie swoje siły. Na szczęście dostateczna głębokość wody pozwalała trzymać się przeciwległego brzegu, przy którym przebiegał główny nurt przyływu; można też było tutaj znaleźć pewniejsze oparcie dla bosaków.

Po dwóch godzinach mieli już za sobą około mili. Tratwa płynęła bez wstrząsów i należało się spodziewać, że dotrze nieuszkodzona do Groty Francuskiej.

Skoro jednak, według obliczeń Brianta, długość rzeki począwszy od jeziora aż po ujście wynosiła sześć mil, a tratwa nie mogła przebyć więcej niż dwie mile podczas jednego przyływu, jasnej było, że chłopcy będą potrzebowali kilku przyływów, by dotrzeć do celu.

Istotnie już przed jedenastą dało się zauważyć działanie odpływu, który jak gdyby wysysał wodę z rzeki; chłopcy przywiązali spiesznie tratwę do brzegu, aby prąd nie zniósł jej z powrotem ku morzu.

Mogliby, oczywiście, puścić się w dalszą drogę pod koniec tego dnia, z początkiem nocnego przypływu, ale musieliby wtedy płynąć po omacku, wśród gęstych ciemności.

– Zdaje mi się, że byłoby to wielką nieostrożnością – powiedział Gordon – gdyż tratwa, uderzywszy o coś silnie, mogłaby rozpaść się w kawałki. Jestem za tym, byśmy zatrzymali się tutaj aż do jutra i poczekali na poranny przypływ.

Propozycja ta była nazbyt rozsądna, by nie zyskała powszechnej zgody. Lepiej było narazić się na stratę dwudziestu czterech godzin niż na stratę cennego ładunku.

Mieli więc spędzić w tym zakątku dzisiejsze popołudnie i całą noc. Toteż Doniphan i jego stali towarzysze łowów, a z nimi! Phann, wyskoczyli bez namysłu na brzeg.

Gordon zalecił im, by nie oddalali się zbyt daleko, i młodzi myśliwi musieli się do tego zastosować. Ale że powrócili z łowów niosąc dwa tłuste dropie i wiązkę kusaków, i tak mieli wiele satysfakcji. Za radą Moka rozbitkowie przeznaczili ten łup na pierwszy posiłek, jaki spożyją w jadalni swojej groty.

Doniphan nie natknął się podczas tej wyprawy na żadne ślady świadczące, iżby ta część lasów była kiedykolwiek zamieszkana. Jeśli zaś idzie o faunę, spotkał tylko jakieś wielkie ptaki, które pomykały tak szybko, w gąszczu, że nie zdołał ich rozpoznać.

Przez całą noc Baxter, Webb i Cross czuwali, gotowi w razie potrzeby wzmocnić cumy albo poluzować je trochę w kulminacyjnym momencie przypływu.

Noc minęła bez alarmu. Nazajutrz, za kwadrans dziewiąta, gdy wody zaczęły wzbierać, chłopcy popłynęli dalej.

Noc była zimna, dzień także. Najwyższy czas było zamieszkać, w grocie. Cóż by to było, gdyby rzeka zaczęła zamarzać, a kra, zbierająca się na jeziorze spływać ku zatoce Sloughi? Nasuwało to poważne obawy, które miały zniknąć dopiero wtedy, kiedy chłopcy dotrą do celu.

A tymczasem nie sposób było płynąć szybciej niż fale przypływu, nie sposób popychać tratwę pod prąd w czasie odpływu, niepodobna też było przebywać więcej niż milę w ciągu półtorej godziny. Tyle właśnie chłopcy przepłynęli i tego dnia. Około pierwszej zatrzymali się znowu, w pobliżu trzęsawiska, które Briant musiał okrążyć wracając do zatoki. Skorzystali teraz z okazji, by zbadać część nadbrzeżną bagien. Czółno, w którym zasiedli Moko, Doniphan i Wilcox, pomknęło półtorej mili na północ wśród rozległych moczarów i zatrzymało się na płyciźnie. Bagna te stanowiły jakby przedłużenie trzęsawiska rozpościerającego się na lewym brzegu; roilo się tu od wodnego ptactwa. Toteż Doniphan ustrzelił kilka kszyków, które powędrowały w ślad za dropiami i kusakami do spiżarni na tratwie.

Nastąpiła noc spokojna, ale mroźna; powiała ostra bryza, której podmuchy siekły dolinę rzeki.

Tworzyły się już tafle lodu – kruche i rozpadające się za lada uderzeniem. Chociaż chłopcy przedsięwzięli wszelkie środki ostrożności, nikt nie czuł się dobrze na deskach tratwy. Każdy otulał się jak mógł płótnem żaglowym. Malcy, a szczególnie Jenkins i Iverson, folgowali niezadowoleniu narzekając, iż opuścili zatokę.

Wreszcie, następnego popołudnia, chłopcy ujrzeli z dala jezioro: tratwa, unoszona nurtem przyływu trwającego aż do wpół do czwartej, przybiła do brzegu u wejścia do Groty Francuskiej.

Rozdział XI

Urządzenie pomieszczeń – Wyładunek – Na grobie Francuza Gordon i Doniphan – Zwierzyna i ptactwo – Nandu – Projek Service'a – Nadejście zimy

Podczas lądowania malcy pokrzykiwali radośnie. Każdą zmianę w życiu witali niby nową zabawę. Dole skakał po nadbrzeżnej łączce jak koziołek, Iverson i Jenkins popędzili nad jezioro, a Cc star, odwoławszy Moka na stronę, powiedział:

- Obiecałeś nam dobry obiad, pamiętasz?
- Wypadnie obejść się smakiem – - odpowiedział Moko.
- A czemuż to?
- Bo nie zdążę już dziś nic ugotować.
- Jakże, to nie będziemy jedli obiadu?...
- Nie, ale zjemy kolację; bo dropie można upiec tak na kolację, jak i na obiad!

I Moko roześmiał się ukazując piękne, białe zęby.

Chłopezyna, szturchnąwszy przyjacielsko Moka, pobiegł do kolegów nad jezioro. Briant zabronił im oddalać się zbyt daleko, nie chcąc tracić ich z oczu.

- A ty nie poszedłeś z nimi? – spytał Kubusia.
- Nie, wolę tutaj zostać.
- Przydałoby ci się trochę ruchu – powiedział Briant. – Nie jestem z ciebie zadowolony, Kuba! Ukrywasz coś przede mną... A możeś ty chory?
- Nie, nic mi nie jest.

Briant musiał się zadowolić taką odpowiedzią, jakkolwiek postanowił od dawna rzecz wyjaśnić, choćby miał zrobić uparciuchowi awanturę.

Tymczasem chłopcy nie mieli ani minuty do stracenia, jeśli chcieli spędzić tę noc w grocie.

Najpierw należało pokazać wnętrze groty tym, którzy jej jeszcze nie znali. Toteż gdy tratwa mocno uwiązana u brzegu spoczęła na fali, z dala od głównego nurtu rzeki, Briant zwołał kolegów. Moko wziął latarnię pokładową rzucającą, dzięki swym soczewkom, silny snop światła.

Chłopcy jęli odsłaniać wejście do pieczary. Gałęzie, którymi Briant i Doniphan zamknęli otwór, tkwiły tam nienaruszone. Nikt więc – ani człowiek, ani zwierzę – nie próbował wedrzeć się do groty.

Odrzuciwszy gałęzie chłopcy wśliznęli się w wąski otwór. Światło latarni rozjaśniło pieczarę nieporównanie silniej niż smolne łuczywo albo świece, które sporządził samotny rozbitek.

– No, będzie nam tu przyciasno – oświadczył Baxter przemierzywszy krokami pieczarę.

– Phi! – wykrzyknął Garnett. – Jeśli zrobimy piętrowe koje jak w kajucie...

– A to po co? – obruszył się Wilcox. – Wystarczy poustawiać je na ziemi obok siebie...

– Nie będzie można się precisnąć między nimi – oponował Garnett.

– To nie będziemy spacerować po pieczarze, i basta – uciął Briant. – Czy mógłbyś zaofiarować nam jakieś wygodniejsze pomieszczenie?

– Nie, ale...

Chodzi tylko o to, byśmy mieli gdzie schronić się przed zimnem. Nie sędzę, żeby Wilcox wyobrażał sobie, iż znajdzie tutaj komfortowy apartament, składający się z salonu, jadalni, sypialni, hallu, palarni, łazienki...

– Nie – przerwał Cross. – Ale musimy znaleźć pomieszczenie na kuchnię...

– Będę gotował na dworze – oświadczył Moko.

– Będzie to bardzo niewygodne przy niepogodzie – zauważył Briant. – Sędzę więc, że już jutro powinniśmy zainstalować tutaj kuchenny ze „Sloughi”.

– Kuchnia w grocie, w której będziemy jedli i spali! – obruszył się Doniphan z wyraźnym niesmakiem.

– A więc będziesz wachał sole trzeźwiące, lordzie Doniphan! – zawołał Service wybuchając śmiechem.

– Jeśli zechcę, kuchciku – odparł „lord” wyniośle, marszczy brwi.

– Spokój, już spokój! – wtrącił spieszenie Gordon. – Czy takie urządzenie będzie przyjemne, czy nie, skazani jesteśmy nie! A zresztą piec kuchenny będzie ogrzewał jaskinię. Większą przestrzeń moglibyśmy uzyskać wykuwając w skale dalsze mieszcznia – mamy na tę robotę, jeśli się okaże wykonalna, całą zimę. Ale na razie przyjmijmy grotę taką, jaka jest, i urządzmy się tutaj możliwie najwygodniej!

Jeszcze przed obiadem przeniesiono koje do pieczary i poustawiano je szeregiem na ziemi blisko siebie. Chłopcy, nawykli ciasnoty kajut, nie uskarżali się na to zbyt.

Instalacja w nowym mieszkaniu zabrała rozbitkom całe popołudnie. Ustawili duży stół ze szkunera na środku pieczary i Garnett układał nakrycia, które przynosili mu malcy.

Moko zaś wspólnie z Service'em zakrzętnęli się żywo koło obiadu u stóp urwiska, między dwoma głazami, rozpalili ogień, a chrustu dostarczali im Wilcox i Webb z zarośli nad rzeką. Nieco przed siódmą zupa z mięsnych sucharów, które wystarczyło gotować przez kilka minut, zapachniała smakowicie. Oprócz tego tuzin kusaków, oskubanych i nadzianych na rożen, piekł się nad brytfanną, w której Costar chętnie by zanurzył kawałek suchara. Iverson i Dole spełniali uroczyste rolę kręciroznów, a Phann śledził ich ruchy z wymownym zainteresowaniem.

Przed siódmą wszyscy zebrali się w jedynej „izbie” pieczary – jadalni, a zarazem sypialni. Chłopcy porozstawiali już taboret, składane krzesła, trzcinowe fotele, a także ławy z kubryku. Gorąca zupa, kawałek solonej wołowiny, pieczone kusaki, suchary zamiast chleba, zimna woda z domieszką brandy, plasterek ostrego sera, a na deser parę kieliszków sherry – oto kolacja, którą powetowali sobie kilkudniowy post. Jakkolwiek sytuacja młodych rozbitków była nader poważna, malcy byli weseli, a Bryant wystrzegał się pilnie wszelkich uwag, które mogłyby zgasić radość dzieci albo powstrzymać je od śmiechu.

Zaspokoiwszy głód chłopcy marzyli już tylko o odpoczynku. Ale Gordon zaproponował kolegom, by wszyscy udali się na miejsce, gdzie spoczął na wieki Franciszek Baudoin, dawny gospodarz ich obecnej siedziby.

Zapadał zmierzch spowijając mrokiem jezioro i gasząc na jego tafli ostatnie blaski dnia. Skręciwszy za stromą ścianę urwiska chłopcy zatrzymali się u stóp mogiły, na której widniał drewniany krzyż. Młodszy uklękli, a starsi pochylili głowy modląc się za duszę nieszczęsnego rozbitka.

O dziewiątej wszyscy ułożyli się w kojach i otuleni pledami zasnęli twardo. Jedyne Wilcox i Doniphan, pełniący straż tej nocy, podsycali ogień rozpalony u wejścia do jaskini – miał on chronić zarówno przed napaścią, jak i od chłodu.

Nazajutrz (było to 9 maja), a także przez następne trzy dni każdy dokładał starań, by jak najprędzej wyładować tratwę. Wiatr zachodni napędzał chmury, które gromadziły się uparcie, grożąc deszczem albo nawet śniegiem. Temperatura nie podnosiła się powyżej zera: widocznie w niedalekich okolicach podbiegunowych nastąpiło silne ochłodzenie. Należało przenieść jak najszybciej do groty wszystko, co mogło ulec zniszczeniu, a więc amunicję, żywność i napoje.

Przez kilka dni, z uwagi na pilną pracę, myśliwi nie wydalali się z obozu. Ale że ptactwa nie brakło i nad jeziorem, i na bagnach rozciągających się na lewym brzegu rzeki, Moko był na ogół zaopatrzony obficie. Kszyki, kaczki, różeńce i cyranki dostarczyły Doniphanowi niejednej okazji do pięknego strzału.

Jednakże Gordon niechętnie odnosił się do tych łowów, choćby nawet szczęśliwych, tyle szło na nie śrutu i prochu. Zależało mu na oszczędzaniu amunicji. Toteż poprosił Doniphana, by strzelał jak najogłędniej.

– To leży w naszym interesie – powiedział.

Zgoda – odparł Doniphana. – Ale musimy również oszczędzać konserw! Przydadzą się – nam, gdy nadarzy się okazja opuszczenia wyspy...

– Opuszczenia wyspy?... – zdziwił się Gordon. – Czy sądzisz, że potrafimy zbudować statek zdolny do morskiej podróży?

– A dlaczego nie, jeśli jakiś ląd znajduje się w pobliżu? W każdym razie nie mam ochoty umrzeć tutaj jak ten rodak Brianta!

– Zgoda – odparł Gordon. – Ale zamiast dumać nad sposobami wydobycia się stąd starajmy się raczej oswoić z myślą, spędzimy tutaj wiele, wiele lat...

– A tuś mi, bratku! – wykrzyknął Doniphana. – Jestem pewien, że z przyjemnością założyłbyś tutaj kolonię!

– Oczywiście, jeśli nie pozostanie nam nic innego!

– Ej, nie wydaje mi się, żeby twoje mrzonki zyskały wielu zwolenników. Wątpię nawet, czy Briant...

– Będziemy mieli dość czasu na rozmowy o tym – przerwał Gordon. – A co do Brianta, pozwól sobie powiedzieć, że jesteś wobec niego niesprawiedliwy. To dobry kolega, wiele razy poświęcał się dla nas...

– Gadanie! – odpowiedział Doniphana pogardliwym tonem. Briant to istna doskonałość! Prawdziwy bohater...

– O nie, mój drogi, ma on wady jak i my, ale twój stosunek do niego może wywołać rozłam wśród chłopców, który pogorszy i tak już groźną sytuację! Wszyscy cenią Brianta...

– Phi, czy aby wszyscy?

– Przynajmniej większość. Nie mam pojęcia, dlaczego Wilcox, Cross, Webb i ty nie zgadzacie się nigdy na jego propozycje. Wspominam ci o tym ot tak, mimochodem, ale spodziewam się, że rozważysz moje słowa.

– Już się nad tym zastanawiam.

Gordon stwierdził, że zarozumialec ani myśli wziąć do set jego rad. Zatrokał się tym mocno, że z tych swarów wyniknąć kiedyś mogą poważniejsze kłopoty.

Wyładunek, jak powiedzieliśmy, trwał trzy dni. Pozostało już tylko rozebrać tratwę, odrywając najpierw deski i tarcice, z których zbudowany był pomost; mogły się one przydać w Grocie Francuskiej.

Cały ładunek nie mógł się jednak pomieścić w pieczarze; gdyby nie udało się jej powiększyć, chłopcy musieliby zbudować szopę dla zabezpieczenia przed zimową zawieruchą części sprzętu.

Na razie, zgodnie z życzeniem Gordona, poukładali pakunki w zagłębieniu skalnym, owinąwszy paczki w płachty, którymi osłaniano przedtem włazy i schodnie jachtu.

13 maja Baxter, Briant i Moko zajęli się wbudowaniem pieca kuchennego, który trzeba było przetoczyć na klocach do pieczary. Chłopcy ustawili kuchnię z prawej strony przy ścianie, w pobliżu wejścia, aby piec miał możliwie najlepszy ciąg. Niemalę jednak trudności nastęczało osadzenie rury, którą miały wydostawać się na zewnątrz dym i sadza. Ale że skała była tu dość miękka, Baxter zdołał w końcu wybić w ścianie otwór, w którym umocował rurę. A kiedy po południu Moko rozpałił w kuchni ogień, Baxter przekonał się, że instalacja działa zupełnie sprawnie. Nawet w okresie złej pogody chłopcy będą teraz mogli jeść gotowane posiłki.

Przez następne tygodnie Doniphan, Webb, Wilcox i Crosse, do których przyłączyli się Garnett i Service, oddawali się swobodnie polowaniu.

Któregoś dnia zapuścili się w las bukowo-brzozowy odległy o pół mili od groty w stronę jeziora. Dostrzegli tu w paru miejscach ślady ludzkiej ręki: były to rowy wykopane w ziemi, zasłonięte gałęziami i na tyle głębokie, aby zwierzę, które tam wpadnie, nie mogło się wydostać. Wygląd tych dołów wskazywał, że wykopano je wiele lat temu. W jednym z nich znaleźli szczątki zwierzęcia, którego gatunku niepodobna było rozpoznać.

– W każdym razie jest to szkielet zwierzęcia dość pokaźnych rozmiarów – zauważył Wilcox i zsunąwszy się zgrabnie do rowu wydobył stamtąd zbielałe po latach kości.

– Było to jakieś zwierzę czworonożne – powiedział Webb – bo widać kości czterech łap.

– Jeżeli nie ma na tej wyspie zwierząt pięcionożnych – rzucił Service – bo mielibyśmy wtedy do czynienia z fenomenalnym baranem czy cielakiem!

– Ach, te twoje wieczne żarty! – skrzywił się Cross.

– Nikt nam nie zabronił się śmiać – odpalił Garnett.

– Jedno jest pewne – ozwał się Doniphan – musiało to być duże zwierzę. Spójrzcie na ten łeb, na szczękę, w której sterczą jeszcze kły. Niechże sobie Service pokpiwa, skoro go tak bawi, temat jarmarcznych baranów i cieląt wodzonych przez kuglarzy! Ale gdyby ten czworonóg ożył, mina by mu

zrzedła!

- Znakomita odpowiedź! – wykrzyknął Cross, jak zawsze pełen zachwytu dla ciętego języka kuzyna.
- A więc sądzisz, że było to jakieś drapieżne zwierzę? – zagadnął Webb Doniphana.
- Oczywiście; nie ma co wątpić!
- Lew? Tygrys? – pytał Cross z lekką obawą.
- Jeśli nie tygrys albo lew, to przynajmniej kuguar albo jaguar! – odparł Doniphan.
- Trzeba się mieć na baczności! – zawołał Webb.
- I nie zapuszczać się daleko – dorzucił Cross.
- Słuchaj, Phann – powiedział Ser vice do psa – kręcą się tutaj dzikie zwierzęta.

Phann odpowiedział wesołym szczekaniem, w którym nie można było dosłyszeć żadnych oznak niepokoju. Młodzi myśliwi zabierali się już do powrotu.

- Mam myśl – rzekł nagle Wilcox. – A gdyby tak ten rów zasłonić gałęziami? Może jakieś zwierzę dałoby się schwycić?
- Jak chcesz, Wilcox; ja tam wolę strzelać do zwierząt przebywających na wolności niż mordować je na dnie rowu.

Przez Doniphana przemówił sportowiec, ale praktycznie rzecz biorąc, rację miał właśnie Wilcox ze swoją żyłką do zastawiania sideł.

Chłopiec szybko wziął się do dzieła. Koledzy pomogli mu naciąć gałęzi z pobliskich drzew, po czym najdłuższe ułożyli w poprzek rowu, tak aby liście dokładnie zasłoniły otwór. Była to pułapka bardzo prymitywna, ale taką właśnie posługują się często traperzy pampasów.

Aby łatwiej było odnaleźć rów, Wilcox obłamywał gałęzie znacząc nimi drogę aż do skraju lasu. Chłopcy znaleźli się niebawem w grocie.

Przez następne dni łowy były nadal obfite. Okolica roiła od ptactwa. Nie licząc dropi i kusaków, było tam wiele jerzyków o cętkowanym białym jak u perliczki upierzeniu, grzywaczy latających całymi stadami, gęsi polarnych nie najgorszych w smaku kiedy ogień wytopi z nich nadmiar tłuszczu. Z czworonogów spotykało się „tukutki” – gryzonie, z których potrawka zastępuje wyborną potrawkę z królika; „marasy” – rudoszare zające z czarnym półksiężycem na ogonie, zdatne do jedzenia, jak i „aguti”; „pichis” – rodzaj pancernika; ssak ten, pokryty skorupą jak żółw, odznacza się smakowitym mięsem; „pekari” – niewielkie dziki i „guasuli” – zwierzę podobne do jelenia i jak on szybko nogie.

Doniphanowi udawało się czasem ustrzelić niektóre z tych zwierząt, ale że trudno było je podejść,

nie opłacało się, ku rozpaczy młodego myśliwca, zużycie prochu i kul. Naraził się nawet na uwagi Gordona, do których stronnicy Doniphana odnieśli się równie niechętnie jak i on sam.

Podczas wypraw myśliwskich zebrano także pokaźny zapas owych roślin, które odkrył Briant, kiedy po raz pierwszy dotarł nad jezioro. Były to dzikie selery pieniaące się na wilgotnej glebie, rzeżucha, której młode pędy, wychylające się zaledwie z ziemi, chronią, dzięki specjalnym właściwościom, przed skorbutem. Rośliny te, dla celów zdrowotnych, włączono w skład codziennych posiłków.

Ponadto w nie zamrażniętych jeszcze wodach jeziora i rzeki chłopcy łowili na wędkę pstrągi, a także pewną odmianę szczupaka, bardzo smaczną, ale tak ościstą, że należało tę rybę jeść nadzwyczaj ostrożnie, aby się nie udławić.

Jednego dnia Iverson wrócił pełen triumfu z polowu: przyniósł okazałego łososia, z którym stoczył długą walkę, ryzykując nawet złamanie wędki. Gdyby w okresie kiedy te ryby płyną do ujścia rzek, udał się obfity polów, zyskaliby na zimę cenną rezerwę żywności.

W tym czasie wyprawiali się także często do lasu, gdzie Wilcox zastawił pułapkę, ale żadne zwierzę nie wpadło do dołu, jakkolwiek chłopcy położyli na gałęziach spory kawał mięsa, który powinien był skusić jakiegoś drapieżnika.

Jednakże dzień 17 maja przyniósł niezwykle wydarzenie.

Briant wybrał się wtedy z paroma kolegami do lasu leżącego u stóp urwiska. Chcieli się przekonać, czy w pobliżu ich groty nie ma jeszcze jednej jaskini, która mogłaby posłużyć za magazyn na resztę sprzętu.

Nie opodal rowu chłopcy posłyszeli nagle chrapliwe odgłosy, dobywające się spod gałęzi.

Briant pierwszy podążył w tę stronę, ale Doniphan dogonił go szybko, nie dając się wyprzedzić. Reszta postępowała za nimi o kilka kroków z fuzjami w pogotowiu, a Phann nastawił uszy i wyprężył ogon.

Odgłosy wzmogły się, kiedy chłopcy znaleźli się o dwadzieścia kroków od rowu. W sklepieniu gałęzi widniał szeroki otwór, który zapewne zrobiło jakieś zwierzę wpadając do środka.

– Naprzód, Phann! Naprzód! – wykrzyknął Doniphan.

Pies pobiegł szczekając, ale nie okazywał specjalnego niepokoju.

Briant i Doniphan poskoczyli na brzeg rowu, a nachyliwszy się zawołali:

– Chodźcie tutaj! Chodźcie!

– To nie jaguar? – spytał Webb.

– Ani kaguar? – dorzucił Cross.

– Nie – odparł Doniphan. – To zwierzę na dwóch łapach – struś!

Był to rzeczywiście struś. Chłopcy mogli sobie powinszować, że ptaki te znajdowały się w pobliskich lasach: mięso strusia jest wyśmienite – zwłaszcza tłusta pierś.

Był to na pewno struś, lecz jego niezbyt pokaźne rozmiary, głowa jak u gęsi, drobne, białoszare piórka podobne do puchu – wskazywały, że ptak ten należał do gatunku „nandu”, tak licznego w pampasach Ameryki Południowej. Chociaż nandu nie można nawet porównać ze strusiem afrykańskim, i tak przynosił on zaszczyt miejscowej faunie.

– Trzeba go wziąć żywcem! – powiedział Wilcox.

– No chyba – dorzucił Service.

– Nie będzie to łatwe – ozwał się Cross.

– Spróbujmy – rzekł Briant.

Potężny ptak nie potrafił wydostać się z rowu, gdyż słabe skrzydła nie mogły go unieść w górę, a łapy nie znajdowały oparcia na pionowej ścianie. Wilcox musiał tedy zsunąć się na dno, narażając się na bolesne rany, jakie ptak mógł mu zadać dziobem. Zdołał jednak zarzucić mu na łeb swoją bluzę i struś ubrany w ów kaptur przestał się szamotać. Teraz już nietrudno było skrępować mu nogi za pomocą kilku związanych ze sobą chustek. Na koniec chłopcy – jedni na dole, a drudzy na górze – wydobyli wspólnymi siłami ptaka z rowu.

– Nareszcie go mamy! – wykrzyknął Webb.

– I co z nim zrobimy? – spytał Cross.

– To zupełnie proste – ozwał się naiwnie Service. – Zaprowadzimy go do naszej jaskini, oswoimy i będziemy mieli wierzchowca! Sam się tym zajmę, tak jak mój przyjaciel Jack z „Robinsona Szwajcarskiego”!

Należało raczej wątpić, czy struś wdroży się do takiej służby, choć Service powoływał się na wiarogodne źródła. Ale że nic nie stało temu na przeszkodzie, zaprowadzono ptaka do groty.

Gordon zląkł się na widok nandu, pomyślawszy, że przybyło mu jeszcze jedno stworzenie, które trzeba będzie żywić. Ale przypomniał sobie, że struś jada trawę i liście, których nie brakło, i powitał go z radością. Malcy zaś cieszyli się ogromnie: podchodzili do ptaka – choć nie za blisko – i oglądali go z zachwytem, kiedy starsi przywiązywali zdobycz na długiej linie. Dowiedziawszy się, że Service zamierza ułożyć „wierzchowca” pod siodło, wymogli na koledze obietnicę, że będzie ich sadzał na grzbiecie strusia.

– Jeśli tylko będziecie grzeczni, smarkacze! – odpowiedział Service, którego malcy traktowali już jak bohatera.

– Będziemy grzeczni – zapewnił Costar.

– Jak to, i ty, Costar, ośmieliłbyś się usiąść na tym ptaszysku? – zdziwił się Service.

– Za tobą... i trzymając się mocno... to tak!

– Przypomnij sobie, jakiegoś miał stracha jadąc na żółwiu!

– To całkiem inna sprawa – odpowiedział Costar. – Struś przynajmniej nie da nura pod wodę!...

– Ale może pofrunąć! – rzekł Dole. Dwaj malcy zadumali się głęboko.

Łatwo się domyślić, że zainstalowawszy się na dobre w grocie, Gordon i jego koledzy starali się wprowadzić możliwie regularny tryb życia.

Gordon obiecywał sobie, że w przyszłości, kiedy już wykończą nową siedzibę, ureguluje zajęcia każdego, szczególnie zaś młodszych, aby nie błąkali się samopas. Malcy wprawdzie pomagali ze wszystkich sił we wspólnej pracy, ale dlaczego nie mieliby powrócić do nauki rozpoczętej w kolegium.

– Mamy tutaj książki, dzięki którym będziemy mogli uczyć się nadal – oświadczył Gordon. – I dobrze będzie, jeśli wiadomości, które już zdobyliśmy i jeszcze zdobędziemy, prześlemy naszym młodszym kolegom.

– Tak – odparł Briant. – Może uda nam się kiedyś opuścić tę wyspę i ujrzeć znowu nasze rodziny. Nie wolno nam zatem marnować czasu!

Chłopcy postanowili ułożyć dokładny plan zajęć; a potem, kiedy wszyscy się nań zgodzą, wszyscy też czuwać będą nad ścisłym jego wykonywaniem.

Z nadejściem zimy nastaną zapewne dni tak przykre, że ani starsi chłopcy, ani młodszy nie będą mogli wytknąć nosa na dwór – a więc nie można dopuścić, aby czas ten upływał bez pożytku. Na razie jednak szczupłość pomieszczenia, gdzie trzeba było wszystko zgromadzić, krępowała mocno młodych gospodarzy. Należało pomyśleć niezwłocznie nad sposobami powiększenia jaskini.

Rozdział XII

Poszerzanie groty – Podejrzane szmery – Zniknięcie Phanna – Powrót Phanna – Nowe pomieszczenie – Niepogoda – Nadawanie nazw – Wyspa Chairmana – Przywódca kolonistów

Podczas ostatnich wypraw młodzi myśliwi badali niejednokrotnie ścianę urwiska w nadziei, że wykryją tam jeszcze jedną pieczarę. Gdyby ją znaleźli, mogłaby służyć za magazyn – chłopcy przenieśliby tam resztę sprzętu i zapasów, które trzeba było zostawić na dworze. Ale że owe poszukiwania nie dały rezultatu, należało powrócić do dawnych projektów; wykucia w skale jednego albo kilku pomieszczeń przylegających do pieczary Franciszka Baudoin.

Pracy tej z pewnością nie dałoby się wykonać w granicę; ale miękki wapień, w którym oskard lub motyka zagłębiają się łatwo, nie powinien nastęrczać większych trudności. Obojętne, ile czasu zabierze ta praca. Będzie można w tym celu wykorzystać długie, zimowe dni i dzieło zostanie pewnie ukończone, nim nadejdzie wiosna, chyba że obsunęłaby się ściana masywu albo pojawiłaby się woda, która zalałaby komorę z zewnątrz – tego należało się przede wszystkim obawiać. Tymczasem Baxter zdołał, jakkolwiek z trudem, poszerzyć wejście do groty i dopasować do niego drzwi przywiezione ze „Sloughi”. Prócz tego po lewej i prawej stronie od wejścia chłopcy wykuli w ścianie dwa wąskie okna, a raczej otwory, dzięki czemu światło i świeże powietrze przedostawały się łatwiej do wnętrza.

Niepogoda trwała już tydzień. Gwałtowne wichury spadały na wyspę, ale nie atakowały bezpośrednio groty zwróconej ku południowemu wschodowi. Ulewy i śnieżyce nadlatywały z ogłuszającym wyciem i siekły grań urwiska. Myśliwi tropili ptactwo już tylko w pobliżu jeziora; padały kaczkę, kszuki, czajki, chruściele, kurki wodne i siewki, znane w południowych częściach Pacyfiku pod nazwą białych gołębi. Choć jezioro i rzeka nie zamarzyły jeszcze, wystarczyłaby jedna księżycowa noc, by pierwszy mróz, który winien nastąpić po owych słotach, ściał wody.

Przebywając teraz najczęściej w pieczarze, chłopcy mogli się zabrać do powiększenia siedziby; przystąpili do tej pracy 27 maja.

Oskar i kilof zaatakowały zrazu ścianę po prawej stronie.

– Złobiąc skałę ukośnie, może uda nam się przebić górę na wylot, aż do jeziora, i w ten sposób otworzymy sobie drugie wejście do groty – powiedział Briant. – Moglibyśmy dzięki temu lepiej strzec okolicy, a gdyby niepogoda odcięła nam jedno wyjście, mielibyśmy drugie.

Istotnie, najwyżej czterdzieści do pięćdziesięciu stóp dzieliło jaskinię od wschodniego zbocza. Wystarczyło więc przebić galerię w tym kierunku, oznaczywszy go busolą. W toku pracy należało pilnować, by grunt się nie obsunął. Baxter zaproponował, aby wyźłobić na razie chodnik, a poszerzyć go, kiedy już będzie dostatecznie długi. Obie komory groty połączyłby wtedy korytarz, który można by zamykać z obu stron, i gdzie w ścianach bocznych wydrążono by dwie piwnice bez dostępu światła. Był to niewątpliwie plan najlepszy: wśród innych zalet miał i tę dobrą stronę, że chłopcy zdołaliby łatwo wybadać cały masyw, zatrzymując w porę pracę nad wykopem chodnika, gdyby nagle zaczęła przeciekać woda.

Trzy dni, od 27 do 30 maja, praca odbywała się w dość sprzyjających warunkach. Miękki wapień dawał się niemal krajać nożem. Trzeba więc było podstemplować go, ustawiając drewniane rusztowanie, lecz i to nie nasunęło większych trudności. Gruz wynoszono natychmiast, aby nie utrudniał roboty. Nie wszyscy wprawdzie z braku miejsca mogli pracować przy wybijaniu korytarza, ale nie próżnowały niczyje ręce. Kiedy deszcz i śnieg przestawały padać, Gordon z kolegami rozbierał tratwę, aby zużytkować potem jej części – belki szkieletu i deski pomostu – przy urządzeniu nowej siedziby. Doglądali także przedmiotów spiętrzonych w kącie, pod ścianą urwiska, gdyż płachty nasyczone smołą zawodziły stale jako ochrona przed ulewnym deszczem.

Praca postępowała z wolna, nie obyło się bez nieudanych prób. Po południu, 30 maja, kiedy podkop mierzył już cztery do pięciu stóp, zaszedł niespodziewany wypadek – Briant przykucnąwszy

w głębi, niby górnik wierzący w ścianie szybu otwór na ładunek prochu, posłyszał nagle głuchy szmer dochodzący z głębi skał.

Przerwał pracę, nasłuchując uważnie... Szmer znów dobiegł jego uszu.

Szybko więc wycofał się z galerii i podszedł do Gordona i Baxtera stojących u wyjścia, aby powiadomić ich o wydarzeniu.

– Złudzenie! – powiedział Gordon. – Zdawało ci się, że coś słyszysz...

– Stań na moim miejscu – odparł Briant – przyłóż ucho do ściany i posłuchaj!

Gordon wśliznął się w wąski przekop i po chwili ukazał się z powrotem.

– Nie omyliłeś się – powiedział. – Słyszałem jakby głuche warczenie!...

Baxter także podszedł i szybko wrócił mówiąc:

– Cóż to może być?

– Nie mam pojęcia – odrzekł Gordon. – Trzeba powiadomić Doniphana i innych...

– Ale nie malców – wtrącił Briant. – Przestraszą się!... Tymczasem wszyscy jednocześnie wrócili na obiad i malcy także dowiedzieli się o wypadku. Przelękli się trochę.

Doniphan, Wilcox, Webb i Garnett wpełzali kolejno w wąski korytarz. Ale szmer ustał; chłopcy, nic już nie usłyszawszy, skłonni byli sądzić, że koledzy się pomylili.

Tak czy inaczej, postanowili pracy nie przerywać i podjęli ją po obiedzie.

Przez cały wieczór było cicho; dopiero przed dziewiątą poprzez ścianę korytarza dał się znów słyszeć stłumiony pomruk.

W tejże chwili Phann rzucił się do wykopu i wypadł stamtąd ze zjeżoną sierścią, wyszczerzonymi kłami, objawiając wielki niepokój; szczerzał głośno, odpowiadając jakby na pomruki dobywające się z głębi masywu skalnego.

Wówczas pomieszany ze zdziwieniem lęk, jakiemu ulegli najmłodszy, zmienił się w trwogę. Wyobraźnię dzieci angielskich karmi się ustawicznie legendami popularnymi w krajach Północy: gnomy, chochliki, walkirie, sylfy, ondyny krążą wokół kołysek. Toteż Dole, Costar, a nawet Iverson i Jenkins nie taili śmiertelnego strachu. Briant, nie zdoławszy ich uspokoić, kazał im się położyć, ale malcy długo nie mogli usnąć. Śniły im się widma, duchy, istoty nadprzyrodzone nawiedzające głębie skalnego urwiska, słowem – koszmary dręczyły ich całą noc.

Gordon i starsi koledzy naradzali się półgłosem, próbując wytłumaczyć sobie niezwykle zjawisko. Powtarzało się ono, jak stwierdzili, niejednym razem, a Phann nadal okazywał wielki niepokój.

Wreszcie zmęczenie zwyciężyło i wszyscy, z wyjątkiem Brianta i Moka, poszli spać. Głęboka cisza spowiła grootę, nie zakłócona aż do świtu żadnym hałasem.

Nazajutrz chłopcy zerwali się bardzo wcześnie. Baxter i Doniphan wczołgali się na kraniec przekopu... ale nie ozwał się żaden szmer. Pies kręcił się nie okazując jednak niepokoju – nie rzucał się ku ścianie jak poprzedniego dnia.

– Bierzmy się do pracy – powiedział Briant.

– Tak – zgodził się Baxter. – Będziemy mogli ją przerwać w każdej chwili, jeśli odezwą się znów jakieś podejrzone szmery.

– Czy nie jest możliwe – zagadnął Doniphan – że to woda z jakiegoś źródła bijącego w pobliżu tak głośno bulgotała przedzierając się poprzez kamienie?

– Tobyśmy słyszeli ją i teraz – zauważył Wilcox. – A przecież jest zupełnie cicho.

– Słusznie – rzekł Gordon. – Sądzę raczej, że wiatr wdzierał się w jakąś szczelinę na grzbiecie urwiska.

– No, to chodźmy na górę – powiedział Service. – Może uda nam się wykryć...

Propozycję przyjęto.

Kręta ścieżyna, odległa o jakieś pięćdziesiąt kroków od grotty, wiodła na krawędź urwiska. Baxter wraz z kilkoma kolegami wspięli się tam niebawem. Daremny trud. Na grzbiecie wzgórza przypominającego dach, porośłego krótką i twardą trawą, nie znaleźli żadnej szczeliny, którąby się przedostawać prąd powietrza albo przeciekać woda. Po powrocie nie wiedzieli więcej o tym dziwnym zjawisku niż malcy, którzy w naiwności swojej tłumaczyli je sobie jako objaw sił nadprzyrodzonych.

Przystąpili jednak do dalszych wierceń, nie przerywając ich aż do zmierzchu. Nie słychać już było wczorajszych szmerów, choć wedle spostrzeżeń Baxtera ściana, która dotąd przy uderzeniu wydawała dźwięk, zaczynała teraz dudnić. Czyżby więc podkop miał doprowadzić do naturalnej komory? I czy nie tam właśnie mogło zachodzić owo zjawisko? Wydawało się całkiem prawdopodobne, że do pieczary przylega druga komora; należało nawet życzyć sobie, aby tak było, w tym bowiem wypadku chłopcy nie potrzebowaliby sztucznie rozszerzać swego mieszkania.

Łatwo się więc domyślić, z jak nadzwyczajnym zapałem podjęli robotę: dzień ów zaliczał się do najbardziej pracowitych i nużących, jakie dotychczas przeżyli na wyspie. Niemniej minął on bez wypadków godnych uwagi. Dopiero wieczorem Gordon spostrzegł, że pies jego znikł.

Phann zjawiał się zawsze punktualnie na posiłki, sadowiac się obok taboretu swojego pan; tego wieczora miejsce, – które zwykle zajmował, było puste...

Zawołano go... Phann nie odpowiedział.

Gordon podszedł do drzwi i znów zawołał... Cisza zupełna.

Doniphan i Wilcox wybiegli na dwór; jeden skierował się nad rzekę, drugi nad jezioro. Psa ani śladu.

Daremnie chłopcy obchodzili grotę w promieniu kilkuset kroków. Phanna nigdzie nie było. Nie znajdował się widocznie w zasięgu ludzkiego głosu, byłby bowiem odpowiedział na wołanie Gordona. Czyżby zabłądził? Było to mało prawdopodobne. Czy może zginął pod kłami dzikich zwierząt?

Dochodziła dziewiąta wieczór. Głęboka ciemność spowijała urwisko i jezioro. Trzeba było przerwać poszukiwania i wrócić do pieczary.

Wszyscy znaleźli się tam niebawem, bardzo zaniepokojeni, a nawet zrozpaczeni na myśl, że rozumne zwierzę zniknęło może na zawsze.

Jedni ułożyli się na posłaniach, inni siedli przy stole, czując, że nie będą mogli zasnąć. Zdawało im się, że są jeszcze bardziej samotni i opuszczeni, że jeszcze większa odległość dzieli ich od rodzin i kraju.

Nagle, wśród ciszy, ozwały się znów gniewne pomruki. Rozległo się jak gdyby wycie, a potem jęki bólu; trwało to z minutę.

– To stąd dochodzą te głosy! Stąd je słyhać! – wykrzyknął Briant rzucając się ku galeryjce.

Wszyscy zerwali się na równe nogi jakby w strachu, że pojawi się widmo. Malcy, ogarnięci trwogą, zaszyli się pod pledy... Briant, wróciwszy, oświadczył:

– Tam jest na pewno jeszcze jedna pieczara, z wejściem u stóp urwiska.

– I zwierzęta chronią się tam z pewnością na noc! – dorzucił Gordon.

– To możliwe – powiedział Doniphan. – Jutro wybierzemy się znów na poszukiwania.

W tejże chwili rozległo się szczekanie dochodzące, jak i wycie, z wnętrza skał.

– Czyżby Phann tam się dostał?! – zawołał Wilcox. – I może walczy z jakimś zwierzęciem?

Briant wczołgał się znów do podkopu i nasłuchiwał przytknąwszy ucho do ściany. Ale znowu zapadła cisza... Nie ulegało jednak wątpliwości, że istniała obok jeszcze jedna pieczara, z wejściem zasłoniętym gęstymi chaszczami oplatającymi podnóże urwiska.

Reszta nocy minęła spokojnie; wycie i szczekanie umilkło.

Poszukiwania rozpoczęte o świcie, zarówno od strony jeziora, jak i rzeki, nie dały pomyślniejszych rezultatów aniżeli wczorajsza wyprawa na grzbiet urwiska.

Phann nie pojawił się, chociaż chłopcy nawoływali go często.

Briant i Baxter pracowali na zmianę. Oskard i kilof nie próżnowały. Korytarz powiększył się tego ranka o dwie stopy. Od czasu do czasu chłopcy przerywali pracę i nasłuchiwali... ale nie dochodziły do nich żadne odgłosy.

W południe odpoczęli, ale zaraz po obiedzie wrócili do pracy. Przedsięwzięli wszelkie środki ostrożności na wypadek, gdyby w otworze, który miało wybić ostatnie uderzenie kilofa, pojawiło się jakieś zwierzę. Malców wyprawili nad rzekę; Doniphan, Wilcox i Webb z fuzjami i rewolwerami czekali w pogotowiu.

Około drugiej Briant krzyknął nagle. Przebił kilofem cienką warstwę wapienia, który rozkruszył się, i w ścianie ukazał się dość szeroki otwór.

Briant pobiegł do kolegów, aby zawiadomić ich, co się stało.

Ale nim otworzył usta, jakieś zwierzę, otarłszy się o ścianę korytarza, wskoczyło jednym susem do pieczary.

Był to Phann!

Tak, Phann. Pies rzucił się najpierw do wiadra z wodą i jął chciwie pić. Po czym, merdając ogonem i nie zdradzając najmniejszego niepokoju, podbiegł w podskokach do Gordona. Chłopcom nie groziło więc żadne niebezpieczeństwo.

Briant wziął latarnię i wczółgał się do podkopu. Gordon, Doniphan, Wilcox, Baxter i Moko podążyli za nim. Za chwilę, przecisnąwszy się przez otwór powstały w ścianie, która obsunęła się częściowo, znaleźli się w mrocznej pieczarze, nie rozjaśnionej z zewnątrz najmniejszym promieniem światła.

Była to jaskinia szeroka i wysoka jak Grota Francuska, ale znacznie głębsza; na przestrzeni pięćdziesięciu jardów kwadratowych wyścielał ją mialki piasek.

Skoro do jaskini nie docierało świeże powietrze, należało się obawiać trujących wyziewów. Ale latarnia paliła się pełnym płomieniem, powietrze musiało więc przedostawać się tu jakąś szczeliną. A zresztą, gdyby nie istniało wejście do groty, którędy Phann byłby się tu wśliznął?

W tym momencie Wilcox potknął się o jakieś ciało nieruchome i zimne.

Briant przysunął bliżej latarnię.

– To szakal! – wykrzyknął Baxter.

– Tak, szakal, którego zagryzł nasz dzielny Phann – odpowiedział Briant.

– Oto wyjaśnienie zagadki, której nie umieliśmy sobie wytłumaczyć! – dorzucił Gordon.

Ale może więcej szakali osiedliło się w pieczarze? Jakim sposobem dostawały się do niej? To należało przede wszystkim zbadać.

Briant wyszedłszy z Groty Francuskiej, posuwał się powoli pod ścianą urwiska w stronę jeziora, nawołując jednocześnie. W końcu usłyszał odpowiedź kolegów, których głosy dobywały się z wnętrza pieczary. Dzięki temu znalazł tuż nad ziemią ciasny otwór, osłonięty krzakami, które szakale wślizgiwały się do grot. Ale kiedy Phann podążył ich śladem, część ściany skalnej osunęła się za nim, zasypując otwór – o czym chłopcy przekonali się niebawem.

Wszystko się więc wyjaśniło: wycie szakali i ujadanie psa, który przesiedział w grocie całą dobę, nie mogąc się stąd wydostać.

Co za radość! Chłopcy nie tylko odzyskali psa, ale ileż pracy zostało im zaoszczędzone! Znaleźli, jak powiedział Dole, gotową pieczarę, której istnienia Franciszek Baudoin nie domyślał się na pewno. Poszerzając otwór wiodący do nowej jaskini, mogli uzyskać drugie wyjście z grot, i to nad jezioro. Byłoby to znacznym ułatwieniem dla gospodarstwa domowego. Zgromadziwszy się więc w nowej jaskini, chłopcy krzyczeli „hura!”, a Phann wtórował im wesołym ujadaniem.

Z jakim zapałem chłopcy wzięli się do pracy, aby przerobić podkop na wygodny korytarz! Druga grot otrzymała, stosownie do swoich rozmiarów, miano „hallu”. Przenieśli do niej cały sprzęt, który miał tam pozostać, póki nie uda się wykopać piwnic przylegających do korytarza. Hall miał służyć im od tej chwili za sypialnię i pokój do pracy, a pierwsza grot – za kuchnię, spiżarnię i jadalnię. Gordon zaproponował nazwać ją „kuchnią”, co zostało od razu przyjęte.

Przesunęli najpierw łóżka i poustawiali je symetrycznie na piasku w hallu, gdzie miejsca nie brakowało, po czym pownosili meble ze „Sloughi” – otomany, fotele, stoły, szafy – oraz piecyki, którymi ogrzewano salon i kajuty na jachcie; zainstalowane we właściwy sposób, mogły ogrzewać wystarczająco to obszerne pomieszczenie. Odkopali też zasypany otwór i osadzili w nim drzwi – pracy tej Baxter dokonał z niemałym trudem. Ponadto obok drzwi wykuli w ścianie dwa okienka; hali uzyskał więc dostateczne oświetlenie z zewnątrz, a gdy mrok zapadał, zapalano latarnię wiszącą u stropu.

Opisane zajęcia trwały dwa tygodnie. Najwyższy czas było je ukończyć, gdyż pogoda, dotychczas nie najgorsza, zaczęła się zmieniać. Choć mróz nie doskwierał jeszcze zbyt, szalały już gwałtowne wichury i nikomu nie było wolno oddalać się od pieczary.

Wiatr dął tak silnie, że jezioro, choć osłonięte ścianą płaskowyżu, przypominało wzburzone morze. Fale przelewały się z łoskotem i szalupa, łódź rybacka czy piroga zatonałaby z pewnością. Trzeba było wciągać czółno na brzeg, aby nie uniosły go fale. Zdarzało się, że wody rzeki, pchane w kierunku przeciwnym do prądu, zalewały niskie brzegi, sięgając aż podnóży urwiska. Szczęściem ani kuchni, ani hallowi nie groziły bezpośrednio ciosy zimowej zawieruchy, wiatr bowiem dął od zachodu. Zarówno więc piecyki, jak i kuchnia, opalane drzewem, którego zapas był znaczny, funkcjonowały bez zarzutu.

Sprzęt, uratowany ze „Sloughi”, w porę znalazł bezpieczne schronienie! Zmiany atmosferyczne nie mogły już odbić się ujemnie na zgromadzonej żywności. Niepogoda uwięziła Gordona i jego

kolegów, mogli więc teraz rozlokować się wygodniej. Poszerzyli korytarz i wykopali dwa pomieszczenia na składy: w jednym z nich, opatrzonym drzwiami, ułożyli amunicję zabezpieczając ją od wybuchu.

Myśliwym trudno było obecnie zapuszczać się daleko, lecz jadłospis nie ucierpiał na tym zbytnio, chociaż Moko podawał na stół tylko ptaki wodne, nie zawsze umiejąc uwolnić je od błotnego posmaku, czym wywoływał niezadowolenie i grymasy malców. Oczywiście, że nandu znalazł też chwilowo swój ką w kuchni – aż do czasu gdy chłopcy będą mogli wybudować dla niego zagrodę sąsiadującą z pieczarą.

W tym właśnie czasie Gordon zaczął medytować nad programem zajęć, któremu po uzyskaniu ogólnej aprobaty wszyscy musieliby się podporządkować. Kto wie, ile czasu chłopcy będą musieli spędzić na wyspie? A jeśli wydostaną się stąd przy jakiejś sposobności, przyjemnie będzie pomyśleć, że czas ten w pełni wykorzystali! Czyż książki uratowane ze szkunera nie pozwolą starszym pogłębić i rozszerzyć wiadomości zdobytych dotychczas i czy nie skorzystają sami ucząc młodszych? To doskonałe zajęcie, łączące przyjemne z pożytecznym, wypełni długie wieczory zimowe.

Ale nim chłopcy ułożyli ów program, zajęli się jeszcze inną sprawą.

10 czerwca wieczorem, po kolacji, chłopcy rozsiadłszy się w hallu, obok piecyków huczących ogniem, rozprawiali o nadaniu nazw rozmaitym zakątkom wyspy.

– Byłoby to pożyteczne i wygodne dla nas – zgodził się Briant.

– O tak, to świetny pomysł! – wykrzyknął Iverson. – Ale musimy wybrać piękne nazwy!

– Jak to robili Robinsonowie, prawdziwi albo zmyśleni! – odpowiedział Webb.

– Po prawdzie – ozwał się Gordon – jesteśmy właśnie Robinsonami...

– „Kolegium Robinsonów”! – wykrzyknął Service.

– Zresztą gdy nazwiemy zatoki, rzeki, lasy, jeziora, urwiska, bagna i przylądki wyspy, łatwiej nam będzie się w nich rozeznawać! – powiedział Gordon.

Jak się domyślacie, wniosek został przyjęty i należało tylko puścić wodze fantazji, aby wyszukać najwłaściwsze nazwy.

– Mamy już zatokę Sloughi, gdzie rozbił się jacht! – ozwał się Doniphan – i myślę, że trzeba zachować tę nazwę, do której przywykliśmy wszyscy.

– Oczywiście – przystał Cross.

– Tak samo jak nasza pieczara powinna nazywać się nadal Grotą Francuską ze względu na pamięć rozbitka, którego miejsce zajęliśmy!

Nikt się nie sprzeciwił, nawet Doniphan, mimo że propozycję tę wysunął Briant.

– A jak nazwiemy rzekę wpadającą do zatoki Sloughi? – spytał Wilcox.

– „Rzeka Zelandzka” – zaproponował Baxter. – Nazwa ta będzie nam przypominać nasz kraj!

– Zgoda! Zgoda!

Uchwała zapadła jednogłośnie.

– A jezioro? – spytał Gordon.

– Skoro rzeka otrzymała miano naszego kraju – rzekł Doniphan – nadajmy jezioru nazwę, która będzie nam przypominać nasze rodziny: „Jezioro Rodzinne”.

Wniosek przyjęto przez aklamację.

Jak widzimy, tym razem całkowita zgoda panowała w gromadzie.

Pod wpływem podobnych uczuć nadano płaskowyżowi nazwę: „Wzgórze Aucklandzkie”. Cypel zaś, z którego Briant dostrzegł morze na wschodzie, nazwano, jak Briant sam zaproponował, „Przylądkiem Fałszywego Morza”.

Inne punkty otrzymały też kolejno następujące nazwy: Las Wilczych Dołów – to część lasu, gdzie chłopcy natknęli się na rowy – pułapki; „Bagna Leśne” – teren między zatoką Sloughi a urwiskiem; „Bagna Południowe” – moczary pokrywające całą południową część wyspy; „Strumień Grobli” – potok przecięty małą, kamienną groblą; „Wybrzeże Burz” – brzegi wyspy, u których rozbił się szkuner; wreszcie „Boisko Sportowe” – łączka rozpościerająca się przed wejściem do hallu, sięgająca aż po brzegi rzeki i jeziora; miejsce to chłopcy przeznaczili na plac, gdzie będą się gimnastykować, gdyż program nauki uwzględniał również ćwiczenia cieleśne.

Inne punkty miały otrzymać swoje miana w miarę, jak chłopcy będą poznawali wyspę i jeśli zajdą w tych miejscach jakieś szczególniejsze wydarzenia.

Uznano jeszcze za konieczne nadać nazwy głównym cyplom zaznaczonym na mapie Franciszka Baudouin. Powstał więc „Cypel Północny” i „Cypel Południowy”. Wreszcie za ogólną zgodą trzy cyple wrzynające się w ocean od zachodu przybrały miana: „Francuskiego”, „Brytyjskiego” i „Amerykańskiego”, na cześć trzech narodów, których reprezentanci wchodzili w skład kolonii.

Kolonii! O tak! Słowo to padło wówczas, przypominając, że pobyt na wyspie stracił już charakter prowizoryczny. I oczywiście wymówił je Gordon, skłaniający się bardziej ku zorganizowaniu życia w nowych warunkach niż ku próbom wydobywania się z tej sytuacji. Chłopcy przestali być rozbitkami ze „Sloughi” – stali się kolonistami tej wyspy.

Ale jakiej wyspy? Należało ją nazwać jak najprędzej.

Słuchajcie! Słuchajcie! Już wiem, jak ją nazwać! – wykrzyknął Costar.

– Ty? – spytał z niedowierzaniem Doniphan.

– Nieźle sobie poczyna! – zawołał Garnett.

– Na pewno nazwie ją „Wyspą Bobasów”! – zadrwił Service.

– Dajcie pokój, nie śmieJCie się z Costara – odezwał się Briant. Niech mówi!

Dziecko, speszzone, milczało.

– Mów, Costar – rzekł Briant zachęcając chłopca gestem. – Jestem pewien, że twój pomysł okaże się doskonały.

– No, więc – odrzekł Costar – skoro jesteśmy wychowankami kolegium Chairmana, nazwiemy ją „Wyspą Chairmana”!

Rzeczywiście, trudno byłoby znaleźć odpowiedniejszą nazwę. Toteż chłopcy przyjęli ją hucznymi oklaskami, które wbiły Costara w dumę.

Wyspa Chairmana! Brzmiało to jak prawdziwa nazwa geograficzna i mogłoby z pewnością figurować w atlasach przyszłości.

Ceremonia skończyła się wśród ogólnej radości, a gdy nadszedł moment pójścia na spoczynek, Briant poprosił o głos.

– Koledzy – zaczął – skoro ochrzciliśmy naszą wyspę, czy nie byłoby wskazane wybrać gubernatora?

– Gubernatora? – zainteresował się żywo Doniphan.

– Tak. Bo według mnie lepiej by się tu działo, gdyby któryś z nas sprawował władzę. Czyż to, co się praktykuje w każdym kraju, nie byłoby pożyteczne tu, na Wyspie Chairmana?

– Tak! Wybierajmy gubernatora! – wołali starsi i młodszy.

– Wybierzmy gubernatora – ozwał się Doniphan – ale na pewien określony czas... na przykład na rok.

– Z tym, że po roku będziemy mogli obrać go powtórnie – dorzucił Briant.

– Zgoda. A kto nim będzie? – zagadnął Doniphan z wyraźnym niepokojem. Widać było, że zazdrośnik obawia się mocno, by koledzy nie obrali gubernatorem Brianta zamiast niego! Ale wyprowadzono go szybko z błędu.

– Kogo obierzemy? – odezwał się Briant. – Ależ najroztropniejszego z nas wszystkich... Gordona!

– Tak, tak! Hura, Gordona!

Gordon nie chciał z początku przyjąć zaszczytnej funkcji, jaką obdarzyli go koledzy – wolał organizować niż rządzić. Zdecydował się jednak, pomyślawszy, że namiętności, równie gwałtowne u chłopców, jak u ludzi dorosłych, mogłyby w przyszłości zasiać niezgodę wśród młodych kolonistów i dlatego jego władza może się tu przydać.

Tak oto Gordon został obwołany gubernatorem Wyspy Chairmana.

Rozdział XIII

Program nauki – Niedziela – Śnieżki – Doniphan i Briant – Wielkie mrozy – Wyprawa nad zatokę Sloughi – Foki i pingwiny – Egzekucja publiczna

Z początkiem maja zima zapanowała na dobre na Wyspie Chairmana. Jak długo potrwa? Najmniej pięć miesięcy, jeśli wyspa leży wyżej od Nowej Zelandii. Toteż Gordon postanowił przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności w obawie przed groźnymi skutkami długich mrozów.

Na wszelki wypadek młody Amerykanin poczynił pewne obserwacje meteorologiczne: zima rozpoczęła się już z początkiem maja, to jest dwa miesiące wcześniej, niż to się zwykle zdarza w strefie południowej, gdzie lipiec odpowiada styczniowi na półkuli północnej. Można więc było wnosić, że zima skończy się o dwa miesiące później, czyli w połowie września. Należało liczyć się i z tym, że prócz zimy dadzą się we znaki burze szalejące tu zazwyczaj w okresie wiosennego i jesiennego zrównania dnia z nocą. Toteż młodzi koloniści mogą być uwięzieni w Grocie Francuskiej aż do początku października i w tym czasie nie będą mogli przedsięwziąć żadnej dłuższej wyprawy w głąb lub dookoła wyspy.

Pragnąc zorganizować jak najlepiej obecne życie – domowe, Gordon postanowił ułożyć regularny program codziennych zajęć.

Dążył wszelkimi siłami do tego, by koledzy, przywykli uważać się prawie za dorosłych, postępowali jak mężczyźni. Fagizm więc musiał zniknąć z Groty Francuskiej – młodszy chłopcy nie mogli być zmuszani do usługiwania starszym. Ale poza tym należało zachować wszelkie inne tradycje.

Program zawierał zajęcia dla starszych i zajęcia dla młodszych, różniące się zasadniczo między sobą.

Biblioteka w grocie nie była zbyt bogata: znajdowało się w niej trochę książek naukowych, nie licząc podręczników – starsi mieli więc ograniczone możliwości nauki. Co prawda trudności napotykanne w walce o byt, codzienna troska o zaspokojenie doraźnych potrzeb, konieczność rozwijania w sobie dojrzałej myśli i sądu w zetknięciu z nieprzewidzianymi okolicznościami – wszystko to mogło dać chłopcom solidną wiedzę życiową. A że stali się, siłą rzeczy, wychowawcami młodszych kolegów, musieli się sami uczyć.

Starsi nie powinni pominąć żadnej okazji, by ćwiczyć u młodszych zarówno zdolności umysłowe, jak i sprawność fizyczną – nie narzucając jednak malcom pracy, która przerastałaby ich możliwości. W dni pogodne najmłodszy, ciepło ubrani, mieli wychodzić na świeże powietrze, aby pobiegać, a nawet w miarę swych sił pracować fizycznie.

Oto co uchwalono za zgodą wszystkich młodocianych kolonistów:

Chłopcy będą pracowali co dzień w hallu – dwie godziny rano i dwie godziny po południu. Briant, Doniphan, Cross i Baxter, uczniowie piątej klasy, Wilcox i Webb z czwartej – będą kolejno uczyli kolegów z klasy trzeciej, drugiej i pierwszej. Posługując się podręcznikami z biblioteki ocalonej ze „Sloughi”, a także wykorzystując wiadomości zdobyte uprzednio, będą przerabiać z malcami matematykę, geografii i historię. Przy okazji starsi powtórzą to, czego się kiedyś uczyli. Ponadto dwa razy na tydzień, każdego czwartku i niedzieli, odbędzie się pogadanka na temat przyrodniczy, historyczny lub nawet aktualny, odnoszący się do codziennych wydarzeń. Starsi będą zapisywać się do głosu w dyskusji – ku wspólnej nauce i zabawie.

Gordon, jako gubernator kolonii, miał czuwać, by nauka odbywała się wedle programu, który nie powinien ulegać zmianom, jeśli nie usprawiedliwią tego nieprzewidziane wypadki.

Należało najpierw zająć się ścisłym oznaczaniem czasu. Na ocalonym ze „Sloughi” kalendarzu chłopcy powinni wykreślać skrupulatnie każdy miniony dzień. Mieli też i zegarki, które należało nakręcać systematycznie, aby nie późniły się lub nie śpieszyły.

Funkcje te powierzono dwu starszym chłopcom: Wilcox opiekował się zegarkami, a Baxter – kalendarzem; można było na nich polegać. Webb zajął się barometrem i termometrem, notując co dzień ich wskazania.

Zapadła poza tym jeszcze jedna uchwała: postanowiono zaprowadzić dziennik, kronikę wypadków. Trudnej roli kronikarza podjął się Baxter – należało więc przypuszczać, że „Dziennik Groty Francuskiej” będzie prowadzony z wielką dokładnością.

Jeszcze jedna praca nie cierpiąca zwłoki czekała chłopców: pranie odzieży i bielizny; szczęściem mydła nie brakło, a Bóg jeden wie, jak mimo napomnień Gordona morusali się malcy bawiąc się na Boisku Sportowym albo łowiąc ryby nad rzeką. Ileż to razy Gordon krzyczał na nich, grożąc srogimi karami! Moko umiał doskonale pracować, ale sam jeden nie mógł podołać tej pracy. Postanowiono więc, że starsi będą mu pomagać – chociaż nie pociągało ich to zbytnio.

Nazajutrz była niedziela. Wiemy, jak rygorystycznie Anglicy i Amerykanie przestrzegają dni świątecznych: życie miast, miasteczek i wsi jakby zamiera. „W te dni, rzekłbyś, wszelkie rozrywki i zabawy są zakazane zwyczajowo. Człowiek nie tylko musi się nudzić, ale wyglądać na znudzonego, a reguła ta obowiązuje zarówno dorosłych, jak i dzieci”. Tradycja! Wiecznie ta sławetna tradycja!

Tu jednak postanowiono złagodzić nieco surowość obyczajów i owej niedzieli młodzi koloniści pozwolili sobie na małą wycieczkę nad Jezioro Rodzinne. A że było bardzo zimno, skończyło się na dwugodzinnej przechadzce, podczas której odbyły się wyścigi malców na boisku; chłopcy wrócili z radością do groty, gdzie w hallu powitało ich przyjemne ciepło, a w kuchni gorący obiad,

przrzędzony ze szczególnym staraniem przez zręcznego kuchmistrza.

Wieczorem odbył się koncert; harmonia Garnetta zastępowała orkiestrę, a chłopcy śpiewali mniej lub więcej fałszywie, ale za to z istic anglosaską pewnością siebie. Tylko Kubuś miał ładny głos. Ale niewytłumaczona melancholia, w jaką popadł już od dawna, nie pozwalała mu uczestniczyć w rozrywkach kolegów i tym razem odmówił więc stanowczo, kiedy prosili go, by śpiewał jedną z dziecięcych piosenek, którymi tak chętnie pisywał się w kolegium.

Okolo dziesiątej wszyscy spali jak susły; czuwał tylko Phann na którym można było polegać, że podniesie alarm, gdyby zbliża się jakiś niepożądany gość.

W czerwcu mrozy wzmagały się coraz bardziej. Webb stwierdził, że barometr utrzymywał się przeciętnie na wysokości dwudziestu siedmiu cali, a termometr – na dziesięciu do dwunastu stopniach poniżej zera. Kiedy wiatr południowy odchyłał się ku zachodowi, temperatura podnosiła się nieco, a okolice Groty Francuskiej pokrywały się grubą warstwą śniegu.. Wtedy to młodzi koloniści stoczyli parę bitew, obrzucając się mniej lub więcej twardymi śnieżkami; uszkodzono przy tym kilka głów, a pewne go dnia najbardziej ucierpiał Kubuś, który tylko z boku przyglądał się zabawie. Śnieżka, rzucona zbyt mocno przez Crossa, ugodziła go boleśnie, choć nie była w niego wymierzona; chłopiec krzyknął z bólu.

– Nie zrobiłem tego naumyślnie! – zawołał Cross, jak zapewnia zwykle każdy niezgrabiasz.

– Oczywiście – odparł Briant, który przybiegł na pole walki, posłyszawszy krzyk brata. – Ale nie powinieneś rzucać tak silnie.

– A po co Kubuś tu stoi, skoro nie chce się z nami bawić? – powiedział Cross.

– Tyle gadania – odezwał się Doniphan – z powodu jednego nieznośnego smyka!

– Mniejsza z tym.. To nic strasznego – odpowiedział Briant i spostrzegłszy, że Doniphan szuka okazji do wmieszania się w kłótnię. – Chcę tylko prosić Crossa, by więcej tego nie robił.

– O cóż masz go prosić? – zagadnął kpiąco Doniphan. – To przypadek...

– Nie rozumiem, dlaczego się wtrącasz – rzekł Briant. – Dotyczy to tylko Crossa i mnie...

– I mnie także, skoro mówisz takim tonem!

– Jak sobie życzysz i kiedy sobie życzysz! – powiedział Briant krzyżując ramiona.

– Natychmiast! – wykrzyknął Doniphan.

W tej chwili nadszedł Gordon; zjawił się w porę, by zapobiec walce na pięści, którą zakończyłyby się kłótnia. Zbeształ Doniphana, który złorzecząc powędrował do groty. Należało się jednak obawiać, że dwaj rywale i tak przy innej okazji stoczą walkę.

Śnieg sypał dwie doby. Ku uciesze malców Sendee i Garnett ulepili ogromnego bałwana z

olbrzymią głową, wielkim nosem i przesadnie szerokimi ustami – coś na kształt wielkoluda. Dole i Costar za dnia okazywali wielką odwagę obrzucając bałwana śnieżkami, ale patrzyli nań z trwogą, kiedy z nastaniem ciemności wydawał się jeszcze większy.

– Och, co za tchórze! – wołał Iverson i Jenkins, którzy udawali zuchów, bojąc się tak samo jak młodszy koledzy.

Pod koniec czerwca trzeba było zrezygnować z tych rozrywek. Śnieg, okrywając ziemię warstwą grubą na kilka stóp, utrudniał poruszanie się. Ktokolwiek oddaliłby się choćby ona sto kroków od grotu, mógłby więcej nie wrócić.

Młodzi koloniści byli zamurovani przez dwa tygodnie, do 9 lipca. Lekcje nie ucierpiały na tym, program zajęć wykonywano dokładnie. Pogadanki odbywały się w wyznaczone dni. Sprawiały one wszystkim nie lada uciechę i, co nikogo nie dziwiło, Doniphan posiadający ogromny dar wymowy i dość bogate wiadomości wiódł tutaj prym. Tylko czemu tak się pysznił? Wszystkie zalety tego chłopca przekreślało jego niezmierne zarozumiałstwo.

Aczkolwiek chłopcy spędzali czas w hallu, zdrowie ich nie ucierpiało na tym. Powietrze bowiem krążyło stale poprzez korytarz między obu pomieszczeniami. Sprawa higieny była nad wyraz ważna. Gdyby któreś z dzieci zachorowało, jakąż można by mu zapewnić pielęgnację? Szczęściem skończyło się na paru katarach i bólach gardła, które ustępowały szybko, bo chorzy musieli zachowywać się spokojnie i popijać rozgrzewające napoje.

Jeszcze jedna sprawa wymagała szybkiego rozstrzygnięcia. Dotychczas chłopcy czerpali wodę z rzeki w porze odpływu, aby nie miała słonego posmaku. Ale kiedy lód pokryje rzekę w całości, nie sposób będzie nadal tak postępować. Gordon naradził się z Baxterem, swoim „naczelnym inżynierem”, nad środkami, jakie należało przedsięwziąć. Baxter, zastanowiwszy się, zaproponował poprowadzić z rzeki do kuchni rurę, zakopaną na kilka stóp w ziemi, aby woda w niej nie zamarzła. Było to przedsięwzięcie bardzo trudne i Baxter nie wywiązałby się z zadania bez kilku ołowianych rur, którymi na „Sloughi” doprowadzano wodę do toalet. Wreszcie, po wielu próbach, zapewniono dopływ wody do kuchni. Do oświetlenia grotu nie brakło na razie oliwy do latarni pokładowych. Gdy minie zima, trzeba będzie jednak uzupełnić jej zapas albo robić świece z tłuszczu, który Moko przechowywał na wszelki wypadek.

Apropozycja następcza też w tym okresie małym kolonistom pewne trudności, gdyż polowanie i rybołówstwo nie przynosiły już dużych łupów. Wygłodniałe zwierzęta podchodziły wprawdzie często pod grotę, ale były to tylko szakale; Doniphan i Cross odpędzali je zazwyczaj kilkoma strzałami. Jednego dnia zjawily się całą gromadą, liczącą ze dwadzieścia sztuk. Napaść tych zwierząt, wygłodniałych, a więc bardziej niż zwykle śmiałych, mogła okazać się groźna. Na szczęście nie zdołały wdrzeć się do grotu, gdyż Phann zwiertzył je w porę. Trzeba jednak było zabarykadować drzwi hallu i kuchni.

W tych niesprzyjających warunkach Moko musiał naruszyć zapasy z jachtu, oszczędzane w miarę możliwości. Gordon bardzo niechętnie godził się z tymi stratami, martwiąc się, że w jego notesie rosną kolumny rozchodów, a przychód się nie powiększa. Istniał jednak spory zapas mięsa kaczek i dropi, podgotowanego i przechowywanego w hermetycznie zamkniętych baryłeczkach; Moko uciekał się do

tej rezerwy, jak i do solonych łososi. Nie zapominajmy jednak, że w Grocie Francuskiej należało wykarmić piętnaście osób, liczących od lat ośmiu do piętnastu, obdarzonych wspaniałym apetytem.

Jednakże chłopcy nie byli tej zimy całkowicie pozbawieni świeżego mięsa. Wilcox, nadzwyczaj przemyślny, gdy szło o zakładanie sideł, zastawiał ich mnóstwo nad rzeką. Były to wprawdzie zwykle łapki, podparte drewniakami w kształcie cyfry 4, ale wpadała w nie czasem drobniejsza zwierzyna.

Wspomagany przez kolegów, Wilcox porzyczał także nad rzeką sieci rybackie ze „Sloughi”, zawieszając je na wysokich żerdziach. Wiele ptaków z Bagien Południowych, przelatując na drugi brzeg, wpadało w oka sieci. I choć większość uwalniała się bywały dni, że chwytało ich dość na obiad i na kolację.

Najbardziej kłopotliwą sprawą było wyżywienie nandu. Service musiał szukać dla niego trawy i korzonków pod grubą, gdziegdzie trzystopniową warstwę śniegu. Ale czegoż by nie zrobił, aby dogodzić ulubieńcowi? Aczkolwiek nandu schudł tej zimy, nie było to winą jego troskliwego opiekuna; należało się spodziewać, że na wiosnę znowu się utuczy.

Trzeba także powiedzieć, że osvajanie tego dzikiego ptaszyska nie posuwało się wcale naprzód, wbrew temu, co twierdził Service, który czuwał nad jego ułożeniem.

„Jakiż to będzie wspaniały wierzchowiec” – mawiał, chociaż nikt sobie nie wyobrażał, jakim sposobem chłopiec zdoła go dosiąść.

9 lipca Briant, wyjrzawszy za próg groty, stwierdził, że wiatr zmienił nagle kierunek, dmąc od południa.

Oziębiło się tak znacznie, że chłopiec musiał szybko zawrócić; zaraz też powiadomił Gordona o nagłej zmianie temperatury.

– Należało się tego spodziewać – odparł Gordon. – Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby ciężkie mrozy dały się nam jeszcze we znaki przez parę miesięcy!

– A więc – powiedział Briant – „Sloughi” został zepchnięty o wiele dalej na południe, niżśmy przypuszczali!

– Zapewne – zgodził się Gordon – choć w naszym atlasie nie figuruje żadna wyspa w okolicach antarktycznych.

– Rzeczywiście, to zupełnie niezrozumiałe. Naprawdę nie mam pojęcia, dokąd powinniśmy się skierować, gdyby nam się udało opuścić wyspę...

– Opuścić naszą wyspę! – wykrzyknął Gordon. – Widzę, że nie przestajesz o tym myśleć!

– Nigdy nie przestanę, Gordon. Gdyby tylko udało nam się sklecić łódź zdatną do morskiej żeglugi, nie wahałbym się wyruszyć na poszukiwania!

– Zgoda! Zgoda... – powiedział Gordon. – To nic pilnego. Tymczasem zorganizujemy lepiej naszą kolonię...

– Zapominasz, mój drogi – rzekł Briant – że każdy z nas ma rodzinę...

– Oczywiście... oczywiście... Ale ostatecznie nie jest nam tutaj tak źle! Wszystko idzie niezgorzej... Bo i czegoż nam właściwie brakuje?

– Wielu rzeczy, Gordon – rzekł Briant uznawszy dalszą dyskusję za zbędną. – O, na przykład nie mamy już opału...

– Nie wyrąbaliśmy jeszcze wszystkich lasów na wyspie!

– Ach, nie! Ale musimy zgromadzić nowy zapas drzewa, stary już się kończy.

– Choćby dziś! – powiedział Gordon. – Spójrzmy tylko termometr.

Termometr wiszący w kuchni wskazywał tylko pięć stopni wyżej zera, choć ogień aż huczał w palenisku. Wystawiony zewnątrz, wskazał niebawem siedemnaście stopni poniżej zera.

Mróz, i tak ostry, mógł wzmoczyć się jeszcze, jeśli pogoda słoneczna i sucha utrzymywałaby się przez kilka tygodni. Już teraz temperatura w grocie obniżała się wyraźnie, choć suty ogień płonął w kuchni i dwóch piecykach w hallu.

Około dziewiątej, po śniadaniu, chłopcy postanowili wyprawić się do Lasu Wilczych Dołów i przynieść jak największe naręcze drzewa.

Kiedy nie ma wiatru, można chodzić bezkarnie po trzaskającym mrozie. Najdotkliwiej zawsze doskwierają ostre, siekące twarz i ręce podmuchy, przed którymi trudno się uchronić. Szczęściem dzień był cichy i niebo idealnie czyste – jakby powietrze zamarzło.

Toteż chłopcy nie brnęli, jak wczoraj, w miękkim śniegu, padając się po pas, lecz wędrowali po skorupie twardej jak metal. Można tedy było, wyrównawszy krok, maszerować jak po zamrożonym całkowicie Jeziorze Rodzinnym albo Rzece Zelandzkiej. Gdyby mieli kilka par owych „rakiet”, którymi posługują mieszkańcy krajów polarnych, albo sanki zaprzężone w lub reny, mogliby przemierzyć całe jezioro w najszerszym miejscu, z południa na północ, w ciągu paru godzin.

Ale na razie nie zamierzali puszczać się na tak daleką wyprawę. Pójść do najbliższego lasu i przygotować odpowiednią ilość opału – oto zadanie, które należało natychmiast wykonać.

Jednakże dostarczenie opału do groty było pracą bardzo ciężką gdyż chłopcy mogli nosić drzewo tylko w ręku albo na plecach. Moko poddał wtedy świetny projekt, który chłopcy wykonali od razu, nie czekając na budowę jakiegoś wehikułu. Czyż olbrzymi, masywny stół z kuchni mający dwanaście stóp długości i cztery szerokości nie będzie sunął po gładkim, szklistym śniegu, jeśli wywrócić go do góry nogami?

Czterej starsi zaprzęgli się do tych nieco prymitywnych sań i wyruszyli w kierunku Lasu

Wilczych Dołów.

Malcy – z czerwonymi nosami i policzkami – biegli przodem, za przykładem Phanna podskakując jak szczenięta. Czasami wdzierali się też na stół, mimo łajañ i sprzeciwów starszych chłopców. Okrzyki dzieci dźwięczały ostro w czystym i mroźnym powietrzu. Doprawdy, miło było spojrzeć na tych małych kolonistów, cieszących się tak świetnym humorem i zdrowiem!

Jak okiem sięgnąć, między Jeziorem Rodzinnym a Wzgórzem Aucklandzkim, wszystko było białe. Osronione drzewa, o gałęziach uginających się pod migoczącymi kryształkami, stały w dali półkolem, niby tło baśniowej dekoracji. Stada ptaków przelatowały ponad jeziorem, szybując w stronę urwiska. Doniphan i Cross nie zapomnieli swoich fuzji. Okazało się, że zrobili roztropnie, gdyż dostrzeżono niebawem ślady nie tylko szakali, lecz także innych zwierząt – pewnie kugarów albo jaguarów.

– A może to dzikie koty, zwane „paperos” – odezwał się Gordon. – Ale i one są nie mniej groźne.

– Phi, skoro to tylko koty... – powiedział Cross wzruszając ramionami.

– Tygrysy to także koty! – odparł Jenkins.

– Powiedz mi, Service – zagadnął Costar – czy to prawda, że te koty są złe?

– Jeszcze jak! – odpowiedział Service. – Taki kot potrafi schrupać dziecko, jakby to była mysz.

Odpowiedź ta zaniepokoiła bardzo Costara.

Przebywszy pół mili dzielące Las Wilczych Dołów od groty, młodzi drwale wzięli się ochoczo do pracy. Zrąbali drzewa dość grube i ociosywali je z drobnych gałęzi, aby zaopatrzyć się w szczapy, które lepiej nadają się na opał niż chrust, znikający w jednej chwili w ogniu. Po czym załadowali na „sanie” sporo ciężkich kłód; stół ślizgał się tak gładko po zamrożonej skorupie śnieżnej, a chłopcy ciągnęli go tak ochoczo, że do południa udało im się obrócić dwa razy.

Po drugim śniadaniu chłopcy powrócili do pracy i przerwa ją około czwartej, gdy zaczęło się ściemniać. Byli bardzo zmęczeni, Gordon zarządził więc wypoczynek do następnego dnia.

Zresztą, wzięli się jeszcze do piłowania i rąbania kłoców; następnie musieli ułożyć drzewo, co przeciągało się aż do późnego wieczora.

Zwózka trwała bez przerwy cały tydzień, dzięki czemu zdołano zgromadzić zapas na wiele tygodni. Rzecz jasna, zmieściłby on w kuchni, ale chłopcy uznali, że lepiej będzie ułożyć drzewo na dworze, pod ścianą urwiska.

15 lipca przypadał, wedle kalendarza, dzień świętego Swithina, który w Anglii rozstrzyga sprawy pogody, podobnie jak święty Medard we Francji.

– A więc – zauważył Briant – jeśli dziś będzie padało, czeka nas czterdzieści dni deszczu.

– Tam do licha! – wykrzyknął Service. – A cóż nas to obchodzi, skoro mamy zimę? Ach, gdyby to już było lato!

Rzeczywiście mieszkańcy półkuli południowej nie potrzebują się troszczyć, jaki wpływ na pogodę wywierają święty Medard albo święty Swithin, będący dla antypodów świętymi zimowymi.

Tymczasem deszcz nie trwał długo, wiatr zadął od południowego wschodu i nastały mrozy tak silne, że Gordon zabronił malcom wytykać nos na dwór.

Około 3 sierpnia słupek termometru opadł do dwudziestu siedmiu stopni poniżej zera. Wystarczyło wyjść na dwór, a para przy oddychaniu zamieniała się w kryształki śniegu. Chwyciwszy ręką metalowy przedmiot odczuwało się piekący ból, który przypominał oparzenie. Trzeba było przedsięwziąć najrozsądniejsze środki ostrożności, aby utrzymać w pieczarze wystarczającą temperaturę.

Pierwsze dwa tygodnie sierpnia były szczególnie ciężkie. Briant obserwował z niepokojem wybladłe twarze młodszych kolegów, których rumieńce znikły bez śladu. Jednakże dzięki napojom; rozgrzewającym, których nie brakło, młodzi koloniści przetrwali nie najgorzej ten niebezpieczny okres, aczkolwiek nie obeszło się bez katarów i bronchitów.

Około 16 sierpnia pogoda zmieniła się nieco, wiatr bowiem wiał teraz stale od zachodu. Temperatura podniosła się do dwunastu stopni poniżej zera, a mróz taki łatwo znieść przy bezwietrznej pogodzie.

Doniphan, Briant, Service, Wilcox i Baxter wpadli wówczas na pomysł wyprawy do zatoki Sloughi. Gdyby wyszli wczesnym rankiem, zdołaliby na pewno powrócić tego samego dnia pod wieczór.

Chcieli się dowiedzieć, czy wybrzeży nie odwiedzają zwierzęta ziemno-wodne, stali mieszkańcy okolic bieguna południowego. Chłopcy spotkali kilka takich okazów zaraz po katastrofie. Prócz tego uważali, że należało wciągnąć nową flagę na maszt, bo ze starej, łopoczącej na wicherze przez całą zimę, pozostały zapewne tylko strzępy. Stosownie do rady Brianta, chłopcy mieli przybić do masztu tabliczkę z opisem położenia Groty Francuskiej; wskazówka ta przyda się może jakimś marynarzom, którzy zaciekawieni flagą przybiją do brzegu.

Gordon zgodził się na wycieczkę, ale pod warunkiem, że powrót nastąpi tego samego dnia; gromadka wyruszyła więc 19 sierpnia przed świtem. Niebo było bezchmurne, księżyc w ostatniej kwadrze oblewał wyspę bladym światłem. Chłopcy, doskonale wypoczęci, nie obawiali się owych sześciu mil dzielących ich od zatoki.

Przebyli je bardzo szybko. Nie potrzebowali okrążyć zamrożonego trzęsawiska, co znacznie skróciło im drogę. Doniphan i jego koledzy stanęli więc na plaży przed dziewiątą rano.

– Spójrzcie, jakie ogromne stado ptaków! – wykrzyknął Wilcox.

Na rafach zgromadziło się kilka tysięcy ptaków przypominających wielkie kaczki; ptaki te, o

dziobach niby muszle małżów, skrzeczały przenikliwymi, ostrymi głosami.

– Zupełnie jak parada żołnierzy! Generała tylko patrzeć! – ozwał się Service.

– To pingwiny – odpowiedział Baxter. – Niewarte są kuli. Głupie te ptaki, trzymające się w pozycji niemal pionowej, dzięki łapom cofniętym daleko do tyłu, ani myślały uciekać; można by zabijać je kijem. Doniphan miałby pewnie ochotę na Przekór innym dokonać tej bezużytecznej masakry, ale że roztropny Briant nie sprzeciwił się temu, pingwiny zostawiono w spokoju.

Oprócz tych nieprzydatnych ptaków pojawiły się tutaj zwierzęta, których tłuszcz mógł służyć do oświetlania grot podczas następnej zimy.

Były to foki barszkujące na skałach pokrytych grubą warstwą lodu. Aby upolować kilka sztuk, należało odciąć zwierzętom drogę, zachodząc je od raf. Ale kiedy Briant i jego koledzy zbliżyli się nieco, foki umknęły, sadząc przedziwnymi susami, i zniknęły pod wodą. Trzeba więc było pomyśleć o zorganizowaniu na nie specjalnych łowów.

Po skromnym śniadaniu złożonym z wiktuałów, które przynieśli ze sobą, nasi koloniści jęli się bacznie rozglądać po zatoce.

Nieskalana płachta śniegu pokrywała wybrzeże od ujścia rzeki aż po Przylądek Fałszywego Morza. Wszystkie ptaki, oprócz pingwinów oraz petreli i mew, porzuciły plażę i przeniosły się w głąb wyspy, gdzie łatwiej im było znaleźć pożywienie. Śnieg, gruby na kilka stóp, osłaniał plażę, a resztki z rozbitego jachtu zniknęły pod jego puszystym kobiercem. Wodorosty wyrzucone przez morze, ale spoczywające na skałach, wskazywały, że gwałtowne przypływy nie zalewały zatoki w okresie zrównania dnia z nocą.

Morze zaś, którego chłopcy nie widzieli od trzech długich miesięcy, było puste jak dawniej, aż po najdalszy kraniec widnokregu. Gdzieś tam daleko, w odległości setek mil, leżała Nowa Zelandia... Briant nie tracił nadziei, że kiedyś jeszcze ją ujrzy!

Baxter podniósł nową flagę na maszt i przybił tabliczkę objaśniającą, że Grota Francuska leży nad brzegiem rzeki, w odległości sześciu mil. Po czym, około pierwszej, chłopcy puścili się w powrotną drogę, wędrując lewym brzegiem rzeki.

Doniphan ustrzelił po drodze parę rożeńców i czajek, której przefruwały nad rzeką, i około czwartej, kiedy zaczęło się już ściemniać, chłopcy dotarli do groty. Opowiedzieli Gordonowi o przebiegu wycieczki; skoro zaś foki zjawiały się tak licznie w zatoce Sloughi, postanowili zapolować na nie, gdy pogoda to pozwoli.

W istocie zima miała się już ku końcowi. W ostatnim tygodniu sierpnia i w pierwszych dniach września wiatr od morza smagał znów wyspę. Ulewne, przelotne deszcze wpłynęły na szybki wzrost temperatury. Śnieg stopniał niebawem, a tafla lodu na jeziorze pękła z ogłuszającym trzaskiem. Kra spłynęła częściowo ku rzece i tam spiętrzyła się tworząc zator, który ruszył z prądem dopiero 10 września.

Zima minęła. Dzięki przedsięwziętym środkom ostrożności mała kolonia nie ucierpiała zbyt. Wszyscy byli zdrowi, a że uczyli się z zapalem, Gordon nie miał powodu srożyć się na krnąbrnych. Musiał jednak któregoś dnia ukarać dla przykładu Dole'a, który mocno nabroił.

Uparciuch ten nieraz odmawiał „odrabiania lekcji”, a Gordon łajał go daremnie, bo malec nie zwracał na to uwagi. Nie skazano Dole'a na chleb i wodę dlatego tylko, że kara taka nie istnieje w angielskim systemie nauczania – za to musiał otrzymać baty.

Młodzież angielska – jak już zaznaczono – nie odczuwa odrazy, z jaką Francuz odniósłby się na pewno, do kary tego rodzaju. Briant sprzeciwiłby się z pewnością chłóście, gdyby nie musiał respektować postanowień Gordona. A zresztą o ile uczeń francuski wstydziłby się w takim wypadku swojej hańby, uczeń angielski uważałby się za zhańbionego jedynie wtedy, gdyby okazał lęk przed batem.

Dole otrzymał więc kilka różg, które wymierzył mu Wilcox, jego to bowiem los wyznaczył na wykonawcę wyroku; przykład ten podziałał znakomicie i wykroczenie nie powtórzyło się więcej.

10 września minęło pół roku od chwili, gdy „Sloughi” rozbił się o rafy u brzegów Wyspy Chairmana.

Rozdział XIV

Ostatnie podmuchy zimy – Wóz – Nadejście wiosny – Service i jego nandu – Przygotowania do wyprawy na północ – No Rzeka Postoju – Fauna i flora – Na krańcu Jeziora Rodzinnego – Piaszczysta Pustynia

Z wiosną młodzi koloniści mogli urzeczywistnić projekty wzięte podczas długich wywczasów zimowych.

Na zachodzie – było to aż nazbyt oczywiste – żaden ląd nie sąsiadował z wyspą. Czy tak samo rzecz się miała od północy, południa i wschodu, czy też wyspa stanowiła część jakiegoś archipelagu albo grupy wysp leżących na Pacyfiku? Nie, z pewnością nie, jeśli dać wiarę mapie Franciszka Baudoin. Niemniej jakieś ziemie mogły znajdować się w tych stronach, a rozbitek nie dostrzegł ich z tej przyczyny, że nie miał ani lornetki, ani lunety, a także dlatego, że ze Wzgórza Aucklandzkiego widać było tylko kilkumilową przestrzeń. Chłopcy, lepiej wyposażeni, by obserwować ocean, zdołaliby może wykryć to, czego rozbitek z „Duguay-Trouin” nie mógł dojrzeć.

Sam kształt Wyspy Chairmana wskazywał, że szerokość jej od Groty Francuskiej do wschodnich wybrzeży wynosiła najwyżej dwanaście mil. W brzegu przeciwległym do zatoki Sloughi istniała głęboka wyrwa, należało więc, dla zbadania okolicznych wód, udać się właśnie w tę stronę.

Ale przed zwiedzeniem rozmaitych rejonów wyspy należało zbadać naturalne bogactwa terenu między Wzgórzem Aucklandzkim, Jezioro Rodzinnym i Lasem Wilczych Dołów. Czy rosną tam

jakieś użyteczne drzewa i krzewy? Aby przekonać się o tym, chłopcy postanowili urządzać ekspedycję, wyznaczając ją na pierwsze dni października.

W każdym razie, jeśli wiosna miała rozpocząć się wedle kalendarza astronomicznego, Wyspa Chairmana, leżąca w dość znacznej odległości od równika, nie odczuwała jej dotąd. Srogie zawieruchy nękały wyspę we wrześniu i w pierwszej połowie października. Zdarzały się jeszcze ostre zimna, ale nie trwały długo, bo wiatr zmieniał nadzwyczaj często kierunek. W tym okresie wiosennego zrównania dnia z nocą zaburzenia atmosferyczne występowały z nieporównaną gwałtownością i przypominały zawieruchę, która gnała „Sloughi” przez wody Oceanu Spokojnego. Wzgórze Aucklandzkie, smagane groźnymi uderzeniami wichru, zdawało się drżeć całe, szczególnie gdy od południa nadciągała zawieja, która, nie napotykając przeszkód na płaskim terenie Południowych Bagien, biła w urwisko lodowatymi podmuchami znad bieguna. Trudno było zamknąć przed nią drzwi – wypchnęła je ze dwadzieścia, razy, wdarła się od kuchni przez korytarz do hallu. W takich warunkach chłopcy cierpieli o wiele dotkliwiej niż podczas tęgich mrozów, kiedy słupek termometru opadł do trzydziestu stopni poniżej zera. Trzeba też było walczyć nie tylko z wichurą, ale z deszczem i gradem.

Na domiar złego zwierzyna zniknęła całkowicie – jakby schroniła się w innych zakątkach wyspy, osłoniętych lepiej przed wiosennymi burzami – a ryby, wystraszone pewnie rykiem fal rozbijających się o brzegi jeziora, umknęły także.

Mimo to nikt nie próżnował w Grocie Francuskiej. Baxter na przykład próbował zbudować coś w rodzaju wehikułu do przewożenia ciężkich przedmiotów; stół nie mógł już spełniać roli sanek, gdyż twarda skorupa śniegu dawno stopniała.

Chłopcu przyszło na myśl, by wykorzystać dwa koła jednakowej wielkości, które można było uzyskać po rozmontowaniu kabestanu. W pracy tej popełniał wiele pomyłek, jakich uniknąłby na pewno doświadczony rzemieślnik. Były to koła zębate i Baxter z początku próbował odpiłować zęby; w końcu wpadł na pomysł wypełnienia odstępów między zębami za pomocą twardych, drewnianych klinów, po czym obił koła żelaznymi obręczami. Umocowawszy oba koła na żelaznej osi, ustawił na nich drewnianą skrzynię, którą sam zbudował. Prymitywny ten wózek oddał jednak nieocenione usługi. Oczywiście z braku konia, muła lub osła najsilniejsi chłopcy musieli stanąć zaprzęg.

Och, gdyby tak pochwycić i wytresować jakiegoś czworonoga, ileż zaoszczędziłoby to trudu! Czemu Wyspa Chairmana obfitowała bardziej w ptaki niż w zwierzęta przeżuwające – bo nie warto wspominać o drapieżnikach, których szkielety albo tropy napotymano tu i ówdzie! A ponadto, jeśli wziąć pod uwagę strusia, którego hodował Service, czyż można było się łudzić, że dzikie zwierzęta dadzą się nagiąć do pracy tak jak zwierzęta domowe?

Istotnie nandu nie stracił nic ze swojej dzikości. Nie pozwalał przystąpić do siebie, bronił się dziobem i łapami, próbował zerwać peta, a gdyby mu się udało, zniknąłby zapewne w jednej chwili wśród drzew Lasu Wilczych Dołów.

Service nie zniechęcał się jednak. Nadał nawet ptakowi mian „Brausewind”, jak to uczynił imć Jack w „Robinsonie Szwajcarskim”, ale choć Service pocztywał sobie za punkt honoru oswojenie krnąbrnego ptaka, nie wskórał nic ani łagodnością, ani surowością.

– A jednak – powiedział pewnego dnia, wspominając powieść Wyssą, w której się rozczytywał – Jack zrobił ze swojego strusia wspaniałego wierzchowca.

– To prawda – odparł Gordon. – Ale między twoim bohaterem a tobą jest taka sama różnica jak między jego strusiem a twoim!

– Jaka?

– Po prostu taka, jaka dzieli fantazję od rzeczywistości.

– E, furda!... – zawołał Service. – - Uporam się w końcu z tym strusiem. A jak nie, to on mi już za to odpowie!

– Słowo daję – roześmiał się Gordon – mniej bym się zdziwił, gdyby ci odpowiedział, niż gdyby cię usłuchał!

Nie zważając na drwiny kolegów Service postanowił dosiąść strusia w pierwszy pogodny dzień. Naśladować ciągle postać zrodzoną z imaginacji, sporządził z żaglowego płótna rodzaj uprzęży i kaptur z ruchomymi okularami. Dlaczego to, co powiodło się innemu chłopcu, miałyby nie udać się jego naśladowcy? Service zrobił nawet obrozę z linki konopnej, którą zdołał założyć ptakowi na szyję, choć nandu obszedłby się doskonale bez tej ozdoby, Ale w kaptur ptak ustroić się nie pozwolił.

I tak mijały dni wypełnione pracą, która uczyniła z Groty Francuskiej wygodne mieszkanie. Trudno o lepszy sposób spożytkowania godzin, których nie można było spędzać na dworze. Baczono przy tym pilnie, by nauka na tym nie ucierpiała.

A zresztą okres zrównania dnia z nocą dobiegł końca. Słońce grzało silniej, niebo się wypogadzało. Była połowa października. Ziemia oddawała swoje ciepło krzakom i drzewom, które miały zazielenić się niebawem.

Można teraz było spędzać całe dnie na dworze. Chłopcy wytrzepali starannie, poreperowali i poskładali pieczołowicie w skrzyniach ciepłe ubrania, spodnie z grubego sukna, swetry i wełniane bluzy, które Gordon uprzednio poznał. Młodzi koloniści, swobodniejsi w lżejszym ubraniu, powitali z radością wiosnę. Ponadto ożywiała ich teraz nadzieja – nie wygasająca zresztą nigdy – że odkryją wreszcie coś takiego, co wpłynie na całkowitą zmianę ich losu. Czyż nie mogłoby się zdarzyć latem, że jakiś okręt zawita w te strony? A jeśli przepływałby obok Wyspy Chairmana, czemu nie miałby przybić do brzegu, gdyby marynarze dostrzegli flagę, powiewającą nad Wzgórzem Aucklandzkim?

W drugiej połowie października chłopcy pokusili się o kilka wycieczek w promieniu dwóch mil wokół Groty Francuskiej. Tylko myśliwi brali w nich udział. Urozmaicało to jadłospis, aczkolwiek Gordon zalecał surowo oszczędzania prochu i śrutu. Wilcox zastawiał sidła, w które chwycił kusaki, dropie, a czasami nawet zające. Chłopcy zaglądali kilka razy dziennie do sideł, bo szakale i paperos usiłowały zawsze wyprzedzić myśliwych, niszcząc im zwierzynę. Wściekłość ogarniała chłopców, że pracowali dla tych krwiożerczych zwierząt, które zresztą tępili przy każdej okazji. Schwyтали nawet parę szkodników w wilcze doły. Spotykało się też tu i ówdzie tropy drapieżników; chłopcy mieli się

więc zawsze na bacności, aczkolwiek dzikie bestie nie próbowały ich atakować do tej pory.

Doniphan ustrzelił również parę sztuk pekari (odmiana dzika) i guaculi (odmiana jelenia), których mięso jest bardzo smaczne. Co do nandu, nikt ich specjalnie nie ścigał, bo doświadczenia Service'a, który usiłował oswoić swojego strusia, nie były zachęcające.

Potwierdziło się to 26 października rankiem, kiedy uparty chłopiec postanowił dosiąść ptaka, nie bez trudu założywszy uprząż.

Wszyscy wylegli na Boisko Sportowe, aby przypatrzeć się ciekawej próbie. Malcy spoglądali na kolegę z zazdrością pomieszaną z lekkim niepokojem. W momencie decydującym zawahali czy nie prosić Service'a, aby wziął któregoś za siebie „na siodło”. Starsi zaś wzruszali tylko ramionami. Gordon próbował nawet odwieść Service'a od zamiaru, który wydawał mu się ryzykowny, ale chłopak upierał się nadal – postanowiono więc nie przeszkadzać mu.

Garnett i Baxter trzymali ptaka, który miał oczy zasłonięte kapturem, i wreszcie, po kilku bezowocnych próbach, Service wskoczył mu na grzbiet.

Wtedy, głosem niezbyt, pewnym, rzucił:

– Puście!

Nandu, oślepiiony przez kaptur, trwał chwilę bez ruchu, a chłopiec przytrzymał go, ściskając mu mocno boki kolanami. Ale gdy tylko kaptur podniósł się, a Service szarpnął za linkę służącą jednocześnie za uzdę, struś dał ogromnego susa i pomknął do lasu.

Service nie panował już nad rozhukanym wierzchowcem, który mknął jak strzała. Daremnie próbował go zatrzymać zasłaniając mu oczy! Struś jednym puchem łba strącił kaptur, który zsunął mu się po szyi. Po czym, mimo iż Service trzymał się kurczowo obiema rękami za szyję nandu, gwałtowny wstrząs „wysadził z siodła” niezbyt wytrawnego jeźdźca, który runął na ziemię w chwili gdy wierzchowiec zniknął wśród drzew Lasu Wilczych Dołów.

Nadbiegli koledzy; kiedy znaleźli się obok Service'a, struś znikł im już z oczu.

Szczęściem chłopak upadł w gęstą trawę i nie wyrządził sobie najmniejszej krzywdy.

– A to głupie bydlę! Głupie bydlę! – krzyknął wściekły. – Niech ja cię tylko złapię!

– Nigdy go nie złapiesz – powiedział Doniphan, który lubił wyśmiewać się z kolegów. – Jack był stanowczo o wiele lepszym ujeżdżaczem od ciebie!

– Bo mój nandu był jeszcze za mało oswojony! – odpowiedział Service.

– I nie mogło być inaczej – rzekł Gordon. – Pociesz się, mój drogi, że i tak nic byś nie wskórał z tym ptakiem; a prócz tego nie odnoś się do powieści Wyssa z tak ślepą wiarą.

Oto jak skończyła się ta przygoda i malcy nie mieli powodu żałować, że nie jeździli na strusiu.

W pierwszych dniach listopada pogoda zdawała się sprzyjać dłuższej wyprawie, którą projektowano dla zbadania zachodnich brzegów Jeziora Rodzinnego aż po jego północny kraniec. Niebo było bezchmurne, upał niezbyt jeszcze doskwierał, chłopcy mogliby więc spędzić bezpiecznie parę nocy pod gołym niebem. Rozpoczęły się przygotowania.

W wyprawie mieli wziąć udział przede wszystkim myśliwi, lecz Gordon uznał, że tym razem i on też winien wybrać się w drogę. Briant i Garnett mieli zaopiekować się kolegami pozostającymi w grocie. Później, pod koniec lata, Briant myślał zorganizować jeszcze jedną wyprawę dla – zbadania niżej położonych partii jeziora – popłynąłby czółnem wzdłuż brzegów albo w poprzek jeziora, którego szerokość w pobliżu Groty Francuskiej wynosiła, wedle mapy Franciszka Baudoin, zaledwie cztery do pięciu mil.

5 listopada Gordon, Doniphan, Baxter, Wilcox, Webb, Cross i Service, pożegnawszy się z kolegami, wyruszyli w drogę.

Życie w grocie miało płynąć zwykłym trybem. Iverson, Jenkins, Dole i Costar powinni byli jak zwykle, w godzinach wolnych od pracy, łowić ryby w jeziorze i rzece, co było zresztą ich ulubioną rozrywką.

Młodzi podróżnicy, zostawiwszy Moka w grocie, nie byli skazani na liche jadło! Towarzyszył im przecie Service! Czyż to nie on najczęściej pomagał chłopcu okrętowemu, w jego zajęciach kucharskich? Zachwalał więc swoje kulinarne uzdolnienia, aby wziąć udział w wycieczce. A może spodziewał się odnaleźć swojego strusia?

Gordon, Doniphan i Wilcox byli uzbrojeni w fuzje; wszyscy uczestnicy wyprawy mieli rewolwery u pasów. Kordelasy i dwie siekiery dopełniały ekwipunku. Chłopcy obiecali sobie używać kul i prochu tylko we własnej obronie – w razie napaści, a w czasie polowania tylko wtedy, jeśli nie da się schwycić zwierzęcia w sposób mniej kosztowny. Dlatego Baxter wziął i lasso. Od pewnego czasu ćwiczył się pilnie we władaniu tą bronią i szybko nauczył się sprawnie nią posługiwać. Inna rzecz, jak dotąd celował tylko do przedmiotów nieruchomych; nie można było przewidzieć, czy równie celnie zdoła trafić w zwierzę umykające co sił w nogach. Miało się to okazać w praktyce.

Gordon postanowił też zabrać gumową składaną łódkę, wygodną w podróży, bo zamykaną jak walizka i ważącą najwyżej dwanaście funtów. Na mapie widniały dwie rzeki wpadające do jeziora, przez które zamierzano przepłynąć się owym czółnem, jeśli nie uda się ich przebyć w bród.

Wedle mapy Baudoina – której kopię Gordon zabrał ze sobą nie tylko aby zaglądać do niej w potrzebie, lecz by uzupełniać ją albo poprawiać zależnie od okoliczności – zachodni brzeg Jeziora Rodzinnego liczył, z uwzględnieniem krzywizn, około osiemnastu mil długości. Wyprawa musiała więc trwać co najmniej trzy dni, nawet w wypadku gdyby marsz nie uległ opóźnieniu.

Gordon i jego towarzysze, poprzedzani przez Phanna, zostawili po lewej Las Wilczych Dołów i pomaszerowali raźnie po nadbrzeżnym piasku.

Uszedłszy dwie mile, minęli najdalszy punkt, do którego od momentu osiedlenia się w grocie docierali.

Rosły tu kępami bujne trawy, zwane „cortaderes”, wśród których najwyżsi z podróżników kryli się z głową.

Maszerowali teraz nieco wolniej i nie pożałowali tego, gdyż Phann wytropił wejście do kilku nor, którymi zryta była ziemia. Zwęszył najwyraźniej jakieś zwierzę, które łatwo można będzie ubić w jamie. Doniphan zdejmował już fuzję z ramienia, kiedy powstrzymał go Gordon.

– Oszczędzaj prochu – rzekł. – Bardzo cię o to proszę.

– Kto wie, Gordon, czy nasze śniadanie nie siedzi właśnie w tej norze! – odparł młody myśliwy.

– I nasz obiad – dorzucił Service pochylając się nad jamą. – Jeśli tak – powiedział Wilcox: – to wydobędziemy je stamtąd, a nie będzie to kosztowało ani ziarnka śrutu.

– Jakim sposobem? – spytał Webb.

– Wykurzymy zwierzaki z nory, jak to się robi z tchórzami lisami.

Wśród kęp cortaderes ziemię porastała zeschnięta trawa, którą Wilcox zapalił u wejścia do nory. Po minucie ukazał się z tuzin gryzoniów, które, na pół przytomne, daremnie próbowały zbiec. Były to króliki – tukutki; Service i Webb ubili kilka sztuk, a trzy inne udusił Phann.

– Będziemy mieli wspaniałą pieczeń! – powiedział Gordon.

– Biorę to na siebie! – wykrzyknął Service, któremu pilno było do obowiązków kuchmistrza. – Jeśli chcecie, to nawet zaraz.

– Na pierwszym postoju – rzekł Gordon.

Zeszło jeszcze z pół godziny, nim chłopcy wydostali się z miniaturowego lasu wysokich cortaderes. Dalej ukazała się plaża pocięta długimi pasmami wydm; piasek był tu niezwykle drobny i unosił się za lada podmuchem.

W tym punkcie zbocze Wzgórza Aucklandzkiego cofnięte było na zachód o dwie mile od brzegu jeziora. Pasma płaskowyżu biegło ukośnie od Groty Francuskiej ku zatoce Sloughi. Tę część terytorium pokrywał las, który Briant i jego towarzysze przebyli podczas pierwszej wyprawy nad jezioro. Przez las ów płynął potok nazwany Strumieniem Grobli. Jak wskazywała mapa, strumień wpadał do jeziora. Uszedłszy ze sześć mil, chłopcy znaleźli się, około jedenastej rano, nad jego ujściem.

Rozbili obóz pod wspaniałą piną. Między dwoma gałzami zapłonął suty ogień z suchego drzewa. Po chwili dwa tukutki, które Service obdarł ze skóry i wypatroszył, piekły się nad iskrzącym płomieniem. Phann, usiadłszy przy ognisku, niuchał smakowity zapach mięsa, gdy mały kucharz obracając starannie pieczeń na różnie baczył, aby rumieniła się jak należy.

Chłopcy zjedli śniadanie z wielkim apetytem; nie mieli powodu zbytnio się uskarżać na pierwsze dzieło kulinarne Service’a. Tukutki wystarczyły, toteż oprócz sucharów, zastępujących chleb, nie

trzeba było naruszać żywności, którą chłopcy wzięli ze sobą.

Po śniadaniu młodzi wędrowcy przebyli strumień. Udało im się przejść w bród, nie musieli więc uciekać się do gumowego czółna, co zajęłoby dużo czasu.

Brzeg jeziora stawał się z wolna coraz bardziej podmokły, tak że chłopcy musieli się skierować pod las i poty wędrować skrajem, póki teren przylegający do jeziora nie okaże się znów dostępny. Roślinność była wciąż jednakowa, te same bujne drzewa: buki, brzozy, więzożołdy, rozmaite gatunki sosny. Mnóstwo ślicznych ptaków przelatywało z gałęzi na gałąź – czarne dzięcioły o czerwonych grzebieniach, białoczube muchołówki, mysikróliki – tysiące pełzaczy skrzeczało drwiąco w listowiu, zięby zaś, skowronki i kosy śpiewały i gwizdały na całe gardło. Daleko w przestworzach, bujały kondory, sępy „urubu” oraz kilka „cara-cara” – owych żarłocznych orłów zamieszkujących Amerykę Południową.

Service, wspominając Robinsona Kruzoę, żałował gorąco, że, rodzina papug nie miała swoich przedstawicieli na wyspie. Skoro nie udało mu się oswoić strusia, może któryś z owych gadatliwych ptaków okazałby się mniej krnąbrny? Niestety, Service nie spotkał ani jednej papugi.

Gordon zgodził się, by Doniphan ustrzelił sporego pekari, ni mogąc odmówić koledze tej przyjemności. Zwierzę to mogło przydać się chłopcom bądź na kolację, bądź na jutrzejszy obiad.

Wędrowcy nie potrzebowali zresztą zapuszczać się w las, którym iść byłoby trudniej – wystarczyło posuwać się jego skrajem. Maszerowano tak aż do piątej po południu. I znów rzeka, szeroka na czterdzieści stóp, zagroziła chłopcom drogę.

Była to jedna z rzek wypływających z jeziora: okrążała od północy Wzgórze Aucklandzkie i wpadała do morza powyżej zatoki Sloughi.

Gordon zarządził tu postój. Dwanaście mil – to było dosyć na jeden dzień. Oczywiście chłopcy uznali za konieczne nadać nazwę owej zatoce; ponieważ postój wypadł u jej brzegów, nazwano ją „Rzeką Postoju”.

Chłopcy rozbili obozowisko w kępie drzew nad brzegiem. Pardwy przeznaczyli na następny dzień, a więc na piecyste były tukutki. Service i tym razem wywiązał się nieźle z zadania. Zresztą byli bardziej śpiący niż głodni: jedli machinalnie i oczy im się kleiły. Otuliwszy się więc pledami ułożyli się przy ogromnym ognisku. Ostry blask ognia, który Wilcox i Doniphan mieli na zmianę podsycać, powinien był odstraszyć dzikie zwierzęta.

Noc minęła bez alarmu i już o świcie wszyscy byli gotowi do drogi.

Nie wystarczyło jednak nazwać rzeki, należało ją jeszcze przebyć, a że brodu nie było w pobliżu, chłopcy uciekli się do kauczukowej łódki. Wątle czółno, zdolne pomieścić tylko jedną osobę, musiało obrócić siedem razy między brzegami Rzeki Postoju. Trwało to przeszło godzinę, ale przynajmniej żywność i amunicja nie zamokły podczas przeprawy.

Phann, nie lękając się zamoczyć sobie łap, skoczył do wody i w paru susach przepłynął na drugi

brzeg.

Skończył się teren bagnisty. Gordon poprowadził towarzyszy na skos, ku jezioru, dokąd dotarli przed dziesiątą. Po śniadaniu, złożonym z kilku plastrów pieczonego pekari, chłopcy powędrowali na północ.

Nic nie wskazywało na to, żeby północny kraniec jeziora znajdował w pobliżu; wschodnią część widnokregu przecinała nadal półkolistą linią wód stykających się z niebem. Nagle, koło południa, Doniphana nastawiwszy lunetę powiedział:

– Widać drugi brzeg!

Wszyscy spojrzeli w tę stronę, gdzie nad powierzchnią wody rysowały się wierzchołki drzew.

– Nie zatrzymujmy się – rzekł Gordon – i spróbujmy dotrzeć przed zmierzchem do krańca jeziora.

Jałowa równina, porośnięta tylko z rzadka trzcina i sitowiem, pocięta długimi pasmami wydm, rozpościerała się szeroko, jak okiem sięgnąć. Wydawało się, że w północnej części wyspy ścielą się ogromne piaszczyste połacie, tworząc niezwykły kontrast z bogatą zielenią lasów porastających środkową jej część. Gordon miał tedy prawo nazwać ów teren „Piaszczystą Pustynią”.

Około trzeciej przeciwległy brzeg, wygięty półkolem w odległości dwóch mil na północnym wschodzie, pojawił się wyraźnie przed oczami chłopców. Teren ten wydawał się zupełnie opustoszały, przelatywały nad nim jedynie morskie ptaki – kormorany, petrele, nurki – szybując ku nadbrzeżnym skałom.

Gdyby sztorm przygnał „Sloughi” do tych brzegów, młodzi rozbitkowie, ujrawszy ziemię tak jałową, byłby przekonani, że nie znajdą tu żadnych środków do życia. Daremnie szukaliby na tej pustyni schronienia równie wygodnego jak Grota Francuska!

Czy należało teraz wędrować dalej w tym samym kierunku, czy powinni zbadać tę opustoszałą, jak się wydawało, część wyspy? Czy nie lepiej zorganizować nową wyprawę odkrywczą, aby przepatrzyć prawy brzeg jeziora i pobliskie lasy, gdzie napotkają może nie znane im bogactwa?

Zgodnie z propozycją Doniphana chłopcy postanowili dotrzeć na północny kraniec jeziora, niezbyt chyba odległy, skoro łuki dwóch brzegów wyginały się coraz mocniej.

Zmierzch zastał ich nad małą zatoczką, wrzynającą się w ląd na północnym krańcu Jeziora Rodzinnego.

Nie było tutaj ani drzew, ani kęp trawy, ani nawet mchów lub suchych porostów. Ze względu na brak opału chłopcy musieli się zadowolić żywnością zabraną na drogę, a nie znalazłszy żadnego schronienia ułożyli się do snu na piasku.

Tej pierwszej nocy nic nie zakłóciło ciszy spowijającej Piaszczystą Pustynię.

Rozdział V

W drodze powolnej – Wyprawa na zachód – Trulka i algarrobe – Drzewo herbaciane – Rwący nurt Strumienia Grobli – Wigonie – Niepokojna noc – Guanaki – Baxter zarzuca łąso – Powrót do groty

O dwieście kroków od zatoczki wznosiła się wydma, wysoka na pięćdziesiąt stóp. Był to jakby umyślnie wyznaczony punkt obserwacyjny, skąd Gordon i jego koledzy mogli obejrzyć nieco większą połać wyspy.

Gdy tylko słońce wzeszło, chłopcy wdrapali się na ową wyniosłość.

Ustawili lunetę na szczycie pagórka, kierując ją ku północy.

Jeśli Piaszczysta Pustynia rozciągała się aż po brzeg morza – jak podano na mapie – chłopcy nie mogli dojrzyć jej kresu.

Dalsza wędrówka na północ wydała im się tedy zbędna.

– I cóż teraz zrobimy? – zagadnął Cross.

– Zawróćmy – odpowiedział Gordon.

– Ale nie przed śniadaniem – wtrącił szybko Service.

– No to nakryj stół! – odparł Webb.

– Skoro mamy wracać do groty – rzekł Doniphan – czy nie warto by pójść inną drogą?

– Spróbujmy – odpowiedział Gordon.

– Wydaje mi się – rzucił Doniphan – że osiągnęlibyśmy w pełni cel wyprawy, zbadawszy jeszcze prawy brzeg Jeziora Rodzinnego.

– Trwałoby to zbyt długo – odpowiedział Gordon. – Należałoby przebyć – jak wskazuje mapa – trzydzieści do czterdziestu mil, co zabrałoby nam cztery lub pięć dni, i to pod warunkiem że nie napotkalibyśmy żadnych przeszkód! Niepokoiłoby się o nas w grocie, a stanowczo nie powinniśmy dawać do tego powodów.

– Jednakże – ciągnął Doniphan – będziemy musieli zbadać, wcześniej czy później, tę część wyspy.

– Bez wątplenia – odparł Gordon – i liczę się z tym, że zorganizujemy w tym celu specjalną wyprawę.

– A jednak – ozwał się Cross – Doniphan ma rację. Lepiej byłoby wracać inną drogą.

– Oczywiście – odrzekł Gordon. – Proponuję, byśmy doszli brzegiem jeziora aż do Rzeki Postoju, a następnie puścili się ku płaskowyżowi i wrócili do Groty Francuskiej, obszedłszy podnóże urwiska.

– Po co wracać brzegiem jeziora, skorośmy szli tamtędy? – spytał Wilcox.

– Rzeczywiście, Gordon – powiedział Doniphan – czemu nie skrócić drogi przecinając na skos piaszczystą równinę? Dotarliśmy do Lasu Wilczych Dołów, odległego o dwie albo trzy mile na południowy zachód.

– Bo będziemy musieli przeprowić się przez Rzekę Postoju – odpowiedział Gordon. – Mamy pewność, że można przeprowić się przez nią w tym miejscu, gdzie byliśmy wczoraj; nie wiadomo natomiast, czy przeprowa w dolnym biegu rzeki nie nastreczy nam trudności. Sam więc rozsadek nakazuje nie zapuszczać się w las, póki nie staniemy na lewym brzegu Rzeki Postoju.

– Ach, ta wieczna przezorność! – wykrzyknął z lekką ironią Doniphan.

– Nigdy nie ma jej za wiele! – odparł Gordon.

Chłopcy, zbiegłszy ze stoku wydmy, wrócili do obozowiska, zjedli po kawałku suchara i zimnego mięsa, zwinęli pldy, pozbierali broń i puścili się raźnie tą samą drogą, którą przebyli.

Niebo było wspaniałe. Łagodne podmuchy bryzy marszczyły zaledwie toń jeziora. Dzień zapowiadał się piękny. Oby ładna pogoda utrzymała się choć przez półtorej doby! Gordon tylko tego pragnął, gdyż spodziewał się, że będzie mógł wtedy dotrzeć do groty następnego dnia pod wieczór.

Od szóstej do jedenastej rano chłopcy przebyli bez trudu dziewięć mil dzielących zatoczkę do Rzeki Postoju. Nie wydarzyło się w drodze nic szczególnego, tyle że Doniphan ustrzelił dwa czubate dropie, o czarno-rudych brzuchach i czarno-białych grzbietach. Zdobycz ta wprawiła go w dobry humor. Ucieszył się też Service, gotów zawsze oskubywać, patroszyć i piec ptactwo.

Przystąpił do dzieła po godzinie, kiedy wszyscy jego koledzy przeprowili się kolejno, w kauczukowym czólnie, przez rzekę.

– Jesteśmy w lesie – powiedział Gordon – spodziewam się więc, że Baxter znajdzie teraz okazję, by wypróbować lasso i bola!

– Co prawda nie dokazały one cudów jak do tej pory! – zauważył Doniphan, który lekceważył każdą broń myśliwską z wyjątkiem sztucera i karabinu.

– A jak można było osiągnąć lassem ptaka? – odpalił Baxter.

– Ptaka czy zwierzę – nie widzę tu różnicy! Tak czy inaczej, lasso i bola nie budzą we mnie zaufania!

– Ani we mnie – dorzucił Cross, gotów zawsze poprzeć kuzyna.

– Zaczekajcie z wyrokiem, aż Baxter przy sposobności posłuży się nimi – powiedział Gordon. – Jestem pewny, że nam zaimponuje. A jeśli zabraknie nam kiedyś amunicji, łąso i bolą nigdy nas nie zawiodą!

– Zabraknie raczej zwierzyny!... – zadrwił niepoprawny Doniphan.

– Przekonamy się o tym – rzekł Gordon. – A tymczasem jedzmy śniadanie.

Ale przygotowanie posiłku wymagało jeszcze trochę czasu. Service pragnął dropia upiec jak najsmaczniej! Ptak ten mógł zaspokoić głód chłopców, ponieważ był naprawdę ogromny. Dropie tego gatunku ważą do trzydziestu funtów, a długość ich, od dzioba do ogona, wynosi prawie trzy stopy; są to największe z przedstawicieli rodziny kurowatych.

Po śniadaniu chłopcy zapuścili się w nie znaną im część Lasu Wilczych Dołów, którą (przecinała Rzeka Postoju tocząc swoje wody ku Oceanowi Spokojnemu. Rzeka wyginała się – jak świadczyła o tym mapa – na północny zachód, okrążając cypel urwiska, a ujście jej znajdowało się powyżej Przylądka Fałszywego Morza. Gordon tedy postanowił porzucić brzeg Rzeki Postoju, gdyż idąc z jej biegiem, oddalałby się coraz bardziej o groty. Chciał osiągnąć najkrótszą drogą północny przyczółek urwiska i kierując się na południe, obejść wschodnią ścianę Wzgórza Aucklandzkiego.

Wyznaczywszy kierunek za pomocą busoli, Gordon ruszył prosto na zachód. Pomiędzy drzewami, rzadszymi tutaj niż w część południowej Lasu Wilczych Dołów, maszerowali z łatwością zwłaszcza że i podszycie było tu niezbyt bujne. Wśród brzoź i buków otwierały się niekiedy polanki zalane potokami słońca. Kwiaty odcinały się świeżością barw na tle zieleni krzewowi i trawy.

Gordon dokonał wtedy pożytecznego odkrycia – znał bowiem botanikę, co w wielu wypadkach przydawało się młodym kolonistom. Uwagę jego przyciągnął gęsty krzew o drobnych liściach i kolczastych gałązkach, z których zwisały czerwone owocki wielkości grochu.

– To „trulka”, jeśli się nie mylę! – zawołał. – Indianie wykorzystują znakomicie ten owoc!

– Skoro można go jeść – odezwał się Service – spróbujmy tego specjału! Nic to przecież nie kosztuje!

I nim Gordon zdołał go powstrzymać, rozgryzł kilka jagód.

Wykrzywił się niemiłosiernie, a koledzy wybuchnęli śmiechem. Service spluwał co sił, gdyż ślina napływa mu gwałtownie do ust.

– I tyś mi powiedział, że to można jeść! – wrzasnął wreszcie.

– Wcale tego nie powiedziałem – odparł Gordon. – Indianie poddają te owoce fermentami i fabrykują z nich trunki, który i dla nas będzie bardzo pożyteczny, gdy wyczerpie się zapas wódki; ale należy go pić umiarkowanie, bo uderza do głowy. Nabierajmy do torby tych owoców, a przekonamy się, co się da z nich zrobić.

– Trudno było je zrywać wśród tysięcy otaczających je cierni. Baxter i Webb zaczęli potrząsać gałązkami krzewu i owoce zasłały ziemię; chłopcy napełnili nimi torbę podróżną i ruszyli dalej.

Nie opodal nazbierali strączków pewnego krzewu, charakterystycznego dla strefy południowoamerykańskiej. Były to strączki „algarrobe”; fermentując, dają bardzo silny, słodki trunek. Service tym razem nie pokosztował owocu i dobrze zrobił; zrazu słodki, niebawem piecze w ustach i wywołuje pragnienie; nie można bezkarnie gryźć tych ziaren, jeśli się do nich nie przywykło.

Wreszcie, po południu, o ćwierć mili od Wzgórza Aucklandzkiego, chłopcy dokonali jeszcze jednego, nie mniej ważnego odkrycia. Charakter lasu zmienił się. Powietrze i słońce miały tu łatwiejszy dostęp dzięki licznym polanom; roślinność krzewiła się wspaniale. Pod szerokimi koronami drzew, rozpostartymi na wysokości sześćdziesięciu do osiemdziesięciu stóp, skrzeczały roje ptaków. Wśród tych prześlicznych drzew wyróżniały się podbiegunowe, wiecznie zielone buki. Dalej, nie tak wprawdzie wysokie, ale nie mniej wspaniałe, rosły grupami „winters”, o korze zastępującej cynamon; kuchmistrz z groty będzie więc mógł smaczniej przyprawiać sosy.

Gordon wypatrzył jeszcze „pernettę”; drzewo to rośnie nawet na znacznych szerokościach geograficznych, a napar z jego aromatycznych liści jest bardzo zdrowy.

– Spójrzcie, czym zastąpimy herbatę – powiedział Gordon. – Zerwijmy kilka garści tych liści, a innym razem wybierzemy się tu specjalnie, żeby zrobić zapas na zimę.

Okolo czwartej chłopcy dotarli do Wzgórza Aucklandzkiego – niemal u północnego krańca płaskowyżu. Niepodobna było wspiąć się na prawie pionowe zbocze, choć wydawało się tutaj nieco niższe aniżeli w pobliżu ich groty. Nie byłoby w tym nieszczęścia, ponieważ chłopcy zamierzali wędrować wzdłuż urwiska kierując się w stronę Rzeki Zelandzkiej.

O dwie mile dalej posłyszeli szmer strumienia pieniącego się wśród głazów; nieco niżej przebyli go z łatwością w bród.

– Pewnie to potok znany nam z pierwszej wyprawy nad jezioro – zauważył Doniphan.

– Czy nie ten sam, na którym jest grobla? – spytał Gordon.

– Rzeczywiście – odparł Doniphan. – I dlatego nazwali go Strumieniem Grobli.

– No to rozbijemy obóz na prawym brzegu – powiedział Gordon. – Pięta dochodzi, a skoro mamy spędzić noc pod gołym niebem, możemy przecież zatrzymać się na brzegu Strumienia Grobli, pod osłoną potężnych drzew. Jutro wieczór, jeśli nic nam nie przeszkodzi, staniemy, spodziewam się, w naszej grocie i będziemy spali na kojach w hallu.

Service zakrzętał się wokół kolacji, na którą przeznaczył znowu pieczonego dropia. Ale czyż podobna było gniewać się na Service’a za mało urozmaicony jadłospis? Nic innego nie można było wymyślić.

Tymczasem Gordon i Baxter zapuścili się w las – jeden szukał nowych roślin, drugi zamierzał użyć lassa czy bola, choć dlatego, by położyć kres drwinom Doniphana.

Kiedy uszli ze sto kroków, Gordon przywołał gestem Baxter i wskazał mu stado zwierząt igrających na polanie.

– Kozy? – szepnął Baxter.

– Przynajmniej podobne do kóz! – odpowiedział Gordon. Popróbujmy je schwytać...

– Żywcem?...

– Tak, żywcem; na szczęście nie ma z nami Doniphana, bo zastrzeliliby jedną, a resztę spłoszył! Podejdźmy do nich ostrożnie!

Zgrabne zwierzęta – było ich z pół tuzina – nic nie spostrzegły. Jednakże jedno z nich, zapewne matka, przeczuwając snadź niebezpieczeństwo, węszyło uważnie i nasłuchiwało, jakby gotowe umknąć z całym stadem.

Nagle rozległ się świst. Baxter wyrzucił bola z odległości dwudziestu kroków od stada. Rzucone zręcznie i silnie, owinęło się dookoła jednej z kóz; reszta zwierząt pomknęła ku gęstwinie.

Gordon i Baxter przyskoczyli do kozy, daremnie usiłującej uwolnić się z pęt. Pochwycili ją uniemożliwiając jej ostatecznie ucieczkę. Wraz z kozą złapali jednocześnie dwoje koźląt, które, wiedzione instynktem, trzymały się matki.

– Hura! – wykrzyknął radośnie zazwyczaj tak powściągliwy Baxter. – Hura! Czy to kozy?

– Nie – odpowiedział Gordon. – Przypuszczam raczej, że to wigonie.

– Czy wigonie dają mleko?

– A jakże!

– No to niech sobie będą wigonie!

Gordon się nie mylił. Rzeczywiście, wigonie przypominają kozy ale mają dłuższe nogi, jedwabistą, krótką sierść i małe głowy bez rogów. Zamieszkują pampasy amerykańskie jak również pobraża Cieśniny Magellana.

Łatwo sobie wyobrazić, jakiego przyjęcia doznali Gordon i Baxter zjawiwszy się w obozie z dwojgiem koźląt na rękach i wigoniem, którego ciągnęli na sznurze. Matka karmiła jeszcze małe, chłopcy pomyśleli więc, że uda im się oswoić zwierzątko bez większego trudu. A może staną się one załączkiem przyszłego stada, które odda kiedyś kolonii znaczne usługi? Doniphan ubolewał, oczywiście, nad straconą okazją do pięknego strzału, ale musiał przyznać, że gdy trzeba było pojmać zwierzę żywcem, bolą było lepsze od broni palnej.

Chłopcy siedli do obiadu, a raczej do kolacji, która upłynęła wesoło. Wigon, uwiązany do drzewa, pał się nie zważając na niewolę, a małe skakały obok niego.

Noc nie minęła jednak tak spokojnie jak na Piaszczystej Pustyni. Tę część lasu odwiedzały zwierzęta groźniejsze od szakali, których nie sposób nie rozpoznać po głosie, bo wyją, a zarazem szczekają. Około pierwszej w nocy chłopców zaalarmowały ryki prawdziwych drapieżników, rozlegające się nie opodal obozu.

Doniphan, który czuwał z fuzją przy ogniu, nie zbudził kolegów. Ale ryki tak się wzmogły, że wszystkich wyrwały ze snu.

– Co się dzieje? – spytał Wilcox.

– Jakieś bestie włóczą się w pobliżu – powiedział Doniphan.

– Przypuszczalnie jaguary albo kaguary! – rzekł Gordon.

– To na jedno wychodzi.

– Niezupełnie, Doniphan. Podobno kaguar jest mniej groźny od jaguara, ale w stadzie są one bardzo niebezpieczne.

– Niech się tylko pokażą! – powiedział Doniphan.

I zajął pozycję obronną, a koledzy jego chwycili rewolwery.

– Strzelajcie tylko wtedy, kiedy strzał będzie pewny – upomniał Gordon. – Zresztą przypuszczam, że sam ogień je odstraszy.

– Podeszły dość blisko! – wykrzyknął Cross.

Istotnie stado musiało znajdować się w niewielkiej odległości od obozu, na co wskazywała choćby wściekłość Phanna, którego Gordon przytrzymał z niemałym trudem. Ale nie sposób było cokolwiek dojrzeć wśród głębokich ciemności spowijających las.

Zwierzęta przychodziły tu zapewne nocą do wodopoju. Przekonawszy się, że miejsce jest zajęte, okazywały niezadowolenie wściekłym rykiem. Czy będą trzymać się z dala, czy też wypadnie chłopcom odeprzeć atak, którego skutki mogły być groźne?...

Nagle, w odległości niespełna dwudziestu kroków, ukazały się jasne ruchliwe punkciki migające w mroku. Niemal jednocześnie huknął strzał.

Doniphan wystrzelił z fuzji, a w odpowiedzi ozwały się jeszcze głośniejsze ryki. Wszyscy chłopcy mierzyli teraz z pistoletów, gotowi dać ognia, gdyby zwierzęta zaatakowały obóz.

Baxter chwycił płonąca głównię i cisnął ją tam, gdzie zabłysły świecące jak węgielki ślepia.

Po chwili dzikie bestie – wśród nich i ta, którą zapewne postrzelił Doniphan – oddaliły się i zniknęły w głębi Lasu Wilczych Dołów.

- Zwiały! – wykrzyknął Cross.
- Szczęśliwej drogi! – dorzucił Service.
- Czy aby nie wróca?... – zaniepokoił się Cross.
- Chyba nie orzekł Gordon. – Ale czuwajmy do rana.

Dorzucono drew do ognia, który płonął jaskrawym blaskiem aż do świtu. Wówczas chłopcy, zwinąwszy obóz, jęli myszkować po lesie, ciekawi, czy postrzelone zwierzę nie padło.

O dwadzieścia kroków dalej widniała na ziemi duża plama krwi. Zwierzę umknęło, ale łatwo byłoby je wyśledzić puściwszy Phanna jego tropem; Gordon uznał jednak, że nie można zapuszczać się tak daleko.

Nie sposób było więc rozstrzygnąć, czy chłopcy mieli do czynienia z kuguarami, czy z jaguarami, czy z innym jeszcze równie krwiożerczym gatunkiem zwierząt. Najważniejsze, że wyszli cało z opresji.

Wyruszyli w drogę o szóstej. Nie było czasu do stracenia, mieli bowiem tego dnia przed sobą dziewięć mil dzielących Strumień Grobli od Groty Francuskiej.

Service i Webb zaopiekowali się wigonietami, ich matka zaś, nie czekając na specjalną zachętę, powędrowała za nimi prowadzona przez Baxtera na lince.

Droga u podnóża Wzgórza Aucklandzkiego była dość monotonna. Na lewo stał las; nieprzebyta ściana rzedła chwilami, odsłaniając tu i ówdzie polanę. Na prawo wznosił się pionowy mur skalny, poprzerzynany warstwami otoczków, które tkwiły w złożach wapienia, mur coraz wyższy, w miarę jak skręcał na południe.

Pierwszy postój wypadł o jedenastej; chłopcy, aby nie stracić czasu, naruszyli zapasową żywność i natychmiast wybrali się w dalszą drogę. Maszerowali szybko. Nagle, około trzeciej, pod kopułą drzew, znów rozległ się strzał.

Doniphan, Webb i Cross znajdowali się wtedy o jakie sto kroków na przodzie, toteż koledzy nie widzieli ich, kiedy rozległo się wołanie:

– Do was!... Do was!

Czy wznosząc te okrzyki alarmowali Gordona, Wilcoxa, Baxtera i Service'a, by mieli się na baczności?

Raptem jakieś duże zwierzę przedarło się przez gąszcz. Baxter, rozwiązawszy lasso, zatoczył nim krąg ponad głową i rzucił je.

Trudno było o stosowniejszą chwilę; pętla zacisnęła się na szyi zwierzęcia, które daremnie próbowało się od niej uwolnić. Było bardzo silne. Pociągnęłoby za sobą Baxtera, gdyby Gordon,

Wilcox i Service nie chwycili za koniec lassa i nie owinęli go wokół drzewa.

W tym momencie ukazali się wśród drzew Webb i Cross, a za nimi Doniphan wołając ze złością:

– Przeklęte bydło! Jakże mogłem chybić!

– Baxter za to wycelował dobrze – odpowiedział Service. – Chwyciliśmy je żywcem, na pewno żywcem!

– A jakież to ma znaczenie, skoro i tak trzeba je zabić! – odparował Doniphan.

– Zabić je? – powtórzył Gordon. – Zabić je właśnie teraz, gdy tak bardzo potrzebujemy zwierzęcia pociągowego!

– Co? – zdumiał się Service.

– To guanak – wyjaśnił Gordon. – A guanaki doskonale się prezentują w południowoamerykańskich stadninach!

Choćby schwytane zwierzę miało przynieść największy pożytek, Doniphan żałował, że go nie ustrzelił. Ale nie zdradził ani słowem i pospieszył obejrzeć piękny okaz.

Chociaż przyrodnicy zakwalifikowali guanaka do rodziny wielbłądów, nie przypominał on w niczym zwierząt tej nazwy, rozpowszechnionych w Afryce Północnej. Nasz guanak, o smukłej szyi i małej głowie, o wysokich i cienkich nogach (cecha zwierząt wyjątkowo zwinnych), o sierści płowej w białe cętki, nie ustępował najpiękniejszemu koniom amerykańskim. Jeśli udałoby się go oswoić i ujeździć – czego niejeden właściciel hacjendy w pampasach amerykańskich dokazał bez trudu – mógłby chłopcom posłużyć z pewnością za wierzchowca.

Zresztą zwierzę to jest raczej potulne, więc i nasz guanak próbował się nawet bronić. Z chwilą gdy Baxter rozluźnił zaciśniętą pętlę, guanak dał się poprowadzić na linie tak łatwo jak pies na smyczy.

Wycieczka na północny kraniec Jeziora Rodzinnego okazała niezwykle pożyteczną! Guanak, wigoń i dwoje koźląt, drzewo herbaciane, trulka i algarrobe! Gordon, a zwłaszcza Baxter, którego zresztą sukcesy nie wbijały w dumę, gdyż nie był jak Doniphan zarozumiałcem, powinni doznać miłego przyjęcia w grocie.

Gordon cieszył się bardzo, stwierdziwszy, że lasso i bola oddały rzetelne usługi. Doniphan był z pewnością zręcznym strzelcem, na którego można było liczyć w potrzebie, ale jego zręczność kosztowała zawsze trochę prochu i śrutu. Gordon postanowił więc nakłaniać kolegów do posługiwania się tą bronią Indian.

Według mapy chłopcy mieli jeszcze cztery mile przed sobą, szli tedy szybko, chcąc dotrzeć przed nocą do pieczary.

Service miał wielką ochotę dosiąść guanaka i zajechać na nim przed grotę. Ale Gordon stanowczo

sprzeciwił się temu.

– Lepiej poczekać, aż zwierzę przyuczy się trochę – powiedział. – Przypuszczam zresztą, że nie będzie bardzo brykał. W wypadku, mało prawdopodobnym, gdyby nie pozwolił się do sięć, i tak będzie musiał ciągnąć wóz! Trochę cierpliwości, Service, nie zapominaj o nauczce, jaką ci dał struś!

Około szóstej chłopcy stanęli w Grocie Francuskiej.

Mały Costar, bawiący się właśnie na boisku, obwieścił ich wrót. Briant i inni nadbiegli zaraz i radosne „hura” powitało wędrowców powracających z kilkudniowej wyprawy.

Rozdział XVI

Briant niepokoi się o Kubusia – Wznoszenie zabudowań i ogrodzenia – Cukier z klonu – Wytępienie lisów – Ponowna wyprawa do zatoki Sloughi – Zaprząg – Masakra fok – Boże Narodzenie – Niech żyje Briant!

Pod nieobecność Gordona życie w Grocie Francuskiej układało się pomyślnie. Gubernator małej kolonii był więc zadowolony z Brianta, któremu malcy okazywali jak zwykle szczerze przywiązanie. Doniphan doceniłby też z pewnością zalety kolegi, gdyby pozwolił mu na to dumny i zawistny charakter; było jednak inaczej, a wpływ, jaki Doniphan wywierał na Wilcoxa, Webba i Crossa, sprawiał, że chłopcy ci popierali go zawsze w sprzeczkach z młodym Francuzem, różniącym się od swoich kolegów anglosaskich zarówno charakterem, jak i sposobem bycia.

Briant nie zwracał zresztą na to uwagi. Robił to, co uważał za swój obowiązek. Największą jednak troską było ciągle nie dające się niczym wytłumaczyć przygnębienie brata.

Ostatnio przypierał znów Kubusia do muru licznymi pytaniami, lecz odpowiedź brzmiała niezmiennie:

– Nie, braciszku, nic mi nie jest.

– Nie chcesz mi szczerze odpowiedzieć, Kubusiu, i źle robisz! Wyznanie przyniosłoby ulgę i tobie, i mnie... Zauważyłem, że z się coraz smutniejszy, ponury. Słuchaj! Jestem twoim starszym bratem! Mam prawo domagać się, byś mi wyjawiał mi, cię smuci. Czy gnębią cię jakieś wyrzuty sumienia?

– Pytasz, co zrobiłem? – odezwał się na koniec Kubaś, jak gdyby nie mogąc się oprzeć tajemnemu cierpieniu. – Ty... pewnie byś mi przebaczył... ale inni...

– Inni?! Inni?! – wykrzyknął Briant. – Powiedz mi, co ty właściwie masz na myśli?

Łzy trysnęły z oczu Kubusia; ale mimo nalegań brata dorzucił tylko:

– Dowiesz się później... później...

Łatwo pojąć, jak ta odpowiedź zaniepokoiła starszego brata. Jakież to czyn, aż tak poważny, taił się w przeszłości Kubusia. Pragnął dowiedzieć się tego za wszelką cenę. Toteż gdy Gordon wrócił, Briant opowiedział mu zaraz o wymuszonym na malcu wyznaniu i poprosił o pomoc.

– A to po co? – odpowiedział roztropnie Gordon. – Lepiej zostawić chłopca w spokoju; niech działa wedle własnego uznania. Jeśli zaś idzie o ten nie znany nam postępek... no cóż, pewnie to jakaś psota, której znaczenie malec wyolbrzymia... Poczekajmy, aż sam się przyzna.

Nazajutrz, 9 listopada, chłopcy wzięli się raźnie do pracy. A nie brakło jej przecie. Przede wszystkim należało uwzględnić żądania Moka, który skarżył się na pustki w spizarni, chociaż sidła zastawione w pobliżu groty funkcjonowały nie najgorzej. Brakowało głównie grubej zwierzyny. Powstała konieczność zbudowania solidnych paści, w które można by schwytać – nie marnując ani ziarna śrutu, ani odrobiny prochu – wigonie, pekari albo guaculis.

Starsi chłopcy zajmowali się tą sprawą przez cały listopad, odpowiadający majowi w strefie północnej.

Zaraz po powrocie ulokowano tymczasowo guanaka, wigonia i dwoje kozłat wśród najbliższych drzew. Zwierzęta uwiązane na długich linkach mogły się poruszać swobodnie na pewnej przestrzeni. Było to wystarczające na okres letni; ale przed nadejściem zimy należało pomyśleć o odpowiednim schronieniu. Gordon postanowił więc zbudować u podnóża Wzgórza Aucklandzkiego, od strony jeziora, niedaleko od wejścia do hallu, komórkę i zagrodę, które otoczy się wysoką palisadą.

Chłopcy zabrali się do pracy. Powstała prawdziwa stolarnia, którą kierował Baxter. Przyjemnie było patrzeć, jak pełni zapału wymachiwali z mniejszą lub większą wprawą narzędziami, które znajdowały się w skrzyni należącej kiedyś do stolarza na „Sloughi” – jedni piłami, inni siekierami, jeszcze inni toporkami. Nie zrażały ich drobne niepowodzenia. Z niezbyt grubych drzew, ściętych tuż nad korzeniami, ociosanych starannie z gałęzi, sporządzili sporą ilość pali do budowy ogrodzenia tak obszernego, by mogło pomieścić swobodnie ze dwanaścioro zwierząt. Pale wkopane głęboko w ziemię, wzmocnione poprzecznymi belkami, mogły się ostać wobec zakusów rabusiów leśnych. Szopę zbudowano z poszycia jachtu – młodzi cieśle oszczędzali sobie w ten sposób pracy naprawdę ciężkiej w tych warunkach: cięcia drzewa na deski. Pokryli dach grubymi, nieprzemakalnymi płachtami, by łatwiej wytrzymał zawieruchy zimowe. Gruba, miękka ściółka, często zmieniana, świeża pasza złożona z trawy, mchu i liści, której mieli przygotować spory zapas – czegoż więcej trzeba zwierzętom domowym, by utrzymać je w dobrym stanie? Starania Garnetta i Service’a, którym powierzono pieczę nad zagrodą, nie szły na marne: zwierzęta oswajały się niemal z dnia na dzień.

Ponadto nowi goście zawitali do zagrody. Najpierw przybył jeszcze jeden guanak, który wpadł do jednego z wilczych dołów w lesie, potem dwa wigonie, samiec i samica, które pojmał Baxter wspomagany przez Wilcoxa, dość już zręcznie posługującego się lassem i bolą. Zjawił się też i nandu, którego nagnał myśliwym Phann. Ale przekonano się wkrótce, że z tym ptakiem będzie to samo, co i z poprzednim. Mimo usilnych starań Service’a, nie dającego za wygraną, i tym razem nic z ptakiem nie wskórano.

Póki szopa nie była gotowa, co wieczór zapędzano guanaka i wigonia do kuchni. Ujadania szakali, skomlenie lisów, ryki dzikich bestii odzywiały się nazbyt blisko Groty Francuskiej, aby zwierzęta mogły bezpiecznie nocować na dworze.

Tymczasem, gdy Garnett i Service doglądali dobytku, Wilcox i paru innych zastawiali nowe pułapki i sidła, odwiedzając je co dzień. Znalazło się też zajęcie dla dwóch malców – Iversona i Jenkinsa. Dla schwytanych dropi, bażantów, przepiórek i kusaków trzeba było zbudować kurnik; Gordon ustawił go w rogu zagrody i na barki obu przyjaciół spadł obowiązek opiekowania się ptactwem. Wzięli się do tego z wielkim zapałem.

Jak widzimy, Moko miał teraz do dyspozycji nie tylko mleko wigoniów, ale i jaja oswojonych ptaków. I na pewno przyrządzałby chętnie rozmaite leguminy, gdyby Gordon nie domagał się oszczędzania cukru. Jedynie w niedzielę i święta pojawiał się na stole jakiś nadzwyczajny przysmak, którego Dole i Costar oczywiście nie oszczędzali. Jedli tak, aż im się uszy trzęsły.

Wprawdzie niepodobna było wytwarzać cukru, ale może dałoby się go czymś zastąpić. Service – powołując się na Robinsonów – utrzymywał, że należy tylko dobrze poszukać. Gordon rozglądał się więc bacznie, póki nie znalazł w gęstwinie Lasu Wilczych Dołów kępy drzew, które za trzy miesiące, w pierwszych dniach jesieni, miały okryć się najpiękniejszą purpurą.

– To klony! – powiedział – Drzewa cukrowe!

– Drzewa z cukru! – wykrzyknął Costar.

– O nie – odparł Gordon. – Powiedziałem: drzewa cukrowe. Uważaj, łakomczuchu, bo ci język ucieknie.

Było to jedno z najważniejszych odkryć, jakich dokonali młodzi koloniści od momentu osiedlenia się w grocie. Ponacinawszy pnie klonów, Gordon zebrał sporo płynu sączącego się kroplami, który zgęstniał następnie, tworząc słodką masę. Nie posiadał on wartości wyciągu z trzciny cukrowej albo buraków, lecz był bardzo pożytecznym produktem zaspokajającym potrzeby kuchni, lepszym w każdym razie od podobnej substancji zastępczej, którą można otrzymać wiosną z soku brzozy.

Mając cukier chłopcy mogli sfabrykować likier. Za radą Gordona Moko poddał fermentacji ziarna trulka i algarrobe. Rozgniótłszy je potem w kadzi ciężką, drewnianą pałką, uzyskał płyn o pewnym procencie alkoholu i takiej zawartości cukru, iż nadawał się także do słodzenia napojów. Przekonano się również, że liście drzewa herbacianego są nie mniej aromatyczne od oryginalnej chińskiej herbaty. Toteż gdy wybierali się do lasu, nigdy nie zapominali uzupełnić zapasu tych liści.

Krótko mówiąc, Wyspa Chairmana, nie przekarmiając może swoich mieszkańców, dostarczała im wszystkiego, co konieczne. Brakowało tylko świeżych jarzyn. Chłopcy musieli zadowolić się jarzynami z konserw. Mieli ich ze sto puszek, które Gordon oszczędzał jak mógł. Briant próbował co prawda uprawiać zdziczały pochrzyn, którego kilka sztuk rozbitek francuski zasadził niegdyś u stóp urwiska. Daremny trud. Na szczęście selery rosły bujnie nad Jeziorem Rodzinnym i oszczędzać ich nie było potrzeby, zastępowały więc doskonale inne świeże jarzyny.

Sieci rybackie, rozciągnięte zimą na lewym brzegu rzeki, przekształcono z nadejściem lata na sieci myśliwskie. Chwymano w nie między innymi niewielkie kuropatwy jak też dzikie gęsi, nadlatujące bez wątpienia z lądów leżących na tej samej szerokości geograficznej co i wyspa.

Doniphan miał wielką ochotę zwiedzić szerokie połacie Bagien Południowych, po drugiej stronie Rzeki Zelandzkiej. Ale byłoby niebezpiecznie zapuszczać się na te mokradła pokryte na znacznej przestrzeni wodami jeziora, pomieszanymi w okresie przyływu z wodą morską.

Wilcox i Webb złowili pewną ilość aguti: zwierzę to, rozmiarów zająca, ma mięso białe i nieco suche. Rzecz jasna, trudno było chwycić te szybko nogie gryzonie nawet przy udziale Phanna. Kiedy jednak siedziały w norze, wystarczał lekki gwizd, by zwabić je do wyjścia i złapać. Młodzi myśliwi przynosili czasami śmierdziałe amerykańskie, rosomaki, a także skunksy, zwierzęta o pięknym futrze, ale nadzwyczaj cuchnące.

– Jakże one mogą wytrzymać w takim smrodzie? – dziwił się Iverson któregoś dnia.

– Ba! Kwestia przyzwyczajenia – odparł Service.

Rzeka dostarczała swojego kontyngentu galaxias, a Jezioro Rodzinne, obfitujące w gatunki pokaźniejsze, dawało między innymi pstrągi, które mimo gotowania nie traciły słonawego smaku. Można też było zawsze łowić między wodorostami i fukusami w zatoce Sloughi ów rodzaj sztokfiszy, których miriady tam się chroniły.

W tym okresie Baxter zajął się, na prośbę Gordona, wyrobem łuków z elastycznych, jesionowych gałęzi. Strzały fabrykował z trzciny, opatrując każdą gwoździem na końcu, dzięki czemu Wilcox i Cross, najzręczniejsi po Doniphanie myśliwi, ubijali czasem jakąś drobniejszą zwierzynę.

Tymczasem zaszły takie wypadki, że Gordon, zwykle niechętnie wydający naboje, musiał odstąpić od zasad oszczędzania amunicji.

Pewnego dnia – a było to 7 grudnia – Doniphan rzekł na osobności:

– Słuchaj, Gordon, trapią nas ostatnio szakale i lisy. Podchodzą w nocy stadami, niszczą sidła, a także zwierzynę, która w nie wpada... Trzeba nareszcie z tym skończyć, i to raz na zawsze.

– Czy nie można pozostawiać pułapek? – zagadnął Gordon domyślając się, do czego zmierza kolega.

– Pułapki? – powtórzył Doniphan, który nadal odnosił z pogardą do tych prymitywnych przyrządów łowieckich. – Pułapki! Zgodziłbym się, gdyby szło tylko o szakale, tak głupie, że dają się w nie czasem złapać. Ale lisy to co innego! To szczone zwierzęta; mają się stale na baczności, chociaż Wilcox zachowuje największą ostrożność. Którejś nocy przedrą się przez palisadę i wyduszą nam wszystkich drób.

– A więc, skoro to konieczne – odparł Gordon – dam wam parę tuzinów naboju. Ale strzelajcie tylko do pewnego celu!

– Zgoda, możesz na to liczyć. Dzisiejszej nocy zaczaimy się w gąszczu, gdzie przekradają się lisy, i zmasakrujemy je tak, nieprędko ośmielą się pojawić z powrotem.

Wytepić lisy było sprawą bardzo pilną. Zwierzęta owe, zamieszkujące niektóre okolice Ameryki Południowej, są podobno jeszcze przebieglejsze od swoich kuzynów europejskich. Dokonują ustawicznych spustoszeń po hacjendach, są bowiem tak inteligentne, że przegryzają nawet rzemienie, którymi pęta się konie i bydło na pastwiskach.

O zmroku Doniphan, Briant, Wilcox, Baxter, Webb, Cross i Service rozstawili się na skraju terenu pokrytego zaroślami i krzewami. Zarośla te znajdowały się w pobliżu Lasu Wilczych Dołów, od strony jeziora.

Myśliwi nie zabrali Phanna. Przeszkadzałby im raczej, płosząc lisy. Nie było zresztą mowy o wykryciu tropu. Lis nie zostawia za sobą wiatru, nawet gdy się zagrzeje w biegu, a raczej wydziela woń tak słabą, że najlepszy pies jej nie chwyci.

O jedenastej Doniphan i jego towarzysze zasadzili się wśród kęp wrzosu, okalających zarośla.

Noc była ciemna.

W głębokiej ciszy, której nie zakłócał najłżejszy podmuch wiatru, łatwo było złowić uchem szelest zeszlęch liści, wśród których pomykały lisy.

Nieco po północy Doniphan zasygnalizował zbliżanie się stada. Lisy szły przez zarośla ku jezioru.

Myśliwi czekali z pewną niecierpliwością, aż zbierze się stado liczące ze dwadzieścia sztuk, co trwało dość długo, bo zwierzęta posuwały się naprzód ostrożnie, jakby przeczuwając niebezpieczeństwo. Doniphan dał znak – rozległo się nagle kilka strzałów. Wszystkie były celne. Z pół tuzina lisów potoczyło się po ziemi, inne zaś, oszalałe z trwogi, rzuciły się to w prawo, to w lewo, ale nie uniknęły śmiertelnych pocisków.

O świcie chłopcy znaleźli w trawie około tuzina lisów. Podobną rzeź powtórzono kolejno przez trzy noce, toteż mała kolonia uwolniła się niebawem od niebezpiecznych odwiedzin, poważnie zagrażających oswojonemu ptactwu. Ponadto chłopcy uzyskali około pięćdziesięciu srebrzystych skór, które można było rozłożyć w grocie zamiast dywanów albo zużytkować na odzież.

15 grudnia był dniem wielkiej wyprawy nad zatokę Sloughi. Pogoda dopisała. Gordon zdecydował więc, że pójdą wszyscy, uradowało to niezmiernie najmłodszych.

Wyruszywszy o świcie z grotu, chłopcy zdołaliby wrócić jeszcze przed zmierzchem. A gdyby nawet się spóźnili, czekał ich co najwyżej nocleg pod gołym niebem.

Celem wyprawy było przede wszystkim polowanie na foki, które o tej porze odwiedzały Wybrzeże Burz. Oświetlenie pieczary podczas długich wieczorów zimowych pochłonęło w znacznej mierze zapas tłuszczu. Pozostały najwyżej trzy tuziny świec, które sporządził rozbitek francuski. Zużyto również do latarń oświetlających hali znaczną część oliwy uratowanej ze „Sloughi”, czym się mocno niepokoił przezorny Gordon. Moko zdołał zgromadzić co prawda pokaźny zapas tłuszczu z

zabitej zwierzyny, czworonożnej i skrzydlatej; nie ulegało jednak wątpliwości, że paliwo to, którym szafowano co dzień, wyczerpie się szybko. Czy nie byłoby więc możliwe zastąpić je substancją, którą natura dostarcza już gotową, a raczej niemal gotową? Czy w braku oleju roślinnego chłopcy nie mogli zapewnić sobie niewyczerpanych niemal zasobów tłuszczu zwierzęcego?

Jeśli myśliwym udałoby się upolować znaczną ilość fok, owych rybożernych stworzeń baraszkujących latem na rafach w zatoce. Sloughi, zapas tłuszczu byłby zapewniony. Należało się spieszyć, gdyż te ziemno-wodne zwierzęta mogły odpłynąć niebawem południe na Ocean Arktyczny.

Projektowana wyprawa miała ogromne znaczenie i chłopcy tak przygotowali się do niej, aby zapewnić sobie jak najlepsze rezultaty.

Service i Garnett dokładali od pewnego czasu usilnych starań, by wdrożyć oba guanaki do zaprzęgu. Baxter sporządził dwa chomąta z trawy, które obszył grubym, żaglowym płótnem. Nie dosiadano jeszcze wprawdzie tych zwierząt, ale można już było zaprząć je do wozu. Lepiej zaprzęgać guanaki aniżeli samych siebie.

Oznaczonego dnia załadowano na wóz amunicję, żywność i rozmaite przybory, między innymi spory kocioł i z pół tuzina pustych baryłek, które miano napełnić tłuszczem z fok. Lepiej było oczywiście poćwiartować zwierzęta na miejscu niż przywozić je do Groty Francuskiej i zatruwać tam powietrze niezdrowymi wyziewami.

Wyruszone w drogę o świcie; przez pierwsze dwie godziny podróż odbywała się bez przeszkód. Wóz nie posuwał się szybko wskutek nierówności terenu: prawy brzeg Rzeki Zelandzkiej nie nadawał się do podróży zaprzęgiem guanaków. Trudności wzrosły jeszcze, gdy wędrowcy okrążając moczary Bagien Leśnych zapuścili się w las. Nożyny Costara i Dole'a odczuły to najdotkliwiej. Toteż Gordon, ulegając prośbie Baxtera, pozwolił obu chłopcom sięść na wóz.

Przed ósmą, kiedy wóz włókł się z trudem wzdłuż bagien, Cross i Webb, maszerujący na przedzie, przywołali okrzykami Doniphana i innych.

W odległości jakich stu kroków olbrzymie zwierzę tarzało się w mule; młody strzelec rozpoznał je od razu. Był to hipopotam, gruby i różowy; zniknął jednak – na swoje szczęście – w gąszczu krzewów porastających bagna, nim ktokolwiek zdołał wystrzelić. Byłby to zresztą strzał zbyteczny.

– Jak się nazywa ten gruby zwierzę? – spytał Dole zaniepokojony samym jego widokiem.

– Hipopotam – odpowiedział Gordon.

– Hipopotam? Jaka śmieszna nazwa!

– Znaczy to „koń rzeczny” – objaśnił Briant.

– Ależ on wcale nie jest podobny do konia! – zawołał słusznie Costar.

– O nie! – wykrzyknął Service. – Według mnie powinien się nazywać świniopotam!

Uwaga ta, nie pozbawiona słuszności, wywołała wśród malców głośne wybuchy śmiechu.

Parę minut po dziesiątej Gordon i jego koledzy stanęli na plaży w zatoce Sloughi. Zatrzymali się nad rzeką, tam gdzie obozowali po raz pierwszy w czasie rozbiórki jachtu.

Ze sto fok wylegiwało się na skałach, baraszkowało, grzało się w słońcu. Niektóre nawet igrały na piasku przed pierścieniem raf.

Owe ziemno-wodne zwierzęta nie były snadź oswojone z obecnością człowieka. Może nawet nigdy nie spotkały ludzkiej istoty, skoro nieszczęsny Francuz umarł przeszło dwadzieścia lat temu. Dlatego najstarsza z fok nie stała na straży, nie strzegła gromady przed niebezpieczeństwem, choć był to normalny środek ostrożności u tych zwierząt, na które człowiek poluje w obu strefach podbiegunowych. Mimo to należało się mieć dobrze na baczności, żeby nie spłoszyć ich zawczasu, gdyż umknęłyby w jednej chwili.

Znalazszy się nad zatoką Sloughi, młodzi koloniści rozejrzeli się najpierw po szerokim horyzoncie, zawartym między Cyplem Amerykańskim a Przylądkiem Fałszywego Morza.

Morze było zupełnie puste. Chłopcy upewnili się raz jeszcze, że Wyspa Chairmana leży z dala od wszelkich szlaków okrętowych.

Mogło się jednak zdarzyć, że jakiś statek pojawi się w pobliżu wyspy. W tym wypadku punkt obserwacyjny urządzony na krawędzi Wzgórza Aucklandzkiego albo nawet na grani Przylądka Fałszywego Morza, gdzie można byłoby wciągnąć jedno z działek szkunera – lepiej zwracałby uwagę przybyszów od masztu sygnalizacyjnego. Ale trzeba by wtedy skazać kogoś na czuwanie tutaj dniem i nocą, z dala od Groty Francuskiej. Gordon uznał ów pomysł za niewykonalny. Rację przyznał mu nawet Briant, którego sprawa powrotu do kraju obchodziła szczególnie żywo.

Jaka szkoda, że grota nie znajdowała się z tej strony Wzgórza Aucklandzkiego, skąd widać było zatokę Sloughi.

Południowe słońce zachęcało tymczasem foki do wygrzewania się na plaży. Gordon, Briant, Doniphan, Cross, Baxter, Webb, Wilcox, Garnett i Service po śniadaniu przygotowali się do łowów. Iverson, Jenkins, Kubuś, Dole i Costar mieli zostać w obozie pod opieką Moka razem z Phannem, którego nie należało puszczać w środek stada. Malcy musieli zresztą pilnować guanaków, pasących się pod lasem.

Rozdano wszystkim broń palną, fuzje i rewolwery, a także sporą ilość amunicji, o którą Gordon nie targował się tym razem, wchodziło bowiem w grę dobro ogółu.

Chłopcy musieli najpierw odciąć drogę fokom od strony morza. Doniphan, któremu koledzy chętnie powierzyli kierownictwo, zaproponował, żeby udać się brzegiem rzeki aż do jej ujścia, kryjąc się za wyniosłościami terenu. Potem łatwo już będzie posuwać się wzdłuż pierścienia raf okalających plażę.

Plan wykonano z nadzwyczajną ostrożnością. Młodzi myśliwi, rozstawieni co trzydzieści do

czterdziestu kroków, zatoczyli niebawem półkole między plażą a morzem.

Wtedy Doniphan dał sygnał: chłopcy zerwali się jak jeden, strzały padły jednocześnie i każdy strzał ugodził jedną z ofiar.

Ocalałe foki poderwały się bijąc płetwami i ogonami. Przerazone nade wszystko hukiem, rzuciły się w susach ku skałom.

Ścigano je prażąc celnie z pistoletów. Doniphan dokazywał cudów, folgując swojej łowieckiej namiętności, a koledzy naśladowali go jak mogli.

Rzeź trwała tylko parę minut, aczkolwiek chłopcy zapędzili się aż po ostatni pierścień podwodnych skał. Tutaj ocalałe z pogromiu foki zniknęły zostawiwszy na plaży ze dwadzieścia zabitych lub rannych towarzyszek.

Wyprawa powiodła się znakomicie i myśliwi, wróciwszy do wozu, ulokowali się pod drzewami, zamierzając spędzić tutaj półtorej doby.

Po południu wszyscy wzięli się do pracy. Należało przede wszystkim wyciągnąć na piasek foki, które padły wśród skał. Chociaż były to zwierzęta średnich rozmiarów, zadanie okazało się dość trudne.

Moko zawiesił tymczasem kocioł nad ogniskiem rozpalonym między dwoma głazami. Mięso fok, poćwiartowane na kawałki pięcio – lub sześciofuntowe, ułożono w kotle, do którego nalano uprzednio słodkiej wody zaczerpniętej z rzeki podczas odpływu, po chwili na powierzchni wrzątku wypływał jasny tłuszcz, którym napełniano kolejno beczułki.

Trudno było wytrzymać w pobliżu kotła, skąd dobywała się obrzydliwa woń. Wszyscy zatykali sobie nosy, nikt jednakże nie zatykał uszu – sypały się żarty wywołane tym nieprzyjemnym zajęciem. Nawet delikatny „lord” Doniphan nie stronił od tej pracy, która trwała jeszcze przez następny dzień.

Mokowi udało się zgromadzić kilkaset galonów sadła. Wydawało się, że zapas ten powinien wystarczyć na oświetlenie grotty przez całą zimę. Zresztą wystraszone foki nie wróciły już ani na rafy, ani na plażę i z pewnością nieprędko miały pojawić się z powrotem w zatoce Sloughi.

Nazajutrz o świcie chłopcy zwinęli obóz ku ogólnej – trzeba powiedzieć – radości. Poprzedniego wieczoru załadowali na wóz beczki, naczynia i przybory. Wóz był teraz o wiele cięższy, więc guanaki nie mogły ciągnąć go szybko, tym bardziej że w miarę zbliżania się do Jeziora Rodzinnego teren wznosił się coraz wyżej.

Gdy chłopcy ruszali w drogę, ogłuszające krzyki tysięcy drapieżnych ptaków przeszywały powietrze; były to błotniaki i sokoły. Ptaki te, nadleciawszy z głębi wyspy, rzuciły się na szczątki fok, z których niebawem nie zostało ani śladu.

Po oddaniu pożegnalnego salutu fladze Zjednoczonego Królestwa, powiewającej na grani Wzgórza Aucklandzkiego, gromadka objęła ostatnim spojrzeniem przestrzeń Pacyfiku i podążyła ku prawemu brzegowi Zatoki Zelandzkiej.

Choć droga była trudna, guanaki spisywały się tak dobrze, a starsi chłopcy pomagali im tak wydatnie w przeprowianiu się przez trudniejsze miejsca, że podróżnicy stanęli w Grocie Francuskiej jeszcze przed szóstą wieczorem.

Kilka następnych dni poświęcono na zwykłe zajęcia. Wypróbowano tłuszcz foczy w lampach i latarniach: próba wykazała, że daje on blask dość mierny, wystarczający jednak do oświetlenia hallu i kuchni. Rozwiały się więc obawy, że ciemności będą panować w grocie przez długie miesiące zimowe.

Tymczasem zbliżały się święta Bożego Narodzenia, obchodzone zazwyczaj przez Anglosasów bardzo radośnie. Gordon pragnął, aby na Wyspie Chairmana świętowano je uroczysto. Będą jakby życzenia skierowane do utraconego kraju, serdeczne wspomnienie nieobecnych rodzin. Ach, gdyby tak rodzice mogli usłyszeć głos tych dzieci zdających się wołać: „Jesteśmy tutaj... Wszyscy! Żyjemy! Naprawdę żyjemy! Ujrzycie nas kiedyś!..” Chłopcy mogli jeszcze żywić nadzieję – którą rodzice, tam w Auckland, dawno utracili – że zobaczą się kiedyś.

Gordon oznajmił, że 25 i 26 grudnia będzie się świętowali w grocie. Prace miały być zawieszona na te dwa dni. To pierwsze Boże Narodzenie obchodzone na Wyspie Chairmana miało być, jak i w różnych krajach Europy, najważniejszym dniem w roku:

Łatwo sobie wyobrazić, jak przyjęto tę propozycję! Rozumiało się samo przez się, że 25 grudnia odbędzie się uroczysty obiad, na który Moko zapowiadał cuda. Obaj z Service'em debatowali wciąż po kątach, a Dole i Costar, oblizując się z góry, usiłowali przeniknąć tajemnicę tych narad. Spizarnia była zresztą obficie zaopatrzona, nietrudno więc było przygotować wspaniałą ucztę.

Nadszedł uroczysty dzień. Baxter i Wilcox przyozdobili wejście do hallu chorągiewkami, proporczykami i banderami ze „Sloughi”, co nadało grocie odświętny wygląd.

Rankiem wystrzał armatni zbudził wesołe echa na Wzgórzu Aucklandzkim. Gordon uczcił dzień Bożego Narodzenia wypaliwszy z jednego z dwóch działek ustawionych u wejścia do hallu.

Wtedy malcy pośpieszyli złożyć starszym życzenia, starsi zaś odpowiedzieli na nie z iście ojcowską powagą. Costar wygłosił nawet krótką mowę na cześć gubernatora wyspy, niezgorzej wywiązując się z zadania.

Wszyscy przywdziali najlepsze ubrania. Pogoda była wspaniała. Po śniadaniu niektórzy chłopcy przechadzali się nad brzegiem jeziora, inni na Boisku Sportowym grali w rozmaite gry. Na jachcie znajdowały się wszystkie przybory sportowe popularne w Anglii: kule, piłki, kije i rakiety – do golfa, w którym kauczukowe piłki wrzuca się do dołek wykopanych daleko od siebie; do footballu, w którym kopie się skórzaną piłkę; drewniane kule do gry w „bowla”, które trzeba wyrzucać w specjalny sposób; wreszcie piłki do „fives”, gry przypominającej belotkę.

Program dnia był bardzo urozmaicony. Szczególnie malcy oddawali się całą duszą rozrywkom. Wszystko szło dobrze, nie było ani jednej kłótni, ani jednej bójkki. Briant zajął się specjalnie zabawianiem Dole'a, Costara, Iversona i Jenkinsa – nie udało mu się jednak wciągnąć do zabawy

swojego brata Kubusia. Doniphan i jego przyjaciele – Webb, Cross i Wilcox – trzymali się na uboczu mimo napomnień Gordona. Wreszcie, gdy nowa salwa powiadomiła chłopców, że nadeszła pora obiadu, młodzi biesiadnicy zasiedli ochoczo do uczy zastawionej w jadalni Groty Francuskiej.

Środek wielkiego stołu nakryty pięknym, białym obrusem zdobiła choinka osadzona w dużej donicy. Wśród gałęzi małe chorągiewki mieniły się barwami Anglii, Ameryki i Francji.

Moko przeszedł samego siebie w przygotowywaniu wspaniałych potraw i dumny był niezmiernie z komplementów, jakimi zasypywali chłopcy jego samego, a także jego pomocnika, Service'a. Duszony aguti, salami z kusaka, zając nadziany pachnącymi ziołami, drop z podniesionymi skrzydłami i zadartym dziobem, podany jak bażant, trzy puszki jarzyn i pudding. Ale co za pudding! Kształtu piramidy, z tradycyjnymi rodzynkami korynckimi pomieszanymi z owocami algarrobe, które od tygodnia moczyły się w wódce; potem kilka kieliszków czerwonego wina francuskiego i wina hiszpańskiego, likiery, herbata, kawa na deser – doprawdy było czym wspaniale uczcić święta Bożego Narodzenia!

Briant wznosił toast na cześć Gordona, który odpowiedział wychylając kieliszek za pomyślność młodych kolonistów, a także ich nieobecnych rodzin.

Na koniec wstał Costar i w imieniu najmłodszych podziękował Briantowi za ofiarność, której złożył tyle dowodów.

Briant był głęboko wzruszony, gdy liczne wiwaty rozbrzmiały na jego cześć; nie znalazły one oddźwięku jedynie w sercu Doniphana.

Rozdział XVII

Przygotowania do zbliżającej się zimy – Propozycja Brianta – Wyjazd Brianta, Kubusia i Moka – Przeprowadzenie przez Jezioro Rodzinne – Rzeka Wschodnia – Kubuś i Briant – Powrót do groty

W tydzień później zaczął się rok 1861. W tej części półkuli południowej nowy rok rozpoczyna się w pełni lata.

Dobiegało dziesięć miesięcy od chwili, kiedy sztorm rzucił rozbitków ze „Sloughi” na tę wyspę, oddaloną o tysiąc osiemset mil od Nowej Zelandii.

Od tej pory, trzeba to przyznać, sytuacja ich poprawiała się z wolna. Wydawało się nawet, że zdołają sprostać wszystkim potrzebom dnia codziennego. Ale przebywali nadal samotni na bezludnej wyspie! Czy pomoc z zewnątrz – jedyna pomoc, jakiej i mogli się spodziewać – nadejdzie wreszcie, zanim skończy się lato? Czy koloniści będą skazani na przetrwanie tutaj następnej, srogiej, podbiegunowej zimy? To prawda, że choroby nie doświadczyły ich dotychczas! Wszyscy, starsi i młodszy, czuli się jak najlepiej. Dzięki roztropności nieustępliwego Gordona, na którego surowość często zresztą sarkano, nie dopuszczono się żadnej nieostrożności ani żadnych wybryków. Czyż nie

należało się liczyć z chorobami zakaźnymi, które przechodzą zazwyczaj młodsze dzieci? Bądź co bądź, aczkolwiek terażniejszość była znośna, przyszłość nadal budziła obawy. Briant pragnął opuścić za wszelką cenę wyspę i wciąż nad tym rozmyślał. Ale rozporządzając jedynie wątlą jolką, jakże mogli odważyć się na podróż? Wyspa nie należała prawdopodobnie do żadnego archipelagu na Oceanie Spokojnym, a najbliższy kontynent odległy był o wiele setek mil. Gdyby nawet kilku najśmielszych chłopców, poświęcając się dla innych, wyruszyło na wschód na poszukiwanie jakiegoś lądu, ileż było szans powodzenia? Czyż wreszcie potrafiliby zbudować łódź dostatecznie dużą, aby przepłynąć nią ocean? Z pewnością nie! Było to zadanie ponad ich siły i Briant nie potrafił wymyślić żadnego środka, który przyniósłby im ratunek.

Należało więc czekać, czekać cierpliwie i dokładać starań, aby życie w Grocie Francuskiej uczynić jak najwygodniejszym. Ponadto tego lata w związku z nadchodzącą zimą było mnóstwo zajęć, może więc następnego roku młodym kolonistom uda się poznać dokładnie całą wyspę.

Wszyscy wzięli się energicznie do pracy. Doświadczenie nauczyło ich, jak sroga była zima na tej szerokości geograficznej. Przez całe tygodnie, a nawet miesiące chłopcy byli zamknięci w hallu, ostrożność tedy nakazywała zabezpieczyć się przed zimnem i głodem – dwoma najniebezpieczniejszymi wrogami.

Aby zwalczyć zimno, należało tylko zgromadzić odpowiedni zapas opału; jesienią więc, choćby okres ten miał trwać bardzo krótko, Gordon postanowił zwieźć tyle drzewa, by można było palić w piecach dniem i nocą. Ale należało pomyśleć także o zwierzętach domowych przebywających w zagrodzie. Umieszczenie ich na zimę w kuchni byłoby nad wyraz niewygodne, a nawet niebezpieczne z punktu widzenia higieny. Trzeba więc było koniecznie przystosować do zimowych warunków szopę na podwórzu, aby lepiej chroniła zwierzęta od mrozów, zbudować w niej piec, który by utrzymywał znośną temperaturę, Baxter, Briant, Service i Moko poświęcili temu zadaniu pierwszy miesiąc nowego roku.

Jeśli zaś idzie o zapasy żywności, Doniphan i jego towarzysze łowów podjęli się rozwiązać tę sprawę. Codziennie zaglądali do wilczych dołów, potrzasków i sideł. Mięso, którego nie zużywano na posiłki, Moko wędził albo solił ze zwykłą sobie starannością i składał w spiżarni. W ten sposób zgromadzono zapasy żywności mogące wystarczyć choćby na najdłuższą i najcięższą zimę.

Narzuciła się jednak konieczność zorganizowania jeszcze jednej wyprawy nie po to, aby zbadać wszystkie nie znane chłopcom zakątki, ale aby poznać terytorium leżące na wschód od Jeziora Rodzinnego. Czy znajdują się tam lasy, bagna czy wydmy? Może chłopcy odkryją jakieś nowe zasoby, które będzie można spożytkować?

Pewnego dnia Briant naradzał się nad tym z Gordonem, podchodząc zresztą do sprawy z innego punktu widzenia.

– Choć mapa Franciszka Baudoin jest wcale dokładna, o czym przekonaliśmy się już – powiedział – warto byłoby jednak zbadać, jak wygląda ocean na wschód od wyspy. Mamy doskonałe lunety, a mój rodak nie miał przecież żadnej. Kto wie, czy nie dostrzeżemy jakiegoś lądu, którego on nie dojrzał? Według jego mapy wyspa jest odosobniona, a może w rzeczywistości tak nie jest.

– Myślisz wiecznie o tym samym – powiedział Gordon. – Czy ci tak spieszą stąd wyjechać?

– Naturalnie. I jestem pewien, że i ty tak myślisz! Czyż nasze wysiłki nie powinny zmierzać ku temu, byśmy wrócili jak najprędzej do kraju?

– Zgoda – odparł Gordon. – Skoro tak ci na tym zależy, zorganizujemy wyprawę...

– Czy wszyscy wezmą w niej udział? – zagadnął Briant.

– Nie – odrzekł Gordon. – Sądzę, że sześciu lub siedmiu...

– I to za wiele, Gordon! Wyruszając taką gromadą, będziemy musieli okrążyć jezioro od północy albo od południa; czy jesteś pewien, że nie zabierze nam to za wiele czasu i nie narazi na zbyt wielkie trudy?

– A cóż ty proponujesz?

– Przeprowadzić się jolką przez jezioro. Wyruszmy stąd i wylądujemy na przeciwległym brzegu; dlatego musi nas być tylko dwóch albo trzech.

– A kto pokieruje czółnem?

– Moko – odpowiedział Briant. – Zna się na żeglowaniu, a i ja mam o tym pewne pojęcie. Przy pomyślnym wietrze rozwiniemy żagiel, a przy przeciwnym – będziemy wiosłować; przepłyniemy bez trudu pięć czy sześć mil, bo taka jest według mapy szerokość jeziora od Groty Francuskiej do rzeki, która przecina lasy na wschodnim brzegu; w ten sposób dotrzemy do jej ujścia. Nie brałem udziału w wyprawie na północny kraniec jeziora. Na mnie więc kolej okazać się użytecznym... domagam się tego...

– Użytecznym! – wykrzyknął Gordon. – Czyż nie poświęcałeś się dotychczas więcej od innych? Czyż nie zasłużyłeś na naszą wdzięczność?

– Daj spokój, Gordon. Wszyscy spełniamy tylko nasz obowiązek! Powiedz: zgadzasz się?

– Ależ tak! Kogo weźmiesz na trzeciego? Nie proponuję ci Doniphana, bo nie jesteście w zgodzie...

– Och, zabrałbym go chętnie! – odpowiedział Briant. – To niezły chłopak, a przy tym odważny i zręczny; gdyby nie ten jego zawistny charakter, byłby doskonałym kolegą. Zresztą zmieni się powoli, zwłaszcza kiedy zrozumie, że nie chcę się wywyższać ani górować nad nikim; jestem pewien, że będziemy kiedyś najlepszymi przyjaciółmi. Ale umyśliłem sobie zabrać kogoś innego.

– Kogo?

– Mojego brata Kubusia. Jego zachowanie niepokoi mnie coraz bardziej. Wyrzuca sobie coś istotnie poważnego, a nie chce nam o tym powiedzieć. Może podczas tej wycieczki, kiedy będziemy sami...

– Masz rację. Zabierz Kubusia. Już dziś zacznij się przygotowywać do wyprawy.

– Nie trzeba mi wiele czasu, bo nasza nieobecność nie przeciągnie się dłużej niż trzy dni.

Tegoż dnia Gordon zawiadomił kolegów o projektowanej wyprawie. Doniphan rozszalał się głęboko, posłyszawszy, że nie weźmie w niej udziału. Poskarżył się więc Gordonowi, który wyjaśnił mu, że wycieczka ma specjalny charakter i wyruszy na nią tylko trzech chłopców; skoro zaś Briant jest autorem projektu, od niego zależą szczegóły wykonania.

– No tak – ozwał się Doniphan – wszystko tu jest dla niego, nieprawdaż, Gordon?

– Jesteś niesprawiedliwy i wobec niego, i wobec mnie!

Doniphan nie nalegał dłużej i powędrował do swoich przyjaciół – Wilcoxa, Crossa i Webba. W ich obecności mógł swobodnie wyładować zły humor.

Chłopiec okrętowy nie tajił zadowolenia, dowiedziawszy się, że porzuci chwilowo funkcje kuchmistrza, obejmując w zamian dowództwo łodzi. Myśl, że pojedzie z Briantem, podwajała jeszcze jego radość. Dyżury w kuchni miał objąć naturalnie jego zastępca Service, który cieszył się, że nareszcie będzie mógł pitrasić, jak mu się spodoba, bez niczyjego dozoru. Kubusiowi także dogadzała podróż w towarzystwie brata i cieszył się, że na parę dni opuści grotę.

Chłopcy przygotowali natychmiast jolkę do drogi. Miała ona mały łaciński żagiel, który Moko wciągnął na reję i zwinął wzdłuż masztu. Dwie fuzje, trzy rewolwery i spory zapas amunicji, trzy pledy podróżne, prowiant suchy i napoje, nieprzemakalne peleryny na wypadek deszczu, dwie pary wiosel i jedno zapasowe – oto ekwipunek konieczny na krótką wycieczkę; nie zapomniano także o kopii mapy Franciszka Boudoin, na której zamierzali oznaczać nowe tereny w miarę poznawania dalszych zakątków wyspy.

4 lutego, o ósmej rano, Briant, Kubuś i Moko pożegnawszy kolegów wsiedli do czółna kołyszącego się koło grobli na Rzece Zelandzkiej.

Pogoda była śliczna – dęta leciutka, południowo – zachodnia nią bryza. Rozwinięto żagiel i Moko stanawszy na rufie chwycił ster, Briant zaś trzymał szot. Chociaż urywane podmuchy ledwie marszczyły powierzchnię jeziora, żeglarze odczuli żywo działanie bryzy, kiedy łódź oddalała się na dobre od brzegu. Szybkość się wzmogła. Gdy minęło pół godziny, Gordon i jego towarzysze, obserwujący czółno z Boiska Sportowego, widzieli już tylko czarny punkcik, który zniknął niebawem.

Moko siedział na rufie, Briant pośrodku czółna, a Kubuś na dziobie, u stóp masztu. Przez godzinę obserwowali wysoki grzbiet Wzgórza Aucklandzkiego, który zniknął im potem z oczu za horyzontem. Jednakże przeciwległy brzeg nie wyłaniał się jeszcze nad powierzchnię wód, choć przybliżyli się doń znacznie. Na nieszczęście – jak to się zwykle dzieje, gdy słońce zaczyna mocno prażyć – wiatr przycichał i koło południa nadlatywały już tylko pojedyncze, porywiste podmuchy.

– To źle – powiedział Briant – że bryza nie utrzymała się przez cały dzień.

– Byłoby jeszcze gorzej, gdyby dęła z przeciwnej strony – odrzekł Moko.

– Ależ filozof z ciebie, mój Moko!

– Nie wiem, co pan przez to rozumie – odparł chłopiec okrętowy. – Ale ja po prostu nie mam zwyczaju martwić się tym, co mnie spotyka!

– To jest właśnie filozofia!

– Niech będzie filozofia, ale bierzmy się do wiosła. Dobrze byłoby przybić do brzegu, nim zapadnie noc. A jeśli nam się to nie uda, będziemy musieli poddać się losowi.

– Zrobimy, jak mówisz, Moko. Ja wezmę jedno wiosło, ty drugie, a Kubuś ujmie ster.

– Otóż to – powiedział chłopak. – Jeśli Kubuś będzie dobrze sterował, przepłyniemy jeszcze spory szmat jeziora.

– Wytłumaczysz mi, jak to trzeba robić – odparł Kubuś – a postaram się wam pomóc.

Moko zwinął żagiel, który nawet nie łopotał, bo wiatr ucichł zupełnie. Trzej chłopcy przegryźli coś spieszenie, po czym Moko siadł na dziobie, Kubuś przeniósł się na rufę, a Briant pozostał w środku. Czółno silnie pchnięte wiosłami pomknęło nieco na ukos, według busoli ku północnemu wschodowi.

Łódź znajdowała się jak gdyby na pełnym morzu, gdyż kopała niebios stykała się dokoła z powierzchnią jeziora. Kubuś wypatrywał uważnie, czy od wschodu, naprzeciwko Groty Francuskiej, nie ukaże się brzeg jeziora.

Kiedy koło trzeciej Moko spojrział przez lunetę, okazało się, że widać zarysy pobliskiego lądu. Nieco później Briant stwierdził, że Moko się nie omylił. O czwartej ukazały się wierzchołki drzew nad płaskim brzegiem.

Jeszcze dwie i pół, może trzy mile – i żeglarze wylądują na wschodnim brzegu jeziora. Briant i Moko wiosłowali nadal z zapałem, choć bardzo męczył ich skwar. Jezioro było gładkie jak lustro. W niezwykle przejrzystej wodzie widać było, na głębokości dwunastu, może piętnastu stóp, dno porośnięte roślinami wodnymi, wśród których uwijały się miriady ryb.

Wreszcie około szóstej po południu czółno przybiło do brzegu, znad którego zwisały splątane gałęzie więzożołdu i nadmorskiej sosny. Brzeg był dość wysoki i nie nadawał się do lądowania, chłopcy musieli więc płynąć wzdłuż niego jeszcze z pół mili ku północy.

– Oto rzeka zaznaczona na mapie – powiedział Briant.

I wskazał wgłębienie wrzynające się w brzeg – tędy odpływał nadmiar wód jeziora.

– Powinniśmy chyba nazwać jakoś tę rzekę – zauważył Moko.

– Masz rację. Nazwijmy ją „Rzeką Wschodnią”, ponieważ przecina wschodnią część wyspy.

– Doskonale – rzekł Moko. – Teraz musimy puścić się z biegiem Rzeki Wschodniej aż do jej ujścia.

– Zrobimy to jutro. Lepiej tu zanoć. O świcie spłyniemy z prądem; będziemy płynąć powoli, to lepiej poznamy oba brzegi rzeki.

– Wysiadamy? – spytał Kubuś.

– Oczywiście. Rozłożymy się obozem pod drzewami.

Briant, Moko i Kubuś wyskoczyli na brzeg zatoczki. Przycumowali solidnie czołno do pnia, po czym przenieśli na ląd broń i żywność. Rozpalili ognisko pod olbrzymim więzozółdem. Posilili się sucharami i zimnym mięsem, rozłożyli plеды na ziemi i zasnęli twardo. Przedtem naładowali broń – na wszelki wypadek; ale choć o zmroku dobiegały ich ryki zwierząt, noc upłynęła spokojnie.

– W drogę! – wykrzyknął Briant, który obudził się pierwszy, nieco przed szóstą.

Po kilku minutach wszyscy trzej znaleźli się w czołnie i pozwolili się unieść prądowi rzeki.

Prąd okazał się na tyle silny – odpływ trwał już od pół godziny – że nie trzeba było uciekać się do wiosł. Toteż Briant i Kubuś siedli na dziobie, a Moko na rufie; posługując się wiosłem niby sterem, chłopiec okrętowy prowadził czołno tak by nie zboczyło z głównego nurtu rzeki.

– Wystarczy pewnie jednego odpływu, byśmy dotarli do ujścia, jeśli Rzeką Wschodnią liczy rzeczywiście pięć do sześciu mil. Prąd jest tu szybszy niż na Rzece Zelandzkiej – rzekł Moko.

– Oby tak było – odparł Briant. – Ale powrót będzie wymagał dwóch albo trzech przyptywów...

– To prawda. I jeśli pan zechce, wrócimy zaraz...

– Naturalnie, mój drogi – odparł Briant. – Przekonamy się tylko, czy na wschód od Wyspy Chairmana nie leży jakiś ląd.

Tymczasem czołno, zdaniem Moka, sunęło z szybkością jednej mili na godzinę. Zresztą Rzeką Wschodnią płynęła niemal prosto na północny wschód, co stwierdzono za pomocą busoli. Koryto jej było głębsze i węższe niż łożysko Rzeki Zelandzkiej – liczyło najwyżej trzydzieści stóp szerokości – i tym tłumaczył się jej szybki bieg. Briant niepokoił się, czy na rzece nie pojawią się progi i wiry, czy jest ona spławna do samego ujścia. Doszedł jednak do wniosku, że będzie czas zastanowić się nad tym, gdy ukaże się jakaś przeszkoda.

Płynęli lasem wśród gęstej, zbitej roślinności. Spotykali tu mniej więcej takie same gatunki drzew jak w Lesie Wilczych Dołów, z tą tylko różnicą, że przeważały więzozółdy, dęby korkowe, sosny i świerki.

Briant, choć mniej obznajomiony z botaniką od Gordona, dostrzegł między innymi pewne drzewo

dość pospolite w Nowej Zelandii. Z jego płaskiej korony, rozpościerającej się na wysokości sześćdziesięciu stóp, zwisały owoce stożkowate, długie na cztery cale o spiczastych czubkach, pokryte lśniącą łuską.

– Pewnie to pinia! – wykrzyknął Briant.

– Jeśli pan się nie myli – powiedział Moko – to warto zatrzymać się tu na chwilę.

I kilkoma ruchami wiosła skierował czołno ku lewemu brzegowi. Briant i Kubuś skoczyli na brzeg. Po kilku minutach przynieśli garść owych orzeszków, w których znajdują się owalne ziarna o cienkiej łusce i migdałowym zapachu. Cenna to była zdobycz nie tylko dla łakomczuchów, lecz i z tego powodu, że orzeszki dają znakomity olej, o czym dowiedzieli się po powrocie od Gordona.

Ważnym zagadnieniem było też, czy las obfituje w zwierzynę na równi z lasami położonymi na zachód od Jeziora Rodzinnego. Zdawało się, że tak jest w istocie, Briant bowiem dostrzegł pomykające wśród gąszczu stada wylękłych nandu i wigoni, a nawet parę guanaków, które pędziły z niewiarygodną szybkością. Co zaś do ptactwa, to Doniphanowi trafiłaby się tu okazja do niejednego pięknego strzału. Ale Briant powstrzymywał się od marnowania prochu, gdyż w jolce mieli wystarczający zapas żywności.

Płynęli dalej. Koło jedenastej zauważyli, że las zaczął wyraźnie rzednąć. Poprzez liczne polanki napływało pod sklepienie drzew świeże powietrze. Bryza niosła słonawy zapach, wskazując na bliskość morza.

W kilka minut później pojawiła się nagle, za kępą wspaniałych więzożołodów, błękitnawa smuga.

Co prawda prąd spychał nadal czołno, ale już nie tak szybko jak przedtem. Niebawem na Rzece Wschodniej, liczącej tu pięćdziesiąt stóp szerokości, miał się rozpocząć przyptyw.

Dotarłszy do skał górujących nad brzegiem morskim, Moko pchnął czołno w lewo, po czym wyniósł kotwiczkę na brzeg i wcisnął ją głęboko w piasek. Briant i jego brat wysiedli również.

Jakże różniło się wybrzeże od zachodnich krańców wyspy. Otwierała się tutaj głęboka zatoka leżąca na tej samej linii, zatoka Sloughi; ale zamiast szerokiej, piaszczystej plaży okolonej pierścieniem raf i przypartej do urwiska, które wznosiło się na dalszym planie Wybrzeża Burz, piętrzyło się tutaj rumowisko skał; można by znaleźć wśród nich – o czym Briant przekonał się niezwłocznie – dwadzieścia grot zamiast jednej.

Wybrzeże to nadawało się więc do zamieszkania i gdyby szkuner osiadł tutaj, gdyby można go było po katastrofie spuścić na wodę, schroniliby się u ujścia Rzeki Wschodniej, w małym naturalnym porcie, gdzie wody nie brakło nawet w czasie odpływu.

Briant objął najpierw spojrzeniem morze, najdalsze punkty rozległej zatoki. Na krańcach jej widniały dwa piaszczyste cyple, odległe od siebie o piętnaście mil.

Zatoka była pusta. W polu widzenia nie dostrzegało się żadnego okrętu, nawet na krańcu półkola wód odcinających się ostro na tle nieba. Żadnej wyspy, żadnego lądu! Moko, wprawny w

rozpoznawaniu dalekich wyniosłości, które zlewają się często ze smugami mgieł unoszącymi się nad szeroką przestrzenią wód, nie dojrzał nic przez lunetę. Wyspa Chairmana zdawała się również osamotniona od wschodu, jak od zachodu. Oto dlaczego na mapie Franciszka Baudoin nie widniał żaden ląd w tej stronie. Przesadzilibyśmy utrzymując, że Briant doznał wielkiego rozczarowania. Nie spodziewał się właściwie niczego nadzwyczajnego. Uznał jednakże za stosowne nazwać to miejsce „Zatoką Rozczarowania”. – No tak – powiedział – nie tędy prowadzi droga powrotna!

– E – odparł Moko – wraca się zawsze jakąś drogą, tą lub inną. Zdaje mi się, że tymczasem dobrze byłoby się posilić...

– Zgoda – rzekł Briant. – Ale szybko! O której będziemy mogli popłynąć w górę Rzeki Wschodniej?

– Jeżeli mamy skorzystać z przyływu, musimy wyruszyć zaraz.

– To wykluczone, Moko. Chcę zbadać horyzont w możliwie dobrych warunkach. Najlepiej chyba z wierzchołka skały górującej nad plażą.

– A więc będziemy musieli poczekać na następny przyływ, który rozpocznie się dopiero koło dziesiątej wieczór.

– Czy boisz się żeglować nocą? – spytał Briant.

– Nie. I wiem, że nie narażę nikogo na niebezpieczeństwo – odparł Moko. – Jest pełnia. Zresztą rzeka płynie tak prosto, że wystarczy podczas przyływu kierować czołno wiosłem. Potem, gdy woda znów zacznie spływać do morza, popchniemy jolkę wiosłami, a jeśli prąd okaże się zbyt silny, zatrzymamy się i poczekamy, aż się rozwidni.

– Doskonale, Moko, zgadzam się. A skoro mamy dwanaście godzin przed sobą, wykorzystamy je, by lepiej poznać okolicę.

Od śniadania do obiadu chłopcy zwiedzali część wybrzeża osłoniętego drzewami przytykającymi do skał nadmorskich. Zwierzyny było tu pod dostatkiem, podobnie jak w okolicy Groty Francuskiej; Briant ustrzelił na kolację kilka kusaków.

Charakterystycznymi dla tej części wybrzeża były zwały granitowych bloków. Gigantyczne te głazy, rozsiane w imponującym nieładzie, przypominały menhiry z Carnac*. Spotykało się tutaj głębokie pieczary, zwane w niektórych krajach celtyckich* „kominami”, gdzie doskonale można się było schronić. Nie brakła tu też jaskiń tego typu, co Grota Francuska. Przeszedłszy zaledwie pół mili, Briant znalazł ze sześć takich wygodnych pieczar.

Siłą rzeczy Briant zadał sobie teraz pytanie, dlaczego jego rodak nie osiedlił się w tej części wyspy. Nie sposób było wątpić, że zbadał te zakątki, gdyż wyrysował na mapie kontury wschodniego wybrzeża. Nie znaleźli więc śladów jego pobytu w tych stronach pewnie dlatego, że Franciszek Baudoin zamieszkał w Grocie Francuskiej, jeszcze zanim dotarł do wschodniej części wyspy; spostrzegłszy zaś, że siedlisko, które obrał początkowo, lepiej jest osłonięte od wichrów, postanowił

w nim pozostać. Rozumowanie to wydawało się logiczne, toteż Briant postanowili na nim poprzestać.

Około drugiej, kiedy słońce przebyło już najwyższy punkt swojej drogi, Briant uznał, że nadszedł stosowny moment do oględzin morza. Umyślili więc wdrapać się we trzech na głaz podobny do ogromnego niedźwiedzia, który wznosił się na jakie sto stóp nad małym naturalnym portem; chłopcy wspięli się na skałę z wielkim trudem.

Od strony lądu widać było stamtąd wierzchołki drzew porastających środkową część wyspy, aż po Jezioro Rodzinne, którego tafle przysłaniała szeroka zasłona zieleni. Na południu kraj pocięty był żółtawymi wydmami, między którymi widniały ciemne; lasy świerkowe. Na północy wybrzeże zatoki biegło ku płaskiemu cyplowi – był to krańcowy punkt ogromnej, piaszczystej równiny rozciągającej się za nim. Wyspa Chairmana była tedy żyzna jedynie pośrodku, gdzie słodka woda jezior, spływająca licznymi rzekami, udzielała jej życiodajnej wilgoci.

Briant skierował lunetę na linię horyzontu na wschodzie, rysującą się w tym momencie bardzo wyraźnie. Gdyby w promieniu siedmiu lub ośmiu mil leżał jakikolwiek ląd, pojawiłby się na pewno w obiektywie instrumentu.

Nic się jednak nie ukazało! Nic, oprócz rozległych wód, opasanych jednostajną linią widnokręgu.

Przez całą godzinę Briant, Kubuś i Moko obserwowali uważnie horyzont i mieli właśnie zejść ze skały, kiedy chłopiec okrętowy zatrzymał starszego z braci.

– A co tam jest? – zagadnął wskazując jakiś punkt na północnym wschodzie.

Briant skierował lunetę w tę stronę.

Nieco nad linią horyzontu majaczyła biaława plama; można by wziąć za obłok, gdyby niebo nie było w tej chwili zupełnie czyste. Utkwiwszy w niej na długo obiektyw, Briant stwierdził, że owa plama nie przesuwała się i że kształt jej nie ulegał zmianom.

– Nie wiem, co to być może – powiedział. – Chyba to jakaś góra! Ale góra wyglądałaby inaczej!

Po jakimś czasie – a słońce chyliło się coraz bardziej ku zachodowi – plama znikła. Czy był tam rzeczywiście jakiś górzysty ląd, czy też tylko woda odbijała światło słoneczne? Moko i Kubuś przyjęli tę drugą hipotezę, ale Briant odnosił się do niej z powątpiewaniem.

Po dokonaniu oględzin horyzontu chłopcy podążyli nad zatoczkę leżącą u ujścia rzeki, gdzie zostawili czółno przycumowane do brzegu. Kubuś nazbierał suchego drzewa i rozpałił ognisko, a Moko przygotowywał tymczasem pieczeń z kusaków.

Około siódmej, zjadłszy z apetytem kolację, Kubuś i Briant przechadzali się po plaży, czekając na przyptyw.

Moko powędrował w górę lewym brzegiem rzeki; zauważył tam pinie i chciał nazbierać trochę orzeszków.

Zmierzchało się, kiedy wrócił do ujścia rzeki. Morze oświetlały jeszcze ostatnie promienie słońca, które ześlizgiwały się z baldachimu lasów, ziemia zaś pogrążona już była w mroku.

Kiedy Moko znalazł się przy czólnie, Brianta i Kubusia nie było tam jeszcze. Nagle posłyszał, ku swojemu zdumieniu, jęki i krzyki. To Briant krzyczał.

Czyżby braciom zagrażało jakieś niebezpieczeństwo? Moko skoczył bez wahania ku plaży, okrążywszy kilka skał zamykających zatoczkę od tej strony.

Ujrzał nagle obu chłopców i stanął jak wryty.

Kubuś klęczał przed bratem. Zdawał się błagać, prosić o przebaczenie. Stąd owe jęki, które dobiegły Moka.

Moko chciał się dyskretnie oddalić. Ale było już za późno. Usłyszał wszystko i wszystko zrozumiał! Poznał winę, do której Kubuś przyznał się właśnie bratu. Briant zaś wołał:

– Nieszczęsny! I tyś to zrobił! Ty... Ty jesteś przyczyną...

– Przebacz mi... przebacz...

– To dlatego stroniłeś od kolegów! Bałeś się ich!... Ach, oby się tylko nie dowiedzieli! Nie! Ani słowa! Ani słowa o tym nikomu!

Ileż dałby Moko za to, by o tym nie wiedzieć! Trudno byłoby jednak udawać teraz przed Briantem nieświadomość. Toteż po chwili, kiedy znaleźli się we dwóch przy czólnie, powiedział:

– Słyszałem wszystko, proszę pana.

– Jak to? Wiesz, co zrobił Kubuś?

– Tak... I trzeba mu przebaczyć...

– Czy inni także mu przebaczą?

– Kto wie? – rzekł Moko. – Ale może lepiej, by się o tym nie dowiedzieli; niech pan będzie spokojny, będę milczał...

– O mój kochany Moko! – szepnął Briant ściskając dłoń chłopca.

Przez dwie godziny, aż do chwili odjazdu, Briant nie odezwał się ani słowem do Kubusia. Chłopczyk siedział pod skałą jeszcze bardziej przygnębiony niż zwykle – teraz gdy przyparty do muru, wyznał bratu wszystko.

Gdy przed dziesiątą rzeka przybrała, siedli we trzech do jolki. Odcumowali ją; prąd szybko uniósł łódkę. Księżyc, który wzeszedł niemal o zachodzie słońca, oświetlał rzekę tak jasno, że mogli płynąć aż do pierwszej w nocy. Przybór wód zaczął słabnąć, trzeba było chwycić się wiosel; w ciągu

godziny jolka przebyła niespełna milę.

Briant zaproponował więc, by zatrzymać się i zaczekać na nowy przyptyw; tak też zrobili. O szóstej chłopcy wyruszyli w dalszą drogę, a o dziewiątej jolka wpłynęła na wody Jeziora Rodzinnego.

Tu Moko rozwinął żagiel; dał dobry, boczny wietrzyk; jolka wzięła kurs na Grotę Francuską.

Przebywszy szczęśliwie jezioro (Briant i Kubuś milczeli przez cały czas jak zakłęci) chłopcy znaleźli się około szóstej przy zachodnim brzegu Jeziora Rodzinnego. Dostrzegł ich Garnett, który łowił właśnie ryby. Po chwili jolka przybiła do grobli i Gordon wybiegł na powitanie powracających kolegów.

Rozdział XVIII

Solanka – Szczudła – Wycieczka na Bagna Południowe – W przewidywaniu zimy – Różne gry – Zajście między Doniphanem i Briantem – Interwencja Gordona – Troska o przyszłość – Wybory 10 czerwca

Briant uznał, iż lepiej nie wspominać nikomu, nawet Gordonowi, o scenie, jaka rozegrała się między nim a Kubusiem. Kiedy koledzy zebrali się w hallu, zdał im relację z wyprawy. Opisał brzegi Zatoki Rozczarowania i Rzekę Wschodnią płynącą przez przyległe do jeziora lasy, tak bogate w różnorakie drzewa zimozielone. Stwierdził, że lepiej byłoby zamieszkać na wschodnim wybrzeżu niż na zachodnim, zaznaczył jednak, iż teraz nie miałoby celu opuszczenie Groty Francuskiej. Na wodach Pacyfiku, które obejrzał, nie ma w polu widzenia żadnego lądu. Dodał jednak, że widział nad linią horyzontu białą plamę, której istnienia nie potrafił wyjaśnić. Prawdopodobnie był to tylko kłęb mgły, ale warto by się o tym upewnić podczas następnej wyprawy do Zatoki Rozczarowania. W sumie – a wydawało się to aż nazbyt pewne – Wyspa Chairmana nie sąsiadowała z żadnym lądem i setki mil dzieliły ją niezawodnie od najbliższego kontynentu lub archipelagu.

Należało zatem walczyć dalej odważnie o byt, czekając, aż ratunek nadejdzie z zewnątrz, gdyż wątpliwe, by młodzi koloniści zdołali się stąd wydostać własnymi siłami. Każdy powrócił więc do swych zwykłych zajęć. Wszystkie poczynania chłopców zmierzały obecnie ku temu, by zabezpieczyć się przed zimą. Briant przykładał się do pracy z większym niż kiedykolwiek zapałem.

Ale wszyscy spostrzegli, że chłopiec stał się bardziej zamknięty i że za przykładem brata trzymał się na uboczu. Gordon, zauważywszy tę zmianę w usposobieniu kolegi, spostrzegł również, że Briant stara się wysuwać Kubusia, gdy trzeba wykazać się odwagą albo narazić na niebezpieczeństwo, i Kubuś zgadza się zawsze ochoczo. Briant nie zachęcił jednak nigdy Gordona do zadawania w tej kwestii jakichkolwiek pytań, Gordon więc zachowywał się dyskretnie, chociaż był niemal pewien, że między braćmi coś zaszło.

Luty upłynął chłopcom na rozmaitych zajęciach. Wilcox powiadomił kolegów, że łososie rozpoczęły już wędrówkę w górę rzeki do jeziora; nałapano ich sporo w sieć rozpiętą między obu brzegami Rzeki Zelandzkiej. Chłopcy potrzebowali dużo soli, aby zakonserwować ryby na zimę. Wyprawiali się więc kilkakrotnie nad zatokę Sloughi, gdzie Baxter i Briant urządzili na piasku małą solankę – czworokątny, płytki dół, z którego pod działaniem promieni słonecznych parowała woda morską pozostawiając osad soli.

W pierwszej połowie marca paru młodych kolonistów wyprawiło się na oparzeliska Bagien Południowych, położonych na lewym brzegu Rzeki Zelandzkiej. Doniphan zaprojektował tę wycieczkę doradzając Baxterowi, by sporządził kilka par szczudeł z lekkich drzewc jachtu. Posługując się szczudłami chłopcy mogliby dotrzeć suchą nogą do miejsc o twardym gruncie.

17 kwietnia rankiem Doniphan, Webb i Wilcox, przepłynąwszy jolką rzekę, wylądowali na lewym jej brzegu. Mieli ze sobą fuzje, a Doniphan uzbroił się nawet w dubeltówkę, którą wziął ze „zbrojowni” grotu, spodziewając się widać jakichś wspaniałych okazji do strzału.

Stanąwszy na brzegu trzej myśliwi przypięli natychmiast szczudła, aby dotrzeć do niewielkich wyniosłości, które wyłaniały się spośród topieli nawet podczas przyływu.

Towarzyszył im Phann. Nie potrzebował szczudeł, nie obawiał się bowiem, że zamoczy sobie łapy, sadząc przez szerokie kałuże.

Przebywszy milę w kierunku południowo – zachodnim, Doniphan, Wilcox i Webb stanęli na suchym terenie. Odwiązali więc szczudła, by swobodniej podkradać się do zwierzyny. -

Wzrok nie sięgał krańca rozległych moczarów; jedynie od wschodu widniała błękitna wstęga wód morskich, wygięta w łuk na horyzoncie.

Ileż ptactwa krążyło nad bagnami! Kszyki, kaczki, chruściele, siewki, cyranki i owe czarne kaczki cenione raczej dla puchu niż dla mięsa, chociaż należycie przyprawione mogły stanowić znośną potrawę. Doniphan i jego dwaj koledzy mogliby ubić setki tego niezliczonego ptactwa, nie marnując ani jednego ziarna śrutu. Ale rozsądek wziął górę i zadowolili się kilkoma tuzinami ptaków, które Phann aportował zapuszczając się aż na środek szerokich rozlewisk.

Jednakże Doniphanem owładnęła silna pokusa ustrzelenia innych jeszcze ptaków, choćby nawet nie mogły się one pojawić na stole mimo talentów kulinarnych Moka. Były to tinokory z rodziny brodzących oraz czaple, zdobne w białe, lśniące czuby. Młody myśliwy zdołał jednak w tym wypadku zapanować nad sobą – wiedział, że proch poszedłby na marne – ale inaczej stało się, kiedy spostrzegł stado flamingów przebywających chętnie w pobliżu słonawych wód; ptaki te, o ognistych skrzydłach, nie są gorsze w smaku niż kuropatwy. Flamingów, uszykowanych jakby w ordynku, strzegli wartownicy, którzy wszczęli alarm poczuwszy niebezpieczeństwo. Na widok tych wspaniałych okazów Doniphan pofolgował instynktom łowieckim, tym bardziej że Wilcox i Webb nie okazali się rozsądniejsi. Chłopcy pobiegli w kierunku ptaków, daremnie jednak. Nie wiedzieli, że zbliżywszy się niepostrzeżenie, ustrzeliliby tyle flamingów, ile by się im spodobało, ptaki te bowiem nie uciekają, ogłuszone detonacją.

Ale teraz na próżno ścigali wspaniałe, mierzące ponad cztery stopy pletwonogi. Padło hasło alarmu i stado pomknęło na południe tak szybko, że chłopcy nie zdołali go osiągnąć, nawet pociskami dalekonośnej dubeltówki.

Mimo to trzej myśliwi wrócili tak obładowani zwierzyną, iż nie mieli powodu żałować wędrówki przez trzęsawiska Bagien Południowych. Dotarłszy znów do rozlewisk, przypięli szczudła i wrócili nad rzekę; obiecali sobie powtórzyć tę wycieczkę z nastaniem pierwszych chłódów, gdyż mogła wtedy dać jeszcze bogatszy łup.

Gordon nie mógł też zwlekać aż do mrozów z przygotowywaniem groty na zimę. Należało zgromadzić duży zapas opału, żeby wystarczył również na ogrzewanie obory i ptaszarni. Chłopcy wyprawiali się więc często w tym celu na skraj Lasu Wilczych Dołów. Wóz, zaprzężony w dwa guanaki, obracał przez dwa tygodnie kilka razy na dzień, tocząc się po wąskim skrawku nadrzecznej łąki. Mieszkańcy groty, zaopatrzeni obficie w opał, a także w tłuszcz z fok, nie powinni byli teraz lękać się chłodu ani ciemności, choćby nawet zima miała potrwać pół roku.

Mimo tych zajęć nie ucierpiał program nauki, który ustalili sobie mali koloniści. Starsi chłopcy uczyli kolejno młodszych. W czasie pogadanek, odbywających się dwa razy na tydzień, Doniphan nadal popisywał się swoją wyższością, czym nie zjednywał sobie, naturalnie, wielu przyjaciół. Toteż nikt, z wyjątkiem dawniejszych jego stronników, nie darzył go sympatią. A jednak spodziewał się, że za dwa miesiące, kiedy wygaśnie kadencja urzędowania Gordona, stanie zamiast niego na czele małej kolonii. Miłość własna utwierdzała go w przekonaniu, że słusznie mu się to będzie należało. Czyż nie było prawdziwą niesprawiedliwością, że nie obrano go za pierwszym razem? Wilcox, Cross i Webb zapewniali o tym kolegę i nie wątpili, jak się zdawało, ani na moment o zwycięstwie.

Najmłodszy jednak nie zamierzał opowiedzieć się ani za Doniphanem, ani zresztą za Gordonem.

Gordon doskonale zdawał sobie z tego sprawę i choć mógł się ubiegać o podobny wybór, nie pragnął go. Rozumiał, że surowość, którą okazywał podczas swojej „rocznej kadencji gubernatorskiej”, nie zjednała mu zwolenników. Postępowanie dość bezwzględne i umysł nazbyt może praktyczny często budziły niechęć w kolegach i Doniphan spodziewał się, że owa niechęć jemu właśnie wyjdzie na dobre. W okresie wyborów rozegrają się więc walki, których tok warto będzie śledzić.

Malcy zarzucali Gordonowi przede wszystkim nazbyt oszczędną gospodarkę leguminami. Ponadto beształ ich za niszczenie ubrań, płamienie lub darcie, a zwłaszcza za dziury w butach, gdyż trudności z reperacją obuwia stanowiły zagadnienie naprawdę poważne. A ileż było awantur, a czasem nawet i kar za zgubiony guzik! Kwestia guzików od bluzy czy spodni była ustawicznie na porządku dziennym; Gordon wymagał, aby co wieczór każdy z chłopców wyliczył się z przepisowej ilości guzików, inaczej nie dostawał deseru albo siedział w kozie. Wówczas Briant przemawiał bądź za Jenkinsem, bądź za Dole'em i oto dlaczego zyskał popularność! Prócz tego malcy wiedzieli, że dwaj chłopcy zajmujący się kuchnią, Service i Moko, przywiązani byli serdecznie do Brianta i jeśli Briant zostałby gubernatorem wyspy, spodziewali się, że nadejdą dla nich wspaniałe czasy i łakocie posypią się jak z rogu obfitości...

Widzimy, od czego zależą sprawy tego świata! Bo czyż ta kolonia złożona z małych chłopców nie

była prawdziwym obrazem społeczeństwa i czy dzieci nie zachowywały się jak dorośli?

Jeśli chodzi o Brianta, nie interesował się on wcale tymi sprawami. Pracował bez wytchnienia, nie oszczędzał też i brata, pierwsi zaczynali wszelkie zajęcia, a kończyli je ostatni, jakby na barkach obydwo spoczywał jakiś szczególny obowiązek.

Niecałe dni były jednak wypełnione pracą i nauką. Uwzględniono też w programie zajęć kilkugodzinne przerwy dla wypoczynku. Ćwiczenia gimnastyczne wpływają znakomicie na stan zdrowia. Brali w nich udział starsi i młodszy. Wspinali się na drzewa, wciągając się na linie oplecionej wokół pnia. Skakali o tyczce. Kapali się w jeziorze, a ci, co nie umieli pływać, uczyli się tego szybko. Urządzono wyścigi z nagrodami dla zwycięzców. Ćwiczą się w rzucaniu lassa i bola.

Chłopcy uprawiali też inne gry, tak popularne wśród młodych Anglików; oprócz gier wymienionych poprzednio mieli jeszcze krokieta i „rounders”. Gra w rounders polega na tym, że za pomocą długiego kija odbija się piłkę w kierunku drewnianych kołków tworzących regularny pięciokąt. Grywali też i w „krążki” – gra ta wymaga specjalnie wyrobionej ręki i wprawnego oka, a należy ją opisać bardziej szczegółowo, gdyż któregoś dnia wywołała między Doniphanem i Briantem jeden z najprzykrzejszych sporów.

Wydarzyło się to 25 kwietnia po południu. Ośmiu chłopców podzieliwszy się na dwie drużyny – Doniphan, Webb, Wilcox i Cross w jednej, a Briant, Baxter, Garnett i Service w drugiej – grało w krążki na murawie Boiska Sportowego.

Dwa „hob” – żelazne kołki, tkwiły w ziemi w odległości około pięćdziesięciu stóp od siebie. Każdy gracz miał dwa metalowe krążki z otworem pośrodku, cieńsze przy brzegach.

Gracze rzucają krążki, starając się, by nadziały się otworar na metalowe kołki, najpierw na pierwszy, potem na drugi. Gracz który trafi obu krążkami w jeden kołek, otrzymuje dwa punkty, jeśli zaś w dwa kołki – cztery punkty. Gdy gracz uderzy nie w hob i krążek spadnie obok, liczy mu się jeden punkt; jeżeli dwa krążki padną w odpowiedniej odległości od kołka, gracz otrzymuje dwa punkty.

Tego dnia na boisku panowało wielkie ożywienie, zapewne dlatego, że Doniphan grał w jednej drużynie, a drugiej przewodniczył Briant. Przy tym wszyscy chłopcy emocjonowali się zawsze tą rozrywką.

Rozegrano już dwie partie. Briant, Baxter, Service i Garnett wygrali pierwszą, uzyskawszy siedem punktów, drugą zaś wygrali przeciwnicy tylko sześcioma punktami.

Zaczęła się partia rozstrzygająca. Obie strony zdobyły po pięć punktów; każda z nich miała teraz prawo tylko do jednego rzutu.

– Na ciebie kolej, Doniphan – powiedział Webb. – Celuj dobrze! Musimy zwyciężyć!

– Bądź spokojny – odrzekł Doniphan.

Przybrał właściwą pozycję, z jedną nogą wysuniętą do przodu; trzymając w prawej ręce krążek,

przegiął się nieco w lewo, aby rzut był pewniejszy.

Widać było, że zarozumialec wkłada w to całą duszę: zacisnął zęby, przybladł, patrzył bystro spod zmarszczonych brwi.

Wymierzywszy dokładnie, zatoczył kilkakroć krążkiem łuk, po czym cisnął go płasko i z całej siły, bo cel był odległy o jakie pięćdziesiąt stóp.

Krażek zawadził o hob tylko krawędzią i zamiast nawlec się na palik spadł na ziemię – drużyna uzyskała zatem jedynie sześć punktów.

Doniphan, nie umiejąc ukryć żalu, tupnął nogą ze złości.

– Ano, szkoda! – powiedział Cross. – Ale jeszcześmy nie przegrali!

– Oczywiście! – dorzucił Wilcox. – Twój krążek upadł u stóp kołka. Założę się, że Briant nie tylko nie nawlecze swojego krążka na kołek, ale nie trafi bliżej!

Rzeczywiście, jeśli krążek Brianta – on bowiem miał teraz rzucać – nie nawlecze się na palik, partia będzie stracona, gdyż niepodobna rzucić krążka bliżej palika, niż to zrobił Doniphan.

– Celuj dobrze! Celuj dobrze! – wykrzyknął Service.

Briant nie odpowiedział, nie mając bynajmniej zamiaru sprawić Doniphanowi przykrości. Pragnął tylko jednego, i to bardziej dla kolegów niż dla siebie: zwyciężyć.

Przybrawszy odpowiednią pozę, rzucił krążek tak zręcznie, że wbił go na hob.

– Siedem punktów! – wykrzyknął triumfalnie Service. – Wygraliśmy partię! Wygraliśmy!

Doniphan zbliżył się żywo.

– Nie! Wcale nie wygraliście! – powiedział.

– A to dlaczego? – zagadnął Baxter.

– Bo Briant oszukał.

– Oszukałem? – spytał Briant blednąc na to oskarżenie.

– Tak! Oszukał! – powtórzył Doniphan. – Briant nie stanął na linii tak, jak powinien. Zbliżył się do celu o dwa kroki!

– To kłamstwo! – zawołał Service.

– To nieprawda – powiedział Briant. – A nawet gdyby rzeczywiście tak się stało, byłaby to jedynie z mojej strony pomyłka; nie pozwolę, żeby Doniphan zarzucał mi oszustwo!

– Doprawdy, nie pozwolisz? – skrzywił się Doniphan wzruszając ramionami.

– Nie pozwolę! – powtórzył Briant nie panując już nad sobą. – Ale najpierw dowiodę, że stanąłem na linii.

– Tak! Tak! – zakrzyknęli Baxter i Service.

– Nie! Nie! – odpowiedzieli Webb i Cross.

– Patrzcie, tu na piasku widać odciski moich stóp! Doniphan nie mógł się pomylić, po prostu skłamał.

– Skłamałem? – wykrzyknął Doniphan i zaczął wolno zbliżać się do kolegi.

Webb i Cross stanęli za Doniphanem, aby wspierać go w razie potrzeby, a Service i Baxter sposobili się do walki po stronie Brianta.

Doniphan przybrał postawę boksera; zdjął kurtkę, zawinął rękawy koszuli, okręcił chustką przegub ręki.

Briant odzyskał zimną krew; stał nieruchomo, widać nie zamierzając bić się z kolegą, gdyż byłby to fatalny przykład dla malców.

– Źleś zrobił, że mnie obraziłeś – powiedział. – I źle teraz robisz, że mnę wyzywasz!

– Rzeczywiście – odparł Doniphan z najgłębszą pogardą. Zły to postępek wyzywać kogoś, kto nie potrafi odpowiedzieć na wyzwanie!

– Nie odpowiadam, bo nie mam ochoty!

– Nie odpowiadasz, bo się boisz – odpalił Doniphan.

– Boję się?! Ja się boję?

– Tak, jesteś tchórzem!

Briant podwinął rękawy i skoczył ku Doniphanowi. Obaj przeciwnicy stanęli teraz naprzeciw siebie, oko w oko.

Boks wchodzi u Anglików, nawet w koloniach, w zakres wykształcenia. Znaną jest zresztą rzeczą, iż chłopcy oddający się tym ćwiczeniom są cierpliwszi i łagodniejsi od innych i nie biorą się do bitki z lada powodu.

Briant, który był Francuzem, nigdy nie gustował w tej walce na pięści, kiedy to wymierza się ciosy tylko w twarz. Był więc w sytuacji znacznie gorszej niż jego przeciwnik, znakomity zapaśnik, aczkolwiek obaj dorównywali sobie wiekiem, wzrostem i siłą.

Walka miała się właśnie rozpocząć – za moment padłyby pierwsze ciosy – kiedy Gordon, którego Dole powiadomił o zajściu, nadbiegł, by ją udaremnić.

– Briant! Doniphan! – wołał z daleka.

– Nazwał mnie kłamcą! – skarżył się Doniphan.

– A on powiedział mi przedtem, że oszukuję i że jestem tchórzem! – odparł Briant.

Reszta chłopców skupiła się wokół Gordona, przeciwnicy cofnęli się o kilka kroków – Briant ze skrzyżowanymi ramionami, Doniphan w postawie boksera.

– Doniphan – powiedział surowo Gordon – znam dobrze Brianta! To nie on szukał z tobą zwady! Tyś zawinił.

– Ach, doprawdy, Gordon?... – odparł Doniphan. – Zawsze to samo! Wiecznie wszyscy przeciwko mnie!

– Oczywiście, jeśli na to zasługujesz – rzekł Gordon.

– Niech i tak będzie! Ale wszystko jedno, czy Briant zawinił, czy ja! Skoro nie chce się bić, jest tchórzem!

– A ty jesteś niegodziwy i dajesz zły przykład kolegom! Jak to?! W tak ciężkiej sytuacji, w jakiej się znajdujemy, żeby jeszcze ktoś wypatrywał tylko okazji do siania niezgody! I w dodatku, żeby nastawał wiecznie na najlepszego z nas wszystkich!

– Briant, podziękuj Gordonowi! – wrzasnął Doniphan. – A teraz broń się!

– A właśnie, że nie! – krzyknął Gordon. – Jestem waszym gubernatorem i sprzeciwiam się stanowczo wszelkim bitkom! Briant, wracaj do groty! A ty, Doniphan, idź sobie, gdzie ci się spodoba, i wyładuj złość, na czym zechcesz! Wrócisz dopiero wtedy, gdy zdołasz pojąć, żeś zawinił i że ja spełniłem tylko mój obowiązek!

– O tak! Słusznie! – zawołali wszyscy chłopcy z wyjątkiem Webba, Wilcoxa i Crossa. – Niech żyje Gordon! Hura, Briant!

Wobec tej jednomyślności nie pozostawało dwom przeciwnikom nic innego jak usłuchać. Briant przesiedział do wieczora w hallu, a Doniphan, wróciwszy, gdy nadeszła pora spoczynku, nie okazał najmniejszej chęci poruszenia niemiłej sprawy. Jednakże każdy wyczuwał, że w sercu tego chłopca tai się głęboka uraza, że jego nienawiść do Brianta wzrosła jeszcze i że w stosownym momencie przypomni sobie o nauczce, którą otrzymał od Gordona. Oparł się zresztą próbom, jakie Gordon przedsięwziął, by doprowadzić do zgody.

Tego dnia nic nowego nie zaszło. Nikt nie zrobił najmniejszej aluzji do kłótni między dwoma rywalami i chłopcy powrócili do swoich zwykłych zajęć.

W pierwszym tygodniu maja zapanował dotkliwy chłód i Gordon kazał napalić w hallu i podtrzymywać ogień w piecykach dniem i nocą. Okazało się też wkrótce, że trzeba ogrzewać obórkę i ptaszarnię. Obowiązki te zlecono Service'owi i Garnettowi.

W tym czasie niektóre ptaki przygotowywały się do odlotu bądź to w stronę północnej części Pacyfiku, bądź do Ameryki, gdzie klimat jest łagodniejszy niż na wyspie Chairmana.

Pośród tych ptaków były przede wszystkim jaskółki, miłe wędrowniczki, przebywające szybko olbrzymie przestrzenie.

Rozważając stale sprawę powrotu do kraju, Briant wpadł na myśl, by za pośrednictwem tych przelotnych ptaków przekazać wiadomość o losie rozbitków ze „Sloughi”. Nie było nic łatwiejszego, jak pochwycić około tuzina jaskółek z gatunku, jak je nazywali, „domowych”, gdyż gnieździły się nawet w kuchni Groty Francuskiej. Chłopcy zawiesili im na szyjach woreczki, w których mieściły się kartki: podali na nich w przybliżeniu położenie Wyspy Chairmana na Pacyfiku z prośbą, by wiadomość tą przekazać do Auckland, stolicy Nowej Zelandii.

Po czym chłopcy wypuścili jaskółki i z prawdziwym wzruszeniem pożegnali je wołając „do widzenia”, gdy poszybowały na północny zachód.

Szansę ratunku były znikome. Ale choćby nawet żadna z tych kartek nie miała dotrzeć do ludzi, Briant dobrze zrobił nie zaniedbując i tego sposobu.

Pierwszy śnieg spadł 25 maja, o kilka dni wcześniej niż poprzedniego roku. Czy ten wczesny początek zimy zapowiadał, że będzie ona bardzo surowa? Należało się tego obawiać. Na szczęście ciepło, światło i żywność były zapewnione na przeciąg wielu miesięcy.

Ciepłą odzież rozdano już kilka tygodni temu i Gordon baczył pilnie, by chłopcy przestrzegali jak najściślej zasad higieny.

W tym okresie zapanowało w grocie tajone ożywienie, któremu uległy młode, zapalone głowy. Przecież roczna kadencja „urzędowania” Gordona kończyła się w dniu 10 czerwca!

Wynikły stąd wstępne pertraktacje, narady, a nawet intrygi, które wprawiały ten mały światek w stan podniecenia. Gordon, jak wiemy, zachowywał zupełną obojętność. Briant zaś, jako Francuz, nie pragnął rządzić małą kolonią, gdzie przeważali Anglicy.

W gruncie rzeczy Doniphan najbardziej się interesował nadchodzącymi wyborami, nie pokazując tego zresztą po sobie. Chłopiec ten, niezwykle inteligentny, odznaczający się niewątpliwą odwagą, miałby duże szansę, gdyby nie cechowała go wrodzona wyniosłość, usposobienie zawistne i skłonność do przewodzenia innym.

Tymczasem zaś rozmyślnie stronił od tych spraw. Nie wiadomo, czy był pewien, że i tak – zdobędzie stanowisko Gordona, czy też pycha powstrzymywała go od zjednywania sobie głosów. Zresztą to, czego sam otwarcie nie robił, robili jego przyjaciele. Wilcox, Webb i Cross nakłaniali kolegów, aby głosowali za Doniphanem – przede wszystkim malców, których poparcie miało wielką

wagę. Ponieważ nie wysuwano żadnego innego nazwiska, Doniphan mógł być niemal pewien sukcesu!

Nadszedł dzień 10 czerwca.

Głosowanie wyznaczono na godziny popołudniowe. Każdy miał napisać na kartce nazwisko swojego kandydata. Większość głosów decydowała o wyborze. Skoro kolonia liczyła czternastu członków – Moko, jako „czarny”, głosować nie mógł i nie ubiegał się nawet o to prawo – co najmniej osiem głosów złożonych na to samo nazwisko miało zdecydować o wyborze nowego gubernatora.

Głosowanie rozpoczęło się o drugiej w obecności Gordona i odbyło się z wielką powagą: tak bowiem Anglicy odnoszą się zawsze do tego rodzaju wydarzeń.

Po obliczeniu rezultat głosowania był następujący:

Briantosiem głosów

Doniphantrzy głosy

Gordonjeden głos.

Ani Gardon, ani Doniphan nie chcieli wziąć udziału w głosowaniu. Briant zaś głosował na Gordona.

Kiedy ogłoszono rezultat wyborów, Doniphan nie zdołał ukryć rozczarowania i irytacji.

Briant, zdumiony, że otrzymał większość głosów, zamierzał najpierw nie przyjąć tego zaszczytu. Ale widocznie jakaś myśl uderzyła go nagle, spojrzawszy bowiem na Kubusia, powiedział:

– Dziękuję wam, koledzy! I przyjmuję!

Od tego dnia Briant został na rok gubernatorem młodych kolonistów osiadłych na Wyspie Chairmana.

Rozdział XIX

Maszt sygnałowy – Wielkie mrozy – Flamingi – Ślizgawka – Zręczność Kubusia – Nieposłuszeństwo Doniphana i Crossa – Mgła – Kubuś wśród mgły – Salwy z Groty Francuskiej – Czarne punkciki – Postawa Doniphana

Wybierając Brianta chłopcy oddali sprawiedliwość jego uczynności, odwadze, której dowody składał przy każdej okazji, kiedy: w grę wchodził los młodych rozbitków, wreszcie jego nieustannemu poświęcaniu się dla wspólnego dobra. Od chwili kiedy objął dowództwo na „Sloughi”, podczas podróży z Nowej Zelandii na Wyspę Chairmana, ani razu nie cofnął się przed niebezpieczeństwem czy trudem. Chociaż Briant był innej narodowości niż pozostali chłopcy, cieszył się sympatią zarówno starszych, jak młodszych; szczególnie ci ostatni głosowali na niego jak jeden mąż, gdyż opiekował się nimi z oddaniem i z zapałem. Tylko Doniphan, Cross, Wilcox i Webb Wzbraniali się uznać zasługi Brianta, aczkolwiek przyznawali w duchu, że są wobec kolegi niesprawiedliwi. Gordon nie szczędził Briantowi powinszowań, obawiał się jednak, że rezultat wyborów pogłębi jeszcze istniejący rozłam albo sprawi, że Doniphan i jego stronnicy podejmą jakąś pożałowania godną decyzję. Nazbyt rzetelny, nie mógł jednak nie pochwalić wyboru, a ponadto był zadowolony, że będzie się mógł poświęcić całkowicie rachunkowości kolonii.

Od tej pory stało się widoczne, że Doniphan i jego trzech przyjaciele nie będą tolerowali dłużej tego stanu rzeczy, choć Briant obiecał sobie solennie nie dawać żadnych powodów do gwałtownych wystąpień.

Kubuś zdziwił się wielce, widząc, że jego brat zgadza się na wynik głosowania.

– Chcesz więc... – zagadnął nie kończąc myśli, którą Briant uzupełnił odpowiadając mu cicho:

– Tak, chcę zrobić jeszcze więcej dla odkupienia twojej winy, niż działaliśmy dotąd.

– Dziękuję ci – odparł Kubuś. – I nie oszczędzaj mnie.

Nazajutrz chłopcy powrócili do zwykłego trybu życia, który podczas długich dni zimowych był ogromnie jednostajny.

Ale przed nastaniem gwałtownych chłódów Briant przedsięwziął pewien krok, który mógł się okazać użyteczny.

Wiemy, że w najwyższym punkcie Wzgórza Aucklandzkiego został wzniesiony maszt sygnałowy. Z bandery wciągniętej na szczyt masztu pozostały tylko, strzepy, gdyż wichry znad pełnego morza miały ją przez wiele tygodni. Należało ją zastąpić czymś, co ostałoby się nawet zimowym zawieruchom. Za radą Brianta Baxter sporządził jak gdyby balon upleciony z giętkiej trzciny porastającej brzegi moczaru. Mógł on oprzeć się zawieruchom, gdyż wiatr przelatywałby przez jego szpary. Kiedy balon był gotów, chłopcy udali się po raz ostatni, 17 czerwca, nad zatokę Sloughi – i Briant zastąpił flagę Zjednoczonego Królestwa nowym znakiem sygnalizacyjnym, widocznym w promieniu wielu mil.

Szybko zbliżał się ów moment, kiedy Briant i jego „podwładni” mieli zostać uwięzieni w grocie. Rtęć w termometrze opadała wolno, ale systematycznie, co wskazywało na zbliżanie się przewlekłych mrozów.

Briant kazał wyciągnąć jolkę na brzeg i ustawić za załomem urwiska; chłopcy przykryli ją nieprzemakalną płachtą, aby spojenia nie rozsunęły się pod działaniem suchego powietrza. Następnie Baxter i Wilcox zastawili sidła w pobliżu zagrody i wykopali nowe jamy na skraju Lasu Wilczych Dołów. Wreszcie zawiesili siatki wzdłuż lewego brzegu Rzeki Zelandzkiej w ten sposób, by wpadało w nie ptactwo wodne, które, gnane gwałtownymi bryzami południowymi, będzie starało się chronić w głębi wyspy.

W tym czasie Doniphan z dwoma lub trzema przyjaciółmi brodzili często na szczydach wśród rozlewisk Bagien Południowych. Nigdy nie wracali stamtąd z pustymi rękami mimo oszczędzania prochu, którego Briant skąpił tak samo jak Gordon.

Rzeka zaczęła zamarzać z początkiem lipca. Na jeziorze utworzyły się kry, które spływały unoszone prądem rzekł. Niebawem spiętrzyły się poniżej grot, tworząc wał lodowy, a Rzeka Zelandzka pokryła się grubą skorupą. Jeśli mróz dochodzący dwunastu stopni miałby utrzymać się nadal, całe jezioro wkrótce zamarznie. Istotnie po gwałtownych atakach wichury, które opóźniły proces zamarzania, wiatr powiał od południowego wschodu, niebo się przetało i temperatura opadła do dwudziestu stopni poniżej zera.

Rozpoczął się zimowy tryb życia, podobny do tego, kto chłopcy prowadzili ubiegłego roku. Briant czuwał nad wszystkim, nie nadużywając jednak swej władzy. Słuchano go chętni tym bardziej że Gordon ułatwiał Briantowi zadanie, dając zawsze przykład posłuszeństwa. Doniphan i jego stronnicy nigdy nie okazywali niesubordynacji. Odwiedzali co dzień wilcze doły, sidła, potrzaski i lepy pozostawione specjalnie ich pieczy; stronili jednak jak dawniej od innych, rozmawiali ze sobą półgłosem i prawie nigdy nie przyłączali się do ogólnej rozmowy ani podczas posiłków, ani wieczorami. Czyżby coś knuli? Nikt tego nie wiedział. Zachowywali się na ogół bez zarzutu, nie zdarzyło się, aby Briant musiał interweniować. Odnosił się po prostu do wszystkich sprawiedliwie i to wystarczało; ale brał na siebie najcięższe trudy, nie szczędząc i brata, który rywalizował z nim w pracy. Gordon spostrzegł nawet, że usposobienie Kubusia zmieniło się, a Moko zaobserwował z przyjemnością, iż od chwili decydującej rozmowy między braćmi chłopczyk chętniej brał udział w pogawędkach i zabawach kolegów.

Nauka wypełniała długie godziny, które chłopcy, z nastaniem mrozów, musieli spędzać w hallu. Jenkins, Iverson, Dole i Costar robili wyraźne postępy. Starsi, ucząc młodszych, uczyli się i sami. W czasie długich wieczorów czytano głośno opisy podróży, które i Service chętnie by zastąpił lekturą „Robinsonów”. Niekiedy Garnett brał harmonię, by dudlić na niej z pożałowania godnym zapalem jakiejś melodie. Inni znów śpiewali chórem piosenki, wyuczone w dzieciństwie. Po koncercie wszyscy wędrowali do łóżek.

Briant wciąż jednak myślał o powrocie do Nowej Zelandii. Ustawicznie zaprzętał sobie tym głowę. Różnił się więc od Gordona, który rozmyślał tylko o tym, jak by lepiej zorganizować kolonię – „Rządy” Brianta miał charakteryzować wysiłek, by wrócić do kraju. Młody Francuz rozmyślał bez przerwy o białawej plamie, którą dostrzegł na horyzoncie, w Zatoce Rozczarowania. „Czy nie była ona częścią pobliskiego łądu? – zastanawiał się. – Jeśli tak, to czy nie udałoby się zbudować łodzi, którą spróbowalibyśmy tam dotrzeć?” Ale gdy powiedział o tym Baxterowi, Anglik potrząsnął głową, zdając sobie sprawę, że byłaby to praca ponad ich siły!

– Ach, czemuż jesteśmy tylko dziećmi! – powtarzał Briant. – Tylko dziećmi, kiedy powinniśmy być mężczyznami!

I tym właśnie martwił się najbardziej.

Chociaż mieszkańcy groty byli w niej całkiem bezpieczni, w niektóre noce zimowe zrywali się w popłochu. Phann czekał na alarm, kiedy dzikie zwierzęta – przeważnie szakale – podchodziły pod zagrodę. Doniphan i inni wypadali wtedy z hallu i ciskając płonące głownie zmuszali przeklętych włóczęgów do ucieczki.

Kilka razy pojawiły się też kuguary i jaguary, ale nigdy nie podchodziły tak blisko jak szakale. Napastników przyjmowano strzałami z fuzji, choć duża odległość nie pozwalała chłopcom razić ich śmiertelnie. Niełatwo było bronić zabudowań gospodarskich!

24 lipca Moko miał wreszcie okazję popisać się nowymi pomysłami kulinarnymi: przyrządził potrawę, którą jedni uraczyli się jak smakośże, inni zaś po prostu się obzarli.

Wilcox i Baxter, gorliwy jego pomocnik – nie zadowolili się zastawianiem sidła na drobną zwierzynę, ptactwo czy gryzonię. Przygiąwszy parę młodych drzewek, rosnących między starymi olbrzymami w Lesie Wilczych Dołów, zdołali pozastawiać prawdziwe sidła z zaciskającą się pętlą, zdatne na grubego zwierza. Ten rodzaj sidła stosuje się powszechnie w lasach, przez które Przechodzą sarny, i daje on niezłe rezultaty.

Jednakże w Lesie Wilczych Dołów nie sarna, ale wspaniała flaming uwikłał się nocą 24 lipca w pętlę, z której nie się mimo wysiłków uwolnić. Nazajutrz, kiedy Wilcox obchodził sidła, ptak już nie żył zaduszony pętlą. Flaming starannie oskubany, wypatroszony, nadziany aromatycznymi ziołami, upieczony, okazał się wyśmienity. Mięsa starczyło dla wszystkich, a nawet każdy dostał kawałek języka, który stanowi ponoć największy przysmak pod słońcem!

W pierwszych dniach sierpnia nastąpiły tęgie mrozy. Briant obserwował z głęboką troską termometr wskazujący trzydzieści stopni poniżej zera. Powietrze było niezwykle czyste i, jak się to często zdarza przy tak znacznym spadku temperatury, najłżejszy podmuch wiatru nie dawał się odczuć.

W tym czasie nikt nie ośmielał się opuszczać groty; mróz przenikał do szpiku kości. Zabroniono malcom wydalać się choćby na chwilę. Starsi wychodzili jedynie w wypadkach koniecznych – przeważnie po drzewo do pieców lub aby podsyć ogień płonący bez ustanku w zabudowaniach gospodarskich.

Szczęściem mrozy nie trwały długo. Około 6 sierpnia wiatr znów zaczął dać od zachodu. Na zatokę Sloughi i Wybrzeże Burz spadły straszliwe wichury, które odbijały się od ściany Wzgórza Aucklandzkiego i pędziły górą z niesłychaną gwałtownością. Jednakże Grota Francuska wcale od nich nie ucierpiała. Tylko trzęsienie ziemi byłoby w stanie rozsądzić jej solidne ściany.

Najstraszniejsze nawałnice, które rzucają okręty wojenne na brzeg albo obalają kamienne budowle, nie zmożłyby tego urwiska, niewzruszonego w posadach. Wichury powaliły wiele drzew; mogło to zaoszczędzić sporo pracy młodym drwalom, gdyby chcieli uzupełnić zapas opału.

Wskutek owych nawałnic odmienił się do gruntu stan atmosfery: skończyły się trzaskające mrozy, temperatura podnosiła się stale, a gdy minęły zaburzenia atmosferyczne, wynosiła średnio siedem do ośmiu stopni poniżej zera.

W drugiej połowie sierpnia pogoda była zupełnie znośna. Chłopcy wrócili do zwykłych zajęć na powietrzu, musieli się tylko wyrzec rybołówstwa, gdyż gruba warstwa lodu pokrywała jezioro i rzekę. Zaglądali teraz często do sideł, wilczych dołów i potrzasków, gdzie znajdowali mnóstwo wodnego ptactwa; spizarnia była więc znów obficie zaopatrzona w świeże mięso.

Zresztą w zagrodzie pojawili się nowi mieszkańcy. Oprócz piskląt dropi i przepiórek urodziło się pięć młodych wigoni, którymi Service i Garnett opiekowali się troskliwie.

W tym czasie Briant postanowił zorganizować kolegom ślizgawkę.. gdyż lód na jeziorze był jeszcze doskonały. Baxter sfabrykował z deseczek wyciętych w kształcie podeszwy i żelaznych sztabek kilka par łyżew. Chłopcy znali zresztą ten sport, uprawiany z wielkim zamiłowaniem na Nowej Zelandii, i to podczas najcięższych mrozów. Radowali się więc, że będą mogli zabłysnąć swoimi talentami łyżwiarskimi na lodzie Jeziora Rodzinnego.

Bankiem 25 sierpnia, po śniadaniu, około jedenastej, Briant Gordon, Doniphan, Webb, Cross, Wilcox, Baxter, Garnett, Service, Jenkins, i Kubuś, pozostawiwszy Ivensom, Dole'a i Costara pod opieką Moka i Phanna, opuścili grotę udając się na poszukiwanie gładkiej i rozległej przestrzeni na jeziorze nadającej się na ślizgawkę.

Briant zabrał róg, by zwoływać kolegów, jeśli się rozproszą zanadto. Zamierzali wrócić na obiad.

Zanim znaleźli odpowiednie miejsce, wypadło im powędrować wzdłuż brzegu ze trzy mile, gdyż w pobliżu groty powierzchnia usiana była bryłami lodu. W bok od Lasu Wilczych Dołów koloniści zatrzymali się przed gładką taflą lodu, rozpościerającą się, jak okiem sięgnąć, ku wschodowi. Było to wspaniałe pole ćwiczeń, wystarczające dla całej armii łyżwiarzy.

Oczywiście Doniphan i Cross wzięli z sobą fuzje, aby jeśli nadarzy się okazja, ustrzelić trochę zwierzyny. Briant zaś i Gordon, którzy nigdy nie przepadali za łyżwami, poszli na jezioro jedynie dlatego, by zapobiec jakimś nierozważnym wybrykom.

Doniphan i Cross byli bardzo dobrymi łyżwiarzami, Kubuś jednak przewyższał obu chłopców szybkością biegu, a także precyzji z jaką wykonywał skomplikowane figury.

Briant przed daniem sygnału do odjazdu zwołał wszystkich kolegów i powiedział:

– Nie potrzebuję wam chyba przypominać, abyście zachowywali się rozsądnie i zapomnieli o wszelkich ambicyjkach. Nie należy się wprawdzie obawiać, by lód się załamał, ale trzeba pamiętać, że można złamać rękę lub nogę! Nie oddalajcie się zbytnio! A któryś zapędzi się daleko, niech sobie przypomni w porę, że Gordon i ja czekamy tu na was. A więc kiedy zatrąbię, każdy musi zawrócić ku nam!

Wysłuchawszy tych poleceń, łyżwiarze pomknęli w dal i Briant uspokoił się widząc, jak zwinnie

poruszają się na lodzie. Zdarzyło się, że ten i ów upadł, ale jedynie wybuchy śmiechu towarzyszyły takim przygodom.

Kubuś dokazywał cudów, mknąc to w tył, to w przód, na jednej nodze, to znów na obu, kucając, zakreślając koła i elipsy niezwykle regularne. Z jaką radością patrzył Briant na brata uczestniczącego we wspólnej zabawie!

Doniphan, sportowiec oddający się namiętnie ćwiczeniom cielesnym, odczuł może zazdrość na widok sukcesów Kubusia, którego oklaskiwano z całego serca, oddalił się bowiem zaraz od brzegu mimo usilnych napomnień Brianta. A nawet w pewnej chwili skinął na Crossa, by za nim podążył.

– Ej, Cross! – wykrzyknął. – Widzę stado kaczek... tam, na wschodzie! Widzisz je?

– Tak!

– Masz przecie fuzję! I ja mam także. Ruszajmy na polowanie.

– Ale Briant zabronił!

– Daj mi spokój z tym twoim Briantem. W drogę! Szybko!

Doniphan i Cross przebyli w mgnieniu oka pół mili, goniąc za stadem kaczek, które wzbiły się nad jeziorem.

– Dokąd oni tak pędzą? – zaniepokoił się Briant.

– Pewnie wypatrzyli jakąś zwierzynę – odparł Gordon – i odezwała się w nich żyłka myśliwska...

– Raczej żyłka nieposłuszeństwa! – rzucił Briant. – Znowu Doniphan!

– Czy sądzisz, Briant, że coś im może grozić?

– A kto to wie? Niebezpiecznie jest oddalać się zbyt od wszystkich! Spójrz, jak są daleko!

Istotnie Doniphan i Cross, porwani szybkością pędu, wyglądali na rozległej tafli jeziora jak dwa punkciki. Choć mrok miał zapaść dopiero za kilka godzin i chłopcy zdążyliby wrócić przed wieczorem, postąpili jednak nierozważnie. O tej porze roku należało bowiem obawiać się nagłych zmian pogody. Wiatr, odmieniwszy kierunek, mógł sprowadzić zawieruchę albo mgłę.

Osądźcie sami, jaki lęk ogarnął Brianta, kiedy około drugiej horyzont zasnuł się nagle mgłą.

Doniphan i Cross nie pojawili się nawet wtedy, gdy wał mgieł, osiadający na jeziorze, zasłonił wschodni jego brzeg.

– Tego się właśnie obawiałem! – wykrzyknął Briant. – Jakże oni odnajdą drogę?

– Zatrąb na rogu! Zatrąb! – odparł żywo Gordon.

Róg ozwał się po trzykroć i metaliczny jego dźwięk odbił się w przestrzeni. Może odpowiedzą strzałami z fuzji? Tylko w ten sposób Doniphan i Cross mogli powiadomić kolegów, gdzie się znajdują.

Briant i Gordon nasłuchiwali... Żaden huk nie dobiegł ich uszu.

Tymczasem mgła zgęstniała i rozlewała się coraz szerzej; pierwsze jej kłęby kotłowały się o ćwierć mili od brzegu. A że wznosiła się także w górę, całe jezioro miało zniknąć w niej za parę minut.

Briant przywołał wtedy pozostałych kolegów. Za chwilę wszyscy zebrali się na brzegu.

– Co robić? – spytał Gordon.

– Trzeba spróbować odnaleźć Doniphana i Crossa, nim zabłądzą na dobre wśród mgły! Niech jeden z nas podąży w tym kierunku, gdzie oni zniknęli i spróbuje ich wezwać rogiem...

– Chętnie po nich pojedę – rzekł Baxter.

– I my też – powiedziało paru innych.

– Nie! Ja pójdę – ozwał się Briant.

– Może ja pojedę – zgłosił się Kubuś. – Na łyżwach szybko dopędzę Doniphana.

– Zgoda! – powiedział Briant. – Jedź, Kubusiu, i nadstawiaj dobrze ucha, czy nie posłyszysz strzałów! Weź róg, dasz chłopcom znać, gdzie jesteś...

– Dobrze!

Po chwili Kubuś zniknął w gęstej mgle.

Briant, Gordon i inni nasłuchiwali bacznie dźwięków rogu; zamilkły one niebawem w oddali.

Minęło pół godziny. Żadnej wieści o zaginionych, którzy zabłądzili we mgle, ani o Kubusiu, który podążył za nimi.

– Co się z nimi stanie, jeśli nie wrócą przed zmrokiem?

– Gdybyśmy chociaż mieli broń! – wykrzyknął Service! – Może...

– Broń! – powtórzył Briant. – Przecież mamy jej dość w grocie! Nie traćmy ani chwili! W drogę!

Był to rzeczywiście doskonały pomysł, należało bowiem wskazać zarówno Kubusiu, jak Doniphanowi i Crossowi, jaki winni obrać kierunek, by dotrzeć do brzegu jeziora. Najlepiej więc było pospieszyć najkrótszą drogą do groty, skąd strzelając w określonym odstępie czasu, będzie można przesłać kolegom sygnały. W niespełna pół godziny Briant, Gordon i inni przebyli trzy mile

dzielące ich od Boiska Sportowego.

W tych okolicznościach nikt nie zamierzał oszczędzać prochu. Wilcox i Baxter naładowali dwie fuzje i wystrzelili w kierunku zachodnim.

Żadnej odpowiedzi. Nie zadźwięczał róg ani nie huknął strzał. Było już wpół do czwartej. W miarę jak słońce kryło się za krawędzią Wzgórza Aucklandzkiego, mgła coraz bardziej gęstniała. Niepodobna było czegokolwiek dojrzeć na jeziorze ciężkie opary.

– Do działa! – zawołał Briant.

Chłopcy zatoczyli na Boisko Sportowe jedno z działek ze „Sloughi” – to, które stało w hallu nieopodal drzwi, zwrócone do okienka – i wycelowali je w kierunku północno-zachodnim.

Naładowali je nabojem raketowym i Baxter miał już pociągnąć za sznur spustu, gdy Moko doradził, aby zatkać lufę wiązka siana nasyczonego tłuszczem. Miało to, jego zdaniem, wzmóc siłę detonacji – i nie mylił się.

Działo wypaliło tak głośno, że Dole i Costar zatkali sobie uszy.

Nie sposób, żeby w powietrzu tak idealnie spokojnym huk strzału nie dał się słyszeć w promieniu kilku mil.

Nasłuchiowano... Nic!

Przez godzinę strzelali z działka co dziesięć minut. Niepodobna, by Doniphan, Cross i Kubuś nie zrozumieli tych powtarzających się strzałów, które wskazywały położenie grotty. Huk wystrzałów rozlegał się na pewno na całym jeziorze, bo mgła doskonale przenosi odległe nawet dźwięki, a właściwość ta wzmaga się, kiedy mgła gęstnieje.

Wreszcie, na krótko przed piątą, posłyszano kilka strzałów z fuzji, które rozbrzmiały na północnym zachodzie.

– To oni! – wykrzyknął Service.

I Baxter pospieszył odpowiedzieć Doniphanowi ostatnim wystrzałem.

Po kilku chwilach dwa cienie zarysowały się we mgle, gęstszej przy brzegu niż pośrodku jeziora. Niebawem wiwaty zabrzmiały od Boiska Sportowego i od strony jeziora.

Byli to Doniphan i Cross.

Kubusia z nimi nie było.

Łatwo sobie wyobrazić śmiertelny niepokój, jaki ogarnął Brianta! Kubuś nie zdołał odnaleźć dwóch kolegów, którzy nie usłyszeli nawet głosu rogu. Okazało się, że myśliwi, usiłując rozeznaczyć się w położeniu, pomknęli ku południowej części Jeziora Rodzinnego, Kubuś zaś powędrował na

zachód, próbując ich dogonić. Doniphan i Cross nigdy nie odnaleźliby drogi, gdyby nie huk wystrzałów dolatujący od strony grotty.

Briant, niespokojny o brata błakającego się wśród mgły, nie zamierzał bynajmniej robić wymówek Doniphanowi, którego nieposłuszeństwo okazało się aż tak poważne w skutkach. Jeśli Kubuś będzie musiał spędzić tę noc na jeziorze, przy temperaturze, która obniży się pewnie do piętnastu stopni, jakże zdoła wytrzymać tak dotkliwy chłód?

– To ja powinienem był pójść, a nie on! – powtarzał Briant Gordonowi i Baxterowi, którzy daremnie usiłowali wlać w jego serce nieco otuchy.

Wystrzelono z działka jeszcze kilka razy. Oczywiście, gdyby Kubuś znajdował się w pobliżu grotty, byłby na pewno odpowiedział grając na rogu.

Ale odpowiedzi nie było, a zmierzch już zapadał i zbliżała się noc.

Tymczasem jednak sytuacja zmieniła się nieco na lepsze. Mgła zaczęła jakby rzednąć. O zachodzie słońca zerwała się bryza – jak każdego wieczora po spokojnym dniu – i spychała mgłę ku zachodowi, odsłaniając powierzchnię jeziora. Jeszcze chwila, a już tylko ciemności nocne będą utrudniać odszukanie grotty.

W tych okolicznościach nie pozostawało nic innego, jak rozpaść na brzegu wielkie ognisko jako sygnał świetlny. Baxter, Wilcox i Service zaczęli już gromadzić suche drzewo pośrodku boiska, kiedy Gordon powstrzymał ich nagle.

– Poczekajcie! – powiedział.

Z lunetą przy oku wypatrywał czegoś pilnie, zwróciwszy się na północny zachód.

– Zdaje mi się, że widać jakiś punkcik... – rzucił. – Tak, punkt, który się porusza.

Briant chwycił lunetę i przyjrzał się uważnie.

– Dzięki Bogu! To on! – wykrzyknął. – To Kubuś! Poznają go!

I wszyscy zaczęli krzyczeć na całe gardło, jakby chłopiec mógł ich usłyszeć z odległości wynoszącej co najmniej milę!

Jednakowoż odległość ta zmniejszała się w oczach. Kubuś mknął na łyżwach jak strzała; jeszcze kilka minut, a będzie na miejscu.

– Wydaje mi się, że nie jest sam! – wykrzyknął Baxter zdumiony.

Rzeczywiście, przyjrzawszy się uważniej, chłopcy stwierdzili, że dwa inne punkty mkną za Kubusiem, o jakie sto stóp od niego.

– Cóż to może być? – zastanowił się Gordon.

– Ludzie? – zdziwił się Baxter.

– Nie! Chyba zwierzęta... – powiedział Wilcox.

– Może jakieś dzikie bestie! – wykrzyknął Doniphan.

Nie omylił się. Skoczył bez wahania, z fuzją w rękę, na lód i pomknął naprzeciw Kubusia.

Zbliżywszy się niebawem do kolegi, wypalił dwukrotnie do zwierząt, które zawróciły i wkrótce zniknęły z oczu.

Były to dwa niedźwiedzie! Jak się to stało, że myśliwi nigdy dotąd nie natknęli się na tropy tych groźnych bestii włóczących się po wyspie? Czy może należało przypuszczać, że nie zamieszkują na stałe tego lądu i zabłąkały się tu wędrując po zamarznętej tafli morza albo płynąc na krze? Wskazywałoby to, że jakiś kontynent leży blisko Wyspy Chairmana... Rzecz godna zastanowienia.

Tak czy inaczej, Kubuś został ocalony i brat tulił go teraz w ramionach.

Powinszowaniom i uściskom nie było końca – nie oszczędzono ich dzielnemu chłopakowi. Natrąbiwszy się daremnie – bo nie zdołał przywołać kolegów – Kubuś wśród gęstej mgły już całkiem stracił orientację, kiedy nagle huknęły strzały.

„To może być jedynie działko z naszej groty!” – pomyślał usiłując połapać się, skąd ów głos dochodził.

Znajdował się właśnie w odległości kilku mil na północny zachód. Natychmiast pomknął co sił w stronę, z której dolatywał huk.

Nagle, kiedy mgła zaczęła rzednąć, dostrzegł dwa niedźwiedzie pędzące ku niemu. Zimna krew nie opuściła go ani na moment, choć groziło mu wielkie niebezpieczeństwo. Dzięki szybkiej jeździe potrafił utrzymać zwierzęta w pewnej odległości. Ale wystarczyło, żeby się potknąć – zginąłby niechybnie.

Kiedy chłopcy wracali do groty, Kubuś odciągnął brata na stronę i rzekł cicho:

– Dziękuję ci, dziękuję, że mi pozwoliłeś... Briant uściśnął mu w milczeniu rękę.

Po czym, kiedy Doniphan stanął na progu hallu, Briant rzekł do niego:

– Nie pozwoliłem ci się oddalać i widzisz, że twoje nieposłuszeństwo omal nie spowodowało wielkiego nieszczęścia! Jednakże, choć popełniłeś błąd, muszę ci podziękować, że pospieszyłeś Kubusiowi na ratunek!

– Spełniłem tylko swój obowiązek – odparł zimno Doniphan. I nie uściśnął nawet ręki, którą kolega wyciągnął do niego tak serdecznie.

Postój na południowym krańcu jeziora – Doniphan, Cross, Webb i Wilcox – Rozstanie – Okolice Ziemi Wydm – Rzeka Wschodnia – Marsz wzdłuż lewego brzegu – Przy ujściu

Od opisanych wydarzeń minęło sześć tygodni. Pewnego dnia czterej młodzi koloniści zatrzymali się około piątej po południu na południowym krańcu Jeziora Rodzinnego.

Było to 10 października. Pod drzewami okrytymi świeżą zielenią ziemia przyobkleła się w wiosenne barwy. Przyjemny wietrzyk marszczył leciutko tafłę jeziora, oświetloną jeszcze ostatnimi promieniami słońca, które muskały też rozległą równinę Bagien Południowych, obrzeżoną wąską smugą piasku. Ptaki przelatywały licznymi i krzykliwymi stadami, podążając do swoich nocnych schronisk, ukrytych w cieniu drzew albo wśród rozpadlin skalnego płaskowyzu. Kępy różnorodnych drzew zimozielonych – sosny, więzozołdy i nie opodał kilka akrów lasu jodłowego – przerywały jałową monotonię tej części wyspy. Pas roślinności okalającej jezioro urywał się w tym miejscu; kto chciałby więc dotrzeć do gęstej zasłony lasu, musiałby powędrować kilka mil wzdłuż jednego z równoległych brzegów.

Ze sporego ogniska płonącego u stóp nadmorskiej sosny wzbijał się wonny dym, który wiatr gnał ku bagnom. Dwie kaczki piekły się nad sutym ogniem, osłoniętym dwoma kamieniami. Czterej chłopcy siedzieli przy ognisku.

Byli to Doniphan, Webb, Cross i Wilcox – a oto okoliczności, w jakich zdecydowali się rozstać z kolegami.

W ostatnich tygodniach tej drugiej zimy, którą chłopcy spędzili na wyspie, stosunki między Doniphanem a Briantem naprężyły się mocno. Pamiętamy, jakiego rozczarowania doznał Doniphan, kiedy wybór padł na jego rywala. Zazdrosny i drażliwy, nie bez trudu podporządkowywał się rozkazom nowego gubernatora Wyspy Chairmana. Nie przeciwstawiał mu się otwarcie tylko dlatego, że większość chłopców odmówiłaby mu poparcia. Jednakże w wielu wypadkach okazał tyle złej woli, że Briant nie mógł mu oszczędzić, słusznych zresztą, wymówek. Od wypadków na ślizgawce, kiedy to okazał jawne nieposłuszeństwo, krnąbrność jego wciąż wzrastała, aż nadszedł moment, w którym Briant czuł się zmuszony, nie widząc innego wyjścia, zastosować surowe środki.

Gordon, zaniepokojony tym stanem rzeczy, skłaniał Brianta, by się pohamował. Ale Briant wiedział, że nie na długo już mu starczy cierpliwości i że dla wspólnego dobra i dla utrzymania ładu konieczna byłaby przykładna kara. Daremnie Gordon zwracał Doniphanowi uwagę. Miał niegdyś na niego pewien wpływ, ale teraz musiał przyznać, że ustał on całkowicie. Doniphan nie mógł mu przebaczyć, że w większości wypadków brał stronę jego rywala. Toteż interwencja Gordona nie odniosła żadnego skutku i Amerykanin, zasmucony głęboko, przewidywał grożące lada dzień komplikacje.

– Z pewnością knują coś we czterech – rzekł pewnego razu Briant do Gordona.

– Chyba nie przeciwko tobie? – powiedział Gordon. – Zająć twoje miejsce? Doniphan się nie ośmieli! Wszyscy staniemy po twojej stronie, wiesz o tym, a i on zdaje sobie z tego doskonale sprawę.

– A może Wilcox, Cross, Webb i on zamierzają odłączyć się od nas...

– Możliwe, ale nie sądzę, żebyśmy mieli prawo temu przeszkodzić.

– Wyobrażasz ich sobie, jak wędrują, aby osiąść gdzieś dalej?

– A może jednak nie myślą o tym?

– Przeciwnie, myślą! Widziałem, jak Wilcox przerysowywał mapę Franciszka Baudoin, po to oczywiście, by zabrać kopię.

– Wilcox to zrobił?

– Tak, Gordon, i doprawdy nie wiem, czy nie lepiej byłoby położyć kres tym wielkim kłopotom... Zrezygnowałbym z moich funkcji... na czyjąkolwiek korzyść... twoją, powiedzmy, albo nawet Doniphana! Ustałaby natychmiast wszelka rywalizacja...

– O nie, Briant – powiedział Gordon stanowczo. – Nie! Uchybiłbyś swoim obowiązkom wobec kolegów, którzy cię wybrali, a także obowiązkom wobec samego siebie!

Reszta zimy upłynęła wśród ciągłych niesnasek. Zimowe chłody skończyły się ostatecznie w pierwszych dniach października, jezioro i rzeka uwolniły się całkowicie od skorupy lodowej. Wtedy to – 9 października wieczorem – Doniphan powiadomił kolegów, że z Webbem, Crossem i Wilcoxem postanowili opuścić Grotę Francuską.

– Chcecie nas porzucić? – zagadnął Gordon.

– Porzucić was? O nie, Gordon – odparł Doniphan. – Cross, Webb, Wilcox i ja postanowiliśmy jedynie zamieszkać w innej części wyspy.

– Dlaczego? – spytał Baxter.

– Chcemy po prostu żyć, jak nam się spodoba, i mówię otwarcie, nie życzymy sobie, by Briant nam rozkazywał!

– Chciałbym wiedzieć, jakie masz wobec mnie zarzuty? – odezwał się Briant.

– Żadnych... jedynie ten, że nam przewodzisz! – odpowiedział Doniphan. – Poprzednim gubernatorem był Amerykanin... a teraz przewodzi nami Francuz! Doprawdy, czemu nie wybrać Moka?

– Chyba nie mówisz poważnie – rzekł Gordon.

– Sedno sprawy polega na tym – odparł wyniośle Doniphan – że jeśli naszym kolegom spodobało się mieć za przywódcę każdego, byle nie Anglika, to nie podoba się to ani moim przyjaciołom, ani mnie!

– Niech i tak będzie! – zgodził się Briant. – Wilcox, Webb, Cross i ty możecie wyruszyć w drogę i zabrać przypadające na was części dobytku!

– Nie wątpiliśmy o tym ani przez moment, Briant, i jutro opuścimy grootę!

A oto skąd zrodził się projekt Doniphana.

Przed kilku miesiącami Briant, zdając relację z wyprawy na wschodnie wybrzeże Wyspy Chairmana, stwierdził, że warunki do osiedlenia się w tamtych okolicach były bardzo dobre. W nadbrzeżnych skałach znajdowały się liczne grotty, lasy porastające wschodni brzeg jeziora sięgały aż do plaży, w Rzece Wschodniej było pod dostatkiem słodkiej wody, a wśród nadrzecznych lasów roiło się od zwierzyny i ptactwa, słowem – życie mogło tam być równie wygodne, jak w Grocie Francuskiej, a o wiele wygodniejsze niż nad zatoką Sloughi. Ponadto odległość między grotą a wschodnim wybrzeżem wynosiła w prostej linii dwanaście mil, z których sześć przypadało na jezioro i prawie drugie tyle – na Rzekę Wschodnią. A więc w wypadkach koniecznych łatwo byłoby skomunikować się z resztą towarzyszy.

Rozważywszy dokładnie wszystkie okoliczności, Doniphan skłonił Wilcoxa, Crossa i Webba, aby osiedlili się wraz z nim na przeciwległym brzegu wyspy.

Jednakie Doniphan nie zamierzał wędrować do Zatoki Rozczarowania szlakiem wodnym. Przejść brzegiem jeziora aż na południowy jego kraniec, obejść go, podążyć przeciwległym brzegiem aż do Rzeki Wschodniej, zwiedzając przy tym nie znane dotąd zakątki wyspy, po czym, przedzierając się przez nadrzeczne lasy, dotrzeć do ujścia rzeki – oto jaką wyznaczył marszrutę. Miała to być długa wycieczka, wypadnie bowiem przebyć około szesnastu mil, ale chłopcy traktowali ją jako wyprawę myśliwską. W taki sposób chcieli uniknąć podróży czółnem, którym musiała kierować ręka sprawniejsza niż dłoń Doniphana. Doniphan zamierzał zabrać ze sobą kauczukową składaną łódeczkę na wypadek, gdyby trzeba było przeprowiać się przez Rzekę Wschodnią albo inne strumienie, które chłopcy mogli napotkać na wschodzie wyspy.

Celem tej pierwszej wyprawy było tylko zbadanie wybrzeży Zatoki Rozczarowania. Doniphan bowiem i trzej jego przyjaciele zamierzali jedynie wyznaczyć miejsce, gdzie w przyszłości osiądą na stałe. Toteż, by nie obarczać się bagażem, postanowili zabrać tylko dwie fuzje, cztery rewolwery, dwie siekierki, trochę amunicji, wędki, plecy, busole kieszonkowe, lekkie czółno kauczukowe i nieco konserw. Nie wątpili bowiem, że polując i łowiąc ryby zdobędą wystarczającą ilość żywności. Zresztą sądzili, że podróż nie potrwa dłużej niż tydzień. Po wybraniu odpowiedniego miejsca wrócą do Groty Francuskiej, zabiorą część sprzętu przypadającą im ze „Sloughi” i cały ten bagaż załadują na wóz. Gdyby Gordon albo którykolwiek z kolegów zechciał ich odwiedzić, przyjęliby go chętnie; nie zgadzali się jednak pod żadnym pozorem wieść życia wespół z kolegami. Nie pomogły tu żadne perswazje.

O brzasku Doniphan, Cross, Webb i Wilcox pożegnali kolegów, bardzo zasmuconych owym

rozstaniem. Kto wie, czy sami nie byli głębiej wzruszeni, niż to okazywali. Trwali jednak w zamiarze, by urzeczywistnić swój projekt, w czym upór odgrywał niemałą rolę.

Przeplątawszy Rzekę Zelandzką jolką, którą Moko odprowadził znów do zatoczki, oddalili się bez zbyteń pośpiechu: badali tereny położone obok jeziora, wznoszące się w miarę, jak zbliżali się ku południowemu krańcowi wód, oraz rozległą równinę Bagien Południowych, której kresu nie było widać ani na zachodzie, ani na południu.

Na brzegu trzęsawiska ustrzelili kilka ptaków; Doniphan, pamiętając o oszczędzaniu prochu, zadowolił się łupem wystarczającym na całodienne pożywienie.

Niebo było pochmurne, ale deszcz nie groził; dęła stała, północno-wschodnia bryza. Czterej chłopcy przebyli tego dnia ponad pięć mil i około piątej znaleźli się na południowym krańcu jeziora, gdzie się zatrzymali.

Nazajutrz, po nocy tak chłodnej, że przetrwali ją jako tako tylko dzięki olbrzymiemu ognisku płonącemu aż do świtu, zaczęli się sposobić do drogi. Na południowym krańcu jeziora oba brzegi tworzyły kąt bardzo ostry, którego prawe ramię biegło niemal prostopadle ku północy. Na wschodzie rozciągały się moczary, choć woda nie pokrywała trawiastego gruntu wznoszącego się o kilka stóp nad powierzchnią jeziora. Krajobraz urozmaicały pagórki zarosłe trawą i cherlawymi drzewkami. A że teren ów pokrywały, jak się zdawało, wydmy, Doniphan nazwał go „Ziemią Wydm”. Nie chcąc zapuszczać się w nieznaną okolicę, postanowił – iść dalej brzegiem jeziora aż do Rzeki Wschodniej i dotrzeć do terenów, które zbadał uprzednio Briant. Zapoznać się bliżej z Ziemią Wydm mieli dopiero wtedy, gdy będą się posuwać w stronę wybrzeża morskiego.

Nim jednak wyruszyli dalej, Doniphan postanowił naradzić się z kolegami nad marszrutą.

– Jeśli odległości są ściśle oznaczone na mapie – odezwał się Doniphan – rzeka znajduje się najwyżej o siedem mil od krańca jeziora i powinniśmy tam dotrzeć bez większego trudu dziś wieczór.

– A czemu nie pójść na przełaj, na północny wschód, i dotrzeć wprost do ujścia rzeki? – zagadnął Wilcox.

– Rzeczywiście; zaoszczędzilibyśmy sobie jedną trzecią drogi – dorzucił Webb.

– Bez wątpienia – zgodził się Doniphan – ale po co zapuszczać się w bagna, których nie znamy, i narażać się na odwrót? Istnieje natomiast znaczne prawdopodobieństwo, że wędrując brzegiem jeziora nie spotkamy żadnych przeszkód.

– Prócz tego – dodał Cross – zbadanie biegu Rzeki Wschodniej leży w naszym interesie.

– Oczywiście – rzekł Doniphan – bo rzeka jest najkrótszą drogą łączącą wybrzeże z jeziorem. Zresztą wędrując jej brzegiem, będziemy mieli okazję poznać pobliskie lasy.

Ustaliwszy to, chłopcy puścili się ochoczo w drogę. Wąska grobla, wznosząca się o kilka stóp nad wodami jeziora z jednej strony, przytykała z drugiej do długiego pasma wydm, którymi usiana

była równina ścieląca się na prawo. A że grunt wznosił się coraz wyraźniej, należało przypuszczać, iż o kilka mil dalej krajobraz całkiem się zmieni.

Istotnie przed jedenastą Doniphan i jego przyjaciele znaleźli się nad małą zatoczką, ocienioną potężnymi bukami. Widniały stamtąd, jak okiem sięgnąć, pogmatwane masy zieleności zasłaniające horyzont na wschodzie. Zatrzymali się tu, aby zjeść śniadanie.

Aguti, którego Wilcox ustrzelił rankiem, zaspokoił głód wędrowców; Cross, zastępujący Moka w jego funkcjach kuchmistrza, wywiązał się jako tako z zadania. Straciwszy tylko tyle czasu, ile wymaga upieczenie kilku plastrów mięsa na żarzących się węglach oraz zaspokojenie głodu i pragnienia, Doniphan i jego koledzy podążyli dalej brzegiem jeziora.

Las przylegający skrajem do jeziora składał się z gatunków drzew spotykanych w zachodniej części Lasu Wilczych Dołów. Rosło tu jedynie więcej drzew zimozielonych, więcej nadmorskich sosen, jodeł i więżożołodów aniżeli brzoź i buków. Wszystkie te drzewa imponowały swoim ogromem.

Doniphan stwierdził, ku swojemu wielkiemu zdumieniu, że w tej części wyspy fauna była bardzo bogata. Widział wigonie i guanaki, a także stado nandu, które uciekały zaspokoiksi pragnienie. Zające „mara”, tukutuki, pekari roiły się w gęszczy.

Około szóstej wypadło się zatrzymać. W tym miejscu przecinał linię brzegu strumień wypływający z jeziora. Był to początek Rzeki Wschodniej. Upewnić się w tym względzie było tym łatwiej, że Doniphan wypatrzył w kępie drzew nad zatoczką ślady obozowiska, to jest kupkę popiołu.

Tutaj więc wylądowali Briant, Kubuś i Moko podczas wyprawy nad Zatokę Rozczarowania i tutaj spędzili pierwszą noc.

Rozbić w tym miejscu obóz, rozpalić wygaszony węgiel, zjeść kolację, ułożyć się pod tymi samymi drzewami, które osłaniały nie tak dawno kolegów – nic innego nie pozostawało do zrobienia i to właśnie uczynił Doniphan, Webb, Wilcox i Cross.

Zatrzymawszy się tu przed ośmioma miesiącami, Briant ani się spodziewał, że czterej koledzy przybędą z kolei do tego zakątka, zamierzając osiedlić się samotnie w tej części Wyspy Chairmana!

Kto wie, czy Cross, Webb i Wilcox – znalazłszy się z dala od wspólnej, wygodnej siedziby, którą opuścili dobrowolnie – nie żalowali swojego nierozważnego kroku! Ale związali swój los z losem Doniphana, a chłopiec ten był nazbyt uparty, aby odstąpić od swoich projektów, i nazbyt zawistny, aby ukorzyć się przed rywalem.

Rankiem Doniphan zaproponował kolegom, aby nie zwlekając przedostali się na drugi brzeg rzeki.

– Będziemy to już mieli za sobą – powiedział – a w ciągu jednego dnia dotrzemy do ujścia odległego o pięć do sześciu mil.

– Poza tym – zauważył Cross – Moko nazbierał na lewym brzegu orzechów pini, a więc i my nazrywamy ich sobie trochę po drodze.

Chłopcy rozłożyli składaną łódeczkę, spuścili ją na wodę i Doniphan skierował się ku przeciwległemu brzegowi, ciągnąc za sobą linę. Kilka uderzeń wiosła starczyło, by przepłynąć rzekę, szeroką w tym miejscu na trzydzieści, najwyżej czterdzieści stóp. Wilcox, Webb i Cross przyholowali następnie na linie lekkie czółenko i przepłynęli kolejno na drugą stronę.

Wtedy Wilcox złożył łódkę, zamknął ją jak torbę podróżną i wziął na plecy. Chłopcy ruszyli w dalszą drogę. Bez wątpienia zmęcziliby się o wiele mniej, gdyby jak Briant, Kubuś i Moko popłynęli jolką w dół Rzeki Wschodniej; ale kauczukowe czółno mogło pomieścić zaledwie jedną osobę i trzeba było zrezygnować z podróżowania wodą.

Dzień był bardzo ciężki. Gęsty las, ziemia najeżona bujną trawą i usiana gałęziami – plonem ostatnich burz – liczne bagienka, które trzeba było nie bez trudu okrążyć, wszystko +o opóźniało przybycie nad brzeg morza. W drodze Doniphan stwierdził, że rozbitek nie zostawił żadnych śladów bytności w tej części wyspy, jak to uczynił w gąszczu Lasu Wilczych Dołów. A przecież nie ulegało wątpliwości, że zwiedził ją, gdyż zaznaczył dokładnie na mapie bieg Rzeki Wschodniej aż po Zatokę Rozczarowania.

Nieco przed dwunastą chłopcy zatrzymali się, by zjeść śniadanie, akurat w tym miejscu, gdzie rosły pinie. Cross nazrywał trochę orzechów, które wszystkim bardzo smakowały. Po czym chłopcy wędrowali dwie mile wśród splątanych krzewów, gdzie musieli nawet torować sobie drogę siekierą, nie chcąc oddalać się od brzegu rzeki.

Wskutek opóźnienia w marszu znaleźli się na skraju lasu dopiero około siódmej wieczorem. Zmierzch już zapadł i Doniphan nie mógł dojrzeć morskiego brzegu. Jednakże, choć nie widział nic prócz kłębiącej się smugi pian, słyszał przeciągły, ciężki szum morza wdzierającego się na plażę.

Chłopcy postanowili zatrzymać się tutaj i spędzić noc pod gołym niebem. Pocieszali się myślą, że nazajutrz na pewno znajdą lepsze schronienie w którejś z nadbrzeżnych grot, nie opodal ujścia rzeki.

Rozbito obóz; na kolację złożyło się kilka pardw, które upiekli nad ogniskiem z nazbieranych pod drzewami szyszek i chrustu.

Chłopcy, wiedzeni ostrożnością, postanowili podtrzymywać ogień aż do brzasku i Doniphan miał nad nim czuwać parę pierwszych godzin.

Wilcox, Cross i Webb, ogromnie zmęczeni rozciągnęli się na: ziemi pod rozłożystą pinią i zasnęli natychmiast.

Doniphan z nieopisanym trudem usiłował pokonać senność. Oparł jej się jednakże i nawet kiedy nadeszła pora zmiany, nie mógł się zdecydować, by zbudzić któregoś z kolegów – tak smacznie spali.

Zresztą w pobliskim lesie panował taki spokój, że chłopcy byli tu równie bezpieczni, jak w Grocie Francuskiej.

Podsyciwszy ogień kilkoma naręczami chrustu, Doniphan ułożył się u stóp drzewa. Oczy zamknęły mu się natychmiast i otworzyły się dopiero wówczas, gdy słońce ukazało się ponad rozległym morzem przytykającym do nieboskłonu.

Rozdział XXI

Zwiedzanie Zatoki Rozczarowania – Port Niedźwiedziej Skały – Zamiar powrotu do Groty Francuskiej – Nieznana część wyspy – Strumień Północny – Las Bukowy – Straszliwa burza – Nocne halucynacje – O brzasku

Doniphan, Wilcox, Webb i Cross pobiegli przede wszystkim brzegiem rzeki aż do jej ujścia. Stamtąd ogarnęli chciwym spojrzeniem ocean, który widzieli stąd po raz pierwszy. Był równie pusty, jak przy przeciwległym wybrzeżu.

– A jednak – zauważył Doniphan – jeśli, jak można przypuszczać, Wyspa Chairmana leży w bliskości kontynentu amerykańskiego, to okręty wypływające z Cieśniny Magellana i zmierzające do portów chilijskich albo peruwiańskich muszą mijać nas od wschodu! To jeszcze jeden powód, dla którego powinniśmy się osiedlić od strony Zatoki Rozczarowania i chociaż Briant nadał zatoce takie miano, spodziewam się że ta złowróżbna nazwa wkrótce nie będzie miała sensu.

Doniphan mówiąc to starał się prawdopodobnie usprawiedliwić, a przynajmniej upozorować zerwanie z kolegami. Rozważywszy jednak wszystko dokładnie, rzeczywiście należało się spodziewać, że okręty zmierzające do portów Ameryki Południowej ukażą się właśnie w tej części Pacyfiku: na wschód od Wyspy Chairmana.

Zbadawszy horyzont przez lunetę, Doniphan postanowił skierować się ku ujściu Rzeki Wschodniej. I on, i jego towarzysze stwierdzili, podobnie jak Briant, że natura zbudowała tu mały port osłonięty od wichrów i fali. Gdyby szkuner przybił tutaj, dałoby się może ocalić go od katastrofy i zachować na powrót do kraju ojczystego.

Za skałami otaczającymi port rozsiadły się pierwsze kępy drzew – był to skraj rozległego lasu rozpościerającego się nią tylko aż po jezioro, ale i ku północy, gdzie wzrok napotykał jedynie zwartą masę zieleni.

Co do grot wyżłobionych w nadbrzeżnych granitowych skałach Briant nie przesadził ani trochę. Doniphan miał tylko kłopot z wyborem. Jednakże wydało mu się, że słusznie będzie nie oddalać się od brzegów rzeki. Znalazł niebawem „komin” usłany mialkim piaskiem, pełen zacisznych zakamarków, w którym można było mieszkać nie gorzej niż w Grocie Francuskiej. Jaskinia ta pomieściłaby nawet całą kolonię, bo składała się z paru przylegających do siebie komór – chłopcy mieliby tu kilka „izb” zamiast hallu i kuchni.

Dzień ten upłynął na badaniu wybrzeża w zasięgu dwóch mil. Doniphan i Cross ustrzelili kilka

kusaków, a Wilcox i Webb zarzucił wędkę na rzecę o sto kroków od ujścia. Ułowili z pół tuzina ryb z gatunków spotykanych w Rzece Zelandzkiej, między innymi dwa spore okonie.

W niezliczonych szczelinach między rafami, osłaniającymi zatoczkę od północnego wschodu, roiło się od mięczaków. Doskonale małe jadalne znajdowały się tam w wielkiej ilości. Chłopcy mieliby więc na podorędziu mięczaki, a także ryby morskie, prześlizgujące się między długimi biczami wstęży u zatopionej u podnóża raf. Nie trzeba tu będzie urządzać kilkumilowych wypraw po żywność.

Pamiętacie zapewne, że Briant podczas wycieczki nad Rzekę Wschodnią wspiał się na wysoką skałę przypominającą olbrzymiego niedźwiedzia. Szczególny jej kształt uderzył też i Doniphana. Dlatego obejmując w posiadanie zatoczkę, nad którą wznosił się ów głaz, nadał jej miano „Portu Niedźwiedziej Skały” i nazwa ta figuruje do dziś na mapie Wyspy Chairmana.

Po południu Doniphan i Wilcox wspięli się na Niedźwiedzią Skałę, aby ogarnąć wzrokiem szerszą przestrzeń wód zatoki. Ale żaden okręt, żaden łód nie widniał na wschód od wyspy. Nie dostrzegli też na północnym wschodzie owej białawej plamy, która przyciągnęła uwagę Brianta – może dlatego, że słońce znajdowało się zbyt nisko nad przeciwległą stroną horyzontu, a może dlatego, że nie istniała ona wcale i Briant padł ofiarą złudzenia optycznego.

O zmroku w kępie wspaniałych wiązów, których dolne gałęzie zwisały nad wodą, Doniphan i jego przyjaciele zjedli kolację. Po czym wywiązała się dyskusja nad sprawą powrotu.

– Chyba – odezwał się Webb – nie powinniśmy zwlekać, bo powrót wzdłuż południowego brzegu jeziora zabierze nam kilka dni.

– Ale czy nie lepiej, wracając tutaj – zauważył Wilcox – przepłynąć jezioro i podążyć z biegiem Rzeki Wschodniej aż do jej ujścia? Dlaczego nie mielibyśmy postąpić jak Briant, gdy wyruszył jolką na wyprawę?

– Zyskalibyśmy na czasie i oszczędzilibyśmy sobie sporo trudu! – dorzucił Webb.

– Co o tym sądzisz, Doniphan? – - spytał Cross.

Doniphan zastanowił się nad tą propozycją, z której wynikały realne korzyści.

– Masz rację, Wilcox – odpowiedział – płynąc czołnem, którym kierowałby Moko...

– Pod warunkiem, że Moko zgodzi się na to – przerwał mu Webb z powątpiewaniem.

– A czemu miałyby się nie zgodzić?! – wykrzyknął Cross. – Jeśli byśmy musieli przewozić łądem wszystek sprzęt, wlokłoby się to w nieskończoność! I kto wie, czy wszędzie będzie można przejechać wozem przez las! Skorzystajmy więc z jolki...

– A jeśli nam jej nie dadzą? – upierał się Webb.

– Nie dadzą?! – wykrzyknął Doniphan. – A któż nam odmówi?

– Briant! Czyż nie jest gubernatorem kolonii?

– Briant! Miałby odmówić! – powtórzył Doniphan. – A czyż jolka jest bardziej jego własnością niż naszą? Ach, gdyby Briant ośmielił się odmówić...

Doniphan nie skończył; ale wiadomo było, że dumny chłopak nie podporządkuje się zarządzeniom rywala ani w tej, ani w jakiegokolwiek innej kwestii.

A zresztą, jak zauważył Wilcox, nie warto było dyskutować na ten temat. Jego zdaniem Briant będzie raczej ułatwiał kolegom osiedlenie się w Porcie Niedźwiedziej Skały, po cóż więc irytować się zawczasu? Należało tylko zdecydować, czy wracać natychmiast do Groty Francuskiej.

– Wydaje mi się to konieczne! – rzekł Cross.

– A więc jutro? – spytał Webb.

– Nie – odpowiedział Doniphan. – Chciałbym, abyśmy przedtem poznali północną część wyspy, powyżej zatoki. Dotrzemy do północnych wybrzeży i za dwie doby wrócimy do Portu Niedźwiedziej Skały. Kto wie, czy w tej stronie nie znajduje się jakiś ład, którego rozbitek francuski nie mógł dojrzeć i dlatego nie oznaczył go na mapie. Byłoby nierozsądne osiedlać się tu na stałe, nie wiedząc, jak się ta rzecz przedstawia.

Nazajutrz, 14 października o świcie, Doniphan z trzema przyjaciółmi ruszył na północ, trzymając się wybrzeża morskiego.

Na przestrzeni koło trzech mil ciągnął się, między lasem a morzem, skalisty wał, u którego podnóża słała się wąska, nie szersza niż na sto stóp, smuga piasku.

Minąwszy w południe ostatnią skałę chłopcy zatrzymali się na śniadanie.

W tym miejscu drugi strumień wpadał do zatoki; ale sądząc z jego kierunku – biegł z południowego wschodu na północny zachód – nie wypływał on wcale z jeziora. Swoje wody, które gromadził z pewnością w wyżej położonej części wyspy, toczył do wąskiej zatoczki. Doniphan nazwał go „Północnym Strumieniem”, bo w istocie nie zasługiwał na miano rzeki.

Kilka uderzeń wiosła wystarczyło, by składana łódeczka przepłynęła na drugą stronę potoku. Dalej należało iść skrajem lasu, do którego strumień przytykał lewym brzegiem.

Idąc wzdłuż Północnego Strumienia Doniphan odsunął się zbyt na północny zachód, skoro zmierzali ku północnym wybrzeżom. Miał właśnie skierować się w prawo, kiedy Cross zatrzymał go nagle, wołając:

– Spójrz, Doniphan! Patrz!

I wskazał czerwoną bryłę poruszającą się wśród wysokich traw i trzciny, pod osłoną drzew.

Doniphan dał znak Webbowi i Wilcoxowi, by przystanęli. Po czym wraz z Crossem, trzymając

fuzje w pogotowiu, jęli się czołgać bezszelestnie w kierunku poruszającej się bryły.

Było to duże zwierzę; przypominałoby do złudzenia nosorożca, gdyby głowa jego zbrojna była w rogi i gdyby jego dolna warga była nadmiernie wydłużona.

W tejże chwili padł strzał, za którym nastąpił drugi. Doniphan i Cross strzelili niemal jednocześnie.

Z odległości stu pięćdziesięciu stóp ołów nie wyrządził z pewnością żadnej szkody temu zwierzęciu o grubej skórze, wypadło bowiem z trzcin, przebiegło nadbrzeżną łączkę i zniknęło w lesie.

Doniphan zdążył go rozpoznać. Było to zwierzę ziemnowodne, zupełnie zresztą niegroźne, „anta”, o brunatnej sierści, inaczej mówiąc tapir – jeden z owych olbrzymów, które spotyka się nad rzekami Ameryki Południowej. Zwierzę to nie nadaje się na nic, jeśli więc któryś z naszych myśliwych żałował, że czmychnęło, to chyba tylko z uwagi na ambicje myśliwskie.

Masy zieleni pokrywały, jak okiem sięgnąć, tę część wyspy. Roślinność krzewiła się cudownie, a że buki rosły tu setkami, Doniphan nazwał ów las „Lasem Bukowym”; nazwę tę, jak i obie poprzednio nadane, zaznaczył na mapie.

Do wieczora chłopcy przebyli dziewięć mil. Jeszcze drugie tyle dzieliło ich od północnego krańca wyspy.

Nazajutrz wyruszyli o wschodzie słońca. Istniał powód skłaniający ich do pośpiechu. Zapowiadała się zmiana pogody. Wiatr dmący od zachodu stawał się coraz chłodniejszy. Chmury nadciągały już od pełnego morza, ale że utrzymywały się na dużej wysokości, można było mieć nadzieję, iż deszczu nie będzie. Walka z wichrem, choćby huraganem, nie przerażała chłopców zdecydowanych na wszystko. Ale nawałnica, której towarzyszą zwykle potoki ulewy, sprawiłaby im wiele kłopotów: musieliby zrezygnować z wyprawy i zawrócić do Portu Niedźwiedziej Skały.

Przyśpieszyli więc kroku, choć musieli walczyć z wichurą siekącą ich z boku. Dzień był nadzwyczaj ciężki, a noc zapowiadała się fatalnie. Rzeczywiście burza przypuściła szturm do wyspy i około piątej po południu gromy zadudniły w ognistym kręgu błyskawic.

Doniphan i Jego przyjaciele nie cofnęli się jednak. Myśl, że docierają do celu, dodawała im odwagi. Zresztą Las Buko sięgał tu jeszcze, chłopcy zatem mogli znaleźć schronienie drzewami. Wiatr rozszalał się nazbyt gwałtownie, aby groziła ulewa. Wybrzeże nie znajdowało się już chyba daleko.

Okolo ósmej dał się słyszeć donośny ryk morza, co wskazywało, że północne wybrzeże Wyspy Chairmana usiane jest rafami.

Tymczasem niebo, przysłonięte groźnym oparem, mroczyło się z wolna. Aby zapuścić wzrok daleko w morze, kiedy jeszcze ostatnie blaski będą rozświetlały przestrzeń, należało przyśpieszyć kroku. U skraju lasu rozpościerała się szeroka na ćwierć mili plaża, o którą rozbijały się fale białe

od pian.

Doniphan, Webb, Cross i Wilcox, aczkolwiek bardzo zmęczeni, znaleźli jeszcze dość sił, by pobiec. Pragnęli choćby rzucić okiem na tę część Pacyfiku przed zapadnięciem zmroku. Czy były to bezbrzeżne wody, czy tylko wąski kanał dzielący wybrzeże od lądu stałego lub wyspy?

Wilcox, wyprzedziwszy nieco towarzyszy, zatrzymał się nagle. Wskazywał czarniawą bryłę rysującą się na skraju plaży. Czy było to zwierzę morskie – z rzędu waleni, wielki lub mały wieloryb – spoczywające na piasku? A może była to raczej zatopiona łódź, którą fale zepchnęły poza pierścień raf?

Okazało się, że jest to łódź pochylona mocno na prawą burtę. O kilka kroków od łodzi, w pobliżu smugi porostów skłębionych na granicy, dokąd dociera morze w czasie przyływu, leżeli dwaj ludzie.

Doniphan, Webb i Cross zatrzymali się na brzegu. Potem popędzili bez zastanowienia przez plażę i znaleźli się przed dwoma ciałami rozciągniętymi na piasku...

Ogarnięci przerażeniem, nie pomyślawszy nawet, że iskra życia może jeszcze tlić w tych ciałach i że należy natychmiast pośpieszyć na ratunek, uciekli, co sił w nogach, do lasu.

Było już zupełnie ciemno – mrok rozświetlały czasem coraz rzadsze błyskawice. Do wycia wichru przyłączył się łoskot rozkołysanych fal.

Burza szalała! Drzewa trzeszczały ze wszystkich stron, grożąc tym, którzy się pod nimi schronili, ale niepodobna było obozować na plaży, gdzie wiatr siekł piaskiem niby kartaczami.

Całą noc Doniphan, Wilcox, Webb i Cross nie ruszyli się z miejsca; nie zmrużyli oka ani na moment. Ziąb doskwierał im okrutnie, gdyż nie mogli rozpalić ognia; wiatr rozrzuciłby prędko płonące głownie, od których mogłyby zająć się gałęzie zaścielające ziemię.

Skąd przybyła owa barka? Myśl o tym nie dawała im spokoju. Jakiej narodowości byli rozbitkowie? Istniał tedy w pobliżu jakiś ląd, skoro łódź przybiła do wyspy?... A może należała ona do jakiegoś statku, który zatonął w tych stronach, gdy rozszalała się burza?

Każda z owych hipotez była do przyjęcia. W chwilach gdy wichur na krótko przycichał, Doniphan i Wilcox, przytuleni do siebie, rozważali je szeptem.

Jednocześnie chłopcom wydawało się, że słyszą dalekie wołania i nadstawiając ucha zadawali sobie pytanie, czy inni jeszcze rozbitkowie nie błądzą po plaży. Nie! Zmysły ich oszukiwały. Nie ozwało się wśród szalejącej zawieruchy żadne rozpaczliwe wołanie.

Zrozumieli teraz, że źle postąpili uległszy pierwszemu odruchowi przerażenia. Chcieli popędzić ku rafom narażając się na to, że wichura ich przewróci... Jakże jednak zdołają wśród ciemności odnaleźć na otwartej plaży, którą omiatały tumany pyłu wodnego, unoszącego się znad wezbranych wód, miejsce, gdzie leżała wywrócona łódź i gdzie na piasku spoczywały dwa ciała ludzkie?

Chłopcóm brakło zarówno sił fizycznych, jak i odwagi. Zdani od tak dawna na siebie, uznali się być może za dorosłych, ale obecnie, zetknąwszy się po raz pierwszy od chwili rozbicia „Sloughi” z nieznanymi ludźmi, których trupy morze wyrzuciło na wyspę, stali się na powrót dziećmi.

W końcu, odzyskawszy zimną krew, postanowili postąpić tak, jak nakazywał im obowiązek.

Nazajutrz skoro świt pójdą na skraj plaży, wykopią dół w piasku, pogrzebią dwóch rozbitków i odmówią pacierz za spokój ich duszy.

Jakże ta noc ciągnęła się nieskończenie długo! Zdawało się doprawdy, że brzask nie rozproszy nigdy nocnych okropności.

Gdyby choć mogli zorientować się, ile czasu minęło, gdyby mogli spojrzeć na zegarek! Ale niepodobna było zapalić zapałki, nawet osłaniając ją pledami. Cross próbował to zrobić, ale musiał zrezygnować. Wtedy Wilcox uciekł się do jeszcze innego środka. Aby jego zegarek chodził całą dobę, należało przekręcić dwanaście razy regulator; jeden obrót wystarczał zatem na dwie godziny. Wilcox nakręcił zegarek o ósmej wieczór, wystarczyło więc policzyć, ile obrotów pozostało jeszcze do całej doby. Po sprawdzeniu okazało się, że była mniej więcej czwarta rano. Miało się tedy niebawem rozwidnić.

Rzeczywiście wkrótce pierwsze blaski świtu zajaśniały na wschodzie. Wichura nie przycichła ani trochę, a ponieważ chmury osunęły się nisko nad morze, należało obawiać się deszczu, przed którym Doniphan i jego towarzysze nie zdążyliby zapewne schronić się do Groty Niedźwiedziej Skały.

Chłopcy musieli jeszcze oddać ostatnią usługę rozbitkom. Toteż gdy tylko świt przedarł się przez masy mgieł stłoczonych nad oceanem, powlekli się na plażę, walcząc z uderzeniami wichru. Co chwila musieli podtrzymywać się nawzajem, by nie upaść.

Łódź leżała obok małego wzgóрка. Linia wilgotna piasku wskazywała, że nocny przypływ, wzmożony siłą wichru, sięgnął poza łódź.

Ludzi nie było...

Doniphan i Wilcox uszli jeszcze ze dwadzieścia kroków...

Nie było nic!... Nawet śladów, które odpływ mógł zresztą zatrzeć.

– Ci biedacy – wykrzyknął Wilcox – byli więc żywi, skoro mogli się podnieść!

– Gdzież oni są? – zapytał Cross.

– Gdzie są? – powtórzył Doniphan wskazując fale przewalające się z wściekłością. – Tam, gdzie poniósł ich odpływ!

Poczołgał się aż na skraj pierścienia raf i powiódł lunetą po powierzchni wód.

Ani śladu ludzkiego ciała!

Zwłoki rozbitków zostały więc uniesione na pełne morze.

Doniphan wrócił do Wilcoxa, Crossa i Webba, którzy zostali przy łodzi.

A może ktoś jednak ocalał z katastrofy?

Łódź była pusta.

Była to szalupa pochodząca ze statku handlowego. Miała pokład dziobowy, kil jej mierzył około trzydziestu stóp. Niezdarna była do żeglugi, gdyż poszycie prawej burty pękło na wysokości linii wodnej. Kawałek masztu złamanego nad stopką, parę strzepów żagla oplatanych wokół kołków nadburcia, resztki lin – oto co zostało z osprzętu łodzi. Co do żywności, narzędzi, broni – nie znaleziono nic ani w skrzyniach, ani pod przednim pokładem.

Dwa wyrazy wypisane na rufie wskazywały, do jakiego statku łódź należała i z jakiego portu pochodziła: „Severn – San Francisco”.

San Francisco! Jeden z portów kalifornijskich!... Był to więc statek amerykański!

Rozdział XXII

Pomysł Brianta – Radość malców – Budowa latawca – Przerwana próba – Kate – Rozbitkowie z „Severna” – Doniphanowi i jego towarzyszom grozi niebezpieczeństwo – Poświęcenie Brianta – Wszyscy razem

Pamiętamy, w jakich okolicznościach Doniphan, Webb, Cross i Wilcox opuścili Grotę Francuską. Po ich odejściu życie młodych kolonistów stało się bardzo smutne. Z głębokim żalem myśleli o rozstaniu, którego skutki mogły okazać się w przyszłości bardzo przykre. Choć Briant z pewnością nie miał sobie nic do wyrzucenia, dotknęło go to może boleśniej niż innych, gdyż on właśnie był powodem rozłamu.

Daremnie Gordon próbował go pocieszyć:

– Wróć, Briant, wcześniej, niż się sami spodziewają! Doniphan jest bardzo uparty, ale okoliczności okażą się silniejsze od niego! Założę się, że wróć do groty, zanim nadejdzie zima.

Briant kręcił głową nie mając odwagi odpowiedzieć. Jeśli okoliczności zmuszą ich do powrotu – to może wróć. Ale to znaczy, że wtedy dopiero gdy okoliczności te będą bardzo poważne!

„Zanim nadejdzie zima” – powiedział Gordon...

Młodzi koloniści będą zatem musieli spędzić trzecią zimę na Wyspie Chairmana? Czy tymczasem nie nadejdzie żadna pomoc? Czy okręty handlowe nigdy nie odwiedzają latem tych części Pacyfiku i

czy nikt nie spostrzeże balonu – sygnału uwiązane go na grani Wzgórza Aucklandzkiego?

Balon ten, wznoszący się najwyżej na dwieście stóp nad ziemią, można było dostrzec jedynie z niewielkiej odległości. Toteż Briant, który daremnie próbował wspólnie z Baxterem sporządzić plan łodzi zdolnej do żeglugi po morzu, jął przemyślać, jak by tu umieścić na znacznej wysokości jakiś znak sygnałowy. Często napomykał o tym, aż jednego wieczoru zaproponował Baxterowi, aby użyć w tym celu latawca.

– Nie brak nam ani płótna, ani lin – dorzucił. – I jeśli nadamy latawcowi odpowiednie rozmiary, wzbije się on wysoko – na przykład na tysiąc stóp!

Z wyjątkiem dni bezwietrznych! – zauważył Baxter.

– Rzadko się one zdarzają – odparł Briant. – A zresztą w dzień bezwietrzny ściągniemy latawca na ziemię, i kwita. Ale poza tym, uwiązany na długiej linie, pójdzie tam, gdzie wiatr go uniesie, i nie będziemy się martwić, że polecą w niewłaściwym kierunku.

– Można spróbować – rzekł Baxter.

– Co więcej – dorzucił Briant – nasz latawiec widoczny za dnia z daleka, może nawet z odległości sześćdziesięciu mil, będzie widoczny także i w nocy, bo przyczepimy mu do ogona albo do wiązań szkieletu latarnię!

Pomysł Brianta był bardzo dobry. Wykonanie go nie powinno było sprawić kłopotu chłopcom, którzy nieraz puszczali latawce na łąkach nowozelandzkich.

Wszyscy ucieszyli się bardzo. Zwłaszcza malcy – Jenkins, Iverson, Dole i Costar – podeszli do tej sprawy jak do rozrywki; postanowili, że latawiec prześcignie wszystko, co dotychczas widzieli. Jak przyjemnie będzie ciągnąć naprężoną linę, gdy latawiec rozhuśta się w przestworzach!

– Przyprawi mu się długi ogon! – powiedział jeden.

– I wielkie uszy! – dorzucił drugi.

– Namaluje się na nim wspaniałego pajaca, który będzie fikał tam w górze!

– Cóż za radość! Ale w tym, co malcy brali jedynie za rozrywkę, tkwiła myśl nad wyraz poważna. Można się było spodziewać, że poczynania te przyniosą szczęśliwe rezultaty.

Baxter i Briant wzięli się więc do dzieła nazajutrz po rozstaniu z Doniphanem i jego przyjaciółmi.

– No, proszę! – wykrzyknął Sendce. – Ależ wybałuszą oczy, spostrzegłszy taką maszynę! Co za nieszczęście, że moim Robinsonom nie przyszło nigdy do głowy puścić w świat latawca!

– Czy będzie go widać z każdego miejsca na naszej wyspie? – spytał Garnett.

– Nie tylko z całej wyspy – odpowiedział Briant – ale i z pobliskich okolic, słowem – z dużej

odległości.

– Czy dojrzą go też z Auckland? – zainteresował się Dole.

– Niestety nie! – odparł Briant uśmiechnąwszy się na tę myśl. – Ale kto wie, czy Doniphan i trzej przyjaciele nie zdecydują się wrócić ujrzawszy naszego latawca.

Jak widać, poczciwy chłopak myślał wciąż o nieobecnych kolegach i pragnął tylko, aby ta godna pożalowania rozłąka skończyła się jak najszybciej.

Dzień ten i kilka następnych poświęcono na budowę latawca, któremu nadano, zgodnie z propozycją Baxtera, kształt ośmiokąta. Szkielet, lekki a zarazem trwały, sporządzono z bardzo sztywnej trzciny, rosnącej nad Jeziorem Rodzinnym. Była ona dość mocna, aby wytrzymać napór zwykłego wiatru. Na ów szkielet Briant naciągnął leciutkie, gumowane płótno, które służyło do zasłaniania świetlików na szkunerze. Jako sznura użyto linki do logu splecionej bardzo mocno, długiej na dwa tysiące stóp. Trzeba nadmienić, że latawiec był przystrojony wspaniałym ogonem, dzięki któremu mógł lepiej utrzymać równowagę. Był on skonstruowany tak solidnie, że każdy z młodych kolonistów mógłby, bez wielkiego niebezpieczeństwa, wzbic się na nim w przestworza! Ale nie było nawet o tym mowy; wystarczyło, że był dostatecznie mocny, żeby oprzeć się silnemu wiatrowi, dostatecznie duży, żeby wzbic się na znaczną wysokość i być widocznym w promieniu sześćdziesięciu mil.

Oczywiście owego latawca nikt nie utrzymałby w ręku. Miotany wiatrem, pociągnąłby za sobą wszystkich naszych kolonistów, i to znacznie szybciej, niżby sobie tego życzyli. Toteż lina miała być nawinięta na kołowrót ze szkunera. Tę małą windę kotwiczną ustawiono pośrodku Boiska Sportowego i przytwierdzono mocno do ziemi, aby mogła stawić opór sile, z jaką będzie się wyrywał „Powietrzny Gigant” – nazwa, na którą malcy zgodzili się bez wahania.

Prace te ukończono 15 października wieczorem; latawiec mieli wypróbować, jak zarządził Briant, następnego dnia po południu w obecności wszystkich chłopców.

Nazajutrz jednak okazało się, że niepodobna wykonać doświadczenia. Zerwała się burza i latawiec rozleciałby się w kawałki, gdyby wicher go pochwycił.

Była to ta sama burza, która w północnej części wyspy nękała Doniphana i jego przyjaciół, ta sama, która cisnęła szalupę z rozbitkami amerykańskimi na północny pierścień podwodnych skał; rafom tym nadano później nazwę „Raf Severna”.

Następnego dnia, 16 października, chociaż roz pogodziło się trochę, wiatr był jeszcze zbyt silny, aby Briant zdecydował się wypuścić swój podniebny aparat. Ale po południu pogoda poprawiła się znacznie, wiatr przycichł i zmienił kierunek na południowo – - wschodni, wyznaczono więc próbę na dzień następny.

Było to 17 października; miał to być pamiętny dzień w rocznikach Wyspy Chairmana.

Briant nie był przesądny i choć wypadał piątek, nie zamierzał czekać jeszcze dwudziestu czterech

godzin. Zresztą pogoda sprzyjała: dał łagodny wietrzyk, spokojny i niezmienny, mogący znakomicie utrzymać latawca. Dzięki wadze, zapewniającej latawcowi właściwe nachylenie wobec linii wiatru, przyrząd wzniesie się bardzo wysoko, a wieczorem chłopcy ściągną go na ziemię, aby przymocować do niego latarnię, której światło będzie widoczne przez całą noc.

Ranek upłynął chłopcom na ostatnich przygotowaniach, które zabrały im jeszcze z godzinę po śniadaniu. Po czym wszyscy podążyli na boisko.

– Briant miał doskonały pomysł budując tę maszynę! – powtarzał Iverson i inni malcy klaszcząc w ręce z radości.

Było wpół do drugiej. Aparat rozłożono na ziemi, ogon jego rozpostarto szeroko i chłopcy czekali tylko na sygnał, jaki miał dać Briant, by wypuścić latawca; ale Briant wstrzymał wszystko.

W tym bowiem momencie uwagę jego przyciągnął Phann, który rzucił się w stronę lasu, szczekając tak żałośnie, tak osobliwie, że musiało to wszystkich zastanowić.

– Co mu się stało? – spytał Briant.

– Może zwęszył jakieś zwierzę ukrywające się wśród drzew? – powiedział Gordon.

– Nie! Szczekałby inaczej!

– Chodźmy zobaczyć! – wykrzyknął Service.

– Tylko nie bez broni! – ostrzegł Briant.

Service i Kubuś pobiegli do grotty i wrócili z dwiema nabitymi fuzjami.

– Chodźcie! – powiedział Briant.

I wszyscy trzej, a z nimi i Gordon, skierowali się na skraj Lasu Wilczych Dołów. Phann zniknął już wśród drzew, ale choć nie było go widać, chłopcy słyszeli nadal jego ujadanie.

Briant z kolegami uszedł zaledwie z pięćdziesiąt kroków, gdy u stóp drzewa dostrzegł psa obok jakiejś postaci rozciągniętej na ziemi.

Była to kobieta – nieruchoma, jakby nieżywa. Jej odzież – suknia z grubego materiału i wełniana, brązowy szal związany w pasie – wydawała się w dość dobrym stanie; kobieta była tęga, mogła mieć czterdzieści do czterdziestu pięciu lat. Na jej twarzy widniały ślady ogromnych cierpień. Straciła przytomność z powodu wyczerpania i głodu, ale słaby oddech dobywał się z jej ust.

Osądźcie sami, jak wielkie wzruszenie ogarnęło młodych kolonistów, kiedy po raz pierwszy od przybycia na Wyspę Chairmana spotkali się z istotą ludzką!

– Oddycha! Oddycha! – wykrzyknął Gordon. – Na pewno głód, pragnienie...

Kubuś pobiegł natychmiast do groty, skąd przyniósł kawałek suchara i manierkę pełną brandy.

Briant pochylił się nad kobietą, otworzył jej zaciśnięte usta i wlał w nie kilka kropel wzmacniającego trunku.

Kobieta poruszyła się, uniosła powieki. Wzrok jej ożywił się od razu na widok otaczających ją dzieci. Po czym podniosła chciwie do ust kawałek suchara, który podał jej Kubuś.

Widać było, że nieszczęśliwa umierała bardziej z głodu aniżeli ze zmęczenia.

Kim była owa kobieta? Czy można się z nią rozmówić, porozumieć się?

Briant przekonał się o tym wkrótce.

Nieznajoma podniosła się i powiedziała kilka słów po angielsku:

– Dziękuję wam... moje dzieci... dziękuję!

W pół godziny później Briant i Baxter ułożyli ją w hallu. Tam, wspomagani przez Gordona, otoczyli ją takimi staraniami, jakich wymagał jej stan zdrowia.

Kiedy przysła nieco do siebie, opowiedziała o swoich losach.

Jej opowieść żywo zainteresowała młodych kolonistów.

Była Amerykanką z pochodzenia, przez wiele lat mieszkała na Dalekim Zachodzie, w Stanach Zjednoczonych. Nazywała się Katarzyna Ready albo po prostu Kate. Od przeszło dwudziestu lat była gospodynią Williama E. Penfielda, zamieszkującego w Albany, stolicy stanu New York.

Miesiąc temu państwo Penfield, udając się do Chile, gdzie mieszkał jakiś ich krewny, przyjechali do San Francisco – głównego portu kalifornijskiego – aby wsiąść na statek handlowy „Severn”, którym dowodził kapitan John F. Turner. Statek ów płynął do Valparaiso i państwo „Penfield wsiedli nań wraz z Kate, uważaną niemal za członka rodziny.

„Severn” był dobrym statkiem i podróż upłynęłaby doskonale, gdyby niedawno przyjęta załoga nie składała się z szubrawców najgorszej kategorii. W dziewięć dni po wyruszeniu na morze jeden z marynarzy, Walston, któremu pomogli jego towarzysze – Brandt, Rock, Henley, Book, Forbes, Cope i Pike – podniósł bunt; kapitan i jego zastępca, a także państwo Penfield zginęli podczas tego rokoszu.

Mordercy zamierzali zawładnąć statkiem i użyć go do handlu niewolnikami, który prowadzono jeszcze z pewnymi prowincjami Ameryki Południowej.

Oszczędzono na pokładzie tylko dwie osoby: Kate, za którą wstawił się marynarz Forbes – mniej okrutny od kamratów – i bosmana, człowieka liczącego około lat trzydziestu, nazwiskiem Evans; przestępcy musieli go zostawić przy życiu; on tylko bowiem umiał prowadzić statek.

Dramat ów rozegrał się nocą z 7 na 8 października, gdy „Severn” znajdował się w odległości

około dwustu mil od wybrzeży chilijskich.

Pod groźbą śmierci Evans kierował statkiem: mieli opłynąć przylądek Horn i dotrzeć do zachodnich wybrzeży Afryki.

Ale w kilka dni później – z niewyjaśnionych przyczyn – wybuchł pożar na pokładzie. Rozprzestrzenił się szybko i tak gwałtownie, że wysiłki Walstona i jego towarzyszy, pragnących ocalić statek od całkowitej zagłady, okazały się daremne. Jeden z marynarzy, Henley, zginął rzucając się w morze, by ująć przed ogniem. Trzeba było opuścić statek. Załadowali w pośpiechu do szalupy trochę żywności, broni, amunicji i odpłynęli, gdy „Severn” tonął objęty płomieniami.

Rozbitkowie znaleźli się w ciężkiej sytuacji, dwieście mil bowiem dzieliło ich od najbliższego lądu. Doprawdy, sprawiedliwości stałoby się zadość, gdyby łódź wioząca owych łajdaków zatonała wraz z nimi – ale przecież Kate i Evans znajdowali się w niej także!

Po dwóch dniach rozszalała się gwałtowna burza, co pogorszyło jeszcze okropne położenie rozbitków. Ale wicher dmący od, pełnego morza gnał szalupę – ze złamanym masztem i żaglem w strzępach – ku Wyspie Chairmana. Wiemy, jak nocą z 15 na 16 października szalupa, przemknąwszy wśród wierzchołków raf, osiadła na plaży ze zdruzgotanymi częściowo wiązaniami kadłuba i pękniętym poszyciem.

Walston i jego towarzysze, zmordowani długą walką z żywiołem – prowiant był także niemal zupełnie wyczerpany – nie zdołali oprzeć się zimnu i zmęczeniu. Toteż byli prawie martwi, gdy łódź uderzyła o rafy. Nim szalupa osiadła na plaży, ogromna fala porwała z niej sześciu ludzi, a po kilku chwilach następni dwaj zostali wyrzuceni na piasek. Kate upadła z drugiej strony łodzi.

Ci dwaj długo leżeli bez zmysłów, tak samo jak i Kate. Odzyskawszy przytomność Kate leżała nadal nieruchomo, jakkolwiek mogła mniemać, że Walston i reszta zginęli. Czekwała, aż się rozwidni, aby szukać pomocy na owej nieznanej ziemi, kiedy około trzeciej nad ranem czyjeś kroki zaskrzypiały na piasku obok szalupy.

Byli to Walston, Brandt i Rock, którzy z trudem zdołali się uratować, gdy fala porwała ich z szalupy. Przebyli pierścień raf i dotarli do miejsca, gdzie leżeli ich dwaj towarzysze, Forbes i Pike. Ocucili ich, po czym jęli się naradzać, a bosman Evans strzeżony przez Cope'a i Booka czekał na nich o sto kroków dalej. Kate usłyszała wówczas bardzo wyraźnie taką rozmowę:

– Gdzie jesteśmy? – spytał Rock.

– Nie wiem! – odparł Walston. – Ale to bez znaczenia. Nie mamy co tu siedzieć, chodźmy na wschód! Zobaczmy o świcie, jak się wydostać z tej matni!

– A broń? – zagadnął Forbes.

– Oto ona; amunicji też nic się nie stało! – odpowiedział Walston.

I wyjął z kufra, znajdującego się w szalupie, pięć fuzji i kilka paczek naboii.

– To za mało – zauważył Rock – byśmy mogli sobie poradzić w tym kraju, gdzie mieszkają dzicy.

– Gdzie Evans? – spytał Brandt.

– Jest tam – powiedział Walston. – Pilnują go Cope i Book. Musi z nami iść, chce czy nie chce, a jeśli się będzie opierał, nauczę go rozumu!

– Co się stało z Kate? – zapytał Rock. – Czyżby zdołała się uratować?

– Kate? – powtórzył Walston. – Niegroźna! Widziałem, jak przeleciała nad burzą, zanim szalupa napełniła się wodą, i leży teraz na dnie!

– To po kłopocie! – rzucił Rock. – Za wiele o nas wiedziała!

– Niedługo by się cieszyła tymi wiadomościami! – dodał Walston.

Usłyszawszy to wszystko, Kate postanowiła uciec, gdy tylko oddalają się marynarze z „Severna”.

Minęło zaledwie parę chwil i Walston z towarzyszami, podtrzymując Forbesa i Pike’a, którzy wcale nie czuli się pewnie na nogach, odeszli zabrawszy broń, amunicję i resztę zapasów z kufra. Było tam około pięciu funtów solonego mięsa, trochę tytoniu i dwie manierki dżynu.

Kate podniosła się, gdy odeszli już dość daleko. Był najwyższy czas, gdyż wzbierające wody sięgały plaży i wkrótce fale uniosłyby kobietę z powrotem w morze.

Rozumiemy teraz, dlaczego Doniphan, Wilcox, Webb i Cross powróciwszy na plażę, by oddać ostatnią posługę rozbitkom, nie znaleźli nikogo. Walston i jego banda powędrowali na wschód, a Kate ruszyła w stronę przeciwną i zmierzała, nie wiedząc o tym, ku północnemu krańcowi Jeziora Rodzinnego.

Dotarła tam szesnastego po południu, wyczerpana głodem i drogą. Posiliła się garścią dzikich owoców i podążyła lewym brzegiem jeziora. Wędrowała tak całą noc i następny ranek – 17 października – aż padła wreszcie półżywa pod drzewem, gdzie znalazł ją Briant.

Fakty, o których opowiedziała Kate, były wydarzeniami wielkiej wagi. Na Wyspie Chairmana, gdzie młodzi koloniści żyli dotychczas całkiem bezpiecznie, wylądowało siedmiu zbrodniarzy gotowych na wszystko. Czy zawahają się, odkrywszy Grotę Francuską, zaatakować siedzibę kolonistów? Było to aż nazbyt oczywiste, że będą usiłowali zawładnąć sprzętem, żywnością, bronią, amunicją i przede wszystkim narzędziami, bez których nie mogliby naprawić szalupy. A w takim wypadku jakież opór mogliby stawić chłopcy, z których najstarszy miał około piętnastu lat?

Nietrudno sobie wyobrazić, jak silnie poruszyła wszystkich opowieść Kate.

Słuchając jej Briant myślał o tym, że pierwsi będą narażeni na niebezpieczeństwo Doniphan, Wilcox, Webb i Cross. Jak bowiem mogą mieć się na baczności, nie wiedząc o pobycie rozbitków „Severna” na Wyspie Chairmana, i to właśnie w tej części, którą obecnie badają? Czyż nie wystarczy strzał z fuzji, aby banda Walstona spostrzegła obecność chłopców? I wtedy wszyscy czterej wpadną

w ręce zbrodniarzy, po których nie będą się mogli spodziewać żadnej litości!

– Trzeba im pospieszyć z pomocą – rzekł Briant – i oby udało się uprzedzić ich jeszcze dziś...

– I sprowadzić do groty! – dorzucił Gordon. – Teraz bardziej niż kiedykolwiek powinniśmy być razem, aby przedsięwziąć wszelkie środki do odparcia napaści złoczyńców.

– Tak – zgodził się Briant. – I skoro trzeba, by nasi koledzy wrócili, wrócą na pewno! Pójdę po nich!

– Ty?

– Tak, Gordon.

– Jakże to?

– Wsiądę do jolki razem z Mokiem. W parę godzin przepłyniemy jezioro i Rzekę Wschodnią, jak to już kiedyś zrobiliśmy. Wszystko przemawia za tym, że znajdziemy Doniphana przy ujściu...

– Kiedy myślisz wyruszyć?

– Dziś wieczór – odpowiedział Briant – kiedy ciemności pozwolą nam przepłynąć niepostrzeżenie.

– Czy pojedę z tobą, braciszku? – spytał Kubuś.

– Nie – odparł krótko Briant. – Musimy koniecznie wrócić wszyscy czółnem, a i tak z trudem pomieścimy się w nim w sześciu!

– A więc to nieodwołalne postanowienie? – pytał Gordon.

– Nieodwołalne.

Było to rzeczywiście najlepsze wyjście – nie tylko ze względu na Doniphana, Wilcoxa, Crossa i Webba, ale też i dla dobra małej kolonii. Czterech chłopców więcej, i to wcale nie najsłabszych – pomoc taka, w razie napaści, nie byłaby do pogardzenia. Nie należało tracić ani chwili, skoro konieczność nakazywała, aby wszyscy znaleźli się w ciągu najbliższych godzin w grocie. Domyślacie się, że latawiec nie wzleciał w przestworza, gdyż byłoby to największą nieostrożnością. Zasygnalizowałby bowiem obecność chłopców Walstonowi i jego kamratom. Z tych samych względów Briant uznał za konieczne zdjęcie masztu sygnałowego z grani Wzgórza Aucklandzkiego.

Wszyscy pozostali w hallu aż do wieczora. Kate wysłuchiwała relacji o przygodach chłopców. Zaczyna kobieta nie myślała teraz o sobie, tylko o nich. Jeśli pozostaną razem na wyspie, będzie służyć im z całym oddaniem, otoczy ich opieką i pokocha jak matka. Już teraz nazywała malców, Dole'a i Costara, owym pieszczotliwym mianem „papuzów”, jakie noszą angielskie „babies”^{*} na Dalekim Zachodzie.

Service zaproponował – na pamiątkę swoich ulubionych powieści – aby nazywano Kate „Piętaszką”, gdyż przybyła ona do Groty Francuskiej w piątek, tak jak niezapomniany towarzysz Robinsona Kruzo.

– Ci złoczyńcy to tak jak dzicy Robinsona! – dodał Service. – Zawsze jest taki moment, kiedy dzicy się zjawiają, i taki, kiedy dochodzi się z nimi do ładu!

O ósmej ukończono przygotowania do odjazdu. Moko, tak przywiązany do chłopców, że nie cofnąłby się przed żadnym niebezpieczeństwem, cieszył się na myśl, iż będzie towarzyszył Briantowi w tej wyprawie.

Wzięli trochę żywności i, uzbrojeni w rewolwery i kordelasy, wsiedli obaj do czółna. Pożegnali się z przyjaciółmi, którzy ze ściśniętym sercem patrzyli na oddalających się towarzyszy. Niebawem zniknęli w mroku spowijającym jezioro. Zerwała się lekka bryza z północy i gdyby się utrzymała, mogłaby wspierać jolkę w drodze, zarówno w tamtą stronę, jak i z powrotem.

W każdym razie bryza ta pomagała chłopcom, kiedy płynęli z zachodu na wschód. Noc była bardzo ciemna – okoliczność sprzyjająca dla Brianta, który pragnął przemknąć się jeziorem niepostrzeżenie. Kierując się busolą, chłopiec miał pewność, że dotrze do przeciwległego brzegu, gdzie wystarczy popłynąć kawałek w dół albo w górę, zależnie od tego, czy łódź przybije poniżej, czy też powyżej Rzeki Wschodniej. Briant i Moko skupili całą uwagę spoglądając w owym kierunku: wydawało im się, że dostrzegają tam ognisko, które wskazywałoby na obecność Walstona i jego bandy, gdyż Doniphan powinien obozować na wybrzeżu, przy ujściu rzeki.

Przebyli sześć mil w dwie godziny. Bryza, choć przybrała na sile, nie wyrządziła czółnu szkody. Przybiło tam, gdzie chłopcy wylądowali podczas pierwszej wyprawy; musieli popłynąć wzdłuż brzegu jeszcze pół mili, aby dotrzeć do małej zatoczki, poprzez którą wody jeziora spływały ku rzece. Zabrało im to trochę czasu. Wiatr ustał i trzeba było posługiwać się wiosłami. Spokój zdawał się panować wśród drzew pochylonych nad wodą. Z głębi lasu nie doleciało ani szczekanie, ani wycie, żaden podejrzaný blask nie zamigotał wśród ciemnych zwałów zieleni.

Jednakże, około wpół do jedenastej, Briant, siedzący na rufie, przytrzymał ręką Moko. O kilkaset stóp od rzeki, na prawym brzegu, przygasłe ognisko rzucało w ciemności przyćmiony blask. Kto rozbił tutaj obóz?... Walston czy Doniphan?... Trzeba było się o tym przekonać przed zapuszczeniem się w dół rzeki.

– Przybij do brzegu, Moko – powiedział Briant.

– Czy pan nie chce, abym mu towarzyszył? – spytał chłopiec cicho.

– Nie. Lepiej, żebym był sam. Mniejsze ryzyko, jeśli sam jeden będę się podkładał.

Czółno podpłynęło do brzegu i Briant wyskoczył na ziemię, przykazawszy Mokowi czekać. Miał w ręku kordelas, a za pasem rewolwer, którym zamierzał posłużyć się dopiero w ostateczności, pragnął bowiem unikać wszelkiego hałasu. Minąwszy nadbrzeżną łączkę, dzielny chłopak zaszył się wśród drzew.

Nagle zatrzymał się. O dwadzieścia kroków dalej, w słabym świetle dogasającego ognia, dostrzegł jakiś cień czołgający się, tak jak on sam, wśród traw.

W tejże chwili rozległ się straszliwy ryk, po czym jakieś cielsko runęło w przód.

Był to spory jaguar. Natychmiast rozległy się krzyki:

– Do mnie! Do mnie!

Briant poznał głos Doniphana. Jego towarzysze zostali w obozie, obok ogniska rozłożonego tuż nad rzeką.

Doniphan, którego jaguar przewrócił, szamotał się nie mogąc użyć broni.

Wilcox, obudzony krzykami, nadbiegł z wycelowaną fuzją, gotów dać ognia...

– Nie strzelaj! Nie strzelaj! – zawołał Briant.

I nim Wilcox zdołał go dojrzeć, rzucił się na dzikie zwierzę, które zwróciło się ku niemu, gdy tymczasem Doniphan zerwał się zwinnie.

Szczęściem Briant uskoczył w bok, zadawszy cios kordelasem. Stało się to tak szybko, że Doniphan i Wilcox nie zdążyli nawet drgnąć. Zwierzę, ranione śmiertelnie, padło, zanim Webb i Cross przybiegli Doniphanowi z pomocą.

Ale Briant drogo okupił to zwycięstwo. Jego ramię, rozdarte pazurami, krwawiło mocno.

– Skąd się tu wzięłeś?! – wykrzyknął Wilcox.

– Dowiedcie się później – odparł Briant. – A teraz chodźcie! Chodźcie...

– Nie ruszę się stąd, póki ci nie podziękuję, Briant – powiedział Doniphan. – Ocaliłeś mi życie!

– Ty byś zrobił to samo na moim miejscu – odrzekł Briant. -: Nie ma o czym gadać. Chodźcie ze mną.

Choć rana Brianta nie była ciężka, należało ścisnąć mu ramię chustką. W czasie, kiedy Wilcox nakładał opatrunek, dzielny Francuz zapoznał kolegów z sytuacją.

A więc ci ludzie, których ciała, jak sądził Doniphan, uniosło morze, żyli! Błąkali się po wyspie! Byli to złoczyńcy, splamieni krwią! Jakaś kobieta przyплыnęła wraz z nimi, na pół roztrzaskaną szalupą, i znajduje się teraz w Grocie Francuskiej. Bezpieczeństwo na Wyspie Chairmana skończyło się. Dlatego właśnie Briant zawołał, by Wilcox nie strzelał do jaguara; obawiał się, że złoczyńcy posłyszą odgłos strzału.

– Ach, Briant, więcej jesteś wart ode mnie! – wykrzyknął Doniphan mocno wzruszony. Wdzięczność wzięła górę nad pychą.

– Nie, nie, mój drogi – odparł Briant. – A że trzymam cię za rękę, nie puszczę, póki nie zgodzisz się wrócić...

– Tak, Briant. To jest konieczne – rzekł Doniphan. – Możesz na mnie liczyć! Pierwszy będę ci okazywał zawsze posłuszeństwo! Jutro o świcie wyruszamy...

– Nie! Wyruszymy zaraz, aby nikt nas nie spotkał w drodze!

– Jakże to? – spytał Cross.

– Moko jest tutaj; czeka w czólnie! Mieliśmy właśnie skręcić na rzekę, kiedy spostrzegłem blask waszego ogniska.

– I zjawileś się w porę, by ocalić mi życie! – powtórzył Doniphan.

– I zabrać cię do grotty!

A teraz wyjaśnić należy, dlaczego Doniphan, Wilcox, Webb i Cross obozowali w tym miejscu, a nie przy ujściu rzeki.

Opuściwszy wybrzeże Wydm Severna, dotarli do Portu Niedźwiedziej Skały 16 października pod wieczór. Następnego dnia rano podążyli – jak to zaprojektowali – brzegiem Rzeki Wschodniej aż do jeziora, nad którym rozbili obóz, aby o świcie powędrować do grotty.

O brzasku Briant z kolegami wsiedli do czółna, a że łódź z trudem mieściła sześciu chłopców, należało płynąć ostrożnie.

Wiatr sprzyjał. Moko tak zręcznie prowadził jolkę, że obyło się bez wypadku.

Kiedy około czwartej nad ranem przybili do grobli nad Rzeką Zelandzką, Gordon i jego towarzysze z radością powitali powracających kolegów. Groziło im wielkie niebezpieczeństwo, ale przynajmniej wszyscy byli znów razem w Grocie Francuskiej.

Rozdział XXIII

Obecna sytuacja – Środki ostrożności – Zmiany w trybie życia – Drzewo – krowa – O czym należało się przekonać – Propozycja Kate – Brianta prześladowuje pewna myśl – Jego projekt – Dyskusja – Do jutra

Kolonia była więc w komplecie, a nawet powiększyła się o pocziwą Kate, która w wyniku jednego ze straszliwych dramatów morskich znalazła się na brzegu Wyspy Chairmana. W grocie panowała teraz niczym nie zmacona zgoda. Jeśli nawet Doniphan taił jeszcze trochę żalu, że nie jest gubernatorem kolonii, to przynajmniej należał teraz do niej całym sercem. Nie wspominając o tym

przyjaciołom i nie chcąc przyznać się do błędów, bo miłość własna nie pozwalała mu na to, zdawał sobie jednak sprawę, że powodowany uporem zrobił okropne głupstwo. Wilcox, Cross i Webb myśleli podobnie.

Bardzo poważne niebezpieczeństwo zagrażało Grocie Francuskiej: napaść siedmiu złoczyńców, uzbrojonych i silnych. Oczywiście, w interesie Walstona leżało opuścić jak najrychlej wyspę; jeśli jednak domyśli się istnienia małej kolonii zaopatrzonej we wszystko, czego mu brakło, nie cofnie się przed napadem, w którym wszelkie szansę będą po jego stronie. Młodzi koloniści będą więc musieli zachować jak najdalej posuniętą ostrożność – nie oddalać się od Rzeki Zelandzkiej i nie zagłębiać w okolice Jeziora Rodzinnego, póki banda Walstona nie opuści wyspy.

Briant i Gordon przede wszystkim wypytywali Doniphana, Webba, Crossa i Wilcoxa, czy wracając do Portu Niedźwiedziej Skały znad wydm nie zauważyli czegoś, co wskazywałoby na obecność marynarzy z „Severna”.

– Nie – odpowiedział Doniphan. – Co prawda, wróciliśmy nad Rzekę Wschodnią inną drogą niż ta, którą szliśmy na północ.

– Wiadomo jednak, że Walston ruszył na wschód! – zauważył Gordon.

– Zgoda – powiedział Doniphan. – Ale szedł pewnie wybrzeżem, my zaś przecięliśmy na skos Las Bukowy. Kiedy popatrzyacie na mapę, zauważycie, że linia wybrzeża zakreśla bardzo wyraźny łuk poniżej Zatoki Rozczarowania. W tym zakątku złoczyńcy mogli znaleźć wyborne schronienie, nie oddalając się zbyt od miejsca, gdzie zostawili szalupę. Ale kto wie, czy Kate nie mogłaby nam powiedzieć, w jakich mniej więcej stronach leży ta wyspa?

Kate jednak nie umiała im nic o tym powiedzieć. Gdy „Severn” spłonął, bosman Evans tak kierował szalupą, by trzymać się jak najbliżej kontynentu amerykańskiego, od którego Wyspa Chairmana nie jest zapewne bardzo oddalona. Nigdy jednak nie wymienił nazwy tej wyspy, na którą burza ich rzuciła.

Skoro liczne archipelagi sąsiadujące z kontynentem znajdują się przypuszczalnie w odległości stosunkowo niewielkiej, Walston na pewno będzie chciał dotrzeć do jednego z nich. Tymczasem więc, czekając na stosowny moment, pozostanie na wschodnim wybrzeżu. Gdyby udało mu się naprawić łódź, mógłby popłynąć do któregoś z krajów południowo-amerykańskich.

– Chyba, że Walston natknie się nad ujściem Rzeki Wschodniej na ślady twojej bytności, Doniphan, i postanowi szukać dalej! – zauważył Briant.

– Jakie ślady? – zdziwił się Doniphan. – Kupkę popiołu? Cóż z tego można wywnioskować? Że wyspa jest zamieszkała. Ci nędznicy będą przemyśliwać tylko o tym, jakby się ukryć...

– Niewątpliwie – rzekł Briant – jeśli nie wypenetrują, że ludność wyspy to grupka dzieci. Starajmy się więc nie zdradzić, kim jesteśmy! Właśnie dlatego muszę cię, Doniphan, zapytać, czy nie strzelałeś aby, wracając nad Zatoką Rozczarowania?

– Wyjątkowo nie – uśmiechnął się Doniphan. – Opuszczając wybrzeże, mieliśmy dostateczny zapas zwierzyny i nie zdradziliśmy naszej obecności żadnym strzałem. Wczoraj w nocy Wilcox byłby strzelił do jaguara, ale na szczęście zjawiłeś się w porę, by temu zapobiec i ocalić mi życie, narażając własne.

– Jeszcze raz ci mówię, że zrobiłbyś to samo na moim miejscu! A w przyszłości ani jednego strzału z fuzji! Przestańmy nawet odwiedzać Las Wilczych Dołów i korzystajmy jedynie z zapasów!

Kończył się już październik, a Walstona nie dostrzeżono ani razu w okolicy Rzeki Zelandzkiej. Czyżby naprawił szalupę i odpłynął? Było to możliwe, gdyż miał siekierę – Kate przypomniała sobie o tym. Mógł się zresztą posługiwać owymi solidnymi nożami, jakie marynarze noszą w kieszeni, a drzewa w pobliżu Wydm Severna nie brakło.

Jednakże chłopcy bynajmniej nie byli tego pewni i musieli zmienić zwykły tryb życia. Zaniechano urządzania dalszych wycieczek. Raz tylko Baxter i Doniphan oddalili się od groty, by obalić maszt sygnałowy wznoszący się nad krawędzią Wzgórza Auc – klandzkiego.

Stanąwszy tam Doniphan powiódł lunetą po masach zieleni wyginających się łukowato na wschodzie. Nie mógł wprawdzie sięgnąć wzrokiem aż po wybrzeże osłonięte Lasem Bukowym, dojrzałby jednak z pewnością każdy słup dymu wzbijający się w powietrzu, który wskazywałby, że Walston i jego ludzie obozowali w tej części wyspy. Doniphan nie spostrzegł nic w tej stronie ani też na wybrzeżu zatoki Sloughi, pustej jak zwykle.

Odkąd wzbroniono wychodzenia na dalsze spacery i odkąd pozostawiono strzelby w spokoju, myśliwi musieli zaniechać ulubionych łowów. Szczęściem sidła i pułapki, pozakładane w pobliżu groty, dostarczały dość zwierzyny. A zresztą kusaki i dropie tak się rozmnożyły w zagrodzie, że Service i Garnett musieli sporo ich wybić.

Zapasy liści z drzewa herbacianego, a także soku klonowego, który przetwarza się łatwo w cukier, były duże i nie trzeba było zapuszczać się aż po Strumień Grobli, by uzupełnić braki. Nawet gdyby nadeszła zima, a młodzi koloniści nie odzyskaliby jeszcze wolności, byli oni zaopatrzeni obficie w tłuszcz do latarń, w konserwy i zwierzynę. Musieliby tylko odnowić zapas opału, przyciągając drzewa zrąbane na Bagnach Leśnych.

W tym czasie nowe odkrycie powiększyło dobrobyt mieszkańców groty.

Odkrycia tego nie zawdzięczano Gordonowi, choć był on specjalistą w sprawach botaniki. Cała zasługa przypadła Kate.

Na skraju Bagien Leśnych rosły między innymi drzewa mierzące pięćdziesiąt do sześćdziesięciu stóp wysokości. Siekiera oszczędziła je dotychczas, gdyż ich włóknisty pień stanowiłby marny opał zarówno dla pieców w hallu, jak i w szopie. Liście ich – każdy uzbrojony ostrym kolcem – układały się naprzemianlegle ze zgrubieniami gałązek.

Kate ujrzawszy te drzewa po raz pierwszy, zawołała:

– O! Drzewo krowie!

Dole i Costar, którzy dotrzymywali jej towarzystwa, parsknęli śmiechem.

– Jak to „krowie”? – spytał jeden.

– Czy jadają je krowy? – dodał drugi.

– Nie, moje papuzy, nie – odpowiedziała Kate. – Dają one mleko i dlatego tak się nazywają; mleko lepsze niż mleko waszych wigoniów!

Wróciwszy do groty Kate powiadomiła Gordona o swoim odkryciu. Gordon przywołał zaraz Service'a i we troje wrócili na skraj Bagien Leśnych. Przyjrzawszy się drzewu, Gordon pomyślał, że musi to być galaktendron, dość pospolity w lasach Ameryki Północnej, i nie omylił się.

Bezcenne odkrycie! Wystarczy nacisnąć korę galaktendrona, aby trysnął z niej biały sok o smaku i właściwościach odżywczych krowiego mleka. Z mleka tego można zrobić nawet rodzaj wybornego sera, nie mówiąc już o klarownym wosku, podobnym do pszczelego, nadającym się do wyrobu doskonałych świec.

– A więc – zawołał Service – jeśli to krowie drzewo, a raczej drzewo-krowa, trzeba je wydoić!

Dowcipniś nie domyślał się nawet, że wyraził się jak Indianie, którzy powiadają zwykle: „Wydoimy drzewo!”

Gordon naciął korę galaktendrona. Trysnął sok i Kate napełniła nim miskę mieszczącą dwie kwarty. Płyn ten jest nawet pożywniejszy od mleka krowiego, bardziej gęsty i smaczniejszy. Natychmiast więc opróżniono w grocie miskę, a Costar usmarował sobie buzię niczym kot. Moko nie krył zadowolenia, zdając sobie sprawę, jak bardzo użyteczny będzie w kuchni ten nowy napój. Nie będzie go musiał przy tym oszczędzać. „Stado” galaktendronów, znajdujące się w pobliżu, dostarczy w obfitości roślinnego mleka!

Doprawdy, Wyspa Chairmana mogłaby zaspokoić potrzeby licznej kolonii! Chłopcy mieli tam zapewnioną egzystencję, nawet na długi czas. Poza tym obecność Kate, troskliwa opieka, jakiej mogli oczekiwać od tej kobiety, w której wzbudzali uczucia macierzyńskie – wszystko to składało się na łatwiejsze życie.

Czemu właśnie teraz dawne poczucie bezpieczeństwa zostało zmaćcone! Iluż odkryć mógłby dokonać Briant wespół z kolegami na nieznanym wschodnim terenie wyspy! Z wypraw tych należało teraz zrezygnować. Czy podejmą kiedyś takie wycieczki, podczas których będą się obawiać jedynie spotkania z dzikimi bestiami, wiele mniej niebezpiecznymi niż dzikie bestie w ludzkim ciele?

A jednak aż do pierwszych dni listopada nie wykryli w pobliżu groty żadnych podejrzanych śladów.” Briant zastanawiał się nawet, czy marynarze z „Severna” przebywają jeszcze na wyspie. Doniphan widział jednak na własne oczy, w jak złym stanie była szalupa po wylądowaniu, widział jej strzaskany maszt, podarty żagiel i poszycie podziurawione ostrymi krawędziami raf. Jeżeli jednak – a bosman Evans musiał się w tym orientować – Wyspa Chairmana sąsiadowała z jakimś

kontynentem czy archipelagiem, rozbitkowie mogli dokonać prowizorycznej reperacji szalupy i odważyć się na stosunkowo krótką podróż. Można było zatem przypuszczać, że Walston zdecydował się opuścić wyspę!

Briant zamyślał już kilka razy ruszyć na zwiady i przetrząsnąć okolice na wschód od jeziora. Doniphan, Baxter i Wilcox palili się także do tej wyprawy. Mogliby jednak wpaść w ręce Walstona, który dowiedziałby się wtedy, z jak niegroźnymi przeciwnikami ma do czynienia. Toteż Gordon, którego rad słuchano jak zawsze, odwiódł Brianta od projektu niebezpiecznej wycieczki.

– Panie Briant – powiedziała pewnego wieczoru Kate, gdy wszyscy koloniści zebrali się w hallu – czy zgodzi się pan, że jutro o świcie was opuszczę?...

– Opuści nas pani, Kate? – zdumiał się Briant.

– Tak! Nie możecie dłużej pozostawać w niepewności; pójdę chętnie tam, gdzie burza rzuciła nas na brzeg, i dowiem się, czy Walston jest jeszcze na wyspie. Jeśli znajdę szalupę na miejscu to znaczy, że Walston nie odpłynął... Jeśli jej tam nie będzie.. no to nic nam już nie grozi.

– To, co pani chce zrobić, Briant, Baxter, Wilcox i ja zamierzaliśmy już zrobić sami! – powiedział Doniphan.

– Wiem o tym – odparła Kate. – Ale tam, gdzie wy narażacie się na niebezpieczeństwo, mnie nic nie grozi.

– A jeśli wpadnie pani w ręce Walstona?

– No to będę w tym samym położeniu, w jakim się znajdowałam, nim uciekłam – odrzekła Kate.

– A jeśli ten nędznik zechce się pani pozbyć na zawsze, co jest aż nadto prawdopodobne? – spytał Briant.

– Skoro uciekłam mu już raz – odpowiedziała Kate – czemu nie miałabym uciec po raz drugi, zwłaszcza że znam drogę do groty? A gdyby udało mi się zbiec wraz z Evansem, któremu powiem wszystko o was? Jak bardzo użyteczny, jak pomocny byłby dla was ten poczciwy bosman!

– Evans zbiegłby już dawno, gdyby mógł to zrobić – rzekł Doniphan. – Czyż nie zależy mu na tym, by uciec?

– Doniphan ma rację – powiedział Gordon. – Evans zna zbyt dobrze sekrety Walstona i jego kamratów, którzy zabiliby go bez wahania, gdyby im nie był potrzebny. Skoro więc nie rozstał się z nimi dotychczas, znaczy to, że trzymają go przy sobie, aby...

– Albo przypłacił życiem próbę ucieczki! – dorzucił Doniphan. – Toteż, Kate, gdyby panią znów pochwycili...

– Może mi pan wierzyć, że tak wszystko urządzę, by mnie nie schwytali!

– Być może – ozwał się Briant. – Ale nigdy się nie zgodzimy, aby się pani narażała. Lepiej poszukać innego, bezpieczniejszego sposobu.

Skoro chłopcy odrzucili propozycję Kate, nie pozostało im nic innego, jak wystrzegać się pilnie jakiegokolwiek nieostrożności. Jeśli Walston zdoła opuścić wyspę, uczyni to z pewnością przed nadejściem zimy.

Zresztą jeśli nawet był jeszcze na wyspie, nie wydawało się, by zamierzał zapuszczać się w głąb łądu. Briant, Doniphan i Moko przepływali kilkakrotnie w ciemne noce przez jezioro i nigdy nie dostrzegli podejrzanego blasku ognia ani wśród drzew otaczających Rzekę Wschodnią, ani na przeciwległym brzegu.

Przykro było kolonistom żyć w ciasnym kącie między Rzeką Zelandzką, jeziorem, lasem i urwiskiem. Toteż Briant rozmyślał wciąż o tym, jakim sposobem upewnić się, czy Walston jest na wyspie i gdzie rozbił obóz. Może wystarczyłoby wznieść się nocą na pewną wysokość.

Myśl ta nie opuszczała Brianta ani na chwilę. Na nieszczęście, z wyjątkiem płaskowyżu, którego szczyt wznosił się niewiele ponad dwieście stóp, nie było na wyspie żadnej znaczniejszej wyniosłości. Parę razy Doniphan i kilku innych chłopców wspinali się na grań Wzgórza Aucklandzkiego, ale nie dostrzegali stamtąd nawet przeciwległego brzegu jeziora. Toteż żaden słup dymu, żaden blask ognia nie mógł ukazać się od wschodu na horyzoncie. Należałoby wznieść się o kilkaset stóp wyżej, by wzrok sięgnął aż po skały okalające Zatokę Rozczarowania.

Wtedy to przyszedł Briantowi do głowy pomysł tak ryzykowny – rzecz można – szalony, że zrazu sam odrzucił go stanowczo. Ale pomysł ów prześladował go z takim uporem, iż w końcu przyzwyczał się do niego. Pamiętamy, że próbę latawca odłożono na później. Kiedy zjawiała się Kate, przynosząc wieści o rozbitkach z „Seyerna”, chłopcy musieli zrezygnować z puszczenia latawca w powietrze, dostrzeżono by go bowiem z każdego zakątka wyspy.

Wprawdzie latawca nie można już było użyć jako sygnału, ale czy nie dałoby się go spożytkować przy badaniach nieodzownych dla bezpieczeństwa kolonii?

Nad tym właśnie medytował uparcie Briant. Przypomniawszy sobie przeczytaną niegdyś w angielskim dzienniku notatkę, jak to pod koniec ubiegłego stulecia pewna kobieta odważyła się wzbić w powietrze uczepona latawca, który zbudowano specjalnie w tym celu*.

Czy chłopiec nie mógł odważyć się na to, czego dokonała kobieta? Mniejsza z tym, że przedsięwzięcie było niebezpieczne! Ryzyko było tu fraszką wobec rezultatów, jakie można by osiągnąć! Czyż nie przemawiało za tym wiele, że próba się powiedzie, jeśli zastosuje się wszelkie środki ostrożności podyktowane rozważą? Oto dlaczego Briant, chociaż nie potrafił obliczyć, jak duży ciężar mógłby udźwignąć latawiec, powtarzał sobie, że aparat ów istnieje, że trzeba jedynie go wzmocnić i nadać mu większe rozmiary. A wtedy, wzbijając się nocą na kilkaset stóp ponad ziemię, może uda się ujrzeć blask ognia płonącego w oddali.

Nie wzruszajmy ramionami nad pomysłem dzielnego chłopca! Pod wpływem długotrwałych rozważań uznał on w końcu swój projekt nie tylko za wykonalny – co do tego nie było cienia

wątpliwości – ale i za mniej niebezpieczny, niż to wydawało mu się z początku.

Należało już tylko przekonać kolegów. 4 listopada, wieczorem, Briant poprosił Gordona, Doniphana, Wilcoxa, Webba i Baxtera na rozmowę i opowiedział im o projekcie wykorzystania latawca.

– Wykorzystać go? – zdziwił się Wilcox. – Co przez to rozumiesz? Puszczając go w powietrze?...

– Oczywiście – powiedział Briant – po tośmy go zrobili.

– W dzień? – zagadnął Baxter.

– Nie, gdyż dostrzegłby go Walston i jego ludzie. W nocy zaś...

– Jeśli przymocujesz latarnię, tym bardziej zwrócisz ich uwagę! – zauważył Doniphan.

– Ani myślę przyczepiać latarni!

– Do czegoż więc ma on posłużyć? – spytał Gordon.

– Aby dowiedzieć się, czy ludzie z „Severna” przebywają nadal na wyspie!

I Briant z lekka zaniepokojony, że chłopcy zaczną kręcić głową nad jego projektem, przedstawił im go w paru słowach.

Koledzy jednak ani myśleli się śmiać. Gordon tylko zastanawiał się, czy Briant mówił poważnie, inni zaś skłonni byli zaaprobować ów pomysł. Rzeczywiście chłopcy tak dalece byli oswojeni z niebezpieczeństwami, że ów nocny lot wydał im się najzupełniej wykonalny. Zresztą zdecydowani byli na wszystko, co przywróciłoby im dawne poczucie bezpieczeństwa.

– Jednakże – zauważył Doniphan – latawiec, któryśmy zbudowali, nie zdoła udźwignąć żadnego z nas.

– Oczywiście – odpowiedział Briant. – Trzeba go będzie powiększyć i wzmocnić.

– Warto byłoby jeszcze wiedzieć – ozwał się Wilcox – czy w ogóle wytrzyma...

– Ależ to nie budzi wątpliwości! – zapewnił Baxter.

– Zresztą dokonano kiedyś podobnej próby – dorzucił Briant. I przytoczył relację o kobiecie, której sto lat temu udało się podobne doświadczenie.

– Wszystko zależy od rozmiarów aparatu i siły wiatru w chwili rozpoczęcia lotu – dodał.

– Briant – zagadnął Baxter – jaką wysokość, twoim zdaniem, należałoby osiągnąć?

– Wydaje rni się, że wzbiwszy się na sześćset albo siedemset stóp, można będzie dojrzeć każde

ognisko, gdziekolwiek płonęłoby na wyspie.

– No więc – wykrzyknął Service – rzecz jest możliwa do wykonania i bardzo pilna! Mam już tego dosyć! Nie wolno nawet spacerować wedle własnej fantazji.

– Ani zaglądać do wilczych dołów! – poskarżył się Wilcox.

– Ani strzelać – dorzucił Doniphan.

– A więc do jutra! – powiedział Briant.

Kiedy znalazł się sam z Gordonem, Amerykanin spytał:

– Czy na serio traktujesz to zamierzenie?

– Chcę przynajmniej spróbować!

– Niebezpieczna próba!

– Zapewne mniej, niż się nam wydaje.

– A kto zgodzi się ryzykować życiem?

– Ty pierwszy, Gordon – odparł Briant. – Tak, ty, jeśli los cię wyznaczy!

– Uciekniesz się więc do losowania?

– Nie, Gordon! Trzeba, żeby ten, kto się poświęci, zrobił to dobrowolnie.

– Czy wybrałeś już kogoś?

– Może.

I Briant uścisnął dłoń Gordona.

Rozdział XXIV

Pierwsza próba – Powiększenie aparatu – Druga próba – Propozycja Brianta – Propozycja Kubusia – Wyznanie – Pomysł Brianta – W przestworzach wśród nocy – Co się ukazało? – Wiatr się wzmaga

Rankiem 5 listopada Briant i Baxter zabrali się do dzieła. Przed powiększeniem latawca należało się przekonać, jaki ciężar mógł unieść obecnie.

Nie trzeba było czekać zмирzchu z wykonaniem pierwszej próby. Bryza dęła akurat od południowego zachodu i Briant pomyślał, że nic nie stoi na przeszkodzie, by z niej skorzystać, pod warunkiem, że zatrzyma się latawca na niewielkiej wysokości, aby nikt go nie dostrzegł ze wschodniego brzegu jeziora.

Wszystko odbyło się pomyślnie; stwierdzono, że aparat mógł podnieść, przy zwykłym wietrze, worek dwudziestofuntowy. Odważnik pochodzący ze „Sloughi” pozwolił ustalić to bardzo dokładnie.

Ściągnięto więc latawca i położono na murawie boiska.

Baxter wzmocnił przede wszystkim szkielet; od środkowego węzła poprowadził na boki liny na kształt prętów parasola. Następnie powiększył powierzchnię latawca rozszerzając szkielet i dodając płótna. Kate okazała się przy tej pracy bardzo użyteczną. Igieł i nici nie brakło w Grocie Francuskiej, a zrzeczna gosposia знаła się na szyciu.

Gdyby Briant albo Baxter byli „mocniejsi” w mechanice, uwzględniliby w budowie aparatu podstawowe elementy: wagę, powierzchnię nośną, środek ciężkości, środek ciśnienia wiatru – który pokrywa się ze środkiem figury geometrycznej – i wreszcie punkt zaczepienia liny. Dokonawszy owych pomiarów, mogliby obliczyć moc nośną aparatu oraz wysokość, na którą powinien się wzbić. Mogliby również obliczyć, jaką moc musi posiadać lina, by wytrzymała napięcie – warunek najważniejszy dla zapewnienia bezpieczeństwa obserwatorowi.

Szczęściem linka logowa ze szkunera nadawała się do tego doskonale. Zresztą nawet przy bardzo ostrym wietrze latawiec „ciągnie” umiarkowanie, jeżeli punkt zaczepienia ściągacza jest trafnie obrany. Należało tylko starannie wyznaczyć ów punkt, od którego zależy pochylenie aparatu wobec linii wiatru i jego równowaga.

Latawiec, przeznaczony teraz do innego celu, nie mógł mieć ogona, co zmartwiło wielce Costara i Dole’a. Ogon był nieużyteczny: ciężar pasażera zapewni latawcowi utrzymywanie odpowiedniego nachylenia do kierunku wiatru.

Po kilku nieudanych próbach Briant i Baxter przekonali się, że trzeba przywiązać ów ciężar w jednej trzeciej długości szkieletu do poprzeczki napinającej płótno wszcz. Dwie liny przymocowane do tej poprzeczki, będą utrzymywać ciężar na jakieś dwadzieścia stóp pod aparatem.

Przygotowana linka miała tysiąc dwieście stóp długości; przy uwzględnieniu kąta krzywej, po której miał wznosić się latawiec, pozwalała ona na osiągnięcie od siedmiuset do ośmiuset stóp wysokości.

Wreszcie, by złagodzić w miarę możliwości skutki ewentualnego upadku, który groziłby w razie zerwania się liny albo złamania szkieletu, postanowiono wypuścić latawca nad jeziorem. Aparat nie spadnie na pewno w odległości tak znacznej, by dobry pływak nie zdołał dotrzeć do zachodniego brzegu.

Aparat był ośmioboczny i liczył siedemdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni; średnica ośmiokąta wynosiła około trzydziestu, a każdy bok miał mniej więcej osiem stóp. Dzięki solidnemu

szkieletowi i gęstemu płótnu, które nie przepuszczało wiatru, latawiec powinien podnieść łatwo do stu dwudziestu funtów.

Gondola dla obserwatora była zwykłym wiklinowym koszem pochodzącym z jachtu. Był to kosz na tyle głęboki, aby chłopiec normalnego wzrostu mógł się tam skryć aż po szyję, na tyle szeroki – by mógł się swobodnie poruszać, a w razie potrzeby szybko zeń wyskoczyć.

Jak się domyślacie, pracy tej nie wykonano w jeden czy dwa dni. Rozpoczęto ją piątego listopada rankiem, zakończono siódmego po południu. Wstępną próbę wznoszenia się aparatu i jego statyczności chłopcy odłożyli do wieczora.

W ciągu tych ostatnich dni sytuacja nie uległa zmianie. Kilka razy to jedni, to drudzy spośród kolonistów całymi godzinami obserwowali z urwiska okolicę. Nie zauważyli nic podejrzanego ani na północy, między Lasem Wilczych Dołów a grotą, ani na południu, za rzeką, ani na zachodzie, od strony zatoki Sloughi, ani na jeziorze, które Walston zechciałby na pewno obejrzeć przed opuszczeniem wyspy. Żaden strzał nie rozległ się w pobliżu Wzgórza Aucklandzkiego. Smuga dymu nie wzbiła się ani razu nad horyzontem.

Tylko projektowane doświadczenie miało im dać wyraźną odpowiedź.

Pozostało jeszcze do wyjaśnienia, w jaki sposób obserwator zdoła dać sygnał, aby go ściągnąć, kiedy uzna to za konieczne.

Oto, co zaproponował Briant:

– Uciekliśmy się z Baxterem do następującego sposobu. Sznurek, tej samej długości, co lina latawca, przeciągnięty przez ołowianą kulę przedziurawioną w środku, przytwierdzimy z jednego końca do gondoli, drugi zaś będzie trzymał jeden z nas. Wystarczy puścić ciężarek, który ześliznąwszy się po sznurku da sygnał do ściągnięcia latawca.

– Świetny pomysł! – rzekł Doniphan.

Kiedy wszystko już omówiono, pozostała jeszcze tylko wstępna próba. Księżyc miał wzejść około drugiej w nocy, łagodna bryza wiała od południowego zachodu. Warunki atmosferyczne sprzyjały więc przedsięwzięciu.

O dziewiątej zaległy już głębokie ciemności. Trochę chmur, dość gęstych, mknęło po bezgwiezdnym niebie. Na jakąkolwiek latawiec wzbiłby się wysokość, nikt go nie dostrzeże nawet z okolic Groty Francuskiej.

Starsi i malcy mieli asystować przy tej próbie, a że była ona, jak to mówią, z manekinem, chłopcy wyczekiwali jej bez emocji, ale z przyjemnością.

Pośrodku boiska umieszczono windę kotwiczną ze „Sloughi” i przytwierdzono mocno do ziemi, aby aparat nie pociągał jej za sobą. Długą linę nawinięto starannie, tak aby rozwijała się lekko wraz ze sznurem sygnałowym. Briant włożył do gondoli worek napełniony piaskiem, ważący dokładnie sto trzydzieści funtów – najcięższy z chłopców nie ważył tyle.

Doniphan, Baxter, Wilcox i Webb ustawili się przy latawcu rozłożonym na ziemi, o sto kroków od windy. Na rozkaz Brianta za pomocą sznurów uwiązanych do poprzeczek szkieletu mieli z wolna podnosić latawiec. Briant, Gordon, Service, Cross i Garnett, wyznaczeni do obsługi windy, powinni zwalniać linę, w miarę jak aparat będzie chwycił wiatr.

– Uwaga! – zawołał Briant.

– Gotowi! – odpowiedział Doniphan. – Jazda!

Aparat uniósł się powoli, zadygotał pod działaniem bryzy i położył się na wietrze.

– Odwijać! Odwijać! – wołał Wilcox.

Natychmiast lina naprężyła się, winda zaczęła się obracać, a latawiec i gondola wzbijały się wolno w powietrze.

Choć nie było to rozważnie, chłopcy zawołali „hura”, gdy aparat oderwał się od ziemi. Znikł jednak niemal od razu w mroku, co rozczarowało Iversona, Jenkisa, Dole’a i Costara – malcy radzi by widzieć, jak kołysze się nad jeziorem. Kate pocieszała ich:

– Nie martwcie się, moje papuzy! Innym razem, kiedy nie będzie nam grozić żadne niebezpieczeństwo, wasz latawiec pofrunie w biały dzień!

Chociaż latawiec zniknął już, czuło się jednak, jak równomiernie ciągnął linę: dowodziło to, że stały wiatr dał w górze, aparat szybował spokojnie, a sznur był zaczepiony jak należy.

Briant pragnąc, aby doświadczenie jak najlepiej przekonało kolegów, pozwolił rozwinąć linę do końca. Mógł wtedy zbadać stopień jej napięcia – nie było w tym nic niebezpiecznego. Winda odwinęła tysiąc dwieście stóp liny i było bardzo prawdopodobne, że aparat wzniósł się na wysokość siedmiuset do ośmiuset stóp. Cały ten manewr nie trwał chyba dłużej niż dziesięć minut.

Przeprowadziwszy doświadczenie chłopcy zmienili się przy korbach, aby zwinąć linę. Ale ta druga część próby trwała znacznie dłużej. Zwinięcie tysiąca dwustu stóp liny zabrało nie mniej niż godzinę.

Łądowanie latawca, podobnie jak balonu, wymaga niezwyklej ostrożności, jeśli chce się, aby aparat osiadł bez wstrząsu. Ale bryza wiała tak równo, że lądowanie powiodło się znakomicie. Niebawem płócienny ośmiokąt zamajaczył w ciemności i opadł lekko na ziemię, niemal w tym samym punkcie, skąd wzleciał.

Posypały się wiwaty podobne do tych, jakimi pożegnano latawca.

Należało teraz przytwierdzić aparat do ziemi, aby w nocy wiatr go nie porwał. Baxter i Wilcox zaofiarowali się czuwać nad nim do świtu.

Nazajutrz, 8 listopada, o tej samej porze miał się odbyć właściwy lot.

Teraz czekali tylko na rozkaz Brianta, aby wrócić do groty.

Ale Briant nic nie mówił i zdawał się pogrążony w zadumie.

Czy myślał o niebezpieczeństwach, jakimi groził ów lot, na który chłopcy mieli ważyć się w tak wyjątkowych okolicznościach? Czy zastanawiał się nad odpowiedzialnością, jaką wzięłby na siebie, gdyby pozwolił jednemu z kolegów ryzykować życiem?

– Wracajmy – odezwał się Gordon. – Już późno...

– Chwileczkę – odrzekł Briant. – Gordon, Doniphan, zaczekajcie! Chcę wam coś zaproponować.

– No to mów – powiedział Doniphan.

– Wypróbowaliśmy przed chwilą nasz latawiec – powiedział Briant – i próba powiodła się, gdyż odbyła się w warunkach sprzyjających: wiatr był spokojny, ani za silny, ani za słaby. Ale czy możemy przewidzieć, jaka pogoda będzie jutro i czy wiatr pozwoli nam utrzymać latawiec nad jeziorem? Wydaje mi się, że rozsądniej będzie nie odkładać lotu!

Nikt nie odpowiedział na propozycję. W obliczu niebezpieczeństwa wahanie było czymś naturalnym, nawet u najodważniejszych chłopców.

Jednakże kiedy Briant zapytał:

– Kto chce lecieć?...

– Ja! – zawołał od razu Kubaś.

– Ja! – krzyknęli niemal jednocześnie Doniphan, Baxter, Wilcox, Cross i Service.

Po czym zapadła cisza, której Briant nie kwapił się przerywać. Kubaś odezwał się pierwszy:

– To ja powinienem się poświęcić! Tak! Ja!... Proszę cię! Pozwól mi!

– Dlaczego właśnie ty, a nie ja albo ktoś inny? – zapytał Doniphan.

– No tak!... Dlaczego? – ozwał się Baxter.

– Bo to mój obowiązek! – odparł Kubaś.

– Twój obowiązek? – zdziwił się Doniphan.

– Tak.

Gordon chwycił Brianta za rękę, jakby chciał go spytać, co Kubaś miał na myśli, i poczuł, że ręka kolegi drży w jego dłoni. Gdyby noc nie była tak ciemna, dojrzałby, jak twarz Brianta zbladła, a powieki osłoniły zwilgotniałe nagle oczy.

– No więc jak będzie? – spytał Kubuś, niezwykle jak na dziecko stanowczym tonem.

– Odpowiedz, Briant – rzucił Doniphan. – Kubuś powiedział, że poświęcić się to jego obowiązek! Ale czy my wszyscy nie mamy tego obowiązku? Cóż on takiego zrobił, aby domagać się...

– Co zrobiłem? – powiedział malec. – Co zrobiłem?... Powiem wam, co zrobiłem!

– Kubusiu! – zawołał Briant chcąc mu przeszkodzić.

– Nie – ciągnął dalej Kubuś, a głos łamał mu się pod wpływem wzruszenia. – Pozwól mi wyznać... To mi zanadto ciąży! Gordon, Doniphan, jeśli jesteście tutaj, z dala od rodziców... na tej wyspie... to ja jeden jestem temu winien! „Sloughi” został uniesiony na pełne morze, bo przez nieostrożność... nie... dla żartu... dla psoty odczepiłem cumę, która przytrzymała go przy moło w Auckland!... Tak, dla psoty! A potem, kiedy prąd zaczął znosić jacht... straciłem głowę!... Nie wołałem na pomoc, gdy był jeszcze czas po temu! A w godzinę później... w ciemności... na pełnym morzu... Ach, przebaczone mi... darujcie!

Biedny chłopiec zaszlochał, choć Kate usiłowała go pocieszyć.

– Dobrze, Kubusiu – powiedział wtedy Briant. – Przyznałeś się do winy, a teraz pragniesz narazić swoje życie, by naprawić zło, które wyrządziłeś, a przynajmniej odkupić jego część...

– Czy on go już nie odkupił? – wykrzyknął Doniphan w szlachetnym uniesieniu. – Czyż nie narażał się sto razy, by oddać nam jakąś usługę! Ach, Briant! Teraz rozumiem, dlaczego wybierałeś go zawsze, gdy wypadło stanąć oko w oko z niebezpieczeństwem, i dlaczego on był taki ofiarny! Puścił go poprzez mgły na poszukiwanie Crossa i mnie... narażając życie! O tak, Kubusiu, przebaczymy ci chętnie... nie potrzebujesz już odkupywać swojej winy!

Wszyscy otoczyli Kubusia, ściskali mu ręce; jednakże łkania wzbierały nadal w piersi chłopca.

Zrozumiano teraz, dlaczego ten figlarz, najweselszy w całym kolegium Chairmana, posmutniał tak bardzo i trzymał się ciągle na uboczu. A następnie, posłuszny rozkazowi brata, a raczej jego woli, spłacał z narażeniem życia swój dług, ilekroć nadarzyła się sposobność! I sądził, że to nie dość jeszcze! Znowu chciał się poświęcić dla innych!

Kiedy wreszcie mógł wydobyć głos, Kubuś powiedział:

– Widzicie, że to ja... tylko ja powinienem polecieć.

– Dobrze, dobrze – powiedział Briant przytulając chłopca do siebie. – Ale to ja polecę!

– Ty?! – wykrzyknął Kubuś.

– Ty? Ty? – powtórzyli Doniphan i Service.

– Tak... Ja. Czy winę Kubusia odkupi on sam czy jego brat, to nie ma znaczenia! A zresztą, jakże

moglibyście choć przez moment sądzić, że zgodzę się, aby tej próby, którą sam obmyśliłem, podjął się ktoś inny?

To mówiąc Briant wszedł do gondoli i kazał podnieść aparat.

Latawiec, pochylony na wietrze, wznosił się najpierw powoli, po czym Baxter, Cross i Service, stojący przy windzie, przypuścili liny, a Garnett zaczął odwijać sznur sygnałowy.

W dziesięć minut „Powietrzny Gigant” zniknął w ciemności; nie towarzyszyły mu już głośne wiwaty, jak przy próbnym locie. Zalegało głębokie milczenie.

Nieustraszony przywódca małej kolonii zniknął razem z latawcem.

Aparat wznosił się wolno, ale regularnie. Ciągłość podmuchów wiatru zapewniała mu doskonałą równowagę. Ledwie, ledwie przechylał się z boku na bok i Briant nie odczuwał żadnych niebezpiecznych wstrząsów. Stał nieruchomo, trzymając się oburącz lin, na których zwisała gondola kołysząca się łagodnie niby rozbujana huśtawka.

Jakież dziwaczne uczucie zawiadnęło Briantem, kiedy zawisł w przestworzach uwiązany do owego płóciennego skrzydła dygoczącego na wietrze! Zdawało mu się, że to porwał go jakiś fantastyczny, drapieżny ptak, a raczej, szybuje uczepiony do skrzydeł olbrzymiego, czarnego nietoperza. Dzięki sile charakteru potrafił jednak zachować zimną krew.

Po dziesięciu minutach od chwili kiedy latawiec oderwał się od ziemi, lekkie szarpnięcie dało chłopcom znać, że aparat przestał się wznosić. Lina rozwinęła się do końca – latawiec poderwał się jeszcze, szarpnąwszy tym razem kilkakrotnie. Wysokość, na jaką się wzbił, wynosiła w linii pionowej od sześciuset do ośmiuset stóp.

Briant, całkowicie panując nad sobą, naprężył najpierw sznurek przewleczony przez kulkę; po czym ją obserwował okolicę. Uczepiony jedną ręką liny latawca, w drugiej trzymał lunetę.

Rozpościerała się pod nim głęboka ciemność. Jezioro, lasy, urwisko – tworzyły jednolitą masę, w której niepodobna było rozeznaczyć żadnego szczegółu.

Granice wyspy odcinały się wyraźnie na tle oblewającego ją morza i Briant mógł ze swojego punktu obserwacyjnego ogarnąć spojrzeniem cały ten skrawek lądu.

Gdyby dokonał tego lotu w biały dzień i ogarnął spojrzeniem jasny horyzont, kto wie, czy nie dojrzałby innych wysp albo nawet kontynentu.

Od zachodu i północy, i południa mgły tak gęsto spowijały niebo, że chłopiec nie mógł nic dojrzeć, lecz na wschodzie przebijał spośród chmur skrawek firmamentu, na którym lśniło kilka gwiazd.

I właśnie w tej stronie silne światło, odbijające się w niskich wałach mgieł, przyciągnęło uwagę Brianta.

„To blask ognia! – pomyślał. – Czyżby Walston rozbił tam obóz? Nie, to światło jest nazbyt odległe, znajduje się na pewno poza granicami wyspy! A może to wulkan? Istnieje więc jakiś ląd na wschodzie?”

Przypomniał sobie wtedy białawą plamę, która pojawiła mu się w polu lunety podczas pierwszej wyprawy nad Zatoką Rozczarowania.

„Tak – pomyślał – to jest w tej samej stronie... Czyżby ta plama była odbłaskiem lodowca? Istnieje tedy na wschodzie jął ląd, niezbyt odległy od Wyspy Chairmana!”

Briant nastawił lunetę na owo światło, które wśród ciemności jaśniało bardzo wyraźnie. Bez wątpienia wznosiła się tam w sąsiedztwie lodowca jakaś góra ognista, należąca do wyspy, kontynentu, albo archipelagu, którego odległość od Wyspy Chairms nie przekraczała prawdopodobnie trzydziestu mil.

W tym momencie Briant spostrzegł inny blask. Znacznie bliżej, w odległości pięciu do sześciu mil – a więc na wyspie – błyszczało inne światło, na wschód od jeziora.

„Tym razem to w lesie – pomyślał – na samym skraju, od strony wybrzeża”.

Światło ukazało się i przygasło natychmiast; Briant nie dojrzał go ponownie mimo pilnej obserwacji.

Serce biło mu gwałtownie, a dłoń drżała tak, że nie mógł nastawić lunety z wystarczającą precyzją!

A więc nie opodal ujścia Rzeki Wschodniej płonęło obozowe; ognisko. Briant sam je widział.

Tak więc Walston i jego kamracy obozowali w tym miejscu, nie opodal Portu Niedźwiedziej Skąły! Mordercy z „Severna” nie opuścili bynajmniej wyspy! Młodzi koloniści mogli w każdej chwili spodziewać się napadu, a Grota Francuska nie była już bezpiecznym schronieniem!

Jasne, że Walston, nie mogąc naprawić szalupy, musiał zrezygnować z morskiej wyprawy, dzięki której dotarłby do pobliskiego lądu. Bo przecież niedaleko stąd leżały jakieś ziemie. Nie było co do tego żadnych wątpiwości.

Briant uznał, że nie ma potrzeby przedłużać tych napowietrznych oględzin. Przygotował się więc do powrotu. Wiatr wzmagął się wyraźnie. Latawiec kołysał się mocniej i wprawiał gondolę w silny ruch wahadłowy, który mógł utrudnić znacznie lądowanie.

Upewniwszy się, że sznur sygnałowy jest dobrze naprężony, Briant puścił kulkę, która po kilku sekundach znalazła – się w rękach Garnetta.

Natychmiast kołowrót zaczął ściągać aparat na ziemię.

Przez cały czas opadania latawca Briant patrzył w kierunku dostrzeżonych uprzednio światel. Ujrzał znów blask lawy wulkanu, a potem, bliżej, na wybrzeżu – ognisko obozowe.

Łatwo się domyślić, z jaką niecierpliwością Garnett i inni koledzy czekali na sygnał powrotu. Jakże dłużyło im się tych dwadzieścia minut, które Briant spędził w powietrzu!

A tymczasem Doniphan, Baxter, Wilcox, Service i Webb obracali energicznie korbami kołowrotu. Oni także zauważyli, że wiatr staje się porywisty. Czuli to po wstrząsach, jakim ulegała lina, i myśleli z niepokojem o Briancie, którym huśtało w górze.

Kołowrót obracał się szybko – trzeba było nawinąć na niego tysiąc dwieście stóp liny. Wiatr wzmagął się nieustannie i w trzy kwadranse po sygnale Brianta zerwała się silna wichura.

W tej chwili aparat musiał być jeszcze na wysokości przeszło, stu stóp nad jeziorem.

Nagle lina szarpnęła gwałtownie. Wilcox, Doniphan, Baxter, Webb i Service, straciwszy równowagę, o mało nie runęli na ziemię. Lina latawca pękła i wśród okrzyków trwogi powtórzono ze dwadzieścia razy:

– Briant! Briant! Briant!

Po kilku minutach Briant nagle wyskoczył na piasek.

– Braciszku! Braciszku! – wykrzyknął Kubuś, który podbiegł pierwszy, aby go uściskać.

– Walston jest na wyspie! – powiedział najpierw Briant, kiedy otoczyli go koledzy.

W chwili gdy pękła lina, Briant uczył, że spada nie pionowo, lecz ukośnie i względnie powoli, gdyż latawiec tworzył nad nim coś na kształt spadochronu. Najważniejszym zadaniem było wydobyć się z gondoli, póki nie dotknie ona tafli jeziora. Gdy już miała się zanurzyć, Briant skoczył głową w dół, a jako dobry pływak, z łatwością dotarł do brzegu odległego o czterysta, najwyżej pięćset stóp.

Tymczasem latawiec, uwolniony od ciężaru, zniknął na północy, porwany bryzą niby olbrzymi wrak powietrzny.

Rozdział XXV

Szalupa ze statku „Seoern” – Choroba Costara – Powrót jaskółek – Zniechęcenie – Drapieżne ptaki – Guanak zabity kulą – Cybuch – Wzmoczona czujność – Gwałtowna burza – Strzał – „Ratunku”!

Przez całą noc Moko strzegł grotty; nazajutrz młodzi koloniści, zmęczeni wrażeniami dnia poprzedniego, zbudzili się bardzo późno. Gordon, Doniphan, Briant i Baxter zebrali się zaraz w kuchni, gdzie Kate krzątała się jak zwykle przy gospodarstwie.

Zaczęli się naradzać nad sytuacją, która nadal była bardzo groźna.

– Walston – powiedział Gordon – przebywa na wyspie już od dwóch tygodni. Skoro nie zreperowali dotąd szalupy, widocznie brak im koniecznych narzędzi.

– Masz rację – potwierdził Doniphan – gdyż łódź nie była poważnie uszkodzona. Gdyby nasz „Sloughi”, utknąwszy na rafach, nie doznał potem innych uszkodzeń, naprawilibyśmy go w końcu i przysposobili do żeglowania!

A jednak choć Walston nie odjechał dotychczas, nieprawdopodobne było, aby zamierzał osiąść na Wyspie Chairmana; w przeciwnym razie wyprawiłby się już raz i drugi w głąb lądu i nie omieszkałby złożyć wizyty w Grocie Francuskiej.

Wtedy Briant opowiedział, że z latawca dostrzegł jakiś ląd.

– Pamiętacie – rzekł – jak w czasie naszej wyprawy do ujścia Rzeki Wschodniej zobaczyłem na horyzoncie białą plamę i nie umiałem sobie wytłumaczyć, skąd się ona wzięła...

– A jednak Wilcox i ja – wtrącił Doniphan – nie zauważyliśmy nic takiego, chociaż szukaliśmy tej plamy...

– Moko widział ją tak samo wyraźnie jak ja – odpowiedział Briant.

– Niech i tak będzie! – przystał Doniphan, – Ale z czego wnosisz, że jesteśmy w pobliżu kontynentu czy grupy wysp?

– Posłuchaj – odrzekł Briant. – Wczoraj, kiedy obserwowałem widnokrąg, dostrzegłem poza granicami wybrzeża światło bardzo wyraźne, które mogło pochodzić tylko z czynnego wulkanu. Przypuszczam więc, że w tych okolicach istnieje jakiś ląd! Marynarze z „Severna” muszą o tym wiedzieć i zrobią wszystko, żeby tam dotrzeć.

– Naturalnie! – odezwał się Baxter. – Cóż by zyskali siedząc tutaj? Jasne, że jeśli dotąd nie uwolniliśmy się od ich obecności to dlatego, że jeszcze nie naprawili szalupy.

To, co Briant oznajmił kolegom, było nadzwyczaj ważne. Upewnili się bowiem, że Wyspa Chairmana nie jest odosobniona – jak się wydawało – na tej części Pacyfiku. Ale równie ważny był fakt, że Walston, sądząc po tym, gdzie znajdowało się jego ognisko, obozował przy ujściu Rzeki Wschodniej, a więc opuściwszy Wybrzeże Wydm Seyerna zbliżył się do groty o jakie dwanaście mil. Wystarczyłoby mu teraz podążyć w górę Rzeki Wschodniej, by dotrzeć do jeziora, okrążyć je od południa i odkryć Grota Francuską.

Wobec tego Briant przedsięwziął daleko idące środki ostrożności. Wycieczki ograniczono do najkonieczniejszych, nie zapuszczano się nawet na lewy brzeg rzeki, między drzewa Bagien Leśnych. Baxter zamaskował krzewami i trawą oba wejścia, do hallu i do kuchni, jak również płot otaczający gospodarstwo. Nie wolno było też nikomu pokazywać się na terenie między jeziorem a Wzgórzem Aucklandzkim. Stosowanie się do tych wszystkich drobiazgowych przepisów czyniło trudną sytuację jeszcze przykrzejszą.

W tym okresie chłopcy mieli także inne powody do niepokoju. Costar zachorował na febrę i życiu

jego groziło niebezpieczeństwo. Gordon musiał sięgnąć do apteczki ze szkunera, nie bez obawy, że popełni jakiś błąd. Na szczęście Kate zastępowała matkę chłopcu. Pielęgnowała go rozsądnie i z serdecznością, instynktowną niemal u kobiet, czuwała nad chorym dniem i nocą. Dzięki jej oddaniu febra minęła i nasz rekonwalescent stopniowo wracał do sił. Ale gdyby nie mądra kuracja, febra zapewne wyczerpałaby go doszczętnie.

Nie wiadomo, jak by się wiodło chłopcom, gdyby nie zjawiała się Kate! Zaczyna kobieta oddała najmłodszym kolonistom swoje serce, otoczyła ich macierzyńską czułością, nigdy nie skąpiąc im pieczy.

– Taka już jestem, moje papuzy! – powtarzała. – Taką już mam naturę, że lubię robić na drutach, dogadzać dzieciom i pitrasić.

Przedmiotem największej troski Kate była bielizna chłopców – reperowała ją jak mogła. Ku wielkiemu jej niezadowoleniu bielizna ta służyła już prawie od dwudziestu miesięcy! Czym ją zastąpić, kiedy nie będzie zdatna do użytku? Tak samo obuwiu, choć oszczędzano je jak najgorliwiej i nikt nie wahał się chodzić boso, gdy tylko pozwalała pogoda, było w opłakanym stanie. Wszystko to niepokoiło przewidującą gospozię.

Pierwsza połowa listopada zaznaczyła się częstymi ulewami. Po czym, od siedemnastego, barometr zaczął wskazywać stałą pogodę. Rozpoczął się nieprzerwany okres upałów. Drzewa i krzewy okryły się wkrótce zielenią i kwieciem. Zwykli mieszkańcy Bagien Południowych wrócili tam całymi gromadami. Doniphanowi pękało serce; nie było mowy o przemierzaniu na szczudłach mokradeł, a zrozpaczony Wilcox nie mógł zastawiać sieci, dostrzeżono by je bowiem z drugiego brzegu jeziora.

Zresztą nie tylko ta część wyspy obfitowała w ptactwo – sidła w pobliżu groty nie próżnowały.

Pewnego dnia Wilcox schwytał jednego z tych wędrowników, które w zimie odlatują na północ. Była to jaskółka, a pod skrzydłem miała jeszcze uwiązany woreczek. Czy zawierała odpowiedź adresowaną do rozbitków ze „Sloughi”? Niestety, nie... Wysłannik wrócił bez odpowiedzi.

Podczas tych długich dni, nie wypełnionych żadną pracą, spędzano w hallu ciągnące się w nieskończoność godziny. Baxter, kronikarz kolonii, który notował co dzień wszystkie wydarzenia, próżnował teraz z konieczności. Za cztery miesiące miała się zacząć dla małych kolonistów z Wyspy Chairmana trzecia zima!

Można było zaobserwować pewien niepokojący objaw; chłopców, nawet najenergiczniejszych zaczęło ogarniać zniechęcenie. Wyjątek stanowił Gordon, którego wciąż pochłaniały szczegóły administracji. Briant również bywał przygnębiony, choć przywoływał całą siłę ducha, by tego nie okazywać. Usiłował zaradzić złu, zachęcając kolegów do nauki, pogadanek i głośnego czytania. Przypominał im wciąż o kraju i o rodzinach, zapewniając, że ujrzą wkrótce swoich bliskich. Słowem – starał się podnosić ich na duchu, ale że mu się to nie bardzo udawało, lękał się, by w końcu jego samego nie obezwładniło przygnębienie. Ale tak się nie stało. Wypadki niezmierniej wagi zmusiły wkrótce każdego z chłopców do wyczerpania wszystkich sił.

21 listopada, około drugiej po południu, uwagę Doniphana, łowiącego właśnie ryby nad jeziorem, zwrócił jazgot gromady ptaków krążących nad lewym brzegiem rzeki. Jeśli nawet nie były to kruki, zasługiwały na to, by je zaliczyć do tego kraczącego i żarłocznego rodu.

Doniphan nie zaprzętałby sobie głowy wrzaskliwym stadem, gdyby zachowanie się ptaków nie było tak osobliwe. Zataczały szerokie koła, których promień zmniejszał się w miarę, jak zniżały lot ku ziemi; następnie zbiły się w zwartą gromadę i opadły w dół.

Wrzaski się wzmogły; ale Doniphan na próżno starał się wypatrzeć stado wśród wysokich traw.

Pomyślał, że musiała tam leżeć jakaś padlina. Zaciekawiony, wrócił do groty i poprosił Moka, aby przewiózł go jolką na drugi brzeg rzeki.

Wsiedli obaj do łodzi i po dziesięciu minutach przemykali się między kępami sitowia. Ptaki zerwały się natychmiast, pomstując wrzaskliwie na intruzów, którzy ośmielili się przerwać im ucztę.

Na ziemi leżał młody guanak, nieżyjący zaledwie od paru godzin; był jeszcze ciepły.

Doniphan i Moko nie kwapili się zużytkować w kuchni resztek uczyty drapieżnych ptaków. Już je mieli porzucić, gdy nasunęło im się pytanie, jak i dlaczego guanak padł na skraju bagniska, z dala od wschodnich lasów, których jego pobratymcy nigdy zazwyczaj nie opuszczali?

Doniphan obejrzał zwierzę. Miało z boku ranę jeszcze krwawiącą ranę, której nie zadał ząb jaguara ani innego drapieżcy.

– Ten guanak został postrzelony! – stwierdził.

– A oto dowód – rzekł chłopiec okrętowy i, pogrzebawszy nożem w ranie, wydobyl z niej kulę.

Kula – wzięwszy pod uwagę jej kaliber – pochodziła raczej z karabinu aniżeli ze strzelby myśliwskiej. Mógł ją zatem wystrzelić tylko Walston albo któryś z jego kamratów.

Doniphan i Moko, pozostawiwszy guanaka ptactwu, wrócili do groty i tam odbyli z kolegami naradę.

Było faktem najoczywistszym, że guanaka zabił marynarz „z „Severna”, bo ani Doniphan, ani żaden z chłopców nie wystrzelił z fuzji od przeszło miesiąca. Należało jeszcze dowiedzieć się, w jakiej chwili i w jakim miejscu guanak otrzymał postrzał.

Po rozpatrzeniu wszystkich domysłów, wydało się prawdopodobne, że wypadek zaszedł najwyżej przed pięcioma albo sześcioma godzinami – tyle czasu potrzebowało zwierzę, by przebyć nizinę i dotrzeć nad rzekę. Stąd wniosek, że rankiem któryś z ludzi Walstona zbliżył się, polując, do południowego krańca jeziora i że banda, przeprawiwszy się przez Rzekę Wschodnią, podchodziła pod Grotę Francuską.

Sytuacja stawała się coraz poważniejsza, choć niebezpieczeństwo nie groziło jeszcze bezpośrednio. Na południu wyspy rozciągała się bowiem rozległa równina, pocięta strumieniami,

pełna jeziorak i wydm, gdzie nie starczyłoby zwierzyny na codzienne pożywienie dla całej bandy. Możliwe więc, że Walston nie zapuścił się w głąb niziny. A zresztą nie słyszano żadnej podejrzanego detonacji, którą wiatr przyniósł aż do groty. Można było zatem spodziewać się, że położenia Groty Francuskiej jak dotąd nie wykryto.

Mimo to należało ciągle zachowywać wielką ostrożność. Jeśli młodzi koloniści mieli jakąś szansę, by odeprzeć atak, to tylko pod warunkiem, że napastnik nie zaskoczy ich poza grotą.

Po trzech dniach nastąpiło zdarzenie, które jeszcze bardziej zaniepokoiło chłopców: musieli uznać, że z ich bezpieczeństwem jest gorzej niż kiedykolwiek.

Dwudziestego czwartego, około dziesiątej z rana, Briant i Gordon wybrali się na drugi brzeg Rzeki Zelandzkiej, aby przekonać się, czy nie można by przeciąć wąskiej ścieżki, wijącej się między jeziorem a mokradłem, czymś w rodzaju szańca. Za tym szańcem Doniphan i najlepsi strzelcy mogliby łatwo i szybko urządzić zasadzkę, gdyby uprzedzono ich w porę, że Walston nadciąga.

Kiedy chłopcy znaleźli się nie więcej niż o trzysta kroków od brzegu rzeki, Briant nadepnął na jakiś przedmiot i rozgniół go. Nie zwrócił na to najmniejszej uwagi myśląc, że to jedna z tysięcy muszel, które przynosi przypływ, kiedy wdziera się na równinę Bagien Południowych. Ale Gordon idący za Briantem przystanął i rzekł:

– Zaczekaj, zaczekaj!

– A co takiego?

Gordon schylił się i podniósł rozgnieciony przedmiot.

– Spójrz! – powiedział.

– To nie muszla – zdziwił się Briant – to...

– Fajka! – dokończył Gordon.

Rzeczywiście Gordon trzymał w ręku fajkę, której cybuch był – zgnieciony w miejscu, gdzie łączył się z lulką.

– Ponieważ żaden z nas nie pali – rzekł Gordon – fajkę tę zgubił...

– Ktoś z bandy – dopowiedział Briant – jeśli nie była własnością francuskiego rozbitka, który mieszkał przed nami na Wyspie Chairmana.

Nie! Ten cybuch świeżo zgnieciony nie mógł należeć do Franciszka Baudoin, zmarłego przeszło dwadzieścia lat temu. Musiał wypaść niedawno w tym miejscu, o czym świadczyły niezawodnie resztki tytoniu, które przylgnęły do wnętrza. A więc przed kilkoma dniami, a może godzinami, któryś z towarzyszy Walstona albo i sam Walston zapuścił się aż na ten brzeg jeziora.

Gordon i Briant wrócili zaraz do groty. Kate, gdy Briant pokazał jej lulkę, zapewniła, że widziała

ją w rękach Walstona.

Zbóje okrążyli więc kraniec jeziora. Może nocą zapuścili się aż nad Rzekę Zelandzką? A jeśli odkryli Grotę; Francuską, jeśli Walston widział, z kogo składa się mała kolonia, czyż nie przyszło mu na myśl, że są tam narzędzia, instrumenty, amunicja, żywność – to wszystko, czego mu brakowało, i że siedmiu silnych mężczyzn łatwo pokona piętnastu chłopców, zwłaszcza jeśli uda się ich zaskoczyć?

Nie było wątpliwości: banda podchodziła coraz bliżej.

Wobec tych groźnych perspektyw Briant, w porozumieniu z kolegami, zorganizował warty. W dzień posterunek obserwacyjny czuwał bez ustanku na grani Wzgórza Aucklandzkiego, aby sygnalizować natychmiast każdy podejrzany ruch, jaki dałby się zauważyć bądź od strony mokradła, bądź od strony Lasu Wilczych Dołów czy jeziora.

Nocami dwóch starszych chłopców musiało trzymać straż u wejścia do hallu i do kuchni bacząc na wszelkie odgłosy z zewnątrz. Jedne i drugie drzwi umocniono za pomocą podpór; w każdej chwili można było drzwi zabarykadować głazami zgromadzonymi w jaskini. Wąskie okienka wykute w skale posłużyły za strzelnice dwom działkom; jedno z nich miało bronić fasady od strony wybrzeży Rzeki Zelandzkiej, a drugie od strony jeziora. Ponadto strzelby i rewolwery były nabite, gotowe do strzału przy najmniejszym alarmie.

Kate strzegła się, by nie okazać niepokoju aż nazbyt usprawiedliwionego, gdy się pomyślało o nierównych szansach walki z marynarzami z „Severna”. Znała zarówno tych ludzi, jak ich herszta. Chociaż skąpo uzbrojeni, mogli jednak napaść zniecka mimo najpilniej strażujących wart. Doprawdy, gra była zbyt nierówna! Ach, czemuż nie było z nimi odważnego Evansa! Czemuż nie podążył za Kate, gdy uciekała? Może potrafiłby zorganizować lepiej obronę i tak przygotować grotę, by dało się odeprzeć atak Walstona!

Na nieszczęście, Evans musiał być bacznie strzeżony albo towarzysze pozbyli się go, jako niewygodnego świadka. Nie potrzebowali już może bosmana, by poprowadził łódź ku sąsiednim łądom.

Tak rozmyślała Kate. Nie lękała się o siebie, lecz o dzieci, nad którymi czuwała niestrudzenie.

Było to 27 listopada. Od dwóch dni panowały męczące upały. Ogromne chmury przeciągały ciężko nad wyspą, dalekie grzmoty zwiastowały burzę. Barometr zapowiadał, że walka żywiołów się zbliża.

Tego wieczora Briant i jego koledzy wrócili do hallu wcześniej niż zwykle, wciągawszy uprzednio jolkę do kuchni; ten środek ostrożności stosowali od jakiegoś czasu. Zamknęli starannie drzwi i położyli się do łóżek.

Około wpół do dziesiątej burza osiągnęła szczytowe nasilenie. Oślepiające światło błyskawic przenikało przez okienka, rozjaśniając hali. Grzmoty nie milkły ani na chwilę; wydawało się, że masyw Wzgórza Aucklandzkiego drży odbijając ten ogłuszający łoskot. Było to jedno z owych

dziwnych zjawisk meteorologicznych – burza bez deszczu i wichury.

Costar, Dole, Iverson i Jenkins wtulili się skuleni w kąć postania. Podskakiwali, ilekroć rozlegał się straszliwy trzask, jakby ktoś rozdzierał olbrzymią tkaninę. Nie należało się jednak niczego, lękać w tej grocie, której nic nie ruszyłoby z posad. Piorun mógł uderzyć dwadzieścia razy, sto razy w grań urwiska, a nie przebiłby grubych ścian jaskini, nie przepuszczających ani prądu elektrycznego, ani wichury. Od czasu do czasu Briant, Doniphan albo Baxter wstawali, by uchylić drzwi, ale rzuciwszy tylko okiem na okolicę, cofali się szybko, oślepieni błyskawicami. Powietrze stało w ogniu, jezioro, które odbijało blaski padające z nieba, wzdymało się jakby wałami płomieni.

Od dziesiątej do jedenastej błyskało się bez przerwy i bez ustanku huczał grom. Burza trochę przycichła dopiero przed samą północą. Grzmiało coraz rzadziej, a gwałtowność piorunów słabła w miarę, jak się oddalały. Zerwał się wiatr, skotłował chmury wiszące tuż nad ziemią i zaraz lunęło jak z cebra.

Malcy zaczęli się więc uspokajać. Kilka główek zagrzebanych głęboko pod kołdrą wyjrzało lękliwie – choć o tej godzinie wszyscy już powinni byli spać. Briant i starsi chłopcy, dopełniwszy tego wszystkiego, co nakazywała ostrożność, wybierali się już do łóżek, gdy nagle Phann jął okazywać niezrozumiałe podniecenie. Stawał na dwóch łapach, rwał się do drzwi hallu, warczał głucho i uparcie.

– Czyżby coś poczuł? – rzekł Doniphan usiłując uspokoić psa.

– Już wiele razy – zauważył Baxter – zachowywał się tak dziwacznie. Nasz pies jest bardzo mądry, nie myli się nigdy!

– Dowiedzmy się, co to znaczy, nim pójdziemy spać – dodał Gordon.

– Dobrze – zgodził się Briant. – Niech nikt nie wychodzi i bądźmy gotowi do obrony.

Każdy wziął fuzję i rewolwer. Doniphan skierował się ku drzwiom hallu, a Moko – ku drzwiom kuchni. Obaj, przytknąwszy ucho do drzwi, nie usłyszeli z zewnątrz nic podejrzanego. A jednak Phann wciąż się niepokoił. Niebawem jął nawet szczekać tak gwałtownie, że Gordon nie mógł go uciszyć. Było to bardzo kłopotliwe. Gdyby ktoś podszedł do groty, w przerwach między grzmotami usłyszałby doskonale ujadanie Phanna.

Nagle rozległ się huk, którego nie można było wziąć za grom. Był to na pewno strzał. Ktoś strzelił najwyżej o dwieście kroków od groty.

Wszyscy zajęli pozycje obronne. Doniphan, Baxter, Wilcox i Cross, uzbrojeni w fuzje, stanęli przy drzwiach gotowi wypalić do każdego, kto próbowałby je sforsować. Inni chłopcy zaczęli barykadować drzwi kamieniami przygotowanymi w tym celu, gdy ktoś zawołał na dworze:

– Ratunku! Ratunku!

Jakiś człowiek był w niebezpieczeństwie i wzywał pomocy.

– Ratunku! – ozwał się znów ten sam głos, tym razem już o kilka kroków.

Kate nasłuchiwała przy drzwiach.

– To on! – zawołała.

– On? – zdziwił się Briant.

– Otwórzcie, otwórzcie! – powtarzała kobieta.

Otwarto drzwi. Jakiś człowiek ociekający wodą wpadł do hallu.

Był to Evans, bosman ze statku „Severn”.

Rozdział XXVI

Kate i bosman – Opowiadanie Evansa – Po rozbiciu szalupy – Walston – Nad Portem Niedźwiedziej Skały – Latawiec – Wykrycie Groty Francuskiej – Ucieczka Evansa – Przebycie rzeki – Projekty – Propozycja Górdona – Ziemia na wschodzie – Wyspa Chairmana czy Hanowerska?

Gdy Gordon, Briant i Doniphan ujrzeli tak nieoczekiwanie Evansa, stali przez chwilę jak wryci. Po czym poskoczyli ku nowo przybyłemu odruchowo, jakby witając w nim zbawcę.

Był to mężczyzna najwyżej trzydziestoletni, barczysty, krzepki, o bystrym spojrzeniu, wysokim czole, rozumnej i sympatycznej twarzy, osłoniętej gęstwą zaniedbanego zarostu. Postać jego tchnęła energią i zdecydowaniem.

Przekroczywszy próg Evans odwrócił się i przytknął ucho do drzwi, które szybko zamknął za sobą. Nie usłyszał jednak nic szczególnego i pośpieszył na środek hallu. Tutaj, obejrzawszy w świetle latarni zawieszanej u stropu gromadkę otaczających go chłopców, szepnął:

– Tak... to dzieci! Tylko dzieci!

Nagle oczy zaiskrzyły mu się, a twarz rozbłysła radością. Otworzył szeroko ramiona na widok Kate, która szła właśnie ku niemu.

– Kate! – wykrzyknął. – Kate żyje!

Chwycił ją za ręce, chcąc się jakby upewnić, że nie są to ręce zmarłej.

– Żyję, żyję, tak samo jak pan! – odpowiedziała Kate – Bóg nas ocalił i On także zesłał pana na pomoc tym dzieciom! Bosman policzył spojrzeniem chłopców, którzy zgromadzili się wokół stołu.

– Piętnastu! – powiedział. – Tylko pięciu albo sześciu zdolnych się bronić... Ha, trudno!

– Czy grozi nam napad? – spytał Briant.

– Nie, mój chłopcze, to znaczy jeszcze nie w tej chwili – odparł bosman.

Oczywiście każdy chciał poznać przeżycia Evansa, szczególnie zaś to, co wydarzyło się od momentu, kiedy burza rzuciła szalupę na Wydmy Severna. Ani starsi, ani malcy nie zmrużyliby oka, nie usłyszawszy tak dla nich ważnej relacji. Lecz Evans musiał zdjąć przemoczoną odzież i posilić się nieco. Przebył wpław Rzekę Zelandzką i ociekał wodą. Padał ze zmorzenia i głodu, bo nie jadł nic od rana i nie odpoczywał ani chwili.

Briant zaprowadził Evansa do kuchni, gdzie Gordon przyniósł mu przyzwoity strój marynarski. Moko podał trochę zimnego mięsa, parę filiżanek wrzącej herbaty i spory kieliszek brandy.

Po kwadransie Evans, siedząc za stołem w hallu, opowiadał o swych przygodach.

– Zanim szalupa osiadła na plaży – rozpoczął opowieść – sześciu ludzi – razem ze mną – fale cisnęły na pierwsze skały pierścienia raf. Żaden z nas nie ucierpiał zbytnio. Tylko lekkie kontuzje – ran żadnych. Niemniej trudno było wydostać się po ciemku z owej kipieli, gdy rozwścieczone morze cofało się smagane wichrem dmącym ku lądowi.

Jednakże po wielu wysiłkach zdołaliśmy, Walston, Brandt, Rock, Book, Cope i ja, zdrowi i cali, wydostać się poza zasięg fal. Brakowało dwóch – Forbesa i Pike’a. Czy ściągnęła ich jakaś olbrzymia fala, czy też zdołali się uratować, gdy szalupa dotarła do plaży? Tego nie wiedzieliśmy. Co zaś do Kate, sądziliśmy, że zmyły ją fale, i nie spodziewałem się zobaczyć jej kiedykolwiek.

Mówiąc to Evans nie taił bynajmniej wzruszenia ani radości, jakiej doznał na widok dzielnej kobiety, która jak i on ocalała z rzezi na „Severnie”.

– Stanąwszy na plaży – ciągnął Evans dalej – straciliśmy sporo czasu na odszukanie szalupy. Przybiła zapewne do lądu około siódmej, a dopiero przed pomocą odnaleźliśmy ją, wyrzuconą na piasek. Pewnie dlatego, że podążyliśmy najpierw brzegiem...

– Nazywamy go Wydmi Severna – dopowiedział Briant. – Nazwę taką nadali tej części wybrzeża koledzy, którzy znaleźli szalupę wcześniej, nim jeszcze Kate opowiedziała nam o katastrofie.

– Wcześniej?... – zdziwił się Evans.

– Tak – powiedział Doniphan. – Znaleźliśmy się tam w dniu katastrofy, tego wieczoru, kiedy ciała dwóch pańskich towarzyszy leżały jeszcze na piasku!... Ale o świcie, kiedy powróciliśmy na plażę, aby oddać rozbitkom ostatnią usługę, okazało się, że zniknęli.

– Rzeczywiście – odparł Evans – wszystko się zgadza. Forbes i Pike, o których myśleliśmy, że utonęli, dzięki czemu ubyłoby na świecie dwóch łajdaków, zostali wyrzuceni nie opodal szalupy. Walston i jego ludzie znaleźli kamratów i ocucili ich paroma łykami dżynu.

Szczęśliwym dla nich trafem – nieszczęśliwym zaś dla nas – kufer na łodzi nie rozbił się ani nie zaczął przeciekać. Amunicja, pięć karabinów, reszta żywności rzucone pośpiesznie do szalupy podczas pożaru „Severna” – wszystko to bandyci zabrali ze sobą, gdyż obawiali się, że następny przypływ roztrzaska ostatecznie łódź. Po czym oddaliliśmy się od miejsca katastrofy, ruszywszy wybrzeżem na wschód.

W tej chwili jeden z tych łotrów, zdaje się Rock, wspomniał o Kate. Na to Walston odparł: „Porwała ją fala!... Baba z wozu!” Naprowadziło mnie to na myśl, że skoro bandyci cieszyli się z domniemanej śmierci Kate, to samo będzie dotyczyło i mnie. Ale gdzież pani była? – zwrócił się do Kate.

– Leżałam za łodzią, od strony morza – odparła Kate – tam gdzie rzuciła mnie fala podczas katastrofy... Nikt nie mógł mnie wypatrzeć i słyszałam wszystko, co mówił Walston i inni... Kiedy odeszli, wstałam i poszłam w przeciwnym kierunku, żeby nie wpaść znów w ich łapy. W półtorej doby potem chłopcy znaleźli mnie umierającą z głodu i zaprowadzili do Groty Francuskiej.

– Groty Francuskiej? – powtórzył Evans.

– Tak nazwaliśmy naszą siedzibę – odpowiedział Gordon – na pamiątkę pewnego rozbitka francuskiego, który mieszkał tutaj przed laty!

– Grota Francuska, Wydmy Severna... – powiedział Evans. – Widzę, moi chłopcy, żeście nadal ładne nazwy rozmaitym zakątkom! To pięknie!

– O tak, panie Evans, to piękne nazwy – odezwał się Service – i jest ich więcej: Jezioro Rodzinne, Bagna Południowe, Rzeka Zelandzka, Las Wilczych Dołów...

– Dobrze, dobrze! Opowiecie mi o tym później... A tymczasem posłuchajcie o moich przygodach. Czy nic nie słyhać na dworze?

– Nie - odparł Moko stróżujący u wejścia do hallu.

– Całe szczęście! – rzekł Evans. – Słuchajcie więc! W godzinę od chwili kiedy porzuciliśmy łódź, dotarliśmy do lasu i tam rozbiliśmy obóz. Nazajutrz i przez następne dni wracaliśmy na miejsce, gdzie szalupa leżała na piasku, i próbowaliśmy ją naprawić; ale nie mając nic prócz siekiery, nie zdołaliśmy wyłatać strzaskanego poszycia i doprowadzić szalupy do tego stanu, by można było puścić się nią na morze, choćby podróż miała być najkrótsza. Zresztą miejsce było nad wyraz niedogodne do takiej pracy.

Powędrowaliśmy więc poszukać miejsca na obozowisko w okolicy nie tak jałowej, gdzie moglibyśmy polować; szukaliśmy miejsca nad rzeką, bo zapas słodkiej wody wyczerpał nam się zupełnie.

Przebywszy brzegiem morza ze dwanaście mil, dotarliśmy do niewielkiej rzeki...

– Rzeki Wschodniej! – wykrzyknął Service.

– Niech będzie Rzeka Wschodnia – przystał Eyans, – Tam, w głębi rozległej zatoki...

– Zatoki Rozczarowania! – powiedział Jenkins.

– Zgoda, Zatoka Rozczarowania – - powtórzył Evans z uśmiechem. – Wśród skał znajdował się mały naturalny port...

– Niedźwiedziej Skały! – wykrzyknął z kolei Costar.

– Zgoda. Niech będzie Port Niedźwiedziej Skały, mój malcze! – odparł Evans kiwnąwszy głową. – Postanowiliśmy osiedlić się w tym zakątku; gdyby udało nam się przyholować tam szalupę, kto wie, czy nie zdołalibyśmy jej uszczelnić.

Wróciliśmy więc po nią i odjąwszy jej tyle ciężaru, ile się dało, spuściliśmy ją na wodę. Nabrała wody aż po pokład, ale holowaliśmy ją wzdłuż brzegu i wreszcie zawinęła do zatoczki, gdzie nic jej teraz nie grozi.

– Szalupa jest w Porcie Niedźwiedziej Skały? – spytał Briant.

– Tak. I wydaje mi się, że mając odpowiednie narzędzia można by ją naprawić...

– Mamy narzędzia, panie Evans – wtrącił żywo Doniphan.

– Ach, Walston domyślił się tego, dowiedziawszy się przypadkiem, że wyspa jest zamieszкана i kto ją zamieszkuje!

– Jakże się mógł o tym dowiedzieć? – spytał Gordon.

– Ano tak – odrzekł Evans. – Tydzień temu Walston, jego kamraci i ja – bo nie zostawiali mnie nigdy samego – powędrowaliśmy na zwiady przez las. Po kilkugodzinnym marszu brzegiem Rzeki Wschodniej stanęliśmy nad rozległym jeziorem, skąd rzeka wypływała. I tam – wyobraźcie sobie nasze zdziwienie – natknęliśmy się na jakiś osobliwy przedmiot. Był to rodzaj trzciniowego szkieletu powleczonego płótnem.

– Nasz latawiec! – wykrzyknął Doniphan.

– Nasz latawiec wpadł do jeziora – dorzucił Briant – ale wiatr zagnał go aż tam!

– Ach, to był latawiec! – zdziwił się Evans. – Daję słowo, nie odgadliśmy tego, a ta „machina” mocno nas zaintrygowała! Bądź co bądź nie stworzyła się sama. I zbudowano ją na pewno na wyspie... Nie było wątpliwości! A więc wyspa była zamieszкана... Ale przez kogo? Na tej wiadomości Walstonowi zależało najbardziej. Co do mnie, postanowiłem tego dnia, że ucieknę. Kimkolwiek byliby mieszkańcy wyspy – choćby nawet dzikimi – nie mogli być gorsi od morderców z „Severna”! Od tej chwili zresztą strzeżono mnie dniem i nocą!

– A jak wykryli naszą grootę? – spytał Baxter.

– Dochodzimy już do tego – odparł Evans. – Ale nim dokończę opowiadania, wytłumaczcie mi, chłopcy moi, do czego wam służył ten olbrzymi latawiec? Czy był znakiem sygnałowym?

Gordon opowiedział Evansowi o budowie latawca i do czego miał on służyć; opowiedział, jak Briant pragnął ocalić kolegów narażając własne życie i w jaki sposób stwierdził, że Walston przebywa nadal na wyspie.

– Jesteś dzielnym chłopcem – rzekł Evans ściskając przyjaźnie dłoń Brianta. – Pojmujesz – ciągnął dalej – że Walston myślał odtąd tylko o tym, kto zamieszkuje tę nieznaną wyspę. Jeśli są tutaj tubylcy, może zdoła porozumieć się z nimi? Jeśli są to rozbitkowie, może rozporządzają narzędziami, których mu brakło? W takim wypadku nie odrzuci ich pomocy przy naprawie łodzi.

Zaczęły się więc poszukiwania, prowadzone, zaznaczam, z wielką ostrożnością. Postępowaliśmy wolno naprzód, badając lasy porastające prawy brzeg jeziora i zacierając ku jego południowemu cypłowi. Ale nie spotkaliśmy żadnej ludzkiej istoty. Żaden strzał nie rozległ się w tej części wyspy.

– Dlatego – wtrącił Briant – że nie oddalaliśmy się od groty i że nie wolno było dać ani razu ognia.

– A jednak wykryto was – powiedział Evans. – I jakże mogło być inaczej? Stało się to nocą z dwudziestego trzeciego na dwudziesty czwarty listopada, kiedy jeden z ludzi Walstona dojrzał grootę z południowego brzegu jeziora. Nieszczęśliwy traf chciał, że w pewnej chwili spostrzegł światło (przesączaające się poprzez ścianę urwiska – niewątpliwie światło latarni, które przedostało się przez uchylone na moment drzwi. Nazajutrz Walston podążył sam w tę stronę i spędził część wieczoru ukryty w trawie, o parę kroków od rzeki.

– Wiedzieliśmy o tym – powiedział Briant.

– Wiedzieliście o tym?

– Tak, gdyż znaleźliśmy w tym miejscu kawałki potłuczonego cybucha; Kate stwierdziła, że to były resztki fajki Walstona.

– To prawda – rzekł Evans. Walston zgubił fajkę podczas wyprawy i wrócił bardzo tym zmartwiony. Zapoznał się wtedy z życiem waszej kolonii. Zaszywszy się w trawie, obejrzał prawie wszystkich chłopców, kiedy kręcili się nad prawym brzegiem rzeki... Byli to tylko malcy, z którymi siedmiu mężczyzn łatwo mogłoby sobie poradzić! Walston wrócił, by opowiedzieć kamratom o tym, co widział. Podśluhawszy jego rozmowy z Brandtem, dowiedziałem się, co knują przeciwko wam...

– Potwory! – wykrzyknęła Kate. – Nie mają litości nawet nad dziećmi!

– Tak, Kate – odparł Evans. – Tak samo nie ulitowali się nad pasażerami „Severna”! Potwory! Dobrze ich pani nazwała! A dowodzi nimi najokrutniejszy spośród nich, Walston, który – mam nadzieję – nie ujdzie kary za swe zbrodnie!

– Dzięki Bogu, udało się panu uciec! – powiedziała Kate.

– Tak, Kate. Mniej więcej dwanaście godzin temu udało mi się wykorzystać nieobecność Walstona i innych, którzy zostawili mnie pod strażą Forbesa i Rocka. Moment wydał mi się stosowny, by „wyplłynąć na szerokie wody”. A jak wyprowadziłem w pole tych dwóch łajdaków albo przynajmniej zdystansowałem ich – to już moja sprawa; dość, że zdołałem uzyskać nad nimi przewagę!

Było około dziesiątej rano, kiedy puściłem się przez las...

Forbes i Rock spostrzegli się niemal natychmiast i popędzili za mną. Byli uzbrojeni w fuzje... Ja zaś miałem tylko nóż marynarski do obrony i chyże nogi.

Pogoń trwała cały dzień. Przeciąwszy na skos las dotarłem nad lewy brzeg jeziora. Należało jeszcze obejść jego cypel, bo z podsłuchanej rozmowy dowiedziałem się, że wasza siedziba znajduje się nad rzeką płynącą na zachód.

Doprawdy, nigdy w życiu nie biegłem tak szybko i tak długo! Prawie piętnaście mil w ciągu jednego dnia! Do stu diabłów, łajdaki przez cały czas gonili trop w trop za mną, a ich kule były jeszcze szybsze! Niejeden raz gwizdały mi koło uszu. Pomyślcie, znałem ich tajemnicę! Jeśli uda mi się zbiec, będę mógł ich oskarżyć! Należało więc pochwyć mnie za wszelką cenę. Doprawdy, gdyby nie mieli broni palnej, byłbym na nich zaczekał z nożem w ręku, ważąc się na wszystko. Tak, Kate, wolałbym umrzeć niż wrócić do obozowiska tych łajdaków!

Myślałem, że ta przeklęta pogoń skończy się o zmroku... Gdzie tam! Okrążyłem już cypel jeziora i podążałem przeciwnym brzegiem, ale Forbes i Rock wciąż deptali mi po piętach. Wtedy burza, zbierająca się od jakiegoś czasu, rozszalała się gwałtownie. Utrudniła mi ucieczkę, gdyż w świetle błyskawic ci obwiesie mogli mnie spostrzec wśród nadbrzeżnych trzcin. Wreszcie znalazłem się o jakieś sto kroków od rzeki... Gdyby udało mi się ją przebyć, uważałbym się za ocalonego! Nie ośmieliliby się nigdy przepłynąć rzeki wiedząc doskonale, że znajdują się wówczas w sąsiedztwie Groty Francuskiej.

Pobiegłem więc dalej i już docierałem do lewego brzegu rzeki, kiedy ostatnia błyskawica oświetliła równinę. Jednocześnie padł strzał...

– Ten, któryśmy usłyszeli? – spytał Doniphan.

– Oczywiście! – odparł Evans. – Kula musnęła mi ramię... Skoczyłem naprzód i rzuciłem się w wodę... Kilkoma ruchami ramion dotarłem do przeciwległego brzegu, po czym ukryłem się w trawie, a Rock i Forbes zatrzymali się po drugiej stronie i usłyszałem taką rozmowę: „Czyś go trafił, jak myślisz?” „Jestem pewien!” „No, to poszedł na dno?” „Oczywiście; i na pewno już nie żyje!” „To i po kłopocie!” – I zawrócili.

Tak! Po kłopocie! Miało tak być i ze mną, i z Kate! Ach, łotry! Jeszcze się przekonacie, że żyję!... Po chwili wyplątałem się z trawy i skierowałem się ku załomowi urwiska. Doszło mnie szczekanie... Zawołałem... Drzwi groty otworzyły się... A teraz – dorzucił wskazując pięścią w stronę jeziora – naszą sprawą, chłopcy, będzie skończyć raz z tymi nędznikami i uwolnić od nich waszą wyspę!

Powiedział to z taką energią, że wszyscy wstali, gotowi ruszyć za nim.

Trzeba było teraz opowiedzieć Evansowi, jakie zaszły wydarzenia na wyspie przez dwadzieścia miesięcy, wyjaśnić, w jaki sposób „Sloughi” opuścił Nową Zelandię, opisać jego długą podróż poprzez Ocean Spokojny, wspomnieć o znalezieniu kości francuskiego rozbitka, o osiedleniu się w Grocie Francuskiej, o letnich wyprawach i zimowej pracy, o tym wreszcie, jak spokojny i stosunkowo bezpieczny tryb życia wiedli młodzi koloniści na wyspie, póki nie przybył tu Walston i jego banda.

– I od półtora roku żaden okręt nie pojawił się w pobliżu wyspy? – spytał Evans.

– Przynajmniej nie dostrzegliśmy żadnego – odpowiedział Briant.

– Czy wystawiliście jakieś znaki sygnałowe?

– Tak. Postawiliśmy maszt na najwyższej grani urwiska.

– I nie dostrzeżono go?

– Nie – odpowiedział Doniphan. – Ale trzeba dodać, że półtora miesiąca temu zdjęliśmy go, aby nie zwrócił uwagi Walstona.

– Słusznie postąpiliście, chłopcy! Co prawda ten łajdak wie już o was wszystko. Toteż będziemy się mieć na baczności dniem i nocą.

– Czemuż tak się składa – zauważył Gordon – że mamy do czynienia z nędznikami, a nie z uczciwymi ludźmi, którym pomogliśmy jak najchętniej! Nasza mała kolonia stałaby się potężniejsza! A tak czeka nas walka w obronie życia i nie wiadomo, czym to wszystko się skończy.

– Bóg, który strzegł was dotąd, moje dzieci – powiedziała Kate – nie opuści was i teraz! Zesłał wam dzielnego Evansa i wraz z nim...

– Evans! Niech żyje Evans! – wykrzyknęli chórem młodzi koloniści.

– Możecie na mnie liczyć, chłopcy – odpowiedział bosman – a ja również licząc na was mogę obiecać wam, że bronić się będziemy skutecznie.

– A jednak, czy nie można by uniknąć walki, gdyby Walston zgodził się opuścić wyspę? – powiedział Gordon.

– Co masz na myśli? – spytał Briant.

– Myślę, że i on, i jego kamraci opuściliby już dawno wyspę, gdyby zdołali naprawić szalupę! Prawda, panie Evans?

– Na pewno.

– No więc gdybyśmy weszli z nimi w układy i dostarczyli im narzędzi – może by je przyjęli?... Wiem, że nawiązywanie jakichkolwiek stosunków z mordercami z „Severna” jest postępkim odrażającym! Lecz, aby się od nich uwolnić, udaremnić atak, który kosztowałby może wiele krwi... A co pan o tym myśli, panie Evans?

Evans wysłuchał uważnie Gordona. Propozycja chłopca świadczyła, że odznaczał się on umysłem praktycznym: nie dawał się ponieść impulsowi i zaliczał się do ludzi, którzy ze spokojem rozpatrują każde położenie, i że jego uwagi zasługują na przedyskutowanie.

– Rzeczywiście – odpowiedział – każdy sposób, w jaki moglibyśmy uwolnić się od tych złoczyńców, należy uznać za dobry. Lepiej oczywiście byłoby umożliwić im naprawienie szalupy niż rozpoczynać walkę, której rezultat jest wątpliwy. Ale czy można zaufać Walstonowi? Jeśli nawiążecie z nimi stosunki, czy nie skorzysta z tego, aby zaskoczyć was, zawładnąć grotą i całym waszym dobytkiem? Czy nie pomyśli na przykład, że zdołaliście ocalić z katastrofy również i pieniądze? Te łotry, wierzcie mi, zapłacą wam za wasze usługi tylko złem! W ich sercach nie ma miejsca na wdzięczność. Porozumieć się z nimi, znaczyłoby wydać się...

– Nie! Nie! – wykrzyknął Baxter i Doniphan, których koledzy tak gorąco poparli, że sprawiło to Evansowi przyjemność.

– Nie! – dodał Briant. – Żadnych układów z Walstonem i jego bandą!

– Prócz tego – ciągnął Evans – potrzebują oni nie tylko narzędzi, lecz i amunicji! Że mają jej jeszcze dosyć, by poważić się na atak, to aż nazbyt pewne! Ale jeśli wypadnie im zapuścić się z bronią w rękę w inne strony, na pewno im nie starczy prochu i ołowiu! Poproszą was tedy o amunicję... Zażądatają jej! Czy dacie?

– Oczywiście, że nie! – odpowiedział Gordon.

– Wtedy spróbują ją zdobyć siłą! Odwleciecie więc tylko walkę, która wówczas rozegra się w warunkach znacznie dla was gorszych.

– Ma pan rację, panie Evans – rzekł Gordon. – Trzymajmy się w defensywie i czekajmy!

– Tak, to najwłaściwsze stanowisko. Czekajmy. Zresztą jest jeszcze jedna przyczyna – leżąca mi bardziej na sercu od innych – abyście czekali.

– Jaka?

– Posłuchajcie uważnie! Walston, jak wiecie, może opuścić wyspę tylko szalupą z „Severna”.

– To jasne – powiedział Briant.

– Otóż szalupa nadaje się doskonale do naprawy – twierdzą to z całą pewnością – i jeśli Walston nie mógł dotychczas doprowadzić jej do stanu używalności, to tylko z braku odpowiednich narzędzi...

– Gdyby nie to, byłby już daleko – wtrącił Baxter.

- Tak, chłopcze. A więc jeśli dostarczycie Walstonowi środków do uszczelnienia szalupy – założywszy nawet, że odstąpi on od zamiaru obrabowania groty – odpłynie stąd jak najszybciej nie troszcząc się o was.
- Phi! Że też on tego jeszcze nie zrobił! – wykrzyknął Service.
- Do stu diabłów! Gdyby to był zrobił! – odparł Evans – jakim cudem dokazalibyśmy tego samego, skoro szalupy z „Severna” już by tu nie było?
- Jak to – zdziwił się Gordon – liczy pan, że tą łodzią opuścimy wyspę?...
- A jakże!
- I dotrzemy do Nowej Zelandii płynąc przez Pacyfik? – - dorzucił Doniphan.
- Przez Pacyfik?... O nie, moje dzieci! – odparł Evans. – Dotrzemy do jakiegoś pobliskiego portu, gdzie poczekamy na okazję powrotu do Auckland!
- Mówi pan poważnie, panie Evans?! – wykrzyknął Briant. Chłopcy zaczęli zarzucać Evansa pytaniami.
- Jakże to? Czyż tą szalupą będzie można przepłynąć paręset mil? – nagabywał Baxter.
- Paręset mil? – powtórzył Evans. – Wcale nie! Załedwie około trzydziestu!
- A więc to nie ocean rozpościera się wokół wyspy? – spytał Doniphan.
- Na zachód od wyspy – tak! – odparł Evans. – Ale na południu, północy i wschodzie są wąskie kanały, które można przebyć w dwie i pół doby!
- A więc nie myliliśmy się sądząc, że istnieją w pobliżu jakieś lądy? – spytał Gordon.
- Ani trochę. A nawet na wschodzie leżą rozległe ziemie...
- Tak... Na wschodzie! – wykrzyknął Briant. – Ta biaława plama, światło, które później dostrzegłem w tej stronie...
- Biaława plama, powiada pan? – zdziwił się Evans. – To oczywiście jakiś lodowiec, a światło – to płomień wulkanu, który figuruje na pewno na mapach. Ale, ale, jak wam się zdaje, moi mili, gdzie się znajdujemy?
- Na jednej z samotnych wysp Oceanu Spokojnego – powiedział Gordon.
- Na wyspie – tak! Samotnej – nie! Należy ona, to pewne, do jednego z licznych archipelagów rozsianych na wybrzeżach Ameryki Południowej. Nadaliście co prawda rozmaite miana cyptom, zatokom i rzekom, ale nie wymieniliście nigdy nazwy samej wyspy.

– Wyspa Chairmana. Nasze kolegium tak się nazywa – odpowiedział Doniphan.

– Wyspa Chairmana! – powtórzył Evans. – A to doskonale! Ma ona zatem dwie nazwy, bo nosi od dawna miano Wyspy Hanowerskiej.

Bosman Evans odłożył resztę wyjaśnień do następnego dnia: pokaże im dokładnie w atlasie położenie wyspy.

Po tej rozmowie chłopcy, rozstawivszy jak zwykle strażę, poszli spać. Dla Evansa przygotowali posłanie w hallu. Młodzi koloniści doznali dwojakiego rodzaju wrażeń, zdolnych zamącić im sen: z jednej strony przeraziła ich perspektywa krwawej walki, z drugiej zabłysła nadzieja powrotu do ojczyzny.

Noc upłynęła spokojnie; w grocie jedynie Moko i Gordon czuwali do świtu.

Rozdział XXVII

Cieśnina Magellana – Kontynenty i wyspy z nią sąsiadujące – Tamtejsze osiedla – Projekty na przyszłość – Siła czy podstęp? – Rock i Forbes – Rzekomi rozbitkowie – Gościnne przyjęcie – Między jedenastą wieczór a północą – Strzał Evansa – Interwencja Kate

Kanał długości około trzystu osiemdziesięciu mil, biegnący z zachodu na wschód, od Przylądka Dziewic na Atlantyku aż po przylądek Los Pilares na Oceanie Spokojnym – oto Cieśnina Magellana, którą słynny żeglarz portugalski odkrył w roku 1520. Cieśnina ujęta jest w ramę bardzo urozmaiconych brzegów, osłonięta górami wznoszącymi się na trzy tysiące stóp nad poziomem morza, poźłobiona zatokami, w których głębi leżą porty sztormowe. Obfituje w zbiorniki słodkiej wody, gdzie okręty mogą uzupełniać swoje zapasy, a obrzeża ją gęstwina lasów pełnych zwierzyny, rozbrzmiewająca łoskotem tysięcy wodospadów, które spływają do niezliczonych zatoczek. Cieśnina Magellana stanowi dla okrętów płynących ze wschodu lub zachodu szlak krótszy niżli Cieśnina Lemaire’a, dzieląca Ziemię Stanów od Ziemi Ognistej, i mniej smagany burzami od pobrzeży przylądka Horn.

Hiszpanie, którzy przez pół wieku jako jedyni żeglarze odwiedzali kraje leżące nad Cieśniną Magellana, założyli na Półwyspie Brunswickim fundamenty Portu Głodowego. Po Hiszpanach przyszli Anglicy z Drake’em, Cavendishem, Chidleyem, Hawkinsem; następnie Holendrzy z de Weeztem, de Cordem, de Noortem, a także z Lemaire’em i Schoutenem, którzy w 1610 roku odkryli cieśninę noszącą dziś miano Cieśniny Lemaire’a. Wreszcie między rokiem 1696 a 1712 pojawili się Francuzi z Degennesem, Beauchesne-Gouinem, Frézierem; od tego czasu owe strony stanęły otworem dla najsłynniejszych żeglarzy z ostatnich lat stulecia: Ansona, Cooka, Byrona, Bougainville’a i innych.

Wreszcie Cieśnina Magellana stała się uczęszczanym szlakiem łączącym oba oceany, zwłaszcza

odkąd żegluga parowa, nie zwą zająca na niepomysłne wiatry i przeciwnie prądy, pozwoliła przebywać ją w wyjątkowo pomyślnych warunkach.

Taka jest ta cieśnina, którą nazajutrz – 28 listopada – Evans wskazał na mapie atlasu Stieler Briantowi, Gordonowi i pozostałym chłopcom.

Patagonia – ostatnia prowincja Ameryki Południowej – Ziemia Króla Wilhelma i Półwysep Brunszwicki przylegają od północy do cieśniny; na południu obrzeża ją Archipelag Magellana, w którego skład wchodzi rozległe wyspy: Ziemia Ognista, Ziemia Desolacion, Clarence, Hoste, Gordon, Navarin, Wollaston Stewart i wiele innych, mniej ważnych, aż po ostatnią grupę Wysp Pustelniczych; spośród nich wyspą wysuniętą najdalej – na granice dwóch oceanów jest ostatni szczyt łańcucha Andów, noszący miano przylądka Horn.

Od wschodu Cieśnina Magellana rozszerza się w jeden czy dwa leje, między patagońskim Przylądkiem Dziewic a przylądkiem Espiritu-Santo, należącym do Ziemi Ognistej. Ale na zachodzie jest inaczej, co zresztą podkreślił Evans. W tej stronie wysepki, wyspy, archipelagi, cieśniny, kanały, odnogi morskie tworzą istny labirynt. Wody cieśniny wpadają do Oceanu Spokojnego przesmykiem, który dzieli górzysty przylądek Los Pilares od południowego cypla rozległej Wyspy Królowej Adelajdy. Powyżej, począwszy od Cieśniny Lorda Nelsona aż, po wyspy Chonos i Chiloe, przylegające do wybrzeży chilijskich, biegnie linia zgrupowanych kapryśnie wysp.

– A teraz – dorzucił Evans – czy widzicie powyżej Cieśniny Magellana wyspę, którą kanały oddzielają na południu od wyspy Cambridge, a na północy od wyspy Madre de Dios i Chatam? No więc, wyspa ta, leżąca na pięćdziesiątym pierwszym stopniu szerokości geograficznej, jest Wyspą Hanowerską, czyli tą, którą nazwaliście Wyspą Chairmana.

Briant, Gordon i Doniphan, pochyleni nad atlasem, przyglądali się ciekawie swej wyspie.

– Jak to – zdumiał się Gordon – jedynie odnogi morskie dzielą nas od wybrzeży chilijskich?

– Tak, moi chłopcy – odparł Evans. – Ale między Wyspą Hanowerską a lądem amerykańskim leżą jedynie wyspy tak samo bezludne jak nasza. A znalazłszy się na kontynencie trzeba by powędrować setki mil, nimby się dotarło do faktorii chilijskich lub argentyńskich! Ileż należałoby ponieść trudów, nie mówiąc o niebezpieczeństwach, Indianie bowiem, którzy włóczą się po pampasach, nie są zbyt gościnni! Moim zdaniem stało się dla was lepiej, że nie mogliście opuścić wyspy: macie tu zapewniony byt, a przy boskiej pomocy opuścimy ją, mam nadzieję, razem!

Tak więc przy pięknej pogodzie Moko mógłby przebyć swoją jolką kanały oblewające Wyspę Hanowerską i liczące w niektórych miejscach tylko od piętnastu do dwudziestu mil szerokości. Briant, Gordon i Doniphan nie dostrzegli owych wysepek podczas swoich wypraw na północ i na wschód tylko dlatego, że są one zupełnie płaskie. Co do białawej plamy, był nią jakiś lodowiec na kontynencie, w głębi lądu, a błyskająca lawą góra – jednym z wulkanów w rejonie Cieśniny Magellana.

Zresztą przypadek zrządził – jak zauważył to Briant przyjrzawszy się pilnie mapie – że w wyprawach swoich chłopcy docierali zawsze do odcinków wybrzeża najbardziej oddalonych od

sąsiednich wysp; Co prawda Doniphan znalazłszy się na Wydmach Severna mógłby zapewne dojrzeć południowe wybrzeże wyspy Chatam, gdyby tego dnia horyzont nie był osnuty mgłą. Z Zatoki Rozczarowania wrzynającej się głęboko w Wyspę Hanowerską albo znad ujścia Rzeki Wschodniej czy z wysokości Niedźwiedziej Skały niepodobna było wypatrzeć wysepki leżącej na wschodzie ani wyspy Esperance oddalonej o jakieś dwadzieścia mil. Aby dojrzeć sąsiednie ziemie, należałoby dotrzeć bądź na Cypel Północny, skąd krańce wysp Chatam i Madre de Dios są widoczne poprzez cieśninę Concepcion, bądź na Cypel Południowy, skąd można dostrzec zarysy wysp Królowej Adelajdy i Cambridge, bądź wreszcie na nadmorski kraniec niziny, nad którym wznoszą się szczyty wyspy Owen i lodowce ziem południowo – wschodnich.

Ale młodzi koloniści nie dotarli w swoich poszukiwaniach do tych odległych punktów wyspy. Co zaś do mapy Franciszka Baudoin, Evans nie potrafił sobie wytłumaczyć, czemu owe wyspy i lądy nie były na niej zaznaczone. Skoro francuski rozbitek mógł oznaczyć dość dokładnie kontur wyspy, należało przyjąć, że obszedł ją wkoło. Czyżby w czasie jego wypraw mgła ograniczała zawsze pole widzenia do kilku mil? Ostatecznie, rzecz była możliwa.

Gdyby chłopcy zdołali zawładnąć szalupą z „Severna”, dokąd skierowałby ją Evans?

Pytanie to zadał mu Gordon.

– Chłopcy – odparł bosman – nie próbowałbym puścić się ani na północ, ani na wschód. Im dalszą drogę odbędziemy morzem – tym będzie to dla nas korzystniejsze. Oczywiście, przy stałym wietrze szalupa mogłaby nas zawieźć do któregoś z portów chilijskich, gdzie doznalibyśmy gościnnego przyjęcia. Ale morze jest w tych stronach nadzwyczaj burzliwe, natomiast możemy przepłynąć z łatwością kanały między wyspami archipelagu.

– Istotnie – odrzekł Briant. – Ale czy znajdziemy tam faktorię, a więc i statek, którym powrócilibyśmy do kraju?

– Nie wątpię – odparł Evans. – Spójrzcie na mapę! Przebywszy przesmyk Archipelagu Królowej Adelajdy, dokąd dotrzemy płynąc Kanałem Smitha? Do Cieśniny Magellana, prawda? Otóż niemal u samego wejścia do cieśniny leży, na ziemi Desolacion, port Tamar. Gdy znajdziemy się tam, to tak, jakbyśmy już byli w drodze powrotnej do Auckland.

– A jeśli nie trafimy na żaden okręt – spytał Briant – to będziemy tam czekać?

– Nie, popłyniemy przez Cieśninę Magellana. Czy widzicie Półwysep Brunszwicki? Tu właśnie, w głębi zatoki Fortescue, w porcie Galant, zatrzymują się często statki. Jeśli wypadnie płynąć dalej, opłyniemy Przylądek Forwarda leżący na południu półwyspu. Oto Zatoka Świętego Mikołaja lub Zatoka Bougainville’a, gdzie zatrzymuje się większość okrętów przepływających cieśninę. Wreszcie, jeszcze dalej, Port Głodowy i bardziej na północy – Punta Arenas.

Bosman nie mylił się. W Cieśninie Magellana często zatrzymywały się różne statki. W takich warunkach powrót do ojczystego kraju był właściwie z góry zapewniony, nie mówiąc już o tym, że po drodze spotkaliby na pewno okręty zmierzające bądź do Australii, bądź do Nowej Zelandii. Wprawdzie port Tamar, port Galant i Port Głodowy nie są bogate, ale Punta Arenas jest zaopatrzonej

we wszystko, co potrzebne do życia. Ta placówka, założona przez rząd chilijski, to prawdziwe miasteczko zbudowane nad morzem; jest tam kościół, którego wieża wznosi się wśród wspaniałych drzew Półwyspu Brunszwickiego; port znajduje się w pełni rozkwitu, gdy tymczasem Port Głodowy, zbudowany przez Indian pod koniec dziesiątego stulecia, jest obecnie zrujnowaną wsią.

Zresztą dalej na południe istnieją obecnie inne faktorie, dokąd zjeżdżają ekspedycje: przystań Liwya na wyspie Navarin i przede wszystkim Ooshooia nad kanałem Beagle, poniżej Ziemi Ognistej.

Ocalenie młodych kolonistów byłoby więc pewne, gdyby zdołali dotrzeć do Cieśniny Magellana. Co prawda, aby się tam dostać, należało uszczelnić szalupę z „Severna”, aby ją zaś uszczelnić, trzeba było nią zawładnąć, a to stałoby się możliwe dopiero po pokonaniu Walstona i jego kamratów.

Gdyby owa łódź pozostała w tym samym miejscu, gdzie Doniphan natknął się na nią – na Wydmach Severna – można by było pokusić się o jej zabranie. Walston, przebywający chwilowo o piętnaście mil dalej, nie spostrzegłby tych poczynań i Evans mógłby sprowadzić łódź nie do ujścia Rzeki Wschodniej, ale do ujścia Rzeki Zelandzkiej albo nawet pod samą Grotę Francuską. Tutaj można byłoby rozpocząć naprawę szalupy w warunkach znacznie korzystniejszych, pod kierownictwem bosmana. Po czym, wyposażony szalupę w żagle, załadowawszy amunicję, zapasy żywności i co cenniejsze przedmioty, koloniści oddaliliby się od wyspy, zanim złoczyńcy zdołaliby ich zaatakować.

Na nieszczęście projekt ten był niewykonalny. Sprawę odjazdu można było rozstrzygnąć jedynie siłą, bądź przystępując do ofensywy, bądź też trzymając się w defensywie. Należało pokonać załogę „Severna”.

Evans zyskał zresztą całkowicie zaufanie młodych kolonistów. Gdy bosman mógł nareszcie przystrzyć włosy i zgolić brodę, chłopcy nabrali jeszcze większej ufności, spoglądając na to śmiałe i szczere oblicze. Był to człowiek energiczny, odważny – czuło się, że także i dobry – zdecydowany i gotów do największych poświęceń.

Bosman pragnął przekonać się przede wszystkim, jakimi środkami obrony rozporządzała kolonia. Grota wydała mu się ze względu na swój rozkład i położenie stosowna do obrony. Jedna część jaskini, zwrócona ku rzece, panowała nad nadbrzeżną łąką, druga zaś – nad boiskiem aż po jezioro. Można było strzelać przez okienka w obu tych kierunkach, pozostając samemu w ukryciu. Za pomocą ośmiu strzelb oblegani mogli utrzymać napastników w przyzwoitej odległości, a gdyby ci podeszli aż pod grotę – ostrzelać ich z obu armatek. Gdyby przyszło do walki, wręcz, wszyscy potrafiliby posługiwać się rewolwerami, siekierami i nożami marynarskimi.

Evans pochwalił Brianta za zgromadzenie w grocie sterty kamieni, które miały udaremnić wyważenie drzwi. Wewnątrz jaskini obrońcy będą stosunkowo silni, natomiast na zewnątrz – byliby słabsi. Nie zapominajmy, że zaledwie sześciu chłopców od trzynastu do piętnastu lat miało się przeciwstawić siedmiu silnym mężczyznom, nawykłym do posługiwania się bronią, którzy nie cofali się nawet przed morderstwem.

– Czy uważa ich pan, panie Evans, za groźnych złoczyńców? – spytał Gordon.

– Tak, to bardzo groźni ludzie!”

– Z wyjątkiem jednego z nich, który może nie jest jeszcze całkowicie stracony – powiedziała Kate. – Forbes, który uratował mi życie...

– Forbes! – powtórzył Evans. – Do stu diabłów! Może uległ on złym podszeptom lub może ze strachu przed kamratami splamił się krwią? Zresztą czyż ten łotr nie puścił się wraz z Rockiem w pogoń za mną? Czy nie strzelił do mnie jak do dzikiego zwierzęcia? Czyż nie uradował się sądząc, że utonąłem w rzece? Nie, Kate, obawiam się, że nie jest on więcej wart od innych. Oszczędził panią tylko dlatego, że była pani tym łotrom potrzebna, i na pewno nie pozostanie w tyle, kiedy wypadnie im ruszyć na Grotę Francuską.

Minęło parę dni. Młodzi koloniści, obserwując okolicę z grani Wzgórza Aucklandzkiego, nie zauważyli nic podejrzanego. Dziwiło to ogromnie Evansa.

Znając projekty Walstona, wiedząc, jak zależało mu na pośpiechu, dziwił się, że między 27 a 30 listopada nie dał znaku życia.

Przyszło wtedy na myśl Evansowi, że Walston spróbuje wdrzeć się do groty podstępem, a nie siłą. Podzielił się swymi podejrzeniami z Briantem, Gordonem, Doniphanem i Baxterem, z którymi najczęściej się naradzał.

– Jak długo pozostaniemy zamknięci w grocie – powiedział – Walstonowi trudno będzie wyważyć jedne lub drugie drzwi, jeśli nikt mu ich od wewnątrz nie otworzy! Będzie więc próbował wdrzeć się podstępem.

– W jaki sposób? – spytał Gordon.

– Wiecie – odparł Evans – że tylko Kate i ja moglibyśmy zdradzić, że Walston jest hersztem bandy zbójów gotowych zaatakować kolonię. Otóż Walston nie wątpi, że Kate zginęła podczas katastrofy. Co do mnie zaś, wierzy, że utonąłem w rzece postrzelony przez Rocka i Forbesa; słyszałem przecie, jak wieszowali sobie z powodu tego szczęśliwego rozwiązania sprawy. Walston jest więc przekonany, że o niczym nie wiecie, nawet o obecności marynarzy z „Severna” na waszej wyspie, i jeśli jeden z nich pojawi się w waszej grocie, przyjmiecie go, jak wita się każdego rozbitka. Znalazszy się już w grocie, łotr ten będzie mógł bez przeszkód wprowadzić tutaj kamratów i uniemożliwić całkowicie obronę!

– A zatem – rzekł Briant – jeśli Walston lub ktokolwiek z bandy zwróci się do nas z prośbą o gościnę, powitamy go strzałami z fuzji...

– Jeśli nie okaże się rzeczą rozsądniejszą powitać go ukłonami – zauważył Gordon.

– Może się to zdarzyć! – odparł bosman. – I tak będzie lepiej. Podstęp za podstęp. Zresztą zobaczymy, jak nam wypadnie postąpić.

Należało działać z największą ostrożnością. Jeśli wszystko dobrze się ułoży, jeśli Evans odzyska szalupę, można będzie uwierzyć, że chwila wyzwolenia jest bliska. Ale ileż niebezpieczeństw czeka

jeszcze chłopców! I czy nieliczna gromadka wyruszy w komplecie w podróż do Nowej Zelandii?

Następny ranek upłynął bez żadnych wydarzeń. Bosman z Doniphaniem i Baxterem wyprawili się nawet w kierunku Lasu Wilczych Dołów i przewędrowali z pół mili, kryjąc się za drzewami porastającymi podnóże Wzgórza Aucklandzkiego. Nie zauważyli nic niezwykłego, a Phann, który biegł za nimi, nie ostrzegł ich ani razu.

Ale pod wieczór, nieco przed zachodem słońca, uderzono na alarm. Webb i Cross, pełniący straż na grzbiecie płaskowyżu, zawiadomili o zbliżaniu się dwóch mężczyzn, którzy szli południowym brzegiem jeziora.

Kate i Evans weszli natychmiast do kuchni, nie chcąc, by ich zauważono, i obserwowali przez okienka zbliżających się mężczyzn. Byli to dwaj towarzysze Walstona, Rock i Forbes.

– Oczywiście – rzekł bosman – spróbują podstępu: przedstawiają się wam jako rozbitkowie, którzy ocalili z katastrofy.

– Co robić? – spytał Briant.

– Przyjąć ich gościnnie – odparł Evans.

– Przyjąć gościnnie tych nędzników! – wykrzyknął Briant. – Nie potrafiłbym nigdy...

– Biorę to na siebie – powiedział Gordon.

– Dobrze, Gordon – pochwalił chłopca bosman. – Niech się tylko nie domyśla, że Kate i ja tu jesteśmy! Zjawimy się, gdy nadejdzie pora!

Evans i Kate ukryli się w loszku przylegającym do korytarza; zaryglowano za nimi drzwi. Po paru minutach Gordon, Briant, Doniphan i Baxter wybiegli nad Rzekę Zelandzką. Dwaj mężczyźni, stojący na przeciwległym brzegu, udali ogromne zdziwienie spostrzegłszy chłopców, na co Gordon odpowiedział nie mniejszym zdumieniem.

Rock i Forbes wydawali się mocno strudzeni. Zeszli tuż nad rzekę i rozpoczęła się następująca rozmowa:

– Kim jesteście?

– Rozbitkami; płynąc szalupą z trójmasztowca „Severn” rozbiliśmy się u południowych brzegów wyspy.

– Czy jesteście Anglikami?

– Nie, Amerykanami.

– A wasi towarzysze?

– Wszyscy zginęli. Tylko my dwaj ocaliliśmy z katastrofy... i jesteśmy u kresu sił. A z kim mamy przyjemność?

– Jesteśmy kolonistami Wyspy Chairmana.

– Zlitujcie się nad nami i udzielcie nam pomocy, bo nie mamy środków do życia.

– Rozbitkowie zawsze mają prawo żądać pomocy od bliźnich! – odparł Gordon. – Witajcie!

Chłopiec dał znak, Moko wsiadł do czółna przycumowanego u grobli i uderzywszy kilkakrotnie wiosłem przewiózł dwóch marynarzy na prawy brzeg rzeki.

Fizjonomia Rocka nie była z tych, co budzą zaufanie. Forbes, w którym, zdaniem Kate, nie wygasły jeszcze wszystkie ludzkie uczucia, prezentował się nieco lepiej. Dla tej pewnie przyczyny Walston kazał mu towarzyszyć Rockowi.

Obaj odgrywali więc rolę rozbitków. W każdym razie, obawiając się, aby chłopcy po dokładniejszej indagacji nie powzięli jakichś podejrzeń, utrzymywali, że nie tyle są głodni, co upadają ze zmęczenia. Poprosili, aby pozwolono im odpocząć nieco, a nawet przenocować u kolonistów. Chłopcy zaprowadzili ich natychmiast do groty. Co prawda wchodząc – nie uszło to bynajmniej uwagi Gordona – bandyci nie zdołali się powstrzymać od nazbyt badawczych spojrzeń. Wydawali się nawet zdziwieni widokiem środków obrony, jakimi dysponowała mała kolonia. Najbardziej, zdumieli się zobaczywszy działko, którego lufa tkwiła w okienku.

Młodzi koloniści nie potrzebowali długo odgrywać roli, która była dla nich wstrętą, Rock i Forbes bowiem pragnęli jak najprędzej położyć się spać odkładając relację swych przygód na dzień następny.

– Wystarczy nam wiązka suchej trawy – powiedział Rock. – Ale nie chcielibyśmy nikogo krępować... może macie tutaj jakąś inną izbę?...

– Tak – odrzekł Gordon. – Służy nam ona za kuchnię i magazyn. Możecie z niej korzystać swobodnie do jutra!

Rock i jego towarzysz poszli do kuchni, której wnętrze zbadali jednym rzutem oka, zorientowawszy się jednocześnie, że wyjście prowadzi nad jezioro.

Ułożyli się więc w kącie. Nie byli wprawdzie sami, Moko bowiem sypiał tu zawsze; ale nie kłopotali się wcale o tego chłopca, gotowi udusić go jednym ruchem ręki, jeśli tylko odważy spać zbyt czujnie.

O oznaczonej porze Rock i Forbes mieli otworzyć drzwi kuchni i Walston, który wraz z czterema kamratami wałęsał się nad brzegiem, stałby się panem Groty Francuskiej.

Około dziewiątej, kiedy dwaj marynarze udawali, że śpią głęboko, Murzynek wszedł do kuchni i niebawem rzucił się na posłanie, gotów w potrzebie zaalarmować kolegów.

Briant i inni zostali w hallu. Kiedy zamknięto drzwi od korytarza, Evans i Kate wyszli z ukrycia. Wszystko odbyło się jak bosman przewidział; nie wątpił teraz, że Walston czyha w pobliżu groty, aby w stosownym momencie wdrzeć się do środka.

– Miejmy się na baczności! – powiedział.

Upłynęło tymczasem dwie godziny i Moko zastanawiał się już, czy Rock i Forbes nie odłożyli swoich machinacji na kiedy indziej, gdy wtem uwagę jego zwrócił lekki szmer dobywający się z głębi kuchni.

Zobaczył w świetle latarni zawieszanej u stropu, jak Rock; i Forbes zsunęli się z posłania i popęzli ku drzwiom.

Drzwi umocniono stertą głazów, prawdziwą barykadą, której trudno było obalić.

Toteż dwaj marynarze jęli zdejmować kamienie i układać je pod ścianą, na prawo od wejścia. Po kilku minutach drzwi zostały całkiem uwolnione. Należało już tylko odjąć zamykającą je sztabę, aby wejście do groty stało otworem.

Ale kiedy Rock usunął sztabę otwierał drzwi, czyjaś ręka spadła mu na ramię. Odwrócił się i zobaczył Evansa, na którego; twarz padało światło latarni.

– Evans! – wykrzyknął. – Evans tutaj!

– Do mnie, chłopcy! – zdołał bosman.

Briant i jego koledzy wpadli do kuchni. Czterej najsilniejsi Baxter, Wilcox, Doniphan i Briant – chwycili najpierw Forbesa, udaremniając mu ucieczkę.

Rock zaś odepchnął nagłym ruchem Evansa, wymierzył mu cios nożem, który drasnął go lekko w ramię, i wypadł na dwór przez uchylone drzwi. Nie zdążył ubiec dziesięciu kroków, gdy rozległa się detonacja.

To strzelił bosman. Według wszelkiego prawdopodobieństwa zbieg nie został trafiony, gdyż nie rozległ się żaden krzyk.

– Do stu diabłów! Chybiłem tego łotra! – wykrzyknął Evans. – Co do tego drugiego – będzie o jednego mniej!

I wzniosł nad Forbesem rękę zbrojną w nóż.

– Łaski! Łaski! – jęknął nędznik, którego chłopcy przyciskali do ziemi.

– Tak! Łaski, Evans! – powtórzyła Kate skoczywszy między bosmana a Forbesa. – Ulituj się pan nad nim, gdyż ocalił mi życie!

– Niech będzie, Kate – odparł Evans. – Zgadza się... przynajmniej do czasu!

Skrepowawszy Forbesa solidnie, chłopcy zamknęli go w jednym z loszków.

Po czym zabarykadowano znowu drzwi od kuchni. Wszyscy czuwali aż do rana.

Rozdział XXVIII

Badanie Forbesa – Poważna sytuacja – Projektowany rekonesans – Obliczanie sił – Ślady obozowiska – Zniknięcie Brianta – Doniphan śpieszy mu z pomocą – Ciężka rana – Krzyk od strony groty – Pojawienie się Forbesa – Moko strzela z działa

Bezsenność noc była nieopisanie męcząca, ale nikt nazajutrz nie myślał nawet o jednogodzinnej choćby drzemce. Nie było wątpliwości, że Walston użyje teraz siły, skoro podstęp zawiódł. Rock, umknąwszy przed strzałami bosmana, powrócił na pewno do Walstona, powiedział mu, że knowania ich zostały wykryte i że uda im się wdrzeć do groty tylko wtedy, kiedy wyważą drzwi.

O brzasku Evans, Briant, Doniphan i Gordon wyszli z hallu, mając się ciągle na baczności. Gdy słońce wzeszło, poranne mgły uniosły się odsłaniając taflę jeziora, którą marszczył lekki po wień wschodniego wiatru.

Spokój panował wokół groty, zarówno od strony rzeki, jak i Lasu Wilczych Dołów. Zwierzęta domowe kręciły się zwyklej w zagrodzie. Phann, który wybiegł na boisko, nie okazywał pokoju.

Evans zainteresował się przede wszystkim, czy na ziemi pozostały odciski stóp. Ślady występowały gęsto – szczególnie w pobliżu groty. Prowadziły w rozmaitych kierunkach, wskazując, że Walston i jego kamraci czekali na otworzenie drzwi kuchni.

Na piasku nie zauważono plam krwi – dowodziło to, że bosman nawet nie zranił Rocka.

Narzucano się jeszcze jedno pytanie: czy Walston przyszedł tutaj, tak jak rzekomi rozbitkowie – południowym brzegiem jeziora, czy też dotarł do groty obchodząc je od północy? W takim razie Rock, chcąc spotkać się z Walstonem, musiałby się ukryć w gąszczu Lasu Wilczych Dołów.

Należało koniecznie wyjaśnić tę sprawę. Postanowiono więc wypytać Forbesa, jaką marszrutę obrał Walston. Ale czy Forbes zechce w ogóle mówić, a jeśli zechce, czy powie prawdę? A może wdzięczność dla Kate za ocalenie życia obudzi w jego sercu jakieś lepsze uczucia?

Czy zapomni o tym, że prosił gospodarzy Groty Francuskiej o gościnność po to jedynie, by ich zdradzić?

Evans postanowił osobiście wypytać Forbesa; wrócił do hallu, otworzył drzwi do loszku, gdzie zamknięto marynarza, uwolnił go z więzów i wyprowadził na górę.

– Forbes – powiedział – podstęp, któryście obaj z Rockiem uknuli, nie powiódł się. Chcę się

teraz dowiedzieć, co zamyśla Walston; musisz znać przecież jego plany. Czy odpowiesz mi?

Forbes pochylił głowę i nie śmiać spojrzeć na Evansa, na Kate i na chłopców, przed którymi bosman go postawił, milczał uparcie.

– Forbes – wmieszała się Kate – za pierwszym razem okazaliście trochę litości nie dopuściwszy, by wasi kamraci zabili mnie podczas masakry na „Severnie”. A teraz, czyż nic nie chcecie zrobić, by ocalić te dzieci od jeszcze straszniejszego mordu?

Forbes nie odpowiadał.

– Darowaliśmy wam życie – ciągnęła – choć zasłużyliście na śmierć. Niemożliwe, by wygasły w was wszystkie ludzkie uczucia! Popełniliście tyle złych czynów, możecie jednak zawrócić z tej drogi. Zastanówcie się, do jakiej straszliwej zbrodni przykładacie ręki!

Stłumione westchnienie dobyło się z piersi Forbesa.

– I cóż ja mogę poradzić? – rzekł głucho.

– Możesz nam powiedzieć – odezwał się Evans – co miało się stać tej nocy, a co odłożono na później. Czy czekałeś tutaj Walstona i resztę, aby wprowadzić ich, gdy drzwi się otworzą.

– Tak – powiedział Forbes.

– I te dzieci, które powitały cię tak gościnnie, miały być wymordowane?

Forbes spuścił głowę jeszcze niżej i tym razem nie starczyło mu sił, by odpowiedzieć.

– Powiedz teraz, którędy Walston i jego banda przyszli tutaj? – spytał bosman.

– Północnym brzegiem jeziora – odparł Forbes.

– A ty i Rock przyszliście od południa?

– Tak.

– Czy zwiedzili już zachodnią część wyspy?

– Jeszcze nie.

– Gdzie mogą się teraz znajdować?

– Nie wiem...

– Czy nie możesz mi, Forbes, nic więcej powiedzieć?

– Nie... Evans... nie!

– Czy sądzisz, że Walston wróci?

– Tak.

Oczywiście, Walston i jego ludzie, przestraszeni strzałem bosmana, pojęli, że podstęp został wykryty; postanowili więc trzymać się z dala od groty, czekając na bardziej sprzyjające okoliczności.

Evans, straciwszy nadzieję, że zdoła się dowiedzieć czegoś więcej od Forbesa, zaprowadził go do loszku, który za nim zamknięto.

Sytuacja była nadal bardzo poważna. Gdzie obracał się teraz Walston? Czy zaszył się w gąszczu Lasu Wilczych Dołów? Forbes nie wiedział tego albo nie chciał powiedzieć. A jednak nie było ważniejszej sprawy, jak upewnić się w tym względzie. Toteż bosmanowi przyszło na myśl, by wybrać się w tę stronę na zwiady, aczkolwiek była to rzecz niebezpieczna.

Około południa Moko zaniósł więźniowi trochę jedzenia. Forbes, skulony, ledwie tknął strawy. Cóż się działo w duszy nędznika? Czy sumienie dało przystęp wyrzutom? Nikt tego nie wiedział.

Przy obiedzie Evans zapoznał chłopców ze swoim projektem wycieczki aż na skraj Lasu Wilczych Dołów – chciał dowiedzieć się za wszelką cenę, czy zbrodniarze włóczą się nadal w pobliżu groty. Propozycję przyjęto bez dyskusji i koloniści przedsięwzięli wszelkie środki ostrożności, by zapobiec jakimś niepomyślnym wypadkom.

Po uwięzieniu Forbesa banda Walstona liczyła już tylko sześciu ludzi, a kolonia składała się z piętnastu chłopców oraz Kate i Evansa, to znaczy z siedemnastu osób. Ale z tej liczby należało wyłączyć najmłodszych, którzy nie mogli stanąć do walki. Zdecydowano więc, że kiedy Evans uda się na zwiady, Iverson, Jenkins, Dole i Costar zostaną w hallu z Kate, Mokiem i Kubusiem, a czuwać nad nimi będzie Baxter. Starsi zaś – Briant, Gordon, Doniphan, Cross, Service, Webb, Wilcox i Garnett pójdą z Evansem. Siły w tej walce nie będą równe: ośmiu chłopców ma się przeciwstawić sześciu dorosłym mężczyznom. Co prawda każdy z chłopców będzie miał fuzję i rewolwer, Walston zaś rozporządzał tylko pięcioma strzelbami z „Severna”. Toteż w walce na dystans chłopcy mieli pewne szansę zwycięstwa, Doniphan bowiem, Wilcox i Cross byli doskonałymi strzelcami, w czym przewyższali znacznie amerykańskich marynarzy. Ponadto amunicji nie powinno im zabraknąć, gdy Walston – jak utrzymywał Evans – ma zaledwie kilka naboii.

O drugiej po południu oddziałek uformował się pod dowództwem Evansa. Baxter, Kubuś, Moko, Kate i malcy ukryli się natychmiast w grocie; drzwi pozamykano, ale nie zabarykadowano ich, aby Evans i jego towarzysze mogli się, w razie potrzeby, szybko schronić w pieczarze.

Zresztą, od południa, a nawet od zachodu nic nie groziło, gdyż Walston, chcąc zaatakować kolonię od tej strony, musiałby podążyć nad zatokę Sloughi i podejść pod grotę doliną Rzeki Zelandzkiej, co wymagałoby więcej czasu, Evans nie obawiał się więc, że zajdą go od tyłu.

Chłopcy i bosman szli ostrożnie wzdłuż ściany Wzgórza Aucklandzkiego. Krzaki i kępy drzew, porastające jego podnóże i przylegające do zagrody, pozwoliły im dotrzeć bezpiecznie do lasu.

Evans powstrzymywał Doniphana, który rwał się zawsze naprzód, i stanął na czele pochodu. Gdy minęli grób francuskiego rozbitka, bosman uznał, że lepiej będzie puścić się na skos, by przybliżyć się do brzegów jeziora.

Nagle Phann, którego Gordon z trudem przytrzymał, nastawił uszy i zaczął wodzić nosem po ziemi; zdawało się, że wpadł na jakiś trop.

– Uwaga! – powiedział Briant.

– Tak – rzekł Gordon. – To nie jest trop zwierzęcia! Spójrzcie, jak Phann się zachowuje.

– Ukryjmy się w trawie – zarządził Evans. – A Doniphan musi się postarać, by jako znakomity strzelec nie chybić żadnego z tych łotrów, gdyby się któryś pojawił na odległość strzału.

Po paru minutach dotarli do pierwszych drzew. Tu, na skraju lasu, natknęli się na świeże ślady obozowiska – zwęglone gałęzie, ledwie wystygły popiół.

– Walston na pewno spędził tu dzisiejszą noc – zauważył Gordon.

– A może nawet był tutaj parę godzin temu – dodał Evans. – Sądzę, że powinniśmy zboczyć raczej ku urwisku...

Nie dokończył, gdyż z prawej strony huknął wystrzał. Kula świsnęła Briantowi koło ucha, wbiła się w drzewo, o które chłopiec był oparty.

Niemal jednocześnie padł drugi strzał, rozległ się krzyk i o pięćdziesiąt kroków dalej, jakieś ciało runęło na ziemię.

To Doniphan wypalił na oko, mierząc według dymu, który pojawił się po pierwszym strzale.

Psa nie sposób było utrzymać. Doniphan w zapale rzucił się za nim.

– Naprzód! – krzyknął Evans. – Nie możemy dopuścić, by walczył sam!

Po chwili, dopędziwszy Doniphana wszyscy otoczyli leżącego w trawie mężczyznę, który nie dawał znaku życia.

– To Pike! – powiedział Evans. – Już po nim! Jeśli diabeł wyszedł dzisiaj na łowy, to nie wróci bez łupu! Jednego łotra mniej!

– Inni są pewnie gdzieś w pobliżu – zauważył Baxter.

– Oczywiście, mój chłopcze! Toteż nie odsłaniajmy się! Padnij! Padnij!

Huknął trzeci strzał, tym razem z lewej strony. Service'owi, który nie dość szybko schylił głowę, kula drasnęła czoło.

– Zranili cię?! – wykrzyknął Gordon biegnąc ku niemu.

– E, głupstwo, głupstwo! – zawołał Service. – Zadrapała mnie trochę, i tyle!

Nie wolno było teraz rozłączać się ani na moment. Pike był zabity – pozostał jeszcze Walston i czterej inni złoczyńcy, ukryci zapewne, niedaleko, wśród drzew. Toteż Evans i chłopcy, przykucnąwszy w trawie, utworzyli zwarty oddziałek, gotów do obrony, skądkolwiek atak by nie nadszedł.

Raptem Garnett wykrzyknął:

– Gdzie jest Briant?

– Nie wiem! – odparł Wilcox.

Rzeczywiście Briant zniknął, a ponieważ ujadanie psa było w tej chwili jeszcze gwałtowniejsze, należało przypuszczać, że odważny chłopiec walczył wręcz z którymś bandytą.

– Briant!... Briant! – zawołał Doniphan. I wszyscy rzucili się w tym kierunku, gdzie zniknął Phann. Evans nie zdołał ich zazatrzymać. Szli od drzewa do drzewa, zapuszczając się coraz dalej.

– Uwaga, bosmanie! Uwaga! – krzyknął nagle Cross padając plackiem na ziemię.

Evans uchylił instynktownie głowę w momencie, gdy kula przeleciała o kilka cali nad nim.

Prostując się ujrzał, jak jeden z kamratów Walstona pomyka przez las.

Był to właśnie Rock, który uciekł im wczoraj.

– W twoje ręce, Rock! – krzyknął Bosman.

Dał ognia i Rock zniknął, jakby ziemia rozstąpiła się pod nim.

– Czy i tym razem chybiłem? – zmartwił się Evans. – Do stu diabłów! A to nieszczęście!

Wszystko trwało zaledwie parę sekund. Zaraz też rozległo się ponownie szczekanie psa.

– Trzymaj się, Briant!... Trzymaj się! – wykrzyknął Doniphan.

Evans i chłopcy popędzili w stronę, skąd dochodziło ujadanie, i o dwadzieścia kroków dalej dostrzegli Brianta zmagającego się z Cope'em.

Nędznik obalił chłopca na ziemię i dźgnąłby go nożem, gdyby nie Doniphan, który nadbiegł w porę, by odbić cios. Rzucił się na Cope'a nie zdążywszy nawet dobyć rewolweru.

Jego to właśnie ugodził nóż bandyty w samą pierś... Padł bez jednego okrzyku.

Nagle Cope zauważył, że Evans, Garnett i Webb chcą mu odciąć drogę, i pognął na północ.

Strzały posypały się za nim, zniknął jednak i Phann wrócił nie dogoniwszy go.

Tymczasem Briant zerwał się szybko i nachylił się nad Doniphanem. Podtrzymywał mu głowę, próbował przywrócić go do życia...

Evans i reszta chłopców nabili broń i podeszli do nich.

Doniphan został ugodzony w pierś, i to chyba śmiertelnie. Oczy miał zamknięte, twarz białą jak płótno, nie poruszał się, nie słyszał nawet słów Brianta.

Evans pochylił się nad chłopcem, odpiął mu kurtkę, rozerwali skrwawioną koszulę. Wąska, trójkątna rana krwawiła na wysokości trzeciego żebra, po lewej stronie. Czy nóż dosięgnął serca? Nie, bo Doniphan oddychał jeszcze. Należało się jednak obawiać, że płuco jest naruszone, gdyż ranny oddychał bardzo słabo.

– Zanieśmy go do groty – powiedział Gordon. – Jedyne tam będziemy mogli mu pomóc...

– Musimy go ocalić! – wykrzyknął Briant. – Ach, Doniphan! Dla mnie naraził życie!...

Evans zgodził się, by przetransportować chłopca do groty, tym bardziej że nastąpiło jakby chwilowe zawieszenie broni. Prawdopodobnie Walston, spostrzegłszy, że sprawa przybiera niepomyślny obrót, zaszył się w głębi lasu.

Jednakże Evans niepokoił się nadal mocno. Nie dostrzegł jak dotąd ani samego Walstona, ani też Brandta i Booka – najgroźniejszych łotrów z całej bandy.

Stan rannego był taki, że nie mogli go narażać na najmniejsze wstrząsy.

Toteż Baxter i Service sporządzili naprędce nosze z gałęzi, na których ułożyli wciąż nieprzytomnego kolegę. Czterech chłopcowi poniosło ostrożnie nosze, a reszta postępowała obok z nabitymi strzelbami i rewolwerami w ręku.

Pochód skierował się ku ścianie Wzgórza Aucklandzkiego. Lepiej było iść tędy niż brzegiem jeziora. Podążając wzdłuż urwiska, wystarczało dawać baczenie tylko na to, co dzieje się na lewo i w tyle. Niekiedy Doniphan jęczał tak boleśnie, że Gordon zatrzymywał nosze, aby posłuchać oddechu kolegi, i dopiero po chwili ruszano dalej.

Chłopcy przebyli w ten sposób trzy czwarte drogi. Pozostało już tylko osiemset lub dziewięćset kroków do groty; zasłaniał ją jeszcze występ skalny.

Raptem od strony Rzeki Zelandzkiej rozległy się krzyki. Phann pognął tam co sił w nogach.

To Walston i dwaj jego kamraci zaatakowali Grotę Francuską.

Gdy Rock, Cope i Pike toczyli w lesie bój z oddziałkiem Evansa, Walston, Brandt i Book wdrapali się na Wzgórze Aucklandzkie i podążyli łożyskiem wyschłego Strumienia Grobli. Przebiegli szybko płaskowyż i ześliznęli się z urwiska po ścianie wąwozu wychodzącego na

nadbrzeżną łączkę, nie opodał wejścia do kuchni. Zdołali wyważyć nie zabarykadowane drzwi i opanowali groty.

Bosman zdecydował się szybko: Cross, Webb i Garnett będą pilnować Doniphana, którego nie sposób zostawić samego, a Gordon, Briant, Service, Wilcox i on sam pobiegną najkrótszą drogą do groty. W kilka minut później, kiedy mogli już objąć spojrzeniem boisko, pojawił się ich oczom widok zdolny odjąć wszelką nadzieję.

Walston wychodził właśnie z groty, trzymając za rękę malca, którego włókł nad rzekę.

Malcem tym był Kubuś. Daremnie Kate, rzuciwszy się na Walstona, usiłowała wydrzeć mu jeńca.

Po chwili ukazał się towarzysz Walstona, Brandt, który ciągnął w tym samym kierunku Costara.

Baxter rzucił się na Brandta, ale odepchnięty gwałtownie, runął na ziemię.

Dole'a, Jenkinsa, Iversona i Moka nie było nigdzie widać. Może zginęli we wnętrzu groty...

Tymczasem Walston i Brandt zmierzali szybko ku rzec e. Czyżby chcieli przebyć ją wplaw? Nie, gdyż Book czekał tam na nich obok czółna, które wyciągnęli z kuchni.

Nikt by ich nie doścignął, gdyby udało im się przedostać na lewy brzeg. Dotarliby do swojego obozowiska w Porcie Niedźwiedziej Skały, mając w swojej mocy, jako zakładników, Kubusia i Costara.

Toteż Evans, Briant, Gordon, Cross i Wilcox pędzili co tchu łudząc się, że dotrą do boiska, nim Walston, Book i Brandt schronią się na drugim brzegu rzeki. Strzelać do nich z tej odległości byłoby szaleństwem, gdyż mogliby zranić Kubusia lub Costara.

Ale Phann był już na miejscu. Skoczywszy na Brandta, chwycił go za gardło. Łotr musiał puścić Costara, który krępował mu ruchy w walce z psem, Walston tymczasem ciągnął Kubusia co sił do czółna.

Nagle z hallu wybiegł jakiś mężczyzna.

Był to Forbes.

Czy przyłączy się do zbrodniarzy? Walston był tego pewien.

– Do mnie, Forbes! Chodź! Chodź tutaj! – zawołał.

Evans przystanął i już miał wypalić, kiedy nagle ujrzał, że Forbes rzuca się na Walstona.

Walston, zdumiony tym niespodzianym atakiem, puścił Kubusia i odwróciwszy się do Forbesa ugodził go kordelasem.

Forbes padł u jego stóp.

Stało się to tak szybko, że Evans, Briant, Gordon, Service i Wilcox znajdowali się jeszcze o jakie sto kroków od boiska.

Walston chciał chwycić znów Kubusia, aby pociągnąć go w stronę czółna; czekał tam na niego Book i Brandt, który zdołał uwolnić się już od psa.

Ale herszt nie zdążył wykonać swego zamiaru. Kubuś który był uzbrojony w rewolwer, wypalił mu prosto w pierś. Walston, ciężko ranny, poczołgał się z trudem ku towarzyszom, którzy wciągnęli go do czółna; jolka, odepchnięta gwałtownie, odbiła od brzegu.

W tejże chwili rozległ się silny huk. Grad kartaczy smagnął rzekę!

To chłopiec okrętowy wypalił z działka przez okienko kuchni.

Oprócz dwóch nędzników, którzy zaszyli się w gęstwinie Lasu Wilczych Dołów, na Wyspie Chairmana nie było już ani jednego ze zbrodniarzy z „Severna”; ciała ich uniosła ku morzu Rzeka Zelandzka.

Rozdział XXIX

Odprężenie – Bohaterowie walk – Śmierć nieszczęśliwca – Wyprawa do lasu – Rekonwalescencja Doniphana – W Porcie Niedźwiedziej Skąły – Uszczelnianie – Odjazd 12 lutego – W dół Rzeki Zelandzkiej – Pożegnanie z zatoką Sloughi – Ostatni cypel Wyspy Chairmana

Nastąpiła nowa era dla młodych kolonistów z Wyspy Chairmana.

Dotychczas walczyli w ciężkich warunkach o zapewnienie sobie środków do życia, teraz mieli rozpocząć bój o wyzwolenie, zdobyć się na ostatni wysiłek, by wrócić do rodzin i ojczystego kraju.

Po zbyt silnych wrażeniach, wywołanych zmiennymi kolejami walk, nastąpiło całkiem naturalne odprężenie. Chłopcy byli jakby przybici zwycięstwem, w które po prostu nie mogli uwierzyć. Niebezpieczeństwo, które minęło, ukazało im się teraz w całej swojej grozie – większe, niż wydawało im się na początku. Oczywiście, po pierwszej potyczce na skraju Lasu Wilczych Dołów, przewaga chłopców wzrosła znacznie. Ale Walston, Book i Brandt umknęliby z pewnością, gdyby Forbes nie wmieszał się niespodzianie do walki. Moko nie odważyłby się nigdy wypalić z działka, bojąc się, że razem z bandytami zginą Kubuś i Costar! I cóż by dalej się stało? Na jakie trzeba by się zgodzić kompromisy, aby uwolnić dwóch malców?

Toteż kiedy Briant i jego koledzy mogli rozpatrzeć na zimno sytuację, ogarnęła ich trwoga. Nie trwała ona długo i choć chłopcy nie byli pewni, co się stało z Rockiem i Cope'em, odzyskali w znacznej mierze poczucie bezpieczeństwa.

Bohaterom walki wieszowano, jak na to zasługiwali: Mokowi, że w tak odpowiednim momencie

wypalił z działka przez okienko; Kubusiowi, że okazał zimną krew, strzelając prosto w pierś Walstona; wreszcie Costarowi, który „zrobiłby to samo, gdyby miał pistolet”.

Phanna zasypywano piesszczotami, a prócz tego Moko nagroził go stosem tłustych kości za to, że tak dzielnie rzucił się na Brandta.

Kiedy Moko wypalił z działka, Briant popędził do kolegów strzegących noszy. W parę minut później ułożono nieprzytomnego Doniphana w hallu, a Forbesa, którego przydźwigał Evans, na posłaniu w kuchni. Kate, Gordon, Briant, Wilcox i bosman czuwali przez całą noc przy rannych.

Nie było żadnych wątpliwości, że Doniphan odniósł bardzo ciężką ranę. Oddychał jednak dość regularnie, kordelas Cope'a, zatem nie przebił mu z pewnością serca. Kate opatrzyła ranę przykładając liście, używane zwykle w takich razach na Dalekim Zachodzie, których dostarczył krzew porastający brzegi Rzeki Zelandzkiej. Liście te, zmięte i przyłożone do rany jako i kompres, zapobiegają bardzo skutecznie wewnętrznemu ropieniu. Inaczej jednak było z Forbesem, którego Walston ugodził nożem w brzuch. Był śmiertelnie ranny. Kiedy odzyskał przytomność, szepnął do Kate, która pochyliła się nad nim:

– Dziękuję, moja zacna Kate! Dziękuję! To niepotrzebne! Jestem zgubiony!

I zapłakał.

Czy wyrzuty sumienia poruszyły jakąś lepszą strunę w sercu nieszczęśnika? Dał posłuch złym radom, pociągnął go fatalny przykład i wziął udział w masakrze na „Severnie”. Ale zbuntował się całą swoją istotą, gdy młodym kolonistom zagroziło straszliwe niebezpieczeństwo, i naraził dla nich życie.

– Ufaj, Forbes – powiedział Evans, – Odkupiłeś swoje zbrodnie... Będziesz żył...

Ale nieszczęśliwiec musiał umrzeć. Mimo starań, których mu nie szczędzono, stan jego pogarszał się z każdą godziną. W krótkich przerwach między atakami bólu obracał niespokojny wzrok ku Kate i Evansowi. Przełał wiele cudzej krwi, teraz jego krew płynęła obficie; była to jakby pokuta za dawne czyny...

Skonał około czwartej nad ranem. Zmarł żałując za grzechy i uzyskawszy przebaczenie od ludzi i od Boga, który oszczędził mu długiej agonii, wydał prawie bez cierpień ostatnie tchnienie.

Pogrzebano go nazajutrz w dole wykopanym obok miejsca, gdzie spoczywał rozbitek francuski, i odtąd dwa krzyże wznosiły się nad dwoma grobami.

Jednakże Rock i Cope, przebywający na wyspie, byli ciągle groźni dla kolonistów, bezpieczeństwo nie będzie zupełne, póki złoczyńcy nie zostaną unieszkodliwieni.

Evans postanowił tedy z nimi skończyć przed przedsięwzięciem wyprawy do Portu Niedźwiedziej Skąły.

Gordon, Briant, Baxter i Wilcox wyruszyli z nim tegoż dnia, zarzuciwszy fuzje na ramiona i

przy pasasowszy rewolwery; Phann towarzyszył im, było bowiem rzeczą słuszną zdać się na jego instynkt przy tropieniu śladów.

Poszukiwania okazały się nietrudne. Cope, który przedzierając się poprzez gąszcz Lasu Wilczych Dołów znalazł drogę krwawymi śladami, leżał martwy o kilkaset kroków od miejsca, gdzie dosięgnął go strzał. Odszukano również ciało Pike'a, zabitego na początku rozprawy. Rock zniknął tak niespodziewanie, jakby ziemia go pochłonęła, lecz Evans znalazł wytłumaczenie tego faktu: nędznik ów, ranny śmiertelnie, wpadł do jednego z wilczych dołów, które wykopał Wilcox. W dole tym pochowano trzy ciała, zamieniając go w grób. Po czym bosman i jego towarzysze wrócili przynosząc pomyślną wiadomość, że kolonii nic już nie grozi.

Nic nie mąciłoby już radości, gdyby Doniphan nie był ciężko ranny!

Nazajutrz Evans, Gordon, Briant i Baxter rozpoczęli dyskusję nad projektem sprowadzenia szalupy. Należało to zrobić natychmiast i nie tylko zorganizować wyprawę do Portu Niedźwiedziej Skały, lecz pozostać tam przez pewien czas, aby naprawić łódź.

Ustalono, że Evans, Briant i Baxter wyruszą drogą wodną, przez jezioro i Rzekę Wschodnią. Była to droga najpewniejsza, a zarazem najkrótsza.

Okazało się, że jolka, odnaleziona na wirze rzecznej, nie ucierpiała wcale od kartaczy, które przeleciały nad nią. Załadowano więc do niej narzędzia potrzebne przy uszczelnianiu łodzi, żywność, broń, amunicję i przy dobrym, bocznym wietrze, rankiem 6 grudnia, jolka odpłynęła pod dowództwem Evansa.

Dość szybko przebyto jezioro i po jedenastej Briant zasygnalizował bosmanowi zatoczkę, przez którą wody jeziora spływały ku Rzece Wschodniej. Jolka, unoszona prądem odpływu, pomknęła środkiem rzeki.

Niedaleko od ujścia, na piaskach otaczających Niedźwiedzią Skałę, spoczywała wyciągnięta na brzeg szalupa.

Po bardzo dokładnym zbadaniu uszkodzenia Evans powiedział:

– Chłopcy, mamy tutaj sporo narzędzi; ale nie mamy materiału do naprawienia szkieletu i poszycia. A w Grocie Francuskiej znajdują się klepki i wręgi pochodzące ze „Sloughi” i gdyby udało nam się przyholować szalupę na Rzekę Zelandzką...

– O tym właśnie myślałem – powiedział Briant. – Czy to niemożliwe, panie Evans?

– Nie wydaje mi się – odparł Evans. – Skoro szalupa przy była bez szkody z Wydm Severna aż do Portu Niedźwiedzi Skały, czemuż nie miałyby dotrzeć jeszcze do Rzeki Zelandzkiej Będzie tam łatwiej pracować, a i tak musielibyśmy sprowadzić szalupę do naszej groty, gdyż stamtąd wypłyniemy na morze!

Trudno było niewątpliwie o lepszy projekt. Postanowiono więc wykorzystać jutrzejszy przypływ i wyruszyć jolką w górę Rzeki Wschodniej, wzięwszy szalupę na hol.

Evans pozatykał, jak się dało, szczeliny pakułami zabrany: z Groty Francuskiej. Ta wstępna praca trwała do późnego wieczora.

Noc upłynęła im spokojnie w „kominach”, które Doniphan obrał kiedyś na siedzibę podczas swej wyprawy nad Zatokę Rozczarowania.

Nazajutrz, skoro świt, Evans, Briant i Baxter uwiązali szalupę na holu i popłynęli z biegiem przybierających wód. Póki trwał przypływ, wiosłując dawali sobie radę, ale gdy zaczął się odpływ, szalupa nabierała ustawicznie wody, stawała się bardzo ciężka i trudno ją było holować. Toteż dopiero o piątej po południu jolka przybiła do prawego brzegu jeziora.

Bosman uznał, że byłoby nieostrożnością wypływać w takich warunkach na jezioro nocą.

Wiatr zaczął zresztą pod wieczór przycichać, ale powinien wzmóc się znowu, jak to latem bywa, o wschodzie słońca.

Podróżni rozbili obóz, zjedli z apetytem kolację i zasnęli smacznie, z głowami wspartymi o pień olbrzymiego buka, z nogami przysuniętymi do ogniska, które płonęło aż do świtu.

– Do łodzi! – zawołał bosman, kiedy pierwszy brzask rozświetlił taflę jeziora.

Jak się spodziewano, raniem powiała północno-wschodnia bryza. Warunki do żeglugi były tedy wymarzone.

Podniesiono żagiel i jolka, wlokąc za sobą ciężką łódź, zanurzoną aż po burty, wzięła kurs na zachód.

Evans, wiedziony ostrożnością, gotów był w każdej chwili przeciąć hol, gdyby bowiem szalupa zaczęła tonąć, pociągnęłaby za sobą jolkę. Koloniści przepłynęli jednak jezioro bez żadnego wypadku.

Około trzeciej po południu ukazało się na zachodzie Wzgórze Aucklandzkie. O piątej jolka i szalupa wpłynęły na Rzekę Zelandzką i stanęły na kotwicy pod osłoną grobli. Rozległy się wiwaty na cześć Evansa i jego towarzyszy, których powrotu spodziewano się dopiero za kilka dni.

Podczas ich nieobecności stan Doniphana uległ lekkiej poprawie. Chłopiec mógł już odpowiedzieć na uścisk dłoni Brianta. Oddychał swobodnie. Chociaż trzymano go na bardzo surowej diecie, siły zaczęły mu wracać, a pod kompresami z liści, które Kate zmieniała co dwie godziny, rana winna była niebawem się zabiźnić. Niewątpliwie, rekonwalescencja mogła potrwać dość długo; ale Doniphan miał w sobie tyle sił żywotnych, że zupełny powrót do zdrowia był tylko kwestią czasu.

Nazajutrz rozpoczęto naprawę szalupy. Najpierw należało wyciągnąć ją na ląd. Długa, na trzydzieści stóp, szeroka na sześć, miała pomieścić siedemnastu pasażerów – z tyłu bowiem osób składała się kolonia, łącznie z Kate i Evansem.

Potem przystąpiono do dalszych robót. Evans znał się wybornie na robocie ciesielskiej i mógł

należycie ocenić zręczność Baxtera. Materiału nie brakło, narzędzi również. Ze szczątków kadłuba szkunera można było wykonać zastępcze wręgi, wymienić popękane klepki poszycia i połamane wzdłużniki; wreszcie stare pakuły nasyczone żywicą uszczelniły doskonale spojenia szalupy.

Szalupa miała pierwotnie pokład tylko od strony dzioba. Obecnie pokryto ją pokładem w dwóch trzecich długości; miało to zapewnić załodze schronienie w czasie niepogody, chociaż nie groziła ona właściwie w drugiej połowie lata. Stenga ze „Sloughi”; posłużyła za grotmaszt i Kate, według wskazówek Evansa, wykrajała z zapasowego gaflowego żagla grotżagiel oraz topsel na rufę i fokżagiel na dziób. Takie ożaglowanie zapewniało szalupie większą równowagę oraz zdolność posuwania się naprzód bez względu na kierunek wiatru.

Roboty te zabrały cały miesiąc, ukończono je 8 stycznia. Pozostały jeszcze tylko pewne prace wykończeniowe. Bosman bowiem nie chciał pominąć niczego przy remoncie szalupy.

Trzeba nadmienić, że w tym czasie koloniści obchodzili uroczyste święta Bożego Narodzenia, a także dzień 1 stycznia 1862 roku – roku, w którym mieli pożegnać Wyspę Chairmana.

Tymczasem Doniphan o tyle powrócił do zdrowia, że mógł już wychodzić z hallu, chociaż czuł się jeszcze bardzo osłabiony. Świeże powietrze i pożywniejsze jedzenie przywracały mu szybko siły. Zresztą nikt nie myślał wyruszać w drogę przed jego całkowitym wyzdrowieniem.

Życie w Grocie Francuskiej zaczęło znów płynąć zwykłym trybem.

Wilcox, Cross i Webb powrócili do swoich łowów, bądź na skraju Bagien Południowych, bądź też w gąszczu Lasu Wilczych Dołów. Wzgardzono pułapkami i sidłami, mimo napomnień Gor – dona, który nadal opowiadał się za oszczędzaniem amunicji. Rozlegały się więc strzały to tu, to tam, a spiżarnia Moka wzbogacała się w świeże mięso – dzięki czemu oszczędzono konserw, przeznaczając je na podróż.

Doniphan dręczył się, że nie może towarzyszyć przyjaciółom. Gdyby mógł powrócić do swoich funkcji „wielkiego łowczego” małej kolonii, z jakim zapałem ścigałby zwierzynę i ptactwo, nie potrzebując się troszczyć o ilość strzałów!

Evans wykorzystał ostatnie dziesięć dni stycznia na załadunek łodzi. Chłopcy mieli oczywiście ochotę zabrać z sobą wszystko, co ocalili ze „Sloughi”. Było to jednak niepodobieństwem i należało dokonać wyboru.

Gordon przede wszystkim umieścił w szalupie zabrane z jachtu pieniądze, które mogły się przydać młodym kolonistom w drodze do kraju. Moko załadował tyle zapasów, by starczyło ich na wyżywienie siedemnastu pasażerów nie tylko podczas podróży, która mogła potrwać mniej więcej trzy tygodnie, ale i na wypadek, gdyby jakaś nieprzewidziana okoliczność zmusiła chłopców do lądowania przed dotarciem do Punta Arenas, portu Galant albo portu Tamar.

Potem umieszczono w kufrach szalupy resztę amunicji oraz fuzje i rewolwery. Doniphan uprosił nawet, by nie porzucano dwóch działek z jachtu. Jeśli będą zbyt obciążały szalupę, wyrzuci się je podczas rejsu.

Briant zabrał również pełny asortyment zapasowej odzieży, większą część książek, najważniejsze przybory kuchenne, które miały chłopcom służyć na szalupie – między innymi jeden z piecyków z grotu – wreszcie przybory nawigacyjne: zegary morskie lunety, busole, log, latarnie; nie zapomniał też o składanej kauczukowej łódce. Wilcox wybrał spośród sieci i wędek te, którymi będzie można posługiwać się w drodze.

Słodkiej wody naczepiono z Rzeki Zelandzkiej, napełniwszy nią z dziesięć baryłek, które ułożono na spodzie łodzi. Nie zapomniano też o reszcie brandy i dżynu, a także o napojach sporządzonych z owoców trulika i algarrobe.

Na koniec, 3 lutego, cały ładunek znalazł się na swoim miejscu. Pozostało już tylko ustalić datę odjazdu, jeśli oczywiście Doniphan czułby się na siłach znieść dłuższą podróż.

Ale dzielny chłopak ręczył za siebie! Rana zabiłżniła się całkowicie, apetyt wrócił i Doniphan musiał raczej wystrzegać się przejedzenia. Wsparty na ramieniu Brianta albo Kate, przechadzał się codziennie przez parę godzin po boisku.

– Jedźmy! Jedźmy! – mówił. – Chciałbym już być w drodze!... Morze wyleczy mnie do reszty.

Wyznaczono odjazd na 5 lutego.

W przeddzień Gordon wypuścił na wolność zwierzęta domowe Guanaki, wigonie, dropie i cały ród pierzasty, nie okazując wdzięczności za starania, jakie im okazywano, umknęły co sił w nogach i skrzydłach – tak nieodparty jest instynkt wolności.

– Niewdzięcznik!! – wykrzyknął Garnett. – Tyleśmy im troskliwości okazywali!

– Taki jest świat! – powiedział Service tonem tak zabawnym, że tę filozoficzną uwagę powitano gromkim śmiechem.

Nazajutrz młodzi pasażerowie wsiedli do szalupy, która miała holować za sobą jolkę.

Ale zanim odcumowano szalupę, chłopcy odwiedzili po raz ostatni groby Franciszka Baudoin i Forbesa.

Doniphan siadł na rufie obok Evansa, który miał pełnić funkcję sternika. Briant i Moko stanęli na dziobie przy falach, choć na razie należało bardziej liczyć na prąd Rzeki Zelandzkiej niż i na dość kapryśną z uwagi na sąsiedztwo Wzgórza Aucklandzkiego bryzę.

Inni ulokowali się wedle fantazji na przedniej części pomostu, a Phann razem z nimi.

Odczepiono cumę, wiosła zanurzyły się w wodzie.

Trzykrotne „hurra” pożegnało gościnną grotę, która od tyłu miesiący była bezpiecznym schronieniem dla młodych kolonistów. Chłopcy nie bez radosnego wzruszenia patrzyli, jak Wzgórze Aucklandzkie znika za nadbrzeżnymi drzewami. Tylko Gordon smucił się szczerze, rozstając się ze swoją wyspą.

Kierując się w dół rzeki, szalupa nie mogła płynąć szybciej niż leniwy prąd. Około południa, w pobliżu Bagien Leśnych, Evans musiał zarzucić kotwicę.

Rzeka była tutaj niezbyt głęboka i przeciążona szalupa mogłaby osiąść na mieliźnie. Lepiej było zaczekać na koniec przyływu i podążyć ku morzu wraz z ustępującymi wodami.

Postój trwał około sześciu godzin. Pasażerowie skorzystali z tego, by przygotować przyzwoity posiłek. Wilcox i Cross ubili na skraju Bagien Południowych parę kszyków.

Doniphan nie ruszając się z rufy zastrzelił dwa wspaniałe kusaki, krążące nad prawym brzegiem rzeki. z miejsca wyzdrowiał.

Szalupa znalazła się u ujścia rzeki bardzo późno. Ponieważ po ciemku niepodobna było znaleźć przesmyku między rafami, Evans, jako przezorny marynarz, postanowił zaczekać do rana z wyruszeniem na morze.

Noc była spokojna. Wiatr przycichł pod wieczór i kiedy ptaki morskie – petrele i mewy – schroniły się w rozpadlinach skalnych, cisza spowiła zatokę Sloughi.

Nazajutrz powiała bryza od lądu, wody były więc spokojne aż po najbardziej wysunięty w morze kraniec Południowych Bagien.

O brzasku Evans kazał rozwinąć grot, topsel i fok. Szalupa kierowana wprawną ręką bosmana wyszła z Rzeki Zelandzkiej na morze.

Wszystkie spojrzenia skierowały się wtedy na grań Wzgórza Aucklandzkiego i na ostatnie skały wznoszące się nad zatoką Sloughi, które znikają za Cyplem Amerykańskim.

Strzał z działa i trzykrotne „hura” rozległy się nad łodzią, gdy flaga Zjednoczonego Królestwa załopotala na topie masztu.

Po ośmiu godzinach szalupa wpłynęła do kanału między Cyplem Południowym a wyspą Cambridge i pożeglowała wzdłuż wybrzeży Wyspy Królowej Adelajdy.

Na horyzoncie zniknął ostatni zarys Wyspy Chairmana.

Rozdział XXX

Wśród kanałów – Niesprzyjający wiatr – Cieśnina – Paro „Grafion” – Powrót do Auckland – Powitanie w stolicy No Zelandii – Evans i Kate

Nie ma potrzeby opisywać szczegółowo podróży poprzez kanały Archipelagu Magellana. Nie towarzyszyło jej żadne ważniejsze wydarzenie. Pogoda dopisywała znakomicie.

Kanały były puste, nie spotkano tubylców, którzy nie zawsze okazują się gościnni. Kilka razy dostrzeżono światła w głębi wysp, ale nikt nie pojawił się na nadbrzeżnym piasku.

11 lutego szalupa wspomagana sprzyjającym wiatrem weszła do Cieśniny Magellana poprzez Kanał Smitha oddzielający zachodnie wybrzeże Wyspy Królowej Adelajdy od wyżyn Ziemi Króla Wilhelma. Na prawo wznosił się szczyt Świętej Anny. Na lewo, w głębi Zatoki Beauforta, piętrzyły się wspaniałe lodowce, z których najwyższy został dostrzeżony przez Brianta z Wyspy Hanowerskiej, nazywanej nadal przez młodych kolonistów Wyspą Chairmana.

Na pokładzie dobrze się działało podróżnikom; powietrze przesycone morskimi aromatami służyło wybornie Doniphanowi: jadł, spał i czuł się dość silny, aby w razie jakichś nowych niepowodzeń wysiąść na ląd i znów rozpocząć z kolegami żywot Robinsonów.

12 lutego szalupa znalazła się w pobliżu cypla Tamar należącego do Ziemi Króla Wilhelma, której port – a raczej zatoczka – był w tym momencie opustoszały. Toteż nie zatrzymując się Evans opłynął cypel Tamar i skierował się na południowy wschód poprzez Cieśninę Magellana.

Z jednej strony rozpościerały się płaskie, jałowe brzegi Ziemi Desolacion, pozbawione zieleni, w jaką przyobleczona była Wyspa Chairmana. Z drugiej zaś rysowały się zakosy kapryśne postrzępionych brzegów Półwyspu Crookera. Tutaj właśnie Evans zamierzał szukać przesmyków wiodących na południe – by opłynąć Przylądek Forwarda i pożeglować wzdłuż wschodnich brzegów Półwyspu Brunszwickiego aż do Punta Arenas.

Nie trzeba było jednak zapuszczać się tak daleko.

Rankiem, 13 lutego, Service, stojący na dziobie, krzyknął:

– Dym po prawej burcie!

– Może dym z ogniska rybaków? – spytał Gordon.

– Nie! To raczej dymi komin parowca! – odparł Evans. Istotnie, ląd był w tej stronie zbyt odległy, aby można było dojrzeć dym ogniska rybackiego.

Briant wspiął się po linach grotmasztu na sam jego wierzchołek i zawołał:

– Okręt! Okręt!

Niebawem zbliżył się osiemset-, a może dziewięćsettonowy parowiec, płynący z szybkością jedenastu do dwudziestu mil na godzinę.

Rozległy się wiwaty, wystrzelono z karabinów.

Z parowca dostrzeżono szalupę, która po dziesięciu minutach przybiła do burty steamera „Grafton” zmierzającego do Australii.

Kapitana statku, Toma Long, powiadomiono o losach „Sloughi”. Zresztą zniknięcie szkunera

odbiło się głośnym echem tak w Anglii, jak i w Ameryce i Tom Long chętnie zabrał na pokład pasażerów szalupy. Zaofiarował się nawet odwiedzić ich wprost do Auckland – nie nadkładając przy tym zbytnio drogi. „Grafton” zmierzał bowiem do Melbourne, stolicy prowincji Adelajda, leżącej w południowej części ziem australijskich.

Podróż trwała krótko: 25 lutego „Grafton” stanął na redzie aucklandzkiego portu.

Mniej więcej dwa lata temu morze uniosło piętnastu uczniów kolegium Chairmana o tysiąc osiemset mil od Nowej Zelandii.

Nie będziemy opisywać radości rodzin powracających chłopców; wszyscy byli przecież przekonani, że dzieci zginęły w odmętach Pacyfiku!

W jednej chwili rozeszła się po mieście wiadomość, że „Grafton” przywiózł do ojczyzny zaginionych rozbitków. Cała ludność, wybiegła na spotkanie i klaskała w ręce z uciechy, gdy chłopcy tulili się do swych rodziców.

Jakże chciwie dowiadywali się o wszystko, co się zdarzyło na Wyspie Chairmana! Doniphan wygłosił na ten temat kilka odczytów. Odniosły one prawdziwy sukces, z czego chłopiec oczywiście był bardzo dumny. Potem wydano dziennik, który prowadził Baxter nie pomijając ani jednej godziny. Trzeba było tysięcy egzemplarzy, by zadowolić nowozelandzkich czytelników. Wreszcie gazety obu półkul wydrukowały go we wszystkich językach, gdyż nie było osoby, która nie interesowałaby się losami „Sloughi”. Każdy podziwiał roztropność Gordona, poświęcenie Brianta, odwagę Doniphana, karność zarówno malców, jak i starszych chłopców.

Nie trzeba podkreślać, jakiego przyjęcia doznali bosman Evans i Kate. Ogłoszono subskrypcję na zakup statku dla dzielnego Evansa i wkrótce stał się on właścicielem i kapitanem statku „Chairman”. Postawiono jednakże warunek, by portem macierzystym „Chairmana” był Auckland. Ilekroć Evans zawitał do Nowej Zelandii, doznawał w rodzinach „swoich chłopaków” najserdeczniejszego przyjęcia.

Briantowie, Garnettowie, Wilcoxowie i wiele innych rodzin toczyły istny bój o przezacną Kate. Na koniec znalazła przystań w domu Doniphana, któremu troskliwą opieką ocaliła życie.

Słowniczek terminów żeglarskich

bakbort – lewa burta statku

bom – pozioma belka podtrzymująca żagiel skośny od dołu

bosman – w marynarce podoficer, bezpośredni przełożony wszystkich marynarzy na statku, odpowiedzialny za całość prac marynarskich

bram-stenga - jedna z belek przedłużających maszt

brasy – liny przymocowane do rei, służące do nastawiania żagli pod wiatr

bukszpryt albo dziobak – krótki, ukośny maszt, umieszczony na dziobie żaglowca

cumy – liny służące do umocowania statku przy nadbrzeżu

flaglinka – linka do wciągania flagi na maszt

fok – nazwa trójkątnego żagla przedniego (kliwra) na jachtach

fokmaszt – maszt przedni na żaglowcu

fokreja – dolna reja na fokmaszcie

gafel – ruchoma ukośna belka podtrzymująca żagiel skośny od góry

gafelfał – lina służąca do podnoszenia i opuszczania gafla

gaflowy żagiel – żagiel skośny, o kształcie nieregularnego czworokąta (żagle dzielą się na gafłowe i rejowe)

goelet – mały żaglowiec dwumasztowy

grotmaszt – główny maszt na żaglowcu

grotżagiel – żagiel przytwierdzony do dolnej rei na grotmaszcie

hals – łódź żaglowa lub statek płynie „halsem”, gdy ma wiatr z boku

hol – lina służąca do holowania statku (tj. ciągnięcia go przez inny statek)

jacht – statek żaglowy, parowy lub motorowy, przeznaczony do celów sportowych, rozrywkowych lub reprezentacyjnych

jolka – mała łódź dwuwiosłowa, służąca do podręcznych czynności związanych z codzienną służbą na okręcie

kabel – tu: dziesiąta część mili morskiej (ok. 185 m)

kabestan – dźwig w postaci kołowrotu, służący do wyciągania kotwic i ciężarów na pokład statku

kasztel rufowy albo jut – najwyższy pokład na rufie statku

kil albo stępka – silna belka biegnąca wzdłuż dna statku; najważniejsza część szkieletu okrętu

kliwer – trójkątny żagiel dziobowy, rozpięty na linach łączących fok maszt z bukszprytem

kubryk – pomieszczenie dla marynarzy na statku

liki – brzegi żagla

log – przyrząd do mierzenia szybkości statku

luk – otwór w pokładzie prowadzący do wnętrza statku

naktuzowy kompas – kompas okrętowy, umocowany na stałej podstawie w kształcie szafki

otakłować – osprzętować żaglowiec. Takielunek to osprzęt służący do omasztowania, olinowania i ożaglowania statku

pokładniki – belki wzmacniające poprzecznie szkielet okrętu, łączące przeciwległe wręgi powyżej linii wodnej

rafy – skały przybrzeżne, wystające nieco nad powierzchnią morza lub sterczące tuż pod powierzchnią

rufa – tylna część kadłuba okrętu

saling – silna belka poprzeczna w górnej części masztu, do której umocowuje się wanty

steamer (ang.) – parowiec

stewa – belka umocowana z przodu do kilu, nadająca kształt dziobowi statku

szkuner – najbardziej rozpowszechniony rodzaj żaglowca, o ożaglowaniu gaflowym i dodatkowych żaglach rejowych na przednim maszcie

szot – lina umocowana do bomu, służąca do kierowania żaglem skośnym

sztymbork – prawa burta okrętu

top – górna część masztu

topsel – mały trójkątny żagiel rozpięty na górnej części masztu

wanty – liny umocowujące maszt z boków, od strony burt

wręgi – wygięte belki, przymocowane poprzecznie do kilu i stanowiące szkielet burty statku

zrefować żagiel – zmniejszyć pole żaglowe za pomocą refów, tj. linek, rzędami wszytych w żagiel. Refy wiąże się wokół rei

* Nowa Zelandia została odkryta w 1642 r. przez żeglarza holenderskiego Tasmana, a zbadana po raz

pierwszy przez słynnego angielskiego podróżnika Cooka około 1770 r. Po długich i krwawych walkach z ludnością tubylczą, Maorysami, Anglicy uczynili z niej w 1840 r. swoją kolonię. Od 1907 r. Nowa Zelandia stanowi dominium brytyjskie. Jej stolicą jest obecnie nie Auckland, lecz Wellington.

* Fag (ang.) – ciężka praca, niskie posługi.

* Cockney (ang.) – tu: dziecko ulicy londyńskiej.

* ”Robinson Szwajcarski” – powieść pisarza szwajcarskiego Rudolfa, Wyssą (1781-1830), jeden z licznych utworów naśladowujących słynne „Przygody Robinsona Kruzoa” Daniela Defoe.

* Commercial-pier (ang.) – wybrzeże handlowe.

* Galon – angielska jednostka miary objętości (przeszło 4 litry).

* Luis Vaz de Camoens (1524-1580) znakomity poeta portugalski epoki Odrodzenia. W swej słynnej epopei „Luzjady” opisał wyprawę do Indii portugalskiego podróżnika Vasco da Gamy. Camoens rozpoczął pisanie swego dzieła w czasie pobytu w Indiach. Kiedy powracał do ojczyzny, okręt, na którym jechał, rozbił się, poeta zdołał jednak uratować rękopis utworu, unosząc go nad wodą w jednej ręce, podczas gdy drugą do brzegu.

* Selkirk – marynarz angielski Aleksander Selkirk (1676-1721) spędził samotnie 6 lat (od 1703-1709) na wyspie Juan Fernandez. Jego przygody natchnęły wielkiego pisarza angielskiego Daniela Defoe do napisania słynnych „Przygód Robinsona Kruzoa”.

* Nowy Świat – tak nazywano odkrytą przez Kolumba w 1492 r. Amerykę – w odróżnieniu od Starego Świata, tj. Europy, Azji i Afryki.

* Carnac – nadmorska wioska w Bretanii, we Francji, słynna ze znajdujących się w niej menhirów, tj. olbrzymich, dochodzących do 20m wysokości głazów, wznoszonych w epokach przedhistorycznych na terenie Bretanii i Anglii (prawdopodobnie były to pomniki grobowe).

* Kraje celtyckie – autor ma tu na myśli Brancję, Hiszpanię i Wielką Brytanie, których tereny w starożytności zamieszkiwali Celtowie. Język; celtycki zachował się do dziś w Bretanii, we Francji i w Irlandii.

* Baby (ang.) – dziecko (określenie pieszczotliwe)

* To, czego zamierzał dokonać Briant, zrobiono we Francji w kilka lat później. Latawiec kształtu ośmiokąta, o długości osiemdziesięciu stóp, szerokości zaś na dwadzieścia siedem stóp, ważący sto trzynaście kilogramów – sześćdziesiąt osiem kilogramów konstrukcja drewniana, a czterdzieści pięć płótno i liny – wzbił się w powietrze unosząc bez trudu siedemdziesięciokilowy worek z piaskiem (przyp. autora).